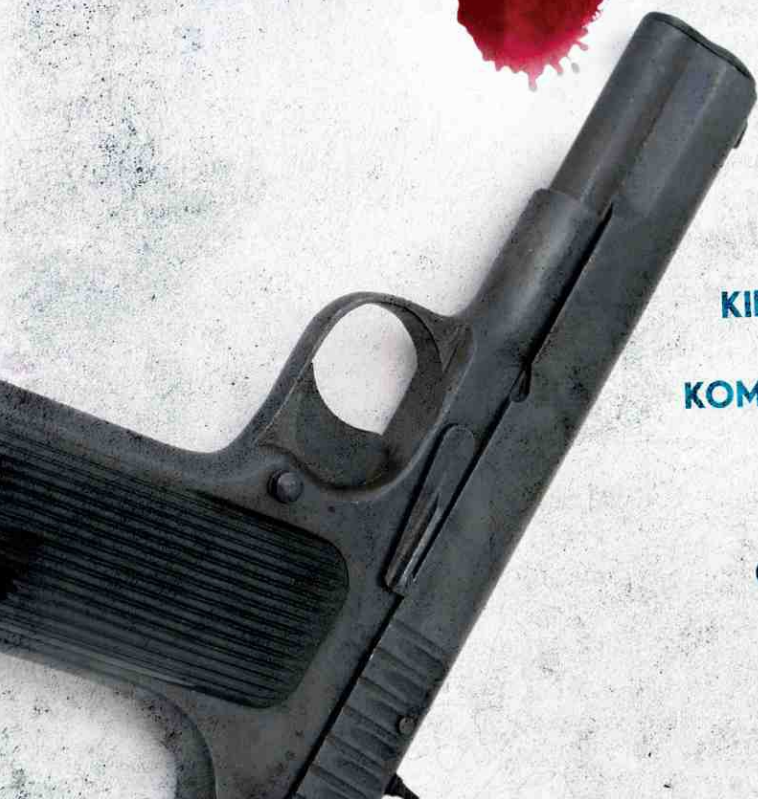


GRZEGORZ
KAPLA

BEZWŁĄD



KIEDY **PATRZYSZ** W OCZY
KOMUŚ NA **ŚMIERĆ** I **ŻYCIE**,
LICZY SIĘ **TYLKO** TO,
CZY **TRAFISZ** W SERCE

GRZEGORZ
KAPLA
BEZWŁĄD

 Książki
Burda

Burda Media Polska Sp. z o.o.
ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa
Dział Handlowy: tel. 22 360 38 41–42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 2519

Tekst © 2018 Grzegorz Kapla

Opracowanie redakcyjne: Pracownia 12A
Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter
Projekt graficzny makiety, skład i łamanie:
Korekta: Marzena Kłós
Redaktor prowadzący: Małgorzata Zemsta
Redaktor techniczny: Mariusz Teler

Zdjęcie na okładce: Shutterstock (front); Marcin Klaban (tylne skrzydełko)

Copyright for Polish Edition © 2018 Burda Media Polska Sp. z o.o.
All rights reserved.

ISBN 978-83-8053-469-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach do przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych, również częściowe, tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Kamil Raczyński

virtualo

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

PODZIĘKOWANIA

Wszystkie postaci występujące na kartach tej powieści w rolach pierwszoplanowych są fikcyjne i urodziły się w mojej wyobraźni. Ich podobieństwo do prawdziwych ludzi jest czysto przypadkowe, a jeśli się zdarzy, nie było zamierzone.

W epizodach pojawiają się autentyczne postaci. Zazwyczaj w wymyślonych sytuacjach, ale zdarza się, że przywoływane są prawdziwe wydarzenia. Nawet jeśli wybuchają wulkany. Prawdziwe są miejsca, nawet te bardzo egzotyczne. Prawdziwe są rekwizyty. Nawet rozcięte na dwoje serce pewnego artysty zszyte nicią i zatopione w słoju z wiekiem uszczelnionym wazeliną.

Oddzielenie prawdy od zmyślenia przyniesie Czytelnikom, mam nadzieję, dobrą zabawę.

Autor

Czuła się szczęśliwa. Bezgranicznie szczęśliwa. Wyszła na balkon zrelaksowana i odprężona, bosa, w miękkim szlafroku. Niebo było nieskazitelnie niebieskie. Stała w świeżym śniegu, ale nie czuła zimna. Przecież to tylko chwila. Patrzyła na wąską stróżkę drogi między drzewami. I na siwe kolumny dymów, wysokie i wyprostowane, jak to na mrozie. Lubiła domy, w których ktoś palił w piecu. W takich domach ludzie siadywali razem przy stole. Ponad dymami i ponad czarną szczecina lasu widziała majestatyczny, śnieżny mur Tatr. Teraz zupełnie złoty w niskim słońcu. Czuła w sobie ciepło. Wciąż ją parzyło.

Nagle ten jasny obraz, który miała w głowie, zniknął. Coś musiało ją obudzić. Może wiatr szarpnął okiennicą? Może drzwi zaskrzypiały? Albo jakieś zwierzę. Ale skąd? Przecież nie lubili zwierząt. Są brudne i kłopotliwe. Roznoszą sierść i zarazki. Wszędzie robią kupy. Nie opuszczają klapy. Najgorsze są koty, bo drapią pazurami meble. I muszą mieć gdzieś kuwetę. Najlepiej, gdyby stała w piwnicy, ale kogo stać na piwnicę w apartamentowcu? No tak, ale przecież nie była u siebie. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Pewnie w jakimś domu z okiennicami, skoro słyszy to trzaskanie. Nie, to musiały być drzwi. Głowa bolała ją od leżenia na twardym. Gdyby tak rozetrzeć skronie, pewnie by coś pomogło. Ale niby jak mogłoby pomóc? Pod powiekami miała oślepiającą jasność. Nie rozumiała tego, bo kiedy udało jej się otworzyć oczy, ciemność wokół była nieprzenikniona. Oczy bolały ją od tego blasku, kiedy tylko próbowała zamykać

powieki. Już lepiej trzymać je otwarte. Ale wówczas suchość była nie do zniesienia. Jakby od dwudziestu czterech godzin bez przerwy gapiała się w nieskończone szeregi zestawień w Excelu. Najgorsze są koty. Jeden kot w państwie całkowicie wystarcza.

Próbowała pokręcić głową, ale wszystko na nic. Nie mogła się poruszyć. Ani odrobinę.

„Pomyśl o czymś przyjemnym” – przypomniła sobie jego radę. Powtarzał tak przed każdym trudnym spotkaniem, jakie ich czekało. Negocjacje z Japończykami były najgorsze. Pomyśl o czymś przyjemnym.

Pomyślała o tym, jak się kochali. O tak, to było naprawdę przyjemne. Lubiła duże łóżka, a to było naprawdę wielkie. Powiedział, że zmieściłoby się tam kilka par, a ona tylko się śmiała.

– Chciałbyś spróbować? – zapytała, ale on pokręcił głową.

Ucieszyła się. Nie chciała się nim dzielić.

Leżał całkiem nagi i patrzył na nią przez szklaną ścianę, która oddzielała pokój od łazienki. W pierwszej chwili wydało się to jej dosyć dziwne, bo tafla nie była zmatowiona nawet w miejscu, które oddzielało pokój od toalety. Pewnie to mogłoby kogoś podniecać, ale ona wolała zasunąć zasłonę. Nie... nie zrobi tego. Jest przecież nowoczesną dziewczyną, wolną od przesądów. I tych maminych, i kościelnych, i w ogóle wszelkich. Nie musi „układać sobie życia”, zakładać białego welonu, wychowywać dzieci ani pozwalać, żeby ktokolwiek ustępował jej miejsca w drzwiach albo w windzie. Mydliła piersi, ani przez chwilę nie patrząc w stronę mężczyzny, ale wiedziała bardzo dobrze, że ją obserwuje.

– Cudowna rzecz taka ściana ze szkła, prawda? – Mrugnęła do niego, kiedy wyszła spod prysznic.

Była całkiem mokra, owinięta w szlafrok, ale włączyli ogrzewanie w pokoju na całą moc i nie czuła chłodu.

– Będziemy mieć taką ścianę, jeśli zechcesz – mruknął i wyciągnął po nią rękę, a ona poddała się bez oporu, boczenia się, bez ociągania i bez udawania, że się wstydzi. On przecież nie lubił o nic prosić. Czasami myślała, że zwyczajnie nie potrafi. Nie prosił. Czasami nawet nie pytał. Po prostu brał. Albo domagał się tego, co powinien dostać. I ludzie go słuchali. Wyobrażała sobie nawet, że jest w tym coś ponadnaturalnego, magicznego. Nie знаła nikogo innego, komu uchodziłoby na sucho takie impertynenckie zadufanie w sobie. Musiał mieć na ludzi jakiś tajemny wpływ. To dlatego tak dobrze udawała mu się kariera. Teraz też nie musiał prosić. Pieściła go, a on zerkał co chwila w telewizor. Nie musiała patrzeć, żeby o tym wiedzieć. Była cierpliwa. Wiedziała, że w końcu zamknie oczy, i wiedziała, kiedy to się stanie, bo już знаła ten moment. Moment, w którym jego ciało nagle, w ułamku sekundy staje się cieplejsze.

Znowu usłyszała coś z innego świata. Ze świata bólu głowy i oślepiającego blasku pod powiekami. Może to okiennice trzaskają? Może to ktoś idzie po zamarznętej ziemi? Może jest dzień, a może już naprawdę zapadła noc, a ona jest całkowicie zagubiona w jakimś lesie obcym i pełnym potworów.

Pomyśl o czymś przyjemnym, zgaśniła w myślach samą siebie, o czymś naprawdę dobrym.

– Zobacz, co dla ciebie mam – dobiegło ją z pokoju i ucieszyła się, bo właśnie poczuła, że chłód chwycił ją za pięty i palce stóp.

Spojrzała jeszcze raz na Tatry i weszła do środka. Na łóżku leżał karton. Znała ten kształt z dziewczyńskich filmów. Tani chwyt, pomyślała, ale zawsze działa. W takich kartonach mężczyźni chowają sukienki dla swoich ukochanych. Tak właśnie pomyślała. Dla ukochanych, a nie dla kochanek.

– Naprawdę? Do końca życia? – prychnął. Wciąż był nagi, ale choć podniecenie minęło, podobał jej się. Był szczupły, a to właśnie

sprawia, że mężczyzna zawsze wygląda młodo. Szczupły i pewny siebie.

– Naprawdę. – Usiadła na łóżku tak, że jej szlafrok się rozsunął i mężczyzna westchnął.

– Koniec życia nie powinien nadchodzić tak szybko – powiedział. Śmiały mu się oczy.

Teraz jej oczy wcale się nie śmiały.

Piekły i bolały.

Miała zdrętwiały kark i nie rozumiała, dlaczego nie może się ruszyć. Dlaczego nie może poruszyć rękoma. Znowu ten hałas. Ból w przegubach dłoni. To musiało być jednak zwierzę, no bo co innego mogłoby ją tak nagle obudzić? Kot. Koty są najbardziej wredne ze wszystkich zwierząt świata. Pomyśl o czymś przyjemnym, powiedział, pomyśl o czymś przyjemnym.

Przypomniało jej się, jak opowiadał jej o tym miejscu. Podobno pamiętał je z dzieciństwa. Zobaczysz, mówił, będziesz zachwycona. Tam najlepszy widok na góry jest o wschodzie słońca, kiedy nie musisz robić nic, tylko z kubkiem kawy stanąć na tarasie. Albo nawet nie będziesz musiała wychodzić z łóżka. Wystarczy odsłonić okna.

Nie kłamał.

Wystarczyło odsłonić okna, ale ona i tak lubiła stać na balkonie bosymi stopami w śniegu. Stać tak, aż do bólu palców. Nie pamiętać o pracy, o terminach, o tych okropnych rozmowach z matką. Nie myśleć o nim. Nie słyszeć, co do niej mówi. Ale czuć w środku, w sobie, jego ciepło.

A potem, później, szli korytarzem, który miał ściany ułożone w ostre, skłębione fale. Myślała, że to tapeta, ale kiedy dotknęła ściany, okazało się, że to prawdziwe fale. Że są uformowane z betonu. Jak on o tym powiedział? Jak to nazwał? Nie pamiętała. A sukienka była czarna. Lśniąca. Miała ją na sobie pod kurtką, kiedy schodzili na

parking.

– Zmarznę.

– Nie zmarzniesz, bo poprosiłem, żeby włączyli nam ogrzewanie w samochodzie. Właśnie dlatego zostawiłem im kluczyki wczoraj wieczorem.

– Kiedy poprosiłeś?

– W czasie, gdy się przebierałaś. Nie zmarzniesz. Będzie ciepłutko.

Ale teraz marzła. Gdyby mogła się poruszyć, pewnie cała by drżała z zimna. Ale nie mogła. Ani na milimetr. Mogłaby na przykład zakląć, pomyślała, ale przecież mama przykładła wielką wagę do tego, żeby zachowywała się godnie i używała nienagannego języka. Nigdy nie unosiła głosu. Kiedy krzywdził ją za bardzo, po prostu płakała.

Ale nie przy ludziach. O nie. Nigdy.

– Spakuj kilka ciepłych rzeczy, pojedziemy w góry – powiedział wtedy.

Zdziwiła się. Nigdy przecież nie zabierał jej w miejsca, do których nie musiał pojechać służbowo. Mieli spotkać się w Krakowie z kimś ważnym z Bayera, a potem po prostu wracać.

– Załatwiłem to tak, że będziemy mieć kilka dni na słodkie lenistwo.

– Jak słodkie?

– Tak, jak tylko potrafisz to sobie wyobrazić.

– Aż tak? – Przekrzywiła głowę jak mały kociak.

– Oczywiście. Zobaczysz piękne miejsce.

– Jak piękne?

– Tak piękne, że warte ryzyka.

– Stare? – Wiedziała, że lubi zabytkowe budowle. Może nie same budowle, ale to, że potrafi opowiadać o nich niestworzone historie. Lubował się w tych swoich opowiadaniach. W tym, że nikt lepiej od

niego „nie rozumie języka architektury”.

– Modernistyczne – wyjaśnił – to...

– Jedziemy do Katowic oglądać Spodek? – weszła mu w słowo specjalnie, żeby wiedział, że pamięta to, o czym jej opowiadał. Wiedziała, że to go polechce.

– Zapamiętałaś. – Uśmiechnął się. – Doskonale. Nie, nie do Katowic. W góry.

Nie powiedział, że będą mieli apartament ze szklaną ścianą między pokojem a łazienką.

Trzaski były coraz bliżej. Głowa zdawała się całkowicie bezwładna. Blask pod powiekami ustępował szarości. Udało jej się poruszyć głową, a może tylko jej się wydawało?

– Pomyśl o czymś przyjemnym. Jeśli o tym myślisz, przybliżasz moment spełnienia. Wiedziałaś o tym?

– O wizualizacji? – Była dumna, że zna właściwe określenia.

– Tak. – Uśmiechnął się.

– Wiedziałam. Przecież wiesz, że dużo czytam.

– Wiem. Oczytanie ma sens. Możesz być najpiękniejsza, ale jeśli jesteś głupia, nikogo sobie nie znajdziesz. W każdym razie nie na dłużej niż jeden wieczór. Wizualizacja też ma sens. Myśli potrafią się ziścić, ucieleśnić. Myślałaś kiedyś o tym?

– O tym, że słowo stało się ciałem? – przyszło jej to do głowy w sposób jednoznaczny i oczywisty. Katolickie wychowanie.

– O! – mruknął z uznaniem – doskonale. Tak. Myśl potrafi stawać się ciałem. Ja na przykład często myślę o seksie.

– Ze mną? – zapytała.

– Tak. Oczywiście – powiedział bez cienia uśmiechu.

Pomyśl o czymś przyjemnym, powtarzała samej sobie. Ale tylko w myślach. Usta nie chciały się otwierać.

To było bardzo przyjemne. Leżeli nadzy. On spał, posapując lekko, a ona delikatnie głaskała go po brzuchu. Po tych sztywnych, jasnych włosach poniżej. Sięgnęła po telefon i wyszukała w Messengerze profil swojej siostry. Nastawiła kamerę na tryb selfie i wcisnęła nagrywanie.

– To jestem ja – powiedziała – a to jest mój mężczyzna. Widzisz? Jest zupełnie prawdziwy. – Najpierw nagrała jego podbrzusze, potem szeroką pierś z gęstymi, siwymi włosami, a na koniec jeszcze, jak całuje go w policzek. – Zawsze po tym, kiedy mu to zrobię, śpi jak dziecko.

Roześmiała się cichutko i wyłączyła nagrywanie.

Włożyła tę sukienkę tydzień później.

„Włóż tę sukienkę – napisał jej w esemesie – czeka cię ważny dzień”. Dzień niespodzianek jest właśnie dzisiaj.

Walczyła o niego dwa ostatnie lata. Nikt w NextProfile nie pracował więcej niż ona. A kontrakt z Japończykami właściwie wzięła na własne barki. To nie było proste. Długo nie pojmowali, dlaczego tak opornie układają się te spotkania.

– Może przejrzyj to – doradził jej. – Masz świeże spojrzenie, ja swoje studia skończyłem już dawno temu.

Wtedy jeszcze był po prostu szefem.

Przejrzała.

Papiery były w porządku. Na podpisaniu tej umowy obie strony zyskiwały, realizowały cele wpisane w swoje strategie rozwoju.

– Nie chodzi o treść kontraktu – powiedziała po pięciu dniach – jeśli w ogóle jest gdzieś błąd, tkwi w zupełnie innej sferze.

– Tak sądzisz? – Wtedy po raz pierwszy spojrział na nią nie tylko jak na asystentkę zarządu, ale jak na prawniczkę.

– Masz trzy dni – powiedział. – Chcę wiedzieć, co myślisz.

Był piątek, ale sprawdziła w sieci godziny otwarcia bibliotek. Pojechała do Narodowej, wyrobiła sobie kartę i wypożyczyła kilka książek na temat japońskiej kultury, tradycji i współczesności.

We wtorek rano zapytał o jej pomysły. Była gotowa.

– Oni są inni – powiedziała – a inne nie oznacza ani lepsze, ani gorsze. Oznacza po prostu inne. W Japonii wszystko jest inne. Inna religia, inna kuchnia, ale przede wszystkim inne są relacje między ludźmi. Między kobietą a mężczyzną, ojcem a synem, synem a matką, pracownikami a zarządzającymi, wspólnikami a tymi, którzy nie łączą znajomości z interesami. Kontakty między ludźmi są regulowane w ściśle sformalizowany sposób. To pewien kod. Trzeba się go nauczyć.

– Ciekawe. – Zdziwił się, że jej tok rozumowania poszedł w zupełnie innym kierunku. Daleko od cyfr, terminów i zobowiązań.

– Naprawdę ciekawe. Czy sądzisz, że potrafiłabyś nauczyć się tego kodu?

– Tak, panie prezesie, ale lepiej, żeby to pan się go nauczył.

– Lepiej dla kogo?

– Dla wszystkich. Pozycja kobiety w japońskiej kulturze jest zupełnie inna niż w europejskiej. Nie sądzę, żeby Polka mogła być tam szczęśliwa. Nie sądzę, żeby oni byli zadowoleni, kiedy okaże się, że mają rozmawiać z kobietą. Jeśli mamy zagrać, trzeba grać ich kartami. Zgodnie z ich zasadami. Najlepiej będzie, jeśli to pan opanuje system kłaniania się i uśmiechania.

Westchnął i odchylił się w fotelu.

– Czy nie uważasz, że skoro to oni szukają partnerów w Europie, to powinni poznać naszą kulturę?

– Otwierać drzwi kobietom i całować je w rękę? – Uśmiechnęła się. – Tak. To dobry plan. Ale uważam, że warto okazać szacunek tym, którym proponujemy wspólny interes. W tradycyjnej japońskiej

firmie mężczyźni chadzają na przyjęcia bez kobiet. Bez żon – podkreśliła. – Spotykają tam inne kobiety, takie które zawodowo trudnią się towarzyszeniem mężczyznom w takich sytuacjach.

– Gejsze. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Japońskie prostytutki.

– O ile wiem, nie są prostytutkami. Określeń z naszej kultury nie można jeden do jednego przykładać do japońskiej.

– W każdym razie chcesz powiedzieć, że niełatwo być tam żoną.

– Nie wiem. Nie znam żadnej Japonki. Wiem, że nie pytają swoich mężów o kwestie zawodowe. Nie pytają ich też o pieniądze. Po prostu dostają swoją część. Ale rozmawiać o pieniądzach z mężczyznami nie mają prawa. Ponieważ nasz kontrakt jest rozmową o pieniądzach, pan powinien wziąć tę część na siebie.

Milczał.

Zamknął oczy i milczał.

Czekała.

Nauczyła się być cierpliwą już dawno temu. Kiedy jesteś młodszą siostrą, musisz nauczyć się czekać.

– No dobrze. Ja wezmę na siebie część, która przynależy do biznesowego partnera, a ty weźmiesz na siebie część, która przynależy gejszy, zgoda?

Poczuła, że się czerwieni, ale nie opuściła wzroku.

– Żartowałem. Przygotujesz mnie do tych ukłonów i uśmiechów.

Przeczytała wszystko, co udało jej się znaleźć. Kto komu w jakiej kolejności powinien się ukłonić i na jaką wysokość ugiąć kark. Wiceprezes ugina o cal niżej niż prezes. Inaczej kłaniasz się ojcu, inaczej dyrektorowi, a zupełnie inaczej instruktorowi tenisa. Są sytuacje, w których możesz podnieść na kogoś wzrok, i są takie, kiedy jest to absolutnie niedopuszczalne. Dowiedziała się, że nie wolno wyciągać ręki na powitanie, że nie mówi się nikomu na „ty”, ale trzeba

używać formy „san”, czyli pan. I przede wszystkim, że nie należy spieszyć się z finalizowaniem celu wizyty. Japończycy są bardzo tolerancyjni i potrafią wszystko, no, bardzo wiele, wybaczyć turyście, w taki sam sposób, w jaki wiele można wybaczyć dziecku, ale w interesach obowiązują inne zasady. Gajdzin, który chce prowadzić z nimi interesy, zostanie uznany za niepoważnego, jeśli tych zasad nie zrozumie.

Poczuła ból. Ukłuł ją w sam środek czaszki. Tylko na jedną chwilę, ale wystarczyło, żeby wspomnienia rozsypały się jak rozbite lustro. Pozostał tylko ten oślepiający blask. I hałas. Jakby czołg jechał po zamrożonym jeziorze, krusząc zwały lodu. Nie potrafiła zrozumieć, co to za dźwięk. Poczuła na twarzy coś obcego.

Sprawdzić, muszę coś sprawdzić. Zrozumiała, że trzeba otwo-rzyć oczy.

– Pomyśl o czymś przyjemnym. – Usłyszała jego głos.

Pomyślała, że ostatni raz, kiedy była szczęśliwa, w jej mieście padał śnieg z deszczem, ale to nic nie szkodzi, jeśli masz samochód w garażu.

„Włóż tę sukienkę” – napisał jej w esemesie.

To dzisiaj. Jechała w najlepszej sukience, jaką kiedykolwiek miała. Właściwie to był pierwszy raz, bo przecież samego przymierzania nie można zaliczyć do żadnego z „wyjść”. Dzisiaj to co innego. Dzisiaj było firmowe święto. Podpisali japoński kontrakt. Wołałaby świętować w jakimś lokalu, ale nie można mieć wszystkiego.

Powiedział, żeby była gotowa. O tak, pracowała na swój sukces bardzo ciężko. Poświęciła pracy niemal cały swój czas. Dwa ostatnie lata żyła tylko firmą. Ostatnio to się zmieniło, ale nie potrafiła myśleć o swoim związku jak o szczeblu w karierze. Zakochała się. Zakochała się w tym, jakim był człowiekiem. W tym, z jakim szacunkiem odnosił się do ludzi. Nie do ludzi ze swojej sfery, ale do wszystkich. Do

dziewcząt w recepcji, które zarabiały jedną dwunastą jego pensji. Do tej ukraińskiej kobiety, którą spotykali na schodach, kiedy wychodzili przed północą zmęczeni dyskusjami o japońskiej kulturze, ale szczęśliwi ze scenariusza, który wspólnie napisali. Myła schody. A on zatrzymywał się, żeby wymienić kilka słów, pytał o dziecko, o to, czy udało jej się znaleźć mieszkanie gdzieś bliżej, czy wciąż jeździ aż z Tarchomina. Wiedział sporo o ludziach, na których inni nie zwracali uwagi. Pamiętał ich sprawy.

Poza tym podobało jej się, jaki jest bystry. I jaki szczupły. I jakie ma niebieskie oczy. Nie nosił okularów, co dla mężczyzny w jego wieku zmuszonego do czytania kilometrów cyfr dzień po dniu nie było wcale takie oczywiste.

Zakochała się tego wieczoru, kiedy trenowali ukłony.

– Poważny, musi być pan poważny, nie wolno pozwolić, żeby pomyśleli, że pan się śmieje choćby w duchu.

Zaproponował, żeby mówiła mu po imieniu.

– Nie wiem, czy to wypada.

– Kłaniam ci się od trzech kwadransów, a ty masz jeszcze jakieś wątpliwości?

Wtedy całowali się pierwszy raz. I tamtej nocy po raz pierwszy pojechali do niego. Miał w domu całe mnóstwo obrazów. Nawet w łazience. Oryginały. Stała całkiem naga przed monochromatycznym, niebieskim obrazem Dwurnika, wypatrując w płataninie ulic, uliczek, placów i domów znajomych miejsc. Wszystko było niebieskie. Samochody i ludzie. Nawet pies. Jakby zatopione w bryle lodu.

– Jakby zatopione w bryle lodu – powiedziała, a on delikatnie dmuchnął jej w kark.

Miał gorący oddech. Jak to możliwe, że wciąż nie mieli dość? Kochali się na stojąco. Wszedł w nią od tyłu a ona oparła ręce na

plótnie. Uginało się pod naciskiem. Nie wiedziała, że obrazy mogą być takie wielkie i że można ich dotykać całkiem bezkarnie.

Miesiąc później stała przed zarządem w swojej czarnej, krótkiej sukience i nie rozumiała niczego z tego, co do niej mówili.

Potem poprosili, żeby oddała tablet, komputer, telefon i kluczyki do służbowego auta. Dostała kopertę.

– To nie jest złe rozwiązanie. – Usłyszała od pani wiceprezes, niskiej, otyłej kobiety pobłyskującej długimi kolczykami, które wydawały się zbyt wyzywające w uszach szanowanej bizneswoman. Co za słowo. Bizneswoman. Stara krowa. A ty? Dlaczego milczysz? Powiedz im, że to ja, że my, że zrobiliśmy ten kontrakt wspólnie. Powiedz, kto ci wskazał drogę. Powiedz im, proszę cię, przecież znasz prawdę.

Pan prezes milczał. Ona też nie powiedziała na głos ani jednego słowa.

Oddała smartfon i tablet, który trzymała w torebce. No i klucze do forda. Lubila w nim to, że wciskasz guzik i szyba rozmarza całkiem sama. Bez wysiłku. Nie musisz skrobać. Miała jechać do matki w sobotę. O rany, co teraz zrobić? Zobaczyła, że prezes sięga po jej smartfon i ściąga z niego żółtą obudowę. Chciała zaprotestować, przecież to jej własność. Ale tylko odwróciła się i wyszła. Po komputer poszła z panem Wojtkiem, specjalistą od informatyki. Zapytał o kody dostępu.

– Nie podam ich panu. – Wpadła w panikę, przecież będzie mógł przeczytać jej mejle i przejrzeć Facebooka.

– Poradzę sobie i tak, ale oszczędziłaby mi pani kilku godzin pracy, proszę być rozsądną, przecież tak tu jest. Każdy z nas pracuje tylko do czasu, kiedy jest przydatny. Proszę się nie wygłupiać.

– Wykasuje pan moje konta?

– Nie mogę, ma pani w kontrakcie zastrzeżenie, że rezultaty pani

pracy są własnością firmy.

– Ale ja mówię o prywatnych, proszę.

– Zrobię, co będę mógł.

Myślała gorączkowo, czy są tam jakieś kompromitujące materiały, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Czy mogę się wylogować z kilku portali? – zapytała.

– Tak, oczywiście. – Pan Wojtek zrozumiał, że właśnie oszczędził sobie pracy.

Zrobiła to. A potem otwierała szufladę po szufladzie i wyciągnęła wszystko po kolei. Pomyślała, że właściwie nie chce zabierać stąd niczego, i dopiero wtedy zapłakała. Bezgłośnie. Łzy popłynęły jej po policzkach, kiedy pomyślała, że nie bardzo wie, co powinna powiedzieć mamie. Dobrze, że ojciec nie żyje. Nawrzeszczałby na nią tylko.

Taki wstyd.

Nie rozumiała, dlaczego zmusili ją do odejścia. Nie rozumiała, dlaczego nawet się nie broniła. Nie powiedziała ani słowa.

To on powinien mówić.

Powinien był ją bronić.

Szła do windy, kiedy pan Wojtek położył jej rękę na ramieniu.

Musiał biec za nią korytarzem, bo był spocony. Przy jego tuszy to pewnie nie było łatwe.

– Przepraszam – powiedział – jeszcze badge.

– Proszę? – Nie rozumiała.

– No, identyfikator. Jest zakodowany, pozwala wejść do budynku o każdej porze dnia i nocy, nie może go pani ze sobą zabrać.

– Identyfikator? – spytała zdezorientowana.

– Ma go pani na szyi.

– A... tak, przepraszam.

Winda zatrzymała się bezgłośnie tuż za nią. Ostatni krok i zaczęła się otchłań.

„*Is it getting better or do you feel the same? Will it make it easier on you, now you got someone to blame?*”. Kręciło jej się w głowie i słyszała muzykę. U2. Kawalek z czasów, kiedy kochała się w Maćku z trzeciej C. Miły chłopak. Chciał zostać kierowcą ciężarówki. Siedzieć za kółkiem i jechać bez przerwy dzień i noc na zachód, do Hiszpanii, a tam w jakimś małym miasteczku w wąskiej uliczce jechać tak, żeby ściągać ze sznurów majtki dziewczęce wprost przednią szybą.

Śmiała się, kiedy o tym opowiadał. Przecież nie mógłbyś wjechać w taką uliczkę, GPS by cię tak nie poprowadził. Oj tam, oj tam, mówił, wjechałbym do pierwszego zakrętu. A potem dałbym wsteczny i przecież bym wycofał.

Nie chciał pojechać z nią na studia do Warszawy. A może chciał, ale jego mama nie miała na to pieniędzy.

Zjechała windą na parter, wyszła do lobby i skręciła w prawo na parking. Wtedy zorientowała się, że zachowała się jak kompletna idiotka. Oddała kluczyki do samochodu, a przecież na tylnym siedzeniu została jej zimowa kurtka. Te kilka kroków z parkingu do drzwi przebiegała każdego dnia bez żadnego problemu. Mogłaby wrócić windą na górę, ale minęła już bramki. Nie miała identyfikatora. Mogłaby powiedzieć recepcjonistkom, że zostawiła identyfikator na górze, że ją znają, ale przecież to jakiś absurd. To absurd. Miała w kurtce klucze do mieszkania. Sięgnęła do torebki po telefon, ale nie było go w tej przegródce, w której zawsze go trzymała. Zrobiło jej się gorąco. Głupio i gorąco. Poczula, że się poci. Przykucnęła i wysypała na podłogę zawartość torebki. Puder, szminka, podkład, szczotka do włosów, koperta, którą dostała przed półgodziną, notes... Notes to też był prezent od niego. Moleskin. Teraz może okazać się potrzebny, bo były tam przecież numery

telefonów do innych firm handlujących lekarstwami, może ktoś da jej pracę? Ale jak? Z taką opinią, jaką miała w kopercie? Nie znalazła telefonu i z trudem zbierała myśli. No przecież musiała oddać telefon. Do nikogo nie zadzwoni.

Poczuła, że się czerwieni. Na policzkach i dekolcie. Sukienka miała odkryte ramiona. Rzeczy nie chciały dać się pozbierać z podłogi. Nie miała długich paznokci, nigdy ich nie lubiła, a teraz byłyby, jak znalazł. Mogłaby pozbierać wizytówki. Przeorać mu twarz za to, jak ją oszukał. Gdyby szepnął jedno słowo, nie przyszłaby tutaj jak idiotka w wieczorowej sukience. Postanowiła, że się pozbiera.

Podeszła do recepcji i poprosiła o połączenie.

– Z kim chciałaby pani porozmawiać?

Podala nazwę firmy i nazwisko prezesa.

– Czy zna pani numer?

– Nie, nie znam. Wszystkie numery były zapisane w smartfonie. – Poczuła, jak łzy zbierają się w kącikach oczu. – Gdybym miała telefon, nie prosiłabym pani o pomoc.

Recepcjonistka prychnęła tylko i pokręciła głową.

Sprawdziła w komputerze numer i sięgnęła po telefon.

– Dzień dobry, mam tu taką sprawę... jak się pani nazywa – zakryła słuchawkę dłonią – chciałaby rozmawiać z panem prezesem. Tak, tak, rozumiem. – Odłożyła słuchawkę. – Niestety, pan prezes nie jest dostępny. Trwa pilna narada. Sama pani rozumie.

– Nie... – rozplakała się – nie rozumiem. Wyrzucili mnie tak, jak stoję. Odebrali mi przepustkę, telefon i klucze do samochodu. W samochodzie mam kurtkę, a w kurtce mam klucze do domu. Jeśli nie może mi pani pomóc, proszę zadzwonić po policję.

– No ale czego pani ode mnie oczekuje? Ja przecież mam swój zakres obowiązków. Zadzwoniłam i dostałam informację, że pan prezes nie może pani teraz przyjąć, a to oznacza, że ja nie mogę pani

wpuścić.

– Proszę zadzwonić na policję.

– Ale z jakiego powodu?

– Chcę odzyskać swoją własność. Czy pani to rozumie?

– Jaką własność? – Recepcjonistka przewróciła oczyma.

– Moją kurtkę.

– Ale czy kurtka znajduje się w obiekcie? Przecież powiedziała pani, że jest w samochodzie.

– Tak, w samochodzie.

– A czy samochód należy do pani?

– Tak.

– To dlaczego pani nie pójdzie na parking i nie pojedzie do domu?

– Nie mam kluczyków. Kazali mi oddać kluczyki. Nie rozumie pani.

– Rozumiem. – Na jej szyi zaczęła pulsować żyłka. – Rozumiem.

Dziewczyna zadzwoniła jeszcze raz. Cierpliwie wytłumaczyła, że chodzi o kluczyki, o kurtkę i że lepiej by było nie wzywać policji.

– Zaraz ktoś do pani zjedzie.

Po kwadransie zjawił się pan Wojtek. Poszli na parking. Otworzył forda i pozwolił jej zabrać kurtkę.

– Czy coś jeszcze? – zapytał.

– Nie – pokręciła głową – dziękuję.

– Przykro mi. Ja tu tylko pracuję.

– Dziękuję. Czy może mi pan powiedzieć, jak mam stąd pojechać do miasta? Nigdy nie jechałam tu tramwajem.

– Dokąd do miasta?

– Do centrum. Stamtąd już sobie poradzę.

„Pomyśl o czymś przyjemnym”. – Usłyszała w głowie znajomy głos. Coś było nie tak. Nie mogła ogarnąć tych dziwacznych

wspomnień. I nie mogła się poruszyć. Ale teraz ból głowy stał się jeszcze bardziej wyraźny.

Jęknęła. Słyszała jakieś trzaski, i coś mokrego dotykało jej twarzy. Podniosła powieki. To był wielki, szary cień. Pies. To pies! Zrozumiała. Obraz powoli się wyostrzył. Chciała podnieść rękę, żeby potrzeć oczy, żeby zatrzymać ten psi język, ale ręka nie chciała słuchać.

– Fred, co tam masz, Fred? – Usłyszała jak przez mgłę.

Pies zaszczekał.

Echo w jej głowie stało się bardzo, bardzo bolesne.

Słyszała trzask łamiących się gałęzi i widziała niesamowity blask nieba. Już nie pod czaszką. Widziała go nad sobą, pomiędzy gałęziami bez liści i bez ptaków. Niebo zdawało się płonąć. Wytrzeszczyła oczy w chwili, kiedy dotarł do niej ból.

– Fred, gdzie jesteś, Fredziu? Coś tam znalazł?

Mężczyzna pochylił się nad nią, kiedy jej oczy właśnie gasły.

WIGILIA

„Dzisiaj są moje urodziny, które obchodzę bez rodziny. Daleko, wysoko, wśród manowców, w pokoiku, na wieży hangaru dla szybowców...”.

Lubili tę pieśń Stachury. Oboje ją lubili. Jeden z wierszy z wystrzępionej i porozklejanej książki w okładce, która przypominała dzinsową kurtkę. Książki z tamtych czasów były bardzo nietrwałe.

Krzysiek zapisywał na marginesach gitarowe akordy czy tam – jak to nazywał – chwyt, a potem próbował je grać. Ta pieśń wychodziła mu ciałkiem nieźle. Wiersz, który Stachura napisał, pijąc wódkę na szczycie Góry Szybowcowej nad Jelenią Górą. U stóp miał miasto rozświetlone nocą tak, jakby w Kotlinie schował się cały wszechświat.

Lubili tę pieśń za to wezwanie, żeby wszystko, co żyje, cieszyło się i rosło.

Kiedyś pojechali do Jeleniej Góry i namówili jakiegoś taksówkarza, żeby ich tam zawiózł. Ich i tę gitarę Krzyśka, którą wlekli ze sobą przez pół dnia. Zapłacili za taryfę kupę forsy. Ale też okazało się, że to jednak kawał drogi za miastem. Droga była wąziutka, dziurawa i miejscami stroma. Było warto.

– Niech pan zaczeka dziesięć minut – poprosił Krzysiek i dał mu sto tysięcy. – Jeszcze dwa papiery z portretem Staszica, jeśli pan zaczeka i zawiezie nas z powrotem.

Olga pobiegła na skraj łąki, za którą zaczynał się stromy, zielony

stok. Krzysiek wyciągnął gitarę z pokrowca i poszedł za nią w niebieskiej koszuli w kratę, z długimi, jasnymi włosami. Podobał jej się tak, jak nikt nigdy do końca życia nie mógłby się jej już spodobać.

– Jesteś wariat – śmiała się. – Po co tu przyjechaliśmy?

Autobus z Wrocławia jechał bez końca, ale nie przejmowali się, kiedy się całujesz, czas wcale nie boli.

A teraz wyciągnął gitarę z pokrowca i grał. Nie był wirtuozem, ale nie przeszkadzało jej to. Przecież Stachura też nim nie był.

Kiedy doszedł do słów „i powiesz: miły, witaj mi, tęskniłam tysiąc nocy i dni. Niech żyje ziemia, niech żyje niebo. Będziemy razem żyć”, zrozumiała, że tak właśnie będzie.

I zaczęła płakać.

Głupia sprawa. Nie mogła przestać. Pomyślała, że może jest w ciąży. Ale nie, no jak? Czas płynął. Taksówkarz palił papierosa oparty o brudnego dużego fiata i myślał, czy nie zażądać trzeciego Staszica, a nad Śnieżką zbierały się chmury.

Powiedziała „tak”, zanim jeszcze Krzysiek o cokolwiek zapytał.

Matka nie mogła zrozumieć. Jak to możliwe, żeby zakochać się na całe życie w wieku osiemnastu lat? Ale ona wiedziała. Nie podzieliło ich nawet to, że rzuciła psychologię i poszła do policji.

Jeździli w Tatry, kiedy tylko mieli wolne. Wjechali na Kasprowy. Widziała w oddali garbatą piramidę Krywania. „Krywaniu, Krywaniu wysoki, lecą, płyną spod ciebie potoki. Tak się leją moje łzy jak łone, hej, łzy moje, łzy niezapłacone”. Śpiewał jej tę pieśń wprost do ucha, ale szeptem. Pamiętała ten szept i parę z jego ust. Było tak zimno, a jednak czuła, jak ją łaskocze. To dziwne, ale tamtego dnia miała pewność, że zapamięta ten moment, choćby podzieliły ich czas, zdrada, kłamstwo albo nawet śmierć.

Nie myliła się. Podzieliło ich to wszystko. Minęło tyle lat, a ona pamięta. Nie pamięta czasami jego twarzy, ale tamto pamięta...

Pierdolone świąteczne porządki. Zawsze zrobią człowiekowi gównu z mózgu.

„Niech żyje ziemia” – zaśpiewał Myszkowski wysokim głosem.

Serbia wcisnęła stop i kasetą stanęła. Cofnęła i zaczęła przewijanie. Wyciągnęła ten magnetofon, starego kasprzaka, z pudła w szafie. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale wciąż miała w szafie pudło z magnetofonem i kasetami byłego męża. Magnetofon był stary, już kiedy Krzysiek dostał go w spadku po starszym bracie. Jak to możliwe, że wciąż działał? Zanim wyciągnęła go z szafy, myślała, że wszystko już spakowane w papier, owinięte sznurkiem i upchnięte na wieki wieków tam, gdzie nie będzie musiała tego już nigdy oglądać. Zapomniała. Szafa Komandora była kiedyś szczytem marzeń. Głęboka, wbudowana w ścianę. Za ubraniami miała wnękę. Były tam zepsuty odkurzacz, niebieska plastikowa skrzynka z grabkami, ze szpadelkami i plastikowymi zabawkami, które przestały być potrzebne. No i ten karton. Otake. Pudło po telewizorze. To był kolorowy telewizor. „Nie otake Polske żeśmy walczyli” przypomniał jej się stary żart, którego nie potrafiła zrozumieć. Krzysiek rozumiał. Tłumaczył jej wtedy wszystko. Ciągnął do kina na *Gry uliczne* i mówił, że tak trzeba. Że ten film jest tak zły, że aż wspaniały. Płakała, kiedy Redbad umierał z dziurą w brzuchu. Kiedyś, po latach, przyjdzie jej do głowy, że to dlatego poszła do policji. Że nie może być jak reszta świata. Nie może po prostu iść dalej i nie patrzeć na krew.

Musisz patrzeć na krew, Serbia, musisz patrzeć na krew. Wcisnęła start. Magnetofon chwilę miał rozbiegówkę, a potem „Dzisiaj są moje urodziny...”. Myszkowski był nie do zdarcia.

Już chyba dziesiąty raz.

Otworzyła ten karton i był tam radiomagnetofon. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś ten kasprzak wystarczał im do szczęścia. Że czuli się dzięki niemu częścią świata. Że usłyszała na nim po raz pierwszy

The Wall i *Wish You Were Here*. Magnetofon i ze sto kaset. Kabel poplamiony był farbą. Pewnie używali go jeszcze w czasie, kiedy malowali razem ściany, pomyślała. To musiało być wtedy.

Ściągnęła żółte gumowe rękawiczki.

Podłączyła kasprzaka do prądu. Radio zaskrzeczało.

– To cholera wciąż działa? – powiedziała do siebie zdziwiona.

Wróciła do szafy i wyciągnęła z kartonu pierwszą lepszą kasetę. Chemitex Stilon. C-90. Taśma magnetofonowa w kasecie. Żadnego opisu. Czerwona etykieta. Jak to się, cholera, otwierało? Na górnej ścianie urządzenia było kilka klawiszy, napisy całkowicie zatarte, ale drugi od lewej zadziałał. Wsunęła kasetę do środka. No i usłyszała *Stare Dobre Małżeństwo*.

– Tak – odpowiedziała wówczas, zanim zdążył zapytać – wszystko, czego tylko zechcesz.

Tym razem wysłuchiwała piosenki do samego końca. Następna była *Z nim będziesz szczęśliwsza* i Serbia rozplakała się na całego.

Teraz, po dziewiątym czy dziesiątym przesłuchaniu *Urodzin* poszła wreszcie nalać sobie wódki. Jej matka byłaby zrozpaczona. Rok w rok powtarzała wszystkim, że w Wigilię Bożego Narodzenia nie wolno przecież jeść mięsa i nie wolno pić wódki.

– Chrystus umarł za ciebie, a ty nie możesz się powstrzymać od picia? – Matka rzucała serwetką i odwracała się ostentacyjnie od Olgi i od ojca.

– Ależ mam, to przecież urodzinowa wódka jest. – Próbowała żartować Olga.

Matka nie nauczyła się śmiać z takich żartów do samej śmierci.

– Twoje zdrowie, mam.

Wypiła setkę. I nalała sobie drugi kieliszek. Myszkowski znowu zaczął śpiewać weselej. Serbia postawiła kieliszek na blacie i poszła

wyłączyć magnetofon. Wyciągnęła z pudła inną kasetę. Najpierw gitarowy, akustyczny wstęp. Nie poznawała. „*Childhood living is easy to do – pociągnęła nosem – the things you wanted I bought them for you graceless lady, you know who I am*”.

Zadzwończyłyby do matki, ale w niebie, w tym pieprzonym niebie tylko dla katolików, nie było przecież telefonów.

Na stole otwarta książka. *Księgi Jakubowe*. Kupiła ją Kosińskiemu do szpitala, że niby jak ją przeczyta, to ręka już całkiem się zagoi. Ale Kosiński nie miał, jak tego czytać. Przeważnie leżał, a takiego tomu w jednej ręce nie da się utrzymać. Więc czytała ją sama. Doszła do miejsca, w którym Gitla, córka Pinkasa, odchodzi.

Wtedy rabin mówi mu: „Płacz, bracie, płacz. Twoje łzy oczyszczają ranę, a ta się szybko zagoi. Ale Pinkas wie, że takie rany nie goją się już nigdy”.

„*Wild Horses* – śpiewał ze starej kasy Jagger – *couldn't drag me away*”.

Założyła rękawiczki, wzięła z paczki świeżą żółtą ściereczkę i płyn w sprayu do czyszczenia drewna i poszła przetrzeć półki w pokoju Anki. Zastukała cichutko. Dwa razy. A potem trzy. Miały taki szyfr. Jeśli po dwóch razach nie usłyszała „nie wchodzić”, to znaczyło, że Anka śpi. Albo że czeka na wieczorne czytanie. Olga stuknęła trzy razy, a wtedy Anka się śmiała.

Hi, hi, hi – usłyszała w głowie i nacisnęła klamkę.

Wszystko było jak wtedy.

Usiadła na brzegu łóżka. Pachniało kurzem. Stęchlizną. Skąd kurz w nieużywanym pomieszczeniu. Opuściła ręce bezradnie.

„*Faith has been broken* – Jagger śpiewał teraz ciszej, z drugiego pokoju, ale to jej zupełnie nie pomagało – *tears must be cried*”.

Wypuściła szmatkę z ręki i sięgnęła po telefon. Wybrała numer byłego męża. Kurwa, Wigilia jest, to chyba może do niego zadzwonić

z życzeniami?

Sygnal był. Poczowała, że robi się jej gorąco. Drugi, trzeci, czwarty... połączenie odrzucone.

Siedziała w milczeniu. Deszcz padał za oknem. Drzewa były czarne i śliskie. Szum miasta ledwo docierał przez te szyby. Potrójne zespolone szyby, mówiła pani z agencji nieruchomości, będą państwo zadowoleni. Niezwykła szczelność. Wieczysta gwarancja.

– Co to znaczy „wieczysta gwarancja”? – zapytała matka.

Kobieta z agencji powiedziała na to: „Że jak to co? Że do końca życia”.

Piknięcie. Esemes.

„Znowu weszłaś do jej pokoju? Mówiłem ci, żebyś się przeprowadziła”.

Tylko tyle.

Otworzyła okno. Kasprzak bezlitośnie napędzał fortepian na tle smyków. Prawdziwe smyki, nie żaden syntezator. Guns N' Roses za chwilę zaśpiewają November Rain. Miasto było ciche. Ale tramwaj wciąż jeździł. Ludzie musieli się przecież dostać na swoje pieprzone choinkowe Wigilie.

– Gdybym mogła wybierać, mamó, poszłybyśmy dzisiaj we trzy, z Anką, do Morskiego Oka – powiedziała na głos.

Dzisiaj pewnie nikt tam nie idzie. Dzisiaj jest piękny, cichy, mroźny dzień. Nie to co tutaj, nie ta chlapa. Poszłyby w trójkę. Mogłyby pogadać. A potem posiedzieć razem na mrozie nad jeziorem. W zimie wcale go nie widać. Wszystko zasypane śniegiem.

– Popieprzyło mnie.

Zamknęła okno i ściągnęła rękawiczki.

Wzięła z biurka zdjęcie w drewnianej ramce. Anka z królikiem. Królik jest czarno-biały i miał być miniaturką, ale trochę wyrósł.

Może Anka go przekarmiła? Na pewno go przekarmiła.

Kiedy Serbia wyszła wtedy ze szpitala, królik leżał pod łóżkiem sztywny i wyschnięty. Pewnie był już tak głodny, że z rozpaczy zaczął gryźć wszystko co popadnie. Przegryzł kabel lampki. Zawsze zostawiali włączone światło w dziecięcym pokoju. Żeby było łatwiej trafić, mówiła. „Zostawię włączone, mamó, żeby było łatwiej trafić”.

Szkoda królika. Gdyby żył, nie zostałyby sierotą aż tak do samego końca.

Przetarła szmatką zdjęcie, choć wcale nie było brudne.

Anka na zdjęciu się śmiała. Brakowało jej górnej jedyńki.

Powinna była coś zrobić z tym królikiem. A nie po prostu włożyć go do papierowej torebki i wyrzucić do zsypu. Powinna była coś powiedzieć. Wyjaśnić mu. Powiedzieć do tego miękkiego ucha, dlaczego nagle ktoś przestał go karmić. Taki królik pewnie wiedział, że czasem się nie wraca, ale przecież nie żeby nie wracać już nigdy.

Wyrzuciła go bez słowa. Potem uczyła się, jak poustawiać na nowo w korytarzu wszystkie ubłocone buty. I jak własną kurtkę na wieszaku powiesić tak, żeby nie widzieć innych płaszczy. Płaszczyk Anki został, chociaż wiedziała, że już nie będzie potrzebny. No i buty. Powinna była pojechać w najlepszych butach, ale skąd człowiek ma wiedzieć, które zabrać? Czyściła te jej buty, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiła. Jego buty też czyściła. Czekala, aż usłyszy kroki na schodach. Czekala, aż on przekręci klucz, i wtedy dopadnie go, i opierdoli. Uderzy mu w pierś pięściami.

– Dlaczego, kurwa, nie wracałeś, dlaczego musiałam sama tego królika nieść do zsypu?!

Odkąd wyszła ze szpitala, nie pojawił się ani razu. Gdyby przyszedł, ucieszyłaby się, ale człowiek już ma taki charakter, że musi opierdolić, prawda?

Na przykład on ją zawsze opierdalał za sprzęgło.

– No kto, kurwa, tak puszcza sprzęgło?

Nie wrócił. Jego ulubiona kiełbasa zrobiła się zielona. Prawdziwa, dobra wiejska kiełbasa, nie z tych, co się robią śliskie i wilgotne.

Na szczęście wódka się nie zmarnowała. Wódka ma to do siebie, że się nie psuje. Nawet porzucona nie choruje na depresję.

Serbia otarła twarz tą samą szmatką, której miała użyć do mebli.

Żółta szmatka. Vileda.

„*Baby be a simple kind of man*” – śpiewał Lynyrd Skynyrd.

Kurwa, pomyślała, zaraz się całkiem rozkleję. I wstała, żeby wyłączyć magnetofon. Wtedy zadzwonił telefon.

– Przepraszam, że do ciebie zadzwoniłam, ale są święta i wiesz, znalazłam twoje...

– Przepraszam bardzo, dyżurny z tej strony. – Usłyszała obcy, męski głos. – Pani podkomisarz, mamy zwłoki. Musi pani przyjechać.

– Mam dzisiaj wolne. – Jej głos stwardniał w ułamku sekundy.

– Rozumiem, ale to nie jest jedyne zabójstwo dzisiaj, wszyscy zajęci...

– Dupa tam zajęci, święta są, a ja nie mam rodziny – podniosła głos – o to chodzi, tak?

– Nie... Wszyscy są zajęci.

– Nawet choinki nie mam. – Nie chciała, żeby wyczuł, że się ucieszyła. – Gdzie ten trup?

– Na Pradze. Pod Śląsko-Dąbrowskim.

– Przecież to nie mój rejon, to robi VI Komenda...

– No ale przełożony zadecydował, żeby ściągnąć panią. To jakieś dziwne zabójstwo jest.

– Co powiedział?

– Że dziwne. Nietypowe. To co? Operacyjni z Pragi przyjadą po panią.

– Odwołaj, sama pojedę. Nie piłam.

– Ja nie pytam. Wysłałem, powinni być już blisko.

„*Imagine there's no heaven* – zaśpiewał Lennon – *it's easy if you try*”.

ZMIERZCH

– Nie spiesz się. – Położyła rękę na ramieniu młodego kierowcy. – I tak nie uciekniemy przed czasem.

– Ale kazali mi bez zwłoki.

– Zwłoki nie ożyją od pisku opon. Święta ludzie mają. Kolędy chcą pośpiewać. Droga pusta.

Jeszcze na placu Wilsona niebo wydawało się jej szare. Ale ledwie zjechali z wiaduktu nad Dworcem Gdańskim i wyjechali na most nad Wisłą, było już ciemno. A może to przez te światła? Nagle zniknęły. Jakby między Warszawą a Pragą wciąż ziała przepaść nie do zasypania.

– Co wiecie? – Pochyliła się, żeby zasznurować trapery. Lubiła grube podeszwy trekkingowych butów. Nigdy nie przestała myśleć o sobie jak o dziewczynie, która chodzi w góry.

Kiedy wychodziła z domu, włożyła po prostu buty, chowając sznurówki w środku. Tak było szybciej. Ale zaraz wyjdzie na dwór i zrobi się jej zimno. Wyciąganie sznurówek spod obutych stóp nie jest łatwe, ale sobie poradziła.

– No trupa znaleźli. Kobietę.

– Człowiek, który ją znalazł, mówił, że była jeszcze ciepła – dodał ten drugi.

– Ale co: zastrzelona, zasztyletowana, zgwałcona i uduszona? Nie pytaliście?

– Sama pani zobaczy – powiedział ten drugi. – Już jesteśmy blisko.

Zjechali z mostu rampą, która ostro skręcała w prawo, w kierunku zoo. A potem wzdłuż Wisły. Przy przystani Aquatica zjechali z drogi na prawo, w kierunku rzeki.

– Zatrzymaj! – poprosiła Serbia

Otworzyła okno. Chłód wdarł się do środka w jednej chwili. Mokry. Śliski. Stęchły. Wigilia, kurwa jego mać. Wyciągnęła z kieszeni latarkę i poświeciła dookoła. Zjazd blokował metalowy szlaban zamykany na kłódkę. Był odsunięty. Kłódki brakowało.

– Nie wiecie, kto otwierał?

– Nie, nikt na to nie zwrócił uwagi. Zjechaliśmy od razu na dół.

– Jedźmy.

Samochód potoczył się po błocie. Drzewa stały martwe i ciężkie. Deszcz padał. Było zimno. Wolałaby być tam, gdzie śnieg.

Kilkaset metrów dalej, za nieczynnym zimą plażowiskiem błyskała w deszczu niebieskimi światłami suka teczwórka, dalej karetka i z boku jakiś blokujący jej drogę cywilny SUV. Serbia otworzyła drzwi. W suce paliło się światło. W ambulansie nie, ale widać było przez przednią szybę, że kierowca i sanitariusz przeglądają Internet. Kiedyś mówiło się, że to piloci myśliwców mają najbardziej niebieskie oczy świata. Dzisiaj mają je użytkownicy smartfonów.

Rozejrzała się. Po lewej nic, nie dobiegał jej nawet słaby szum ulicy. Drzewa i deszcz tłumili go doskonale. Po prawej, w krzakach, dojrzała światło ręcznych reflektorów. Pewnie tam są wszyscy. Zapaliła latarkę i poszła. Ręce przemarzły jej momentalnie. Powinna była kupić sobie jakieś rękawiczki. Powinna też mieć jakiś krem. Dobry krem, nie za tłusty, ale taki, żeby jej nie grabiała skóra. No i może zrobiłaby sobie kiedyś paznokcie. Nie te żelowe z zatopionymi gwiazdkami, na głowę nie upadła, nie będzie perfekcyjną damą

dworu, ale na czerwono mogłaby sobie kiedyś zrobić. Skórki przyciąć. Nie może być ciągle pierdoloną Serbią, która nie ma choinki i można ją ściągnąć na trupa nawet w Wigilię.

Dobrze, że wzięła buty trekkingowe, bo tu trzeba w błocie iść po krzakach, kurwa, nie mają gdzie się te trupy znajdować! Nie mogłyby w jakimś hotelu, w lobby, ciepło, kawa, sernik...

Omijała jakieś zwalone, gnijące drzewo, czarne i śliskie. Wydało jej się dziwne, żywe. W świetle latarki sęki, z których odpadła już kora, wydawały się poruszać.

Stali dwa metry dalej. We trzech. No właściwie we dwóch. Trzeci, ten gruby, ciężko sapiąc, jakby miał wyzionąć ducha, gramolił się z kolan.

Za nim, na drugim brzegu, Warszawa wyglądała jak sen. Rozświetlona na tle czerniejącego nieba z nikłą strużką blasku tuż nad dachami. Smukłe wieże Marriotta, Pałacu Kultury, Złotej 44, InterConti i Cosmopolitana stały na tle czerwonej rany. Jakby ktoś rozciął skórę nieba żyłką, pomyślała... Nie, nie żyłką, skalpelem. Cięcie było precyzyjne i czyste.

– Dobry wieczór – przywitała się.

– Witam, pani porucznik – powiedział męskim, pewnym głosem cień tego, który trzymał reflektor na trójnogu.

Puściła płazem porucznika.

Drugi, który stał obok, tylko się uklonił. On też trzymał reflektor, tyle że ręczny.

– Zdjęcia zdążyłeś zrobić, młody? – Trąciła technika w ramię. Popatrzył tymi swoimi niebieskimi oczyma. Chociaż teraz, w mroku, nie były za bardzo niebieskie, ale przecież dobrze pamiętała, jakie są.

– No... na bardzo dużej czułości i potem z fleszem. Ujdą.

– Cześć, Olga. – Gruby wreszcie się wyprostował. – A ty choinki nie ubierasz, przyjaciół nie spraszasz?

Otarł ręce o spodnie i zdjął rękawiczki. Rozejrzał się, jakby chciał je rzucić na ziemię, ale schował do kieszeni kurtki. Była pikowana, żółta, błyszcząca i oplatała go jak kokon.

– Ha, ha, ha. – Roześmiała się. – Grzegorzcyk, co ty, gejem zostałeś?

– Weź się... – fuknął. – Jak zadzwonili z prokuratury, to już siedziałem przy lepieniu pierogów. Wziąłem siostry auto. I kurtki nie miałem. Wcisnąłem się w to, co miała w samochodzie.

– A to teraz jeździsz białym SUV-em?

– No, emelem przyjechałem – potwierdził. – Swoim bym przecież tu nie wjechał. A ten, rozumiesz, ma taki system, że każde koło komputer prowadzi osobno i nigdy nie wpadasz w poślizg.

– Gdzie ty chcesz w ten poślizg wpadać? Pierwszy przyjechałeś?

– Nie. – Grzegorzcyk wyczuł zmianę jej tonu. – Pierwsza była chyba karetka. Ale jak przyjechałem, radiowóz też już stał.

– Skąd wiesz, że karetka była pierwsza?

– Bo stała bliżej ciała. Poza tym to oni mi powiedzieli, że nie ma tu już nic do uratowania. Jechać chcieli, bo przecież nie są karawanem, ale nie wyjadą, dopóki im nie zrobimy miejsca. Prokurator jak zadzwonił, to powiedział, żeby robić, że sprawa niecierpiąca zwłoki. No to zaczęliśmy oględziny, bo już zmrok zapadał. Powiedziałem im, żeby dupy nie zawracali, jak skończę oględziny, to odjadę. Niech czekają.

– Ale jak ich wyminąłeś?

– Nie wyminąłem, dziewczyno, ja prosto spod mostu zjechałem – powiedział nie bez dumy.

– Jak? Po schodach?

– Tam nie ma schodów, tylko wysoki krawężnik, ale co to dla emela?

– Dobrze, co z nią? – Serbia pomyślała, że skoro ona już tu jest, a prokurator jeszcze nie, to znaczy, że siedzi już przy Wigilii, a jutro załatwi sprawę tak, żeby właśnie jej to przydzielili. Zrobiła dwa kroki w przód, reflektory pochyliły się tak, żeby oświetlić przestrzeń pod jej stopami. I dopiero teraz zobaczyła zwłoki. Najpierw oczy. Dziewczyna miała oczy szeroko otwarte. Światło latarki odbijało się w nich jak płomień. Była bardzo blada. Miała rude włosy, pewnie farbowane, ale to bardzo dobra robota, żadnych odrostów, włosy zupełnie jakby jej, ale ten kolor... Pewnie sombre.

– No wiesz, kłopot mam. – Grzegorzycyk poczekał, aż Serbia się napatrzy. – Nie powiem ci.

– Jak to? Nic mi nie powiesz?

– Powiem ci, że umarła półtorej godziny temu.

– Skąd wiesz?

– Od świadka. Kiedy ją znalazł, jak twierdzi, jeszcze oddychała.

– Powiedziała coś?

– Nie jest pewien. Może tak, może nie, może mu się zdawało.

– Co to za odpowiedź?

Grzegorzycyk wzruszył ramionami.

Serbia pochyliła się nad dziewczyną. Denatka miała na sobie czarną wieczorową sukienkę. To musiał być dobry materiał, bo nawet teraz, przemoczony i brudny, układał się dobrze na piersiach i na brzuchu. Kurwa, jaki ona ma piękny brzuch. Ramiona odkryte, bardzo blade. Widać na nich niebieskie żyłki.

Sukienka nie była podciągnięta do majtek, nogi nie były rozrzucone. Wyglądała, jakby się tu położyła i zasnęła. Ale nie spała. Miała szeroko wytrzeszczone oczy. I otwarte żyły. To nie był skalpel. To nie było gładkie cięcie.

– Co powiesz o tym?

– No to jest właśnie dziwne. – Grzegorzycy zaczął opukiwać sobie piersi. Zapomniał, biedak, że ma na sobie kurtkę swojej siostry. Pewnie nie paliła.

– Żyły są podcięte jakimś dziwnym narzędziem. Poszarpane brzegi. Nożem. Takim do chleba, z ząbkami. Słyszałaś, co się tam wyprawia pod Sejmem?

– Wiem, słyszałam, że posłowie będą pilnować mównicy całe święta, o niej mi mów. Co w tym dziwnego?

– No jeśli sobie sama to zrobiła, to musiało być dość dramatyczne. Żyłką albo skalpelem tniesz raz i po robocie. Takim nożem trzeba przyłożyć siły. Szarpie ranę. To zabawka dla bardzo zdeterminowanych samobójców.

– Ktoś jej to zrobił?

– Krew wsiąkła w ziemię tutaj. Teraz, po ciemku, już nie zobaczysz, deszcz wszystko zmywa, ale kiedy przyjechałem, jeszcze były widoczne.

– Skąd wiesz, że to nóż do chleba?

– Leżał po drugiej stronie ciała, odciski palców pewnie też będą jej.

– Skąd wiesz?

– Bo ma pokrwawione dłonie i rękojeść noża też jest umazana krwią. Może teraz mniej, bo pada coraz mocniej, wszystko nam się, kurwa, rozplynie. Nóż zabezpieczony, zanim się wszystko zmyło.

– Zuch.

– To nie ja, to młody.

– Zuch młody – powiedziała głośniej, na wypadek, gdyby nie słyszał. Ale pewnie słyszał, bo co miał nie słyszeć, skoro nawet wiatr jakby zelżał. Tylko ten deszcz.

– Nie powiedziałaś mi, czy ktoś to jej zrobił.

– Nie wiem. Szczerze ci powiem, nie wiem. Niepokoi mnie ten nóż tylko. Jakby miała w ręku żyłkę, uznalibyśmy, że sama to sobie zrobiła. Ale taki nóż? Pomyśl: kto się tnie takim nożem?

– Ktoś, kto nie ma w domu żyłki ani skalpela.

– Może masz rację. Ale jest w niej jeszcze coś dziwnego.

– Co masz na myśli?

– Jakby się wcale nie poruszała. Nie wygniotła tych krzaków, nie narobiła śladów. Nie ciskała się, nie panikowała.

– Przecież nie ma co liczyć na ślady w takim błocie.

– Jak przyjechałem, jeszcze tak bardzo nie lało. Nie wygniotła nic, mówię ci. Bez ruchu leżała.

– No i co?

– No i to, że zimno jest. Niewygodnie. Jak to możliwe, że się nie ruszała, nie pełzała, nie skręcała z bólu?

– Pewnie wzięła wcześniej jakieś prochy.

– To by mogło trochę wyjaśnić. No dobra, chłopaki, idźcie już. Światło mi zostaw, młody. Masz wszystkie zdjęcia, rozumiem.

– No mam, zadowolony nie jestem, ale mam.

Grzegorzycy, posapując, ruszył poprzez kałuże, a policjant o mocnym głosie wyłączył reflektor i zaczął go zdejmować ze stojaka. Pomagali mu operacyjni. Wszyscy już przemarznięci. Jasne, że woleliby siedzieć przy choince niż przy zwłokach. Ale skoro tu są, to albo mają pecha, albo się sami zgłosili na świąteczny dyżur. Zmokłe psy. Zupełnie jak ona.

– Widzieliście jakieś ślady na drodze? Musiała tu przecież którąś przyjść.

Milczeli.

– Pieszko raczej nie szła w tej sukience. Były jakieś ślady? Sama przyjechała? Ktoś ją przywiózł? Taksówkę wzięła? Przecież jest

w szpilkach, jak z jakiejś imprezy. W taką pogodę nie przyszlaby tu z tramwaju.

– No tak. Ślady. – Technik wreszcie zrozumiał. – Do dupy z tym, karetka wszystko rozjeździła, bo próbowali zawrócić.

– Kurwa – zaklęła ze złością.

– Nie ma się co na nich wściekać. Myśleli, że jadą ratować życie. Potem chcieli wracać, bo przecież mogą dostać wezwanie, a tu Wigilia, nie ma za dużo ambulansów na mieście. Ale całe szczęście, że zostali, to może jednak zwiozą ją Grzegorzycowi na pokoje.

– Oni sztywnych nie wożą. Trzeba zawołać znajomy karawan. – Westchnęła. Policja nie ma swoich karawanów. Korzysta z usług zewnętrznej firmy. Ale kiedy robisz w zbrojach, w terrorze kryminalnym, znasz ludzi od takiej roboty. Pomyślała, że Charon, kierowca białego mercedesa vito, który przyjeżdża po zwłoki nad Wisłę, pewnie siedzi już z rodziną przy kolacji. – Dobra, idź. A! Rękawiczki masz? Albo lepiej jeden z tych waszych worków foliowych na dowody.

– No mam.

– Dawaj. – Teraz ona poświęciła mu tak, żeby mógł zajrzeć do torby. Miał wszystko w przegródkach. Porządny chłopak. Mogłaby go polubić. – No leć już. Do domu leć.

– Nie mam samochodu, przyjechałem radiowozem.

– Grzegorzycowi powiedz, nich cię odwiezie.

– Wścieknie się, ja na Tarchominie...

– Nie pierdol, ucieszy się, że nie musi lepić pierogów. Wszyscy się ucieszą. Jadłbyś pierogi zrobione przez grabarza? No... a on to gorzej jak grabarz. Leć. I powiedz tym doktorom, żeby szli z noszami.

Poczekwała, aż się oddali, rozerwała worek z grubej folii i położyła go na ziemi. Blisko ciała. Przyklęknęła na jedno kolano i pochyliła się blisko, bardzo blisko.

Poświeciła dookoła głowy ofiary.

Dziewczyna miała piękne włosy. Za kilka dni w tej sukience byłaby królową balu.

– Mów do mnie – szepnęła.

Nic. Cisza.

– Mów do mnie. Ktoś to zrobił, prawda? Płakałaś, ale nikt nie usłyszał?

Poświeciła na twarz dziewczyny. Jej skóra w tym blasku była upiornie blada. Deszcz płynął po policzkach. Olga nie mogła zobaczyć jej łez. Ani strachu. Dziewczyna miała pełne, ładne usta. Pewnie żaden doktor Gojdz się do nich nie przyłożył. Miała niewyskubane brwi. Zero makijażu. A jednak była w sukience.

– Dokąd szłaś, księżniczko? Dlaczego jesteś tu bez płaszcza, bez samochodu, z rękoma pociętymi nożem do chleba? Dlaczego nie lepisz pierogów, choinki nie ubierasz? Kto ci to zrobił?

Obejrzała dokładnie ręce. Nic, ani śladu brudu pod paznokciami. Kolana czyste. Nie klęczała ani nie czołgała się. Czerwone szpilki. No a jak, jakie miałyby być. Pod podszewkami nic. Ani liście, ani trawy, ani błota.

– Ktoś cię tu przyniósł, dziewczyno. Nie ma wątpliwości.

Wstała z kolan. Jedno miała czyste, a na drugim okropną, mokrą plamę. Nawet nie spostrzegła, kiedy klęknęła na oba.

Poszła w stronę samochodów. Kiedy była tuż przed nimi, drzwi suki otworzyły się i młody policjant zapytał, jak długo jeszcze mają trzymać świadka, bo Wigilia i w ogóle.

– Pogada z nim pani, czy ma czekać na prokuratora?

– Co, prokurator się jednak pofatyguje osobiście? – spytała zdziwiona.

– No, ten Bystroń, ambitny jest. Dzwonił. Ale jest gdzieś u rodziny

na Podlasiu, zanim dojedzie, to nam się świadek pochoruje.

– Tak, tak, pogadam z nim.

Weszła do sukki.

– Dobry wieczór, bardzo pana przepraszam, to wyjątkowa sytuacja...

– Nie kłopotz się, dziecko. – Uśmiechnął się. – Ja nikogo nie mam. Rozumiesz? Nikt na mnie nie czeka. Z panami nie porozmawiałem, bo zajęci, coś tam w telefonach mają ciekawego. Ale posiedzieć z kimś innym niż Fred też jest miło. Pączka w każdym razie dostałem.

– Ja też nikogo nie mam – powiedziała. – Rozumiem.

– Jak to nie masz? Taka piękna kobieta.

Zrobiło jej się ciepłej.

– Olga – powiedziała. – Podkomisarz Olga Suszczyńska, ale mówią do mnie Serbia.

– To dlatego, że jesteś z policji?

– Nie rozumiem.

– Wiesz, co znaczy Serbia w tym mieście?

– Dla miejscowej gangsterki znaczy, że nie jestem z miasta, tylko z Garwolina. Albo z Pułtuska. Albo z Otwocka. Skądkolwiek. Z prowincji... Prawda, jestem z prowincji. Z zagranicy. Z Serbii.

– A... to nie wiedziałem. Kiedyś Serbia to był...

– Wiem, kobiecy oddział na Pawiaku. Ale nie wiem, czy dzisiaj bandyci to jeszcze pamiętają.

– Co mogę dla ciebie zrobić, dziecko?

– Proszę powiedzieć, co pan zobaczył.

– Niewiele, to był długi spacer jak dla nas. Wiesz, w moim wieku ludzie już raczej na wózkach jeżdżą albo siedzą przed telewizorem, ale my z Fredziem, widzi pani, to terier, on lubi pobiegać, przychodzimy

tutaj codziennie. Na emeryturze człowiek ma czas na przyjemności. Więc chodzę przynajmniej godzinę. Zawsze tędy chodzimy. Codziennie. No i dzisiaj też. Fred pobiegł w krzaki. Mnie nie było łatwo, bo ślisko, błoto, ale czekał, skakał, podbiegał. Wiedziałem, że coś znalazł. No i mnie przyprowadził do tej dziewczyny. Lizał ją po twarzy, wie pani, on tak robi, kiedy ktoś jest chory.

Uśmiechnęła się.

– Żyła, kiedy pan ją znalazł.

– Żyła, tak, tak... żyła. Nie ruszała się. Bardzo blada była. Krew jej pewnie całkiem wypłynęła z tych otwartych żył. Wiedziałem, że to agonia. Wie pani, ja pamiętam powstanie. Widziałem, jak ludzie umierają. Tego się nie zapomina. Ukląknę przy niej, bo coś mówiła, wie pani? Całkiem sobie zabrudziłem spodnie.

– I co? Mówiła coś?

– „Pomyśl o czymś przyjemnym”.

– Nie rozumiem.

– Tak powiedziała. Tak mi się zdaje, bo już gasła. Powiedziała, zdaje się: „pomyśl o czymś przyjemnym”.

PASTERKA

Odwieźli ją do domu. Pod same drzwi. Przez puste i – gdyby nie te wszystkie światła – jakby wymarłe miasto. Było rozświetlone jak nigdy. I wszędzie choinki. W oknach, na placu, przed kościołem. Cholera jasna, jeszcze zaczniacie produkować choinki do samochodów. Takie małe, żeby je ustawiać za przednią szybą. A za tylną wieńce. Też błyskające diodami. Na głos nie powiedziała ani słowa. To by było głupie. Nie chciała, żeby dwaj młodzi policjanci pomyśleli, że coś z nią nie tak.

– Dziękuję... to dobrych świąt – pożegnała ich, kiedy zatrzymali się koło jej domu. Kierowca postarał się, żeby nie musiała wysiadać wprost do kałuży.

– Dobrze już było, teraz jedziemy pod Sejm.

– No przecież z Pragi jesteście, nie wasz rejon.

– Teraz jesteśmy po prostu na służbie. Wie pani, co tam się dzieje, pod samochody się kładą, jak się coś wydarzy, to będzie dopiero awantura. Teraz każde ręce potrzebne.

– Wszystkie ręce na pokład – dodał ten drugi. – Taki komunikat dostaliśmy.

– No to życzę wam, żebyście nie musieli robić nic oprócz stania i patrzenia. – Wsiadła i dodała: – Serio. Ręce w kieszeniach. Wigilia jest, może się ludzie rozejdą.

– Nie rozejdą się. Gdyby pani posłuchała, jak oni tam są

nakręceni... jak po nas jadą.

– To dobre życzenia, pani komisarz – uciał ten drugi. – Wesołych świąt i dobrego barszczu.

Zatrzasnęła drzwi i patrzyła, jak odjeżdżają.

Nie miała barszczu. Miała pół litra finlandii i jakieś filmy ściągnięte z sieci. I *Księgi Jakubowe*. No i dziewczynę w czarnej, eleganckiej sukience i czystych, czerwonych szpilkach. Dziewczynę, której ktoś o mały włos nie oderznął rąk.

Klucz w zamku trzasnął, jakby spadał szafot. Zawsze tak myślała. Żeby ten zamek wymienić na jakiś cichszy. Krzysiek lubił ten trzask. Nie oddał kluczy. Może kiedyś przestanie mu się podobać nowa rodzina? Może wróci? Wróci, włoży klucz i nie będzie pasował, i wtedy, kurwa, znowu sobie pójdzie, i przyśle esemesa, że był i że się jednak rozmyślił, że tego nie może zrobić nowej kobiecie. Pierdolonej pani coach.

– Muszę się ogarnąć, wiesz – mówił. – Wiele myślałem o naszym związku. I wiesz, nie byłem szczęśliwy. Na terapię chodzę, to dobra terapeutka, pomoże mi się z tym zmierzyć.

– A mnie kto pomoże się z tym zmierzyć? To przecież ja patrzyłam, jak nasza córka wisi w tych pasach głową w dół i jak z niej wypływa krew i jak przestaje oddychać. Kto mi pomoże?

Pewnego wieczoru zostawił telefon na szafce przy jej łóżku. Pewnie zanim się zorientował, było za późno, żeby wracał do niej, do szpitala. Może pielęgniarki nie chciały go wpuścić przed północą? Słabo wtedy sypiała. Rozszyfrować taki kod w telefonie dla policjantki to tylko zagadka. Przejrzała esemesy. I kiedy wyszła ze szpitala, nie było już ani jego, ani jego rzeczy. Mieszkał teraz gdzieś w Józefowie w drewnianym, pięknym domku z ogrodem i sprytną panią coach, która doradzała bogatym ludziom, jak być jeszcze szczęśliwsiymi i jak osiągać jeszcze większe zyski. Pierogi mają pewnie z Polonii,

a barszczyk od mistrza Amaro. Oczywiście, że od Amaro, bo pani coach jest kurwowierząca, w Wigilię na pewno nie pije, nie je mięsa ani nie przeklina.

Serbia nie zdjęła ubłoconych butów, podeszła do lodówki, otworzyła zamrażarkę i spomiędzy paczek mrożonych warzyw Hortexu wygrzebała finlandię.

Nalała sobie wódki do szklanki, w końcu są święta i nie będzie chodzić do lodówki co kwadrans. I wtedy zadzwonił telefon.

– Serbia – powiedziała do słuchawki.

– Trzebница – powiedział Kosiński. – Wesołych świąt, szefowo.

– No jak tam, chujcu boso, pozbierałeś się, czy wolisz w korporacji słupki wypełniać? – Ucieszyła się, że zadzwonił. To był dobry znak.

– Pozbierałem się. Ręka już lepiej. Czucie mi wraca.

– A konia możesz wa... – ugryzła się w język. – Ostatecznie wszystko się dobrze skończyło.

– Ha, ha, ha. – Zaśmiał się.

Ulżyło jej. Do tej pory Kosiński śmiał się niewiele.

– Teraz to będę jak ojciec Pio.

– Będziesz w kilku miejscach jednocześnie?

– Nie – odparł nadal rozbawiony. – Będę miał stygmaty. A pani pielęgniarka, to znaczy, przepraszam, przełożona pielęgniarek mówi, że mężczyznom blizny dodają uroku.

Powiedział to takim tonem, że wyobraziła sobie, że pani przełożona stoi obok i pewnie jeszcze chichocze.

– Ile ma lat?

– Wygląda na jakieś dwadzieścia pięć.

Trafiła.

– To pozdrów ją ode mnie. I uważaj na rękę. Wciąż nosisz ją na stelażu?

– No tak... swędzi. Palcami ruszam. Jeszcze z dziesięć dni i może ściągną to rusztowanie. Sam opatrunek wystarczy.

– Ale nie nudzisz się?

– Nie, nie nudzę. Pani pielęgniarka przychodzi mi czytać na głos. Aż żałuję, że nie chciałem tej książki od ciebie, bo po przeczytaniu tysiąca stron na głos musiałaby się zakochać. – Znów usłyszała, że Kosiński się śmieje.

– No ale w ogóle wracasz?

– Oczywiście, że wracam. W końcu jestem szczęściarzem, no nie?

– Tak, jesteś szczęściarzem, o mały włos, a byś nie żył.

– No. To wracam. Ale najpierw jeszcze posłucham tego czytania.

Poczuła ulgę. Mógł mieć dość. Nawet by się nie zdziwiła. Nieśmiały, cichy, ambitny chłopak. Śmieli się z niego czasami przy piwie, że dupa, że jak przyjdzie do tego, żeby jakiemuś zbójowi dać w mordę, to spierdoli. Kazała im siedzieć cicho. Zamknąć pyski.

– Wesołych świąt, Kosiński, niech ci się darzy.

– Wesołych świąt, szefowo. Żebyś się zakochała.

Wyłączył się i nie zdążyła go opierdolić. Uśmiechnęła się i pociągnęła ze szklanki zdrowy łyk. Aż zapiekło.

Usiadła przy biurku. Nie chciało jej się myśleć o dziewczynie. Nie dziś. Włączyła komputer, właściwie to go obudziła. Nigdy go nie wyłączała, bo bała się, że nie zechce potem odpalić. Krzysiek znał się na komputerach, ona nie bardzo. Ucieszyła się, kiedy ekran rozbłysnął niebieskim światłem. Nie miała żadnej fototapety. Odkąd Anka przestała je codziennie zmieniać, wołała, żeby tło było po prostu niebieskie. Wsunęła pendrive'a do gniazda USB.

– No pokaż, co tam mamy na wieczór.

Dostała filmy od kolegi z fabryki.

Trzy tytuły. *Creed. Narodziny legendy*, *Nowy początek* i *Łotr 1*.

– Kurwa, nie mógł wgrać *Kevina* albo *Czterech wesel i pogrzebu*?

Włączyła Internet, żeby sprawdzić, co to za tytuły. Nie chodziła do kina, odkąd usłyszała, że bilety są po cztery dychy.

– *Creed*, coś o bokserach. Mogłam się spodziewać...

Zadzwoił telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

– Cześć, Olga. Nie wpadłabyś do mnie na pierogi? Pewnie sama siedzisz, choinki nie masz. Nie dostaje się prezentów, jeśli się nie ma choinki.

– Już dostałam prezent, panie nadinspektorze, właśnie wróciłam znad rzeki – mruknęła.

– Kobieta czy mężczyzna? – złapał w lot.

– Kobieta. Dziewczyna. Duże piersi, szczupła talia, śliczna. Strasznie blada. Ale piękna.

– Zgwałcona?

– Grzegorzycy jeszcze nie wie, ale sukienkę miała w nienaruszonym stanie, więc może nawet obyło się bez gwałtu.

– Pobita?

– Na miejscu nic takiego nie stwierdziłam, ale było już ciemno. Sukienki z niej nie ściągałam. Miała poprzecinane nadgarstki. Ale nie żyłką, tylko nożem do chleba. Takim z ząbkami.

– Musiało boleć. Ale słuchaj, nie gadajmy przez telefon, tylko przyjeźdź, co? Mam dla ciebie prezent.

– Serio? – Uśmiechnęła się.

– Tak. Prawdziwy prezent. Z kokardą i twoim imieniem na karteczce. Przyjeźdź.

– Wódkę piłam, nie mogę.

– Drogówka też pewnie pod Sejmem, nie pierdziel.

Jechała przez puste miasto, nie zatrzymując się na czerwonych światłach. Niech się chłopaki z monitoringu rozbudzą. Warszawa

złana deszczem. Spokój i nagle z Hożej wyjechał jej wprost przed maskę potężny suburban.

– No ja pierdolę – zakląła, bo skoczyło jej ciśnienie. Wcisnęła klakson, ale on nic. Jechał dalej. Pewnie słuchawki na łbie. Albo ten samochód taki stary, że nie słyhać, co się wokół dzieje. Zjechała na środkowy pas i zrównała się z chevroletem, a potem pochyliła, żeby dojrzeć kierowcę. Nie dało się, bo suburban to kawał kłoca, ale dostrzegła brodę.

– Kurwa – pokręciła głową – co za czasy. Nie wiadomo hipster czy jednak Żyd.

Przyspieszyła. Miał chłop szczęście, że nie służy w drogówce.

Patrzyła na choinki w oknach, na Puławskiej jacyś ludzie taszczyli torby prezentów. Żałowała, że nie ma śniegu. Anka kochała śnieg. Włączyła radio.

„Dziś nad ranem czasu polskiego aktorka Carrie Fisher, której sławę przyniosła rola księżniczki Lei w *Gwiezdnym wojnach*, doznała ataku serca. Leciała z Londynu do Los Angeles. Reanimowano ją na pokładzie samolotu, obecnie lekarze w Los Angeles walczą o życie aktorki. Ponad sto trzydzieści sześć tysięcy funtów zebrano dotychczas w Wielkiej Brytanii w ramach zbiórki dla rodziny Łukasza Urbana, polskiego kierowcy, który zginął w zamachu terrorystycznym w Berlinie. Śledztwo w sprawie berlińskiego zamachu zatacza coraz szersze koła. Tunezyjskie służby specjalne zatrzymały kilka osób powiązanych z Anisem Amrim, podejrzanym o atak w stolicy Niemiec. A w kraju posłowie opozycji spędzą tegoroczną Wigilię w Sejmie. To protest przeciwko działaniom marszałka Sejmu, który ich zdaniem złamał regulamin”.

Skręciła w Idzikowskiego. Rezydencja ambasadora Stanów Zjednoczonych była pięknie rozświetlona. Na bramie wisiał bożonarodzeniowy wieniec. Skręciła w prawo, choć tam jest

jednokierunkowa, ale zaparkowała przecież zaraz za znakiem. Nie będzie jeździć dookoła po opustoszałym mieście. Te kilkaset metrów może pójść spacerem.

Siwy był w garniturze. Gdyby nie cienie pod oczyma pomyślałaby, że jest całkiem zdrowy.

– Wódki ci nie naleję, bo jesteś autem, więc witam cię, dziecko, kieliszkiem szampana.

– Hm... – Uśmiechnęła się. – To jest ten mój prezent?

– Nie, nie, wchodź. Powieś kurtkę i bierz szampana. Prawdziwy, nie żaden radziecki.

Przepuścił ją przodem.

Ostatnim razem, kiedy odwiedziła Siwego, stał schorowany, postarzały, w przepoconym szlafroku i rozdeptanych kapciach na dywanie wartym tyle co używany samochód. Teraz znowu był tym samym człowiekiem, z którym pracowała od lat. Pozbierał się. Maskował. Widziała, że nie przychodzi mu łatwo, żeby się wyprostować, ale nie szedł skulony. Imponowało jej to. Prawdziwy pies nie daje po sobie poznać, że zdycha.

– Jak się masz?

– Niech cię nie zmyli kostium. – Puścił do niej oko. – To nieuleczalna choroba. Ale wiesz, odstawiłem papierosy, odstawiłem wódkę, no i odstawiłem robotę. Dużo śpię, jeśli już zdołam zasnąć. Czytam i oglądam telewizję. Siadaj. – Odsunął jej krzesło.

– Co czytasz?

– *Śmierć frajerom*. Trochę poplątana historia i za mało scen łóżkowych, ale przynajmniej bandyci są szlachetnymi ludźmi honoru, a psy, jak to psy, nie dorastają im do pięt.

– Uważasz, że tak jest w porządku? Że policjanci to ten gorszy sort?

– Sama wiesz. – Usiadł i popatrzył jej w oczy.

– Ja cię nie osądzam, dowódco.

– To znaczy, że mnie nie rozgrzeszysz... Poza tym dowódco to mówią do szefa tylko ci z prewencji, nie wiedziałaś?

Roześmiała się.

No, czym chata bogata.

Na stole były talerze, kilka półmisek: ryba, pierogi, kluski z makiem. No i waza zupy. A na parapecie okna kilka gałązek świerka i gruba wigilijna świeczka Caritasu na spodku. Wypaliła się do połowy. Telewizor mruczał cicho. Para prezydencka kończyła swoje życzenia i na ekranie pojawił się gmach Sejmu, a przed nim gromada protestujących. Kilka osób grzało ręce w koksowniku, była choinka i transparenty z wyrazami poparcia dla antypisowskiej opozycji. Potem posłanki protestujące w sali obrad. Dziwne zdjęcie, pewnie zrobiły je smartfonem i wrzuciły na Twittera. A potem wszystko zgasło, bo Doliński wyłączył telewizor.

– Wszystko wystygło, bo za długo jechałaś. – Rozłożył ręce w geście zakłopotania. – Może ty się tym zajmiesz, bo wiesz, ja wszystko poplamie i porozlewam. Tu masz pierogi, a barszcz pewnie wystygł, ale się chyba nie strujemy.

Wzruszyła się.

– Masz jakiś garnek, prawda?

– No mam, mam.

– Chodźmy, odgrzejemy przynajmniej zupę.

Wstała i podniosła wazę. Była ciężka. Jak u babci. Siwy poszedł za nią.

– Co to za trup? – zapytał.

Postawiła naczynie na stole i zajrzała do garnków. Puste, ale nie za czyste. Wzięła się do mycia.

– Morderstwo. Ktoś ją przyniósł nad rzekę.

– Ślady jakieś były?

– Deszcz zmył i ambulans wszystko rozjeździł, bo im się, kurwa, zechciało zawracać.

– To co, pierwszy raz byli na morderstwie?

– Nie, ale myśleli, że jadą do żywej. Zmarła świadkowi na rękach.

– Powiedziała coś?

– Żeby pomyślał o czymś przyjemnym. Czy tam miłym.

– Majaczyła?

– Nie wiem. Ładna była, wiesz, jakoś tak, kiedy tam leżała w deszczu, było mi zwyczajnie źle z tym. Rozkleiłam się.

– Ale w porządku z tobą?

– Tak, to te kurewskie święta. Rozumiesz? – Wytarła garnek i przelała do niego barszcz.

Patrzyła, jak na powierzchni zupy zaczynają krążyć oka tłuszczu.

Jak ły. Nie, jakie ły, to był tylko deszcz.

– Mam coś dla ciebie, chodź.

Posłuchała. Wziął z półki spory karton w brązowym papierze, fachowo owinięty granatową wstążką. Z kokardą. I karteczką z jej imieniem. Nie dostała prezentu od dwóch lat. Wzięła, nie patrząc mu w oczy. Poczula, jak się coś przelewa w środku.

– Nie musiałeś.

– Wiem. – Wzruszył ramionami.

Jedli barszcz. I rybę w galarecie. Nie pytała, skąd to wszystko wziął. Pewnie zamówił w jakiejś restauracji. Była mu wdzięczna. Niedobrze być samemu w święta. Nie byłaby sama. Byłaby z duchami, ale czy z duchami łatwiej być niż samemu?

– Nie wiem, czy ci mówiłem, bo z moją chorobą jest tak, że czasami możesz zapomnieć, co już komuś powiedziałeś, a czego

jeszcze nie. Więc liczę się z tym, że mogłem ci powiedzieć. Ale przypuszczam, że nie.

Zamilkł.

– No mów, dowódco. – Sięgnęła po swojego szampana. Był odgazowany, ciepły i cierpki.

– Mam taką sprawę, gdybyś miała czas pomyśleć. Nic pilnego, ale to osobiste. Wiesz, z pół roku temu umarł Bućko. Dobry policyjny pies. Mocno schorowany, stary człowiek, demencja. Ale kiedyś, kiedy ja zaczynałem w fabryce, był moim dowódcą. Sporo mnie nauczył.

– Ubek?

– No... Ale to były inne czasy.

– W jedną ubecką sprawę już mnie wpakowałeś, dowódco.

– I bardzo ci jestem wdzięczny. Może nawet do piekła nie pójde.

Zrozumiała, że Siwy nie żartuje.

– Jeszcze coś masz na sumieniu?

Pokręcił głową.

– Nie, to inna sprawa jest. Wiesz, ten Bućko miał córkę. Marię. Nie utrzymywali stosunków, bo ona bardziej stała tam, gdzie Janek Wiśniewski, czy jak on się tam nazywał... a on był przecież bardziej tam, gdzie ZOMO.

– No przecież ojciec to ojciec.

– Nienawidziła go za to z całego serca. Ale kiedy umierał, pojechała. Nie odmawia się umierającemu. Nikogo już nie miał oprócz córki. Powiedział jej, że wie, gdzie jest złoto. Rozumiesz? Stary ubek na łożu śmierci mówi takie rzeczy.

– Wspomniałeś, że demencję miał. – Wzruszyła ramionami.

– Być może. Ale spisał wszystko, co potrzebowała wiedzieć.

– No i co?

– No i masz. – Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd kilka kartek. –

Ona nie bardzo to rozumie. Wiesz... Przyszła mi to dać.

– Znaliście się?

– No, jakby ci to powiedzieć, znaliśmy się, owszem. Całkiem dobrze.

Wyciągnęła rękę.

Szary papier. Wyrwane z jakiegoś segregatora. Rozłożyła. To były dwie grube kartki, dziwny papier, jakby mechaty. Zapisany ołówkiem. Litery pozacierane. Na zgięciach kompletnie przetarte. Brudne. Ktoś je nosił w kieszeni długi czas. Może nawet lata.

Na pierwszej stronie były jakieś cyfry. Dwa miliony po siedemdziesiąt złotych za sztukę. Po kosztach dwadzieścia siedem i pół tysiąca. Uncja po trzydzieści pięć i pół dolara.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiałem. Ale Bućko powiedział, że wie, gdzie jest złoto. Na łożu śmierci nawet zdemencjały ubek nie pieprzyłby głupot własnemu dziecku, z którym nie rozmawiał od stanu wojennego. Więc sprawdziłem to. Wiesz, ile kosztuje uncja złota?

– Nie mam pojęcia.

– Dzisiaj jakieś tysiąc sto dolarów.

– To dlaczego ktoś zapisał, że trzydzieści pięć – rzuciła okiem na notatki – i pół?

– Tyle kosztowała uncja w 1965 roku.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Zostawiam ci to. Będiesz miała chwilę, pomyśl. Jak nie wymyślisz, nic się nie stanie. Ta kobieta, Maria, córka Bućki, wiesz... powiedziałem jej, że zachorowałem. Musiałem z kimś porozmawiać, z kimś spoza fabryki. Z kimś, komu mogę powiedzieć, bo wiem, że to niczego nie zmieni.

– Zadzwoń do niej? Do osoby, której nie widziałeś od lat?

– Przecież nie powiedziałem, że nie widziałem jej od lat. Kilka razy widziałem się z nią gdzieś przypadkiem.

– Nie ma przypadków.

– Nie ma przypadków, tylko jeżeli masz plan. Ja nie miałem planu. Spotykaliśmy się, bo chciała wiedzieć, co z ojcem. Pewnie byli sobie bliscy, zanim nie podzieliła ich Polska. Ja twierdziłem, że Solidarność. Ona – że Polska. Że to takie nasze narodowe przekleństwo. Ojca nie chciała widzieć, ale pytała o niego. No więc spotkałem się z nią kilka razy, żeby pogadać. I kiedy zachorowałem, zadzwoniłem do niej. Pierwszy raz od jego śmierci. No i dała mi te kartki.

– Zapytałeś, co to jest?

– Owszem. Powiedziała, że dał jej to na dzień przed śmiercią.

– I co z tego wynika?

– To chyba taki moment, kiedy się już nie kłamie, jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia.

– Wkrótce będę pewnie wiedział.

– Gdybyś znalazł sposób, żeby mi o tym opowiedzieć, wal jak w dym. – Próbowwała zażartować. W końcu to Boże Narodzenie, a nie stypa.

– Ona jest przekonana, że to nie było ani majaczenie, ani żart. Bućko był śmiertelnie poważny. I oszczędny w słowach.

– Myślałeś nad tym?

Pokręcił głową w sposób, w jaki to robią Hindusi. Nie wiesz, czy to znaczy tak, czy nie.

– Zajrzyj do tego, proszę, w wolnej chwili. A teraz kolędę zaśpiewamy, co?

I nalał jej więcej szampana.

– Popieprzyło cię, dowódco?

- No to się ze mną połam opłatkiem chociaż.
- Nie wiedziałam, że ty wierzący jesteś.
- Ja też nie wiedziałem.

Oglądali potem *Ocean's 13* na TVN7. Wyszła późno. Za późno na pasterkę.

DZISIAJ

Obudziła się późno. Nasłuchiwała chwilę, czy Anka nie wybiegnie ze swojego pokoju z królikiem. Nosiła go pod pachą, a on najwyraźniej to lubił. Kiedy klaskała w dłonie, wskakiwał jej na kolana. Cicho było. Spała w ubraniu, pod kocem, na kanapie złożonej do połowy.

Jeśli śpisz sama, nie potrzebujesz całego łóżka.

Butelka Hankeya Bannistera była opróżniona do połowy. Na krześle przy łóżku stał komputer. Obejrzała film o młodym bokserze, ale końca nie pamiętała. Bardzo chciała umyć zęby i żeby ktoś przyszedł.

Ugotowała trzy jajka na twardo i usiadła przy stole.

Mogłaby właściwie biec dzisiaj rano dookoła Kępy Potockiej. To jeden z niewielu dni, kiedy nie musiała nic zrobić. Nie popchnie sprawy z dziewczyną do przodu, dopóki Grzegorzycyk nie skończy swojej części, a on przecież nie zdobędzie jej wyników w czasie świąt. Może na Kępie minęłyby się z Wojciechowską? Czasami Martyna biegała tamtędy o świcie. Kobieta, która była na Evereście. Jak to się, kurwa, mogło stać? Ale nie, nie pobiegnie. Powinna pojechać nad Wisłę. Zobaczyć to miejsce w świetle dnia. Mogli coś przeoczyć. Wigilia to dobry czas dla złodziei. No i jeszcze ten Sejm.

Włączyła radio. Usłyszała jakieś piosenki z dzwoneczkami i flecikami. To ją uspokoiło. Jest muzyka, to znaczy, że pod Sejmem nikt nie rzucił się pod samochód.

Obrała jajka, dorzuciła do talerza szczyptę soli, kiszzonego ogórka i dwie kromki chleba. Bez masła. Powinna jeść masło, zwłaszcza zimną, masło jest dobre na oczy, ma witaminę D. Musi pamiętać, żeby kupić. Potem wyjęła z kieszeni kartki od Siwego i rozprostowała je.

Pierwsza była z cyframi. Uncja po trzydzieści pięć i pół dolara. Wyjęła komórkę i uruchomiła kalkulator.

Dwa miliony po siedemdziesiąt złotych za sztukę? – Wetknęła jajko w sól, a potem prosto do ust. – Co to, kurwa, ma być? – Lubiła zagadki. Ojciec bawił się z nią tak, kiedy była dzieckiem. Ukrywał w domu wskazówki na małych kawałkach papieru, a ona poszukiwała nagrody, idąc od jednej wskazówki do kolejnej. – Dwa miliony po siedemdziesiąt złotych za sztukę. – Ugryzła znowu. Wolą białko od żółtka. Żółtko na twardo smakowało jej mąką. – Dolary! Pewnie tyle właśnie kosztowały wtedy dolary. Trzeba będzie to sprawdzić.

Wpisała do kalkulatora dwa miliony podzielić przez siedemdziesiąt i wyszło jej dwadzieścia osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt jeden.

„Po kosztach dwadzieścia siedem i pół tysiąca”, to by się mniej więcej zgadzało. – Czyli chodzi o dwa miliony złotych z tamtych czasów. Skoro kupili złoto za te dwadzieścia siedem tysięcy, płacąc po trzydzieści pięć dolarów, to rzeczywiście dzisiaj mogli być bogaci. Ale dwa miliony złotych? Ciekawe, czy to było dużo, czy mało. Czy była wtedy jakaś wymiana pieniędzy? Skąd wziąć w tysiąc dziewięćset... który to miał być rok, Siwy?

Przypomniała sobie po dwóch kęsach.

Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty... – Sięgnęła po kolejne jajko. – Skąd wziąć dwa miliony w 1965 roku? Ciekawe, ile się wtedy zarabiało. W gomulkowskiach czasach. Kto by to mógł pamiętać? Pewnie Internet. – Zjadła kromkę chleba, maczając go w soli. To nie jest dobre. Powinna bardziej o siebie dbać. I w ogóle szkoda, że nikt

nie przychodzi. I że nikt nie dzwoni.

Sięgnęła do kieszeni. Telefonu nie było.

Co jest, cholera jasna.

Poszła do kanapy i podniosła kołdrę. Może wypadł jej, kiedy spała? Nie, nie ma. Może w kurtce? Kurtka leżała na podłodze w korytarzu. Przejrzała kieszenie. No był. Jedno nieodebrane połączenie. Szymon. Policjant z Wrocławia. Pomógł jej w poprzedniej sprawie. Był przystojny, miał wesołe oczy i nie potrafił prawidłowo mówić „r”.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Sprawdziła esemesy. Pierwszy od jej szefa, żeby brała sprawę tej dziewczyny, a drugi od Szymona. „Nie odbierałaś, pewnie jesteś w łóżku z kimś fajnym, zadzwonisz, kiedy już sobie pójdzie?”

Wróciła do stołu i przewróciła stronę.

Tam też były cyfry. Zapisane dużymi literami. Długopis. Niebieski wkład. Niedawno czytała o długopisach. W 1965 istniały dopiero jakieś trzydzieści lat. Węgierski dziennikarz, Żyd, sfrustrowany tym, że wieczne pióro ciągle rozlewa mu się w kieszeni i że zanim przewróci stronę, musi czekać, aż wyschną mu notatki, pomyślał, że gdyby atrament był gęstszy, problem przestałby istnieć. W wynalezieniu tuszu pomógł mu brat, chemik. Zbliżała się wojna i węgierscy Żydzi uciekali do Argentyny. Wciąż chodził mu po głowie ten pomysł. Skoro miał już gęsty tusz, który nie potrzebował stalówki, ale mógł wypływać z cieniutkiej rurki i momentalnie zastygać na papierze, pojawił się jeszcze tylko problem z zasychaniem rurki. Rozwiązała go kulka na końcu wkładu. Te argentyńskie długopisy też zostałyby zapomniane, gdyby patentu nie kupiła armia. Piloci RAF nie mogli używać w powietrzu piór, bo były zbyt kłopotliwe, ani ołówków, bo zapis był nietrwały. Zaczęli używać długopisów.

Co napiszesz długopisem, nie znika tak łatwo.

Przeczytała:

4 12 57 11 18 00

7 04 59 00

1 06 59 66 66 00

22 12 64 13 36 50 0

– Ciekawe – mruknęła – bardzo ciekawe. Jak u Sherlocka Holmesa.

Na trzeciej stronie były jakieś nazwiska. Ciemniowski Lucjan, Wróblewski Zdzisław. I dopisek, wyraźnie późniejszy:

Nazwiska są wzięte z książki telefonicznej na użytek zupełnie innej sprawy. Może ci się do czegoś przydadzą, może nie. Dzielić się z nimi nie ma już potrzeby. Sprawa pogrzebana tam, gdzie święta ziemia. Nie było łatwo, ale nie było wyjścia. Wszystko się pochrzaniło przez politykę. Wszystko zawsze przez politykę. Jednego dnia masz robić tak i tak, drugiego dnia okazuje się, że to, co było dobre, od teraz jest już złe.

Ale zadbałem o resztę. Schowałem między Chopina a Reymonta. Pod szczęściarzami z kosmosu. Miałem śrubokręt, ale ty musisz podważyć czymś twardym i ostrym.

Na czwartej stronie tym samym długopisem był nabazgrany dziwny napis w języku, którego nie poznawała.

– No to po śniadaniu – mruknęła do siebie.

Podeszła do okna. Odsunęła firanki i zobaczyła słońce.

Dziesięć minut później jechała w stronę Pragi. Wybrała numer Felińskiego. Odebrał po szóstym sygnale.

– Kochanka nie chciała pana wypuścić z ramion, oficerze?

– Tak, ma sześć lat i skacze mi po brzuchu od samego hana – usłyszała w tle śmiech dziecka – dobrze być w święta u przyjaciół. Mogą pospać. Chciałem ci życzyć, żebyś znalazła wiesz... uch, nie wolno tak męczyć policjanta – podniósł głos, a Serbia usłyszała dziewczęcy śmiech – chciałbym ci życzyć miłości. Dostałaś jakiś phezent? Mikołaj o tobie nie zapomniał?

– Siwy jest niewierzący, to raczej Dziadek Mróz. – Skreśliła z mostu w stronę zoo. – Tak, dostałam, ale połowę już wypłam bez ciebie.

– To nie mam już po co jechać do stolicy – powiedział, udając zmartwionego.

– Możesz przyjechać... możesz przyjechać w innym celu.

– W jakim?

– Nie mogę teraz gadać, bo dojeżdżam. Trupa mam.

– Jak to: trupa?

– No pod choinkę mam martwą dziewczynę. Właśnie parkuję i muszę obejrzeć scenografię w dziennym świetle. Pomyśl nad moim zaproszeniem, pokażę ci Stare Miasto.

– I co jeszcze?

– Reszta nie jest taka stara, jak sądzisz – roześmiała się – pa!

Zjechała zjazdem za kortem tenisowym i zatrzymała się przed szlabanem. Nie za mocny ten szlaban, ot cienka stalowa rurka pomalowana w biało-czerwone pasy, od dołu wzmocniona drugą rurką, połowę krótszą, przyspawaną w charakterze wspornika. Obracała się na wysmarowanym, brudnym trzpieniu. Po drugiej stronie był wbity w ziemię podobny trzpień z uchem, za który po zasunięciu szlabanu można było założyć kłódkę. Kłódki nie było. Obejrzała dokładnie podłoże wokół, ale nie dostrzegła żadnych opiłków. Więc albo nie piłował kłódki, albo zrobił to nad jakąś szmatą, którą zabrał. Albo w ogóle żadnej kłódki nie było. Trzeba będzie o to zapytać. Ale gdzie? Pewnie w Zakładzie Oczyszczania Miasta, czy jak to się tam nazywa. W Zarządzie Zieleni Miejskiej. Jeśli nie było kłódki, to czy ten, kto cię tu przywiózł, dziewczyno, wiedział o tym i jechał na pewniaka, czy po prostu skreślił i miał szczęście? A jeżeli wiedział, że nie ma kłódki, to skąd? Kto tutaj przyjeżdża? Biegała tędy, jeśli miała czas, więc wiedziała, że przyjeżdżają

wędkarze. Ale nie parkują tutaj, bo się boją straży miejskiej. Nocą małolaty przyjeżdżają wciągając kreskę SUV-ami swoich starych. Albo się pieprzyć nad rzeką. Że to takie nastrojowe miejsce. Może na korty tu przyjeżdżał? Skręciła ostro w prawo. Dało się przejechać. Był tam nawet jakiś stary asfalt. Jechała daleko. Wysiadła dopiero obok grubego, szarego balonu krytych kortów. Był tam parking z osobnym zjazdem z ulicy. Gdyby kierowca grywał w tenisa, z pewnością znalazłby to miejsce. Z parkingu w kierunku rzeki można było zjechać, ale tylko pojazdem z wysokim zawieszeniem. Osobowy, nisko zawieszony sedan miałby trudności z pokonaniem krawężnika, a potem z jazdą w błocie. Ale zjechać by się dało. Dzisiaj było znacznie chłodniej niż wczoraj, ale ziemia jeszcze nie zamrzła, wciąż była namoknięta i ciężka.

Gdyby tędy zjechał, byłoby widać ślady.

Nie miała pewności. Rozjeżdżone było, to oczywiste, ale czy ślady były z wczoraj? Trudno powiedzieć. Rozejrzała się po słupach. Nie dostrzegła żadnej kamery monitoringu.

– No cóż...

Zawróciła na tej rozjeżdżonej ziemi i pojechała prosto do parku linowego przy La Playi. Wysiadła, żeby obejrzeć zjazd od strony ulicy. Tu też było rozjeżdżone. Ale kłódki wisiały. Tędy nie zjechał. Rozejrzała się. Żadnych kamer. Pewnie ściągają je na zimę, kiedy nic się tutaj nie dzieje. Latem na pewno jest jakiś monitoring, bo przecież przychodzą tu tysiące ludzi. Ładne miejsce. Nawet takiego dnia jak dziś.

Trzasnęła drzwiami i pojechała pod most do rozjeżdżonego miejsca, w którym spędziła wczorajsze popołudnie. Nie było policyjnych taśm. Ani ekipy do poszukiwania śladów. Było Boże Narodzenie. Niebieskie niebo. Chmury ganiały się po nim bez opamiętania, ale przebijał błękit. I nawet odrobina słońca. Poszła

najpierw na sam brzeg rzeki. Była tam betonowa ścieżka, rodzaj pirsu wcinającego się w rzekę. Poszła do samego końca. Bure cielsko mostu nie pozwalało jej zobaczyć słońca, a w cieniu było chłodno, ale budynki na drugim brzegu wyglądały jak nie z tego świata. Zamek, idealnie gładki, czysty i foremny wydawał się kartonową makietą z Muzeum Miniatur, a Stare Miasto, kiedy padły na nie promienie słońca, zdawało się dziecięcą kolorowanką. Wieża kościoła Jezuitów przewyższała szczyt dachu katedry. Podobno biskupi nie życzyli sobie, żeby jezuicki kościół był wyższy od Świętego Jana, ale zakonnicy postawili na swoim i zbudowali kościół niższy, ale jednak górujący nad bazyliką.

Odwróciła się i poszła odszukać miejsce, w którym umarła jej N.N.

W dziennym świetle drzewa nie wyglądały już na nic innego, jak tylko na powalone drzewa. Musiała je porządnie potargać jakaś wichura, bo miały poskręcane, potrzaskane pnie. Krzewy za to miały tu doskonałe warunki, bo było ich co niemiara. Podobało jej się, że to nie jest zwyczajny, zadbany i uporządkowany park, po którym trzeba chodzić w ustalonym porządku, ale prawdziwe, dzikie wybrzeże. Wąski pas łądu, na którym przyroda układała sobie miejskie życie najlepiej, jak potrafiła.

Nie było widać krwi. Ziemia wciągnęła wszystko. Deszcz wszystko zmył. Ukucnęła i odwróciła kilka większych liści, żeby sprawdzić, czy nie zostały tam jakieś zastygłe plamy. Nic. Najpierw padało kilka dni, ubiegłej nocy też siąpił deszcz.

Ziemia była zryta śladami, z których niczego nie dawało się już odczytać.

– Cholera jasna.

Podniosła się i powoli, systematycznie zaczęła przeszukiwać zarośla. Stare, zleżałe butelki, z których pleśń odlepiła już etykiety. Pewnie pozostałości po jakiejś młodzieżowej imprezie. A może

wędkarze zostawili.

A może pan z psem nie był jedynym, który się tu wczoraj kręcił. Wigilia wigilią, ale pewne rytuały są nie do przecenienia. Może byli tu jacyś wędkarze? Im nie przeszkadza ani deszcz, ani wiatr. Ale czy to miałyby jakiś sens? No miałyby, warto by było ich rozpytać, ale jak dotrzeć do wędkarza, który tuż przed Wigilią siedziałby w krzakach pod Śląsko-Dąbrowskim? To nie rokuje. Zresztą gdyby ktoś zobaczył morderstwo, pewnie zgłosiłby się na policję. Albo gdyby był pazerny, popróbowalby szantażu. To jest jakaś myśl. Nie, nie, to bez sensu, takie myślenie do niczego mnie nie doprowadzi.

Przykucnęła w miejscu, w którym leżała dziewczyna. Zanurzyła rękę w błocie i podniosła do nosa. Poczowała metaliczną żelazową woń krwi. Lubiała ten zapach. Lubiała tatara, lubiała dotykać świeżego mięsa.

Była drapieżnikiem.

Mów do mnie, dziewczyno, mów do mnie. O czym nie wiem? – pomyślała. Po co tu przyjechałam? Roztarła w palcach kupkę ziemi, jakby spodziewała się znaleźć w niej jakieś zagubione ogniwo. Obrączkę, pierścionek, cokolwiek, ale to było tylko błoto. Ubrała sobie palce.

– Musiał cię nieść. Nieść przez te krzaki i okrążyć drzewa, pewnie się spieszył, bo to był przecież dzień. Dlaczego cię niósł? Byłaś odurzona, to jasne. Nie krzyczałaś, nie broniłaś się, ale trzeba cię było nieść. To musi być silny człowiek. Mężczyzna. Kobieta nie dałaby rady przynieść tu ciała. A może to błąd, może było ich dwóch, albo dwoje... Nie. Był sam. W tym coś jest. W ułożeniu ciała, w tym położeniu rąk wzdłuż tułowia.

W sukience... przypomniała sobie, że na ubraniu nie było żadnych fałd, że choć mokra, była idealnie ułożona. A buty czyściutkie. Jak nowe. A przecież musiał je ubłocić, nawet kiedy tylko ją układał na ziemi. Przecież tu wszędzie błoto.

I włosy. Idealne. Mokre, ale przecież były rozpuszczone, a żaden kosmyk nie przykleił się jej do policzka.

– Jesteś świrem, gościu – powiedziała na głos. – Ułożyłeś ją. Wytarłeś jej buty z błota. Chciałeś, żeby ten, kto ją znajdzie, zobaczył ją piękną. Upozowaną. Jesteś pierdolonym świrem. Jesteś teraz z siebie dumny. Chcesz, żeby wszystko było perfekcyjne, kurwa twoja mać, żeby wszystko było idealne.

Wyprostowała się.

Wsiadła do auta i pomyślała, że dobrze by było się napić. Albo przytulić. I że ten nóż do chleba nie był przypadkowy. To był znak.

Włączyła radio.

„Moc truchleeeeeje, ma granice Nieskończony, wzgardzo...”.

Zapaliła silnik, a koła zabuksowały w błocie.

DZISIAJ

– Powiesz mi, co myślisz?

Nie krępowała się zadzwonić nawet w czasie świąt. Pasja to pasja. Nieważne, co się dzieje, nie przestajesz analizować tego, co cię nakręca. Wiedziała, że Grzegorz, nawet przy pierogach czy karpniu, myśli tylko o dziewczynie. Opowiedziała mu o swoich spostrzeżeniach. O ułożeniu ciała. O wygładzonej sukience. I czystych butach.

– No wiesz... może rzeczywiście coś w tym jest. Coś nienaturalnego. Teraz, kiedy o tym mówisz, rzeczywiście było w tym jakieś uporządkowanie. Wiesz, śmierć jest dość gwałtownym wydarzeniem. A tymczasem wszystko było jakby poukładane. W całkowitym przeciwieństwie do scenografii, bo ta była kompletnym chaosem.

– Jakiej scenografii?

– No wiesz, te wszystkie połamane drzewa dookoła, te krzaki rosnące byle jak i byle gdzie. To dziwne. Myślisz, że to jakiś szaleniec?

– A normalni ludzie mordują kogoś, podrzynając mu nadgarstki?

– Oczywiście, że tak. W afekcie nie mogłoby się to zdarzyć, ale ludzie mordują z różnych przyczyn. Może chciał coś ukryć, zakamuflować. Może chce, żebyśmy szukali szaleńca. Ale nie będę się wypowiadał w tej sprawie, bo nie wiem. Statystyki wskazują, że dziesięć procent zabójstw to czyny dokonane przez osoby

niepoczytalne.

– Tak, tak – potwierdziła. – Zgadza się, że zaaranżował tę scenę, ale dlaczego mu na to pozwoliła? Dlaczego się nie ruszała?

– Musiała być nieprzytomna.

– Nie czuła bólu?

– Nieprzytomni nie czują bólu.

– Ale przecież się poruszają. A ona leżała całkiem bez ruchu.

– Są takie środki, które powodują paraliż.

– A... ten pavulon. – Przypomniała sobie sprawę sprzed lat.

– Na przykład. Ale są i inne środki. Będę wiedział więcej, jak ją zbadamy.

– No ale kiedy?

– Dziewczyno, kocham cię, ale są święta, nie mogę teraz się babrać w trupach. Kolędy śpiewam, prezentami się cieszę, rodzinę odwiedzam, miej serce.

– Dobrze, dobrze, ale jesteś świadom tego, że niektóre substancje chemiczne ulegają rozkładowi w ciągu kilku godzin i nawet jeśli coś w sobie ma, to za kilka godzin nie będzie po tym śladu?

– O Jezus Maria, ale ty jesteś. – Usłyszała, że trafiła go w czuły punkt.

– To dobrego kolędowania. Cześć.

Wiedziała, że za godzinę, najdalej dwie, Grzegorzycy pojedzie do zakładu, założy rękawiczki i sięgnie po narzędzia. Nie była z siebie dumna. Wolą, żeby miał więcej z tych świąt. Ale, jak mówią, siła wyższa. Usiadła przy komputerze i rozłożyła kartki od Siwego.

– Od czego zacząć?

Pomyślała o kawie. Gorącej i czarnej.

Nastawiła czajnik i włączyła radio.

„W nocy z soboty na niedzielę, z dwudziestego czwartego na

dwudziestego piątego grudnia w jednym z bloków przy ulicy Bachmackiej na warszawskim Mokotowie doszło do awantury, a potem bójki. Cztery osoby trafiły do szpitala, jedna z nich, mimo długiej reanimacji, zmarła nad ranem, informuje Ewa Szymańska z Komendy Stołecznej Policji...”.

– Cholera, byłam blisko.

Pogłodziła, ale radio mówiło już o katastrofie Tu-154 z Chórem Aleksandrowa na pokładzie, o ogłoszeniu żałoby w Moskwie i kondolencjach polskiego prezydenta. A potem o tym, ile szczęścia miał jeden z solistów. Nie poleciał, bo rodziło mu się tej nocy dziecko.

Włączyła komputer.

Zalała kawę.

Rozłożyła te pozółkłe kartki. Wpisała w wyszukiwarkę, ile są warte dwa miliony z 1965 roku. Wybrała kalkulator inflacji. Kwota: dwa miliony. Wybierz rok: 1965... dodać podatek Belki? Nie. Przecież wtedy Belki jeszcze nie było. Wcisnęła „oblicz”. Słabo... milion dziewięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset trzydzieści trzy złote.

Gdyby te dwa miliony trzymać w banku, człowiek straciłby połowę.

Wybrała witrynę z informacjami o przeciętnym wynagrodzeniu w Polsce. W 1965 roku było to dwadzieścia dwa tysiące czterysta cztery złote rocznie. Sięgnęła po kalkulator. Dwa miliony to jakieś dziewięćdziesiąt przeciętnych pensji. Czyli dzisiaj równowartość jakichś czterech i pół miliona brutto, przyjmując, że przeciętne roczne wynagrodzenie wynosi około pięćdziesięciu tysięcy. No to już byłoby coś. Milion euro.

Popatrzyła na kartkę z wartością złota. A więc chodziło o to, żeby dwa miliony złotych nie rozplynęły się w powietrzu, pomyślała. W 1965 roku nie można było inwestować w nieruchomości. W złoto też nie można było inwestować. Resort by na to nie pozwolił.

Pamiętała z dzieciństwa filmy z porucznikiem Borewiczem. Dolary nie były legalne. Cholera jasna. Wpisała: „handel walutą 1965”, i wyskoczyła jej strona: Gospodarka Polski Ludowej. Przeczytała, że pomimo klęski planu pięcioletniego władze nie przyznawały się do porażki. W grudniu 1965 I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka przyznał tylko, że pomimo wzrostu produkcji przemysłowej o pięćdziesiąt dwa procent nie udało się zrealizować planu produkcji dóbr konsumpcyjnych.

Dalej było o aferach. W 1960 afera skórzana, dwadzieścia trzy osoby na ławie oskarżonych, zapadły wyroki śmierci zamienione na dożywocie. W 1965 roku afera mięsna. Stanisław Wawrzecki, dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Handlu Mięsem w Warszawie i osiem innych osób otrzymało zarzuty brania łapówek, podmieniania towaru oraz fałszowania faktur. Śledztwo nadzorowane przez specjalną komórkę PZPR doprowadziło do aresztowania czterystu osób. Proces był doraźny, na podstawie dekretu PKWN. Oskarżyciele wniesli o trzy kary śmierci. Dyrektora Wawrzeckiego powieszono, a czterej inni dyrektorzy dostali dożywocie. W 2004 roku Sąd Najwyższy uchylił wyrok, argumentując, że został wydany z rażącym naruszeniem prawa. Kurwa mać. Poszła do lodówki i wyjęła butelkę finlandii. Zostało jej jeszcze sporo. Wypiła setkę. Nie pomogło. Nic nie pomoże. Pomyślała o chłopakach, którzy sterczą teraz pod Sejmem. Nikt ich nie pyta, czy głosowali na PiS, czy na Nowoczesną.

Usiadła przed ekranem i wpisała „1965 afera dwa miliony”. Wyświetliło jej się mnóstwo artykułów o aferze mięsnej. Wawrzecki przyznawał się do łapówek. Kłamał, że je brał, pewnie w śledztwie przekonali go, że dzięki temu przeżyje. A może chciał być szlachetny i ocalić swoich podwładnych. To były czasy, kiedy ludzie potrafili być szlachetni. Gomułka przemawiał na wiecach, grożąc, że ukróci łapówkarstwo i mięso wróci do sklepów. Na sali sądowej był syn

dyrektora, wtedy dzieciak, dziś popularny aktor. Kliknęła i wyświetlił jej się wywiad z nim. Opowiadał, że żałuje, że nie pożegnał się wtedy z ojcem. I że po doczytaniu wyroku ojciec stracił przytomność. Artykuł kończy się stwierdzeniem, że dziś o skazaniu Wawrzeckiego mówi się jako o zbrodni sądowej. IPN postawił przed sądem prokuratora, który żądał kary śmierci, ale nie skazano go, bo proces był przewlekany. W końcu sprawa się przedawniła.

Podła sprawa, ale nie ma nic wspólnego z jej dwoma milionami.

Wawrzeckiego oskarżono o przyjęcie trzech i pół miliona złotych łapówek.

Przejrzała recenzję książki o aferach gospodarczych PRL. Nic. Nic nie pasowało. Spróbowała wklikać „dwa miliony złotych 1965”. Też nic. Najwięcej artykułów dotyczyło obrazu Mariana Opałki z cyklu, który malował od 1965 roku. Tyle że obraz sprzedano cztery miesiące temu.

Spróbowała „dwa miliony złotych 1964”. Może szuka nie w tym roku, co trzeba? Było coś o księdzu z Irlandii, który wygrał w *EuroMillions*. Zaczynał posługę w 1964. Potem coś o japońskiej whisky, która osiągnęła na aukcji astronomiczną cenę. A potem napad stulecia. Kliknęła. To był napad na pociąg na trasie Glasgow–Londyn w 1963 roku. Bandyci ukradli dwa miliony sześćset tysięcy funtów, dziś równowartość dwustu milionów złotych...

– Nie, to nie to – stwierdziła rozczarowana.

Otworzyła następny artykuł: „Najbardziej spektakularne napady w historii Polski”. Na pierwszym miejscu skok Stanisława Cichockiego „Szpicbródki” na Bank Polski w Częstochowie. Próbował przebić ścianę banku z sąsiedniej kamienicy, w której kupił mieszkanie. Gdyby nie spłoszył go przypadkowo syn stróża, byłby to największy łup w ówczesnej historii europejskich napadów na banki.

Ciekawe, bardzo ciekawe. Dalej był 1962 rok. Czterej mieszkańcy

Wołowa – bankier, mechanik, rymarz i taksówkarz – obezwładnili strażnika i przebili sufit skarbcza. Ukradli ponad dwanaście milionów i wpadli po tym, kiedy żona jednego z nich wzięła sobie kilka banknotów na zakupy. Okazało się, że były notowane.

Kawa jej wystygła. Nastawiła czajnik, żeby zrobić sobie nową. To może być długi wieczór. W radio piosenki z dzwoneczkami i flecikami. Czekala, aż woda się zagotuje, więc nalala sobie jeszcze setkę. Dlaczego Feliński nie dzwoni? W sumie nie wiązała z nim żadnych nadziei, ale lubiła, kiedy się śmiał. Lubiała, kiedy na nią patrzył. No... usiedliby sobie w fotelach i obejrzeliby film jak ludzie. Może zasnęłaby i wtedy on, żeby jej nie budzić, siedziałby tak całą noc.

– Ha, ha, ha. – Pokręciła głową i wypila wódkę.

Za oknem była już ciemna noc. U sąsiadów zapalały się choinki. Roztarła kark i wylała zimną kawę do zlewu. Powinna kupić sobie ekspres. Ładny, ciśnieniowy, czerwony. Może na takie małe kapsułki. Albo przynajmniej taki z filtrami. Bo kto dziś pije kawę z zalewanych fusów. Chyba tylko starzy ubecy. Może gdyby miała ekspres, mogłaby czasami zaprosić kogoś znajomego do domu. Taki ekspres to dobry powód. Wpadnijcie, napijemy się kawy. Ale przecież nikt jej nie odwiedzał. Cholera, ja nie znam nikogo. Znam tylko ludzi z pracy. Coś ze mną nie jest tak.

– Coś z tobą nie jest tak, za bardzo się przejmujesz. – Usłyszała głos Krzyśka.

Tak mówił, kiedy przychodziła się poskarżyć.

Skarżyła się, bo chciała, żeby jej rozmasował kark.

Ale on wtedy mówił, że coś jest z nią nie tak.

Wróciła do komputera i dokończyła tekst o wołowskim napadzie. Przypomniało jej się, że czytała o tym jako dziecko. To był ten komiks z kapitanem Żbikiem, który trzymał w szufladzie jej ojciec. Pamiętała

rysunki z bandytami, którzy lewarem hydraulicznym rozwalają sufit, żeby się dostać do skarbcza. I jak niosą do samochodu worki z pieniędzmi. I te worki przypominały jej parówki. To musiał być właśnie ten napad. Dostali dożywocie, ale zamieniono im wyroki na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Trzeci napad był z Poznania. 1964 rok, listopad. Poczta przy Dzierżyńskiego. Trzej zbóje chwytają worki z pieniędzmi i uciekają, raniąc konwojenta. Dwaj uciekają taksówką, trzeci na piechotę. Jakiś przechodzień podstawi mu nogę, a inni obezwładniają złodzieja. Szybka akcja. W trakcie przesłuchania facet sypie kolegów. Tłumaczy, że obejrżeli film *Liga dżentelmenów* i postanowili napaść na konwój. Głupcy. Ten, który uciekał pieszo, miał dopiero dziewiętnaście lat.

Czwarty z Warszawy. Tuż przed Bożym Narodzeniem w 1964 roku pod placówkę Banku Polskiego na ulicy Jasnej podjechał konwój z utargiem z Centralnego Domu Towarowego. Milion trzysta tysięcy ówczesnych złotych. Zanim kasjerka i dwóch konwojentów dotarli do drzwi banku, padły strzały. W śledztwie nie pomogły portrety pamięciowe, manekiny ani sprawdzenie ponad dziesięciu tysięcy samochodów marki Warszawa – takim uciekli bandyci. Sprawców nigdy nie zatrzymano, a kradzież obrosła legendami, czytała. Według jednej z opowieści bandytów zatrzymano i przykładowo ukarano, ale opinia publiczna nie mogła się o tym dowiedzieć. Dlaczego? Bo to byli milicjanci lub funkcjonariusze SB. Ciekawe, kurwa, ciekawe, pociągnęła łyk kawy. Dalej zaczynał się opis napadu w Otwocku w 1988 roku. Wróciła na górę strony. Artykuł na portalu TVN24 nie był podpisany. Tylko data 11 sierpnia 2015. Ze zdjęciem konwojenta ze Swarzędza. Tego, którego zatrzymano w lutym. Ciekawe, pomyślała, esbecy albo milicjanci, duża kasa, ale to przecież nie są dwa miliony. Wpisała w wyszukiwarkę: „napad na bank Jasna”. Notatka z Wikipedii niewiele jej powiedziała. Ale była tam data. 22

grudnia 1964. Godzina osiemnasta trzydzieści. Kwota milion trzysta trzydzieści sześć i pół tysiąca złotych.

Nie pasuje. To nie są dwa miliony.

Cholera jasna, miała dziwne przeczucie, że coś przeoczyła. Że patrzy, ale nie umie dostrzec. To swędzenie pod czaszką.

Wzięła do ręki te stare zapiski i przeczytała jeszcze raz. Nic.

Poszła do lodówki i naląła sobie znowu.

Przeczytała wszystko jeszcze raz.

I wtedy się jej poskładało.

WTEDY

– Nie chodzi tylko o forszę. Chodzi tylko o to, żeby sprawdzić, w jakiej jesteście formie.

– W idealnej. – Furman wzruszył ramionami. – Nie takie rzeczy robiliśmy przecież.

– To prawda – przytaknął Dyrektor – ale ostatnio mieliśmy długą przerwę.

– Może pan miał, Dyrektorze, bo my byliśmy gotowi zapierdalać w każdym znoju, w każdych warunkach. – Furman wzruszył ramionami. – W gorącym afrykańskim słońcu ku chwale ludowej ojczyzny.

– Dobrze już, dobrze. Nie ma się co przechwalać. – Dyrektor pochuchał w dłonie. – Z Hansem za to przepieprzyliście.

– W robocie był dobry – powiedział Jasiński. Pochylił się ku przodowi, żeby mogli go usłyszeć. Głos z tylnej kanapy pobiedy docierał do przodu przytłumiony. Akustyka nie była mocną stroną tej konstrukcji.

– Ale okazało się, że nawet ktoś taki ma czuły punkt.

Dyrektor patrzył przez przednią szybę. Ludzie przesuwali mu się przed oczyma jak czarno-biały film. Ich cienie zdawały się go hipnotyzować. Byli zaaferowani świętami. Za kilka dni rok 1964 miał się definitywnie skończyć.

– No, na dupy nie ma silnego. – Furman oglądał skórki na

palcach. Na kciuku, tuż przy paznokciu miał niewielką ranę.

– My jesteśmy dość silni.

– Takiej dupy nam nie próbowali podstawić. – Furman odgryzł kawałek zrogowaciałego naskórka.

– Bo o nas nie wiedzą – powiedział Dyrektor.

– Wiedzą. Ale nie wiedzą, kim jesteśmy.

Jasiński milczał na tylnej kanapie, ale Dyrektor widział jego spojrzenie w lusterku. Było skupione. Dokładnie takie powinno być spojrzenie drapieżnika.

– No i tak powinno pozostać. – Dyrektor sięgnął do kieszeni i wyciągnął niebiesko-białe opakowanie papierosów. Wisła. Cztery złote za paczkę. Szorstki papier. Ale na samą myśl o tym, jak smakują, poczuł, że zbiera mu się w ustach ślina.

– Zapalki masz? – Spojrzał na Furmana.

Tamten skinął głową. Wyjął pudełko i podał je szefowi.

– W naszej pracy nie ma miejsca na błędy. – Dyrektor zapalił. – Nie wolno lekceważyć przeciwnika i nie wolno ufać przyjaciołom.

– Tak, tak. – Jasiński wyszczerzył zęby. – Zawsze pan to powtarza.

Dyrektor pochwycił jego spojrzenie w lusterku i mrugnął do niego.

– To warunek przetrwania. – Zapalił zapalną, przytknął ją do papierosa i poczekał, aż tytoń się rozżarzy, a potem głęboko wciągnął powietrze. – To nie są żarty. To będzie ważna operacja. Może się nawet okazać, że jest ważna dla świata. Dlatego nie ma miejsca na błędy. Pamiętajcie, że nie jesteśmy byle kim. Jesteśmy tymi, którzy nie popełniają błędów.

– A siedzieć tutaj tak długo w jednym miejscu to nie błąd? – mruknął Furman.

– Najtrudniejsza część naszego zadania to czekać.

Milczeli.

Dyrektor wyciągnął daleko dłoń z papierosem. Popielniczka znajdowała się tuż pod przednią szybą. Uderzył lekko kciukiem zaślinioną końcówkę.

– I pomyśleć, że kiedyś w Warszawie nie było popielniczki – pokręcił głową – trzeba było strzepywać przez okno.

– Co z tego? – zapytał lekko poirytowany Furman.

– Nic. Nie otwieramy okien, dzięki czemu za bardzo nie zmarzniemy.

Siedzieli przecież z wyłączonym silnikiem. Cichy samochód mniej zwraca na siebie uwagę.

– Skoro forsa nieistotna, to nie bierzmy. – Jasiński znowu wyszczerzył zęby.

– Ha! – Dyrektor chrząknął. Wkurwił się, że jest zmuszony powtórzyć im tę gadkę. – Musimy przecież zostawić milicji pewne wskazówki. Niepodważalne wskazówki. Więc oczywiście bierzemy forszę. To nasz cel. W każdym razie tak ma to wyglądać. Zresztą forsa przyda się na dalszą część operacji.

– Pamiętam. – Jasiński odchylił się i rozwalił na tylnej kanapie jak książkę. – Tak tylko gadam.

– Panowie, przypominam, że jesteśmy profesjonalistami. – Dyrektor znowu się zaciągnął. – A to znaczy, że nie działamy impulsywnie. Nie zwracamy uwagi na żadne okoliczności, które nie wiążą się bezpośrednio z zadaniem. Koncentrujemy się na tym, co wymaga naszego zaangażowania w stu procentach.

– Zawsze mogą się przydarzyć jakieś niespodziewane okoliczności – mruknął Furman.

– Nieprzewidziane okoliczności przytrafiają się tylko nieprzygotowanym. A najczęściej tym, którzy nie potrafią działać rozsądnie. My działamy racjonalnie. Planujemy i wykonujemy

zadanie. Nie kierujemy się emocjami.

Znali całą tę gadkę Dyrektora na pamięć. Od lat. Ale nie lubili siedzieć w ciszy. Furman koncentrował się o wiele lepiej, kiedy słyszał słowa. Nie musiał się na nich skupiać. Nie chciał po prostu siedzieć tu i patrzeć na cienie ludzi w świetle latarń. Setki ludzi. Tłum. Dwa dni do Wigilii. Każdy chce jeszcze zrobić zakupy.

– Pamiętajcie, że to trening. Ale nie mogą się zorientować. Musimy zostawić motyw – powiedział Dyrektor.

– Motyw, który koledzy z resortu będą mogli zracjonalizować – powiedział Jasiński.

– Co zrobić? – Furman spojrzał do tyłu.

– Zrozumieć. – Jasiński przewrócił oczyma. – Musimy im zostawić jakiś powód, żeby to mogli posklejać. Muszą mieć punkt wyjścia, żeby mogli nas gonić.

– Gdyby nie było łatwego do ustalenia powodu, tworzyliby różne teorie – wtrącił się Dyrektor. – Czasami głupie, a czasami nawet niegłupie. A teorie, żadne teorie nie są nam na rękę. Zostawiamy ślady, dzięki którym będą szli tam, dokąd chcemy.

– W Monachium nie zostawialiśmy śladów – wtrącił Furman.

– To była inna sytuacja. To było wsparcie. A teraz zaczynamy kolejny etap. Teraz to nam będą udzielać wsparcia. Jesteśmy zawodowcami. I robimy to, co konieczne.

– Ale jutro będą pisać, że jesteśmy zwykłymi bandytami.

– Tak, bo muszą tak napisać. W końcu chodzi o przestępstwo. Ale co to jest przestępstwo? To przekroczenie norm moralnych. A moralność jest przecież względna, bo jest kwestią umowy. W Biblii piszą najpierw „oko za oko”, a potem Izraelici zdobywają Kanaan i przeprowadzają eksterminację całych miast, nie troszcząc się o to, czy to dobre, czy nie. Zabijają wszystkich, dzięki czemu unikają zemsty. Czy to jest moralne? Tak, to jest moralne, bo sam Bóg mówi

im, żeby to zrobili, chociaż zabijanie jest odrażające dla wszystkich. Dla nas też jest czymś ohydny. Ale czasami bywa konieczne. Izraelici kierowali się racją wyższej konieczności, choć działania, które podjęli, napawały ich odrazą. Odraza jest emocją. A więc nie ma znaczenia. My też kierujemy się racją wyższej konieczności. Po wyeliminowaniu wszelkich innych okoliczności pozostają nam te, które są konieczne. I tym się zajmujemy.

– Ha, ha, ha. – Zaśmiał się cicho Furman. Wiedział, że Dyrektor lubi rozważać wszelkie etyczne kwestie. W końcu studiował kiedyś filozofię.

– Robimy to, co robimy, także dlatego, że potrafimy unieść odpowiedzialność. – Dyrektor wcisnął niedopałek do popielniczki i spojrzał na zegarek.

– Sprzedaj świnie, sprzedaj konie, kup zegarek marki Błonie. – Furman ledwo rzucił okiem i od razu poznał. Blonex. Nowy. Dyrektorowi pewnie się powodziło.

– Dochodzi kwadrans po szóstej.

Dyrektor nie zareagował na żarty. Przekręcił kluczyk. Warszawa zadygotała. Dyrektor przetarł dłonią lśniące litery z napisem „Fabryka Samochodów Osobowych”. Zdawało mu się, że spadła na nie odrobina popiołu. A on lubił przecież, żeby wszystko było w idealnym porządku.

Furman wyjął z kieszeni jakiś krem i ołówek.

– Co to? – zapytał Dyrektor.

– Zwyczajna maść cynkowa. – Furman rozsmarował ją w palcach i nałożył sobie na czoło i policzki. Jego cera nabrała jaśniejszej, jakby trupiej barwy. W każdym razie wydawał się teraz bledszy. Ołówkiem do brwi namalował sobie znamię na policzku, tuż obok nosa.

– Po co się wygłupiasz?

– Sławny będę, muszę wyglądać. – Furman włożył pudełko

i ołówek do schowka, wyjął stamtąd tetetkę i sprawdził magazynek.

– *No, ja gatow* – rzucił po rosyjsku w kierunku Jasińskiego, zapinając pod szyję ortalionową kurtkę z kołnierzem ze sztucznego futerka.

– Ja też w porządku. – Jasiński zapinał właśnie płaszcz i wymacał klamkę.

Kiedy otworzył drzwi, do wnętrza natychmiast wdarł się chłód.

– Co za chujowa pogoda – warknął. – Mam nadzieję, że się nie spóźnią.

I wysiadł. Furman za nim. Ruszyli wzdłuż budynku do miejsca, gdzie ulica Hibnera rozszerzała się w spory, trójkątny plac, na którym schodziły się ulice Jasna i Kniewskiego. Tutaj stanęli, żeby porozmawiać. Początkowo rozważali, że zapalą po papierosie, mimo że Furman właściwie nie palił, zrobiliby to tylko dla kamuflażu. Szybko zmienili zdanie, bo przecież musieliby nagle odrzucić niedopałki. Zagrzebałyby się w starym, brudnym śniegu, a podnoszenie ich zabrałoby czas. Za dużo zachodu, żeby je podnieść. A niedopałki w rękach dobrego śledczego to był ślad, którego z pewnością nie chcieli tu zostawić.

– Nie spóźnią się? – Jasiński podniósł oczy na kompana.

– Z obserwacji wynika, że jadą jak w zegarku – uspokoił go Furman.

– Ale dzisiaj święta, każdy idzie na zakupy, pewnie będą mieli tłok, mogą się spóźnić.

– Nie mogą, muszą być na czas. Sklep to sklep, a bank to bank. Urzędowe godziny pracy.

– Sądzisz, że dużo tego będzie?

– Nie mam pojęcia, z osiem, dziewięć kilo. Tyle wchodzi do worka.

– Doskonale. – Jasiński pochuchał w dłoń.

Wtedy zobaczyli, że samochód, na który czekają, zajżdża od strony Jasnej.

– Powodzenia.

Furman lekko klepnął Jasińskiego w ramię. Ten ruszył nie za szybko, bo przecież musiał dać konwojentom czas, żeby wygrzebali się z samochodu. Zobaczył, że najpierw wysiada kobieta z dużą skórzaną torebką, a za nią gramoli się umundurowany konwojent. Drugi wysiada właśnie z przedniej kanapy. Przesuwa kaburę na brzuch, żeby ułatwić sobie dostęp do broni. Ten, który wysiadł pierwszy, wyciąga z auta worek z pieniędzmi. Duży, obły i nieporęczny. Dźwignął go z wyraźną trudnością. Ten z pistoletem rozgląda się dookoła. Sporo ludzi, jego oczy prześlizgują się po Jasińskim bez krzty podejrzenia.

Ten z workiem rusza pierwszy. Za nim kobieta, torebkę trzyma mocno, jakby się czegoś bała. Na końcu ten z pistoletem. Wciąż trzyma dłoń na kaburze. Jasiński nie dostrzega, czy jest otwarta, czy nie. Ale to nie jest jego problem.

Furman przyspiesza kroku. Oczy ma skupione na uzbrojonym strażniku. Ślisko jest. Śnieg zdeptany. Ślisko, ale on idzie pewnie, ręka w kieszeni, potrąca jakąś starszą kobiecinę, mocno, bo aż jęknęła. Ale on w ogóle tego nie zauważył, nie widzi tła, widzi tylko ten samochód, drzwi otwarte, kierowca sięga przez fotel pasażera, żeby dosięgnąć taśmy, za którą będzie mógł pociągnąć i zamknąć te cholerne drzwi, pewnie mu zimno, pewnie siedział tam, pod Cedetem, z pół godziny, tak jak oni tutaj. Siedzieli i marzli. No nie, kierowca miał z pewnością lepiej, miał włączony silnik, ale warszawa ma słabe grzanie tak czy siak. Furman wymija jakiegoś przechodnia z siatkami – gość pewnie taszczy karpia – i już ma otwarte pole.

Wtedy widzi, jak Jasiński atakuje. Kuli się w sobie i kiedy konwojent taszczący worek ma go wyminąć, uderza ramieniem. Niby

że potrafił przypadkiem.

– Coś pan, ślepy? – Konwojent wykonuje półobrót i zasłania Jasińskiego przed wzrokiem tego z ręką na kaburze. Kobieta jest metr dalej, nie zwalnia kroku. Jasiński wyciąga tetetkę z kieszeni i patrząc konwojentowi prosto w twarz, strzela. Jedna kula wystarczy.

Raz a dobrze, myśli. Powinien był trafić w serce. Kobieta krzyczy i odrzuca torebkę, jakby to był kawał surowego mięsa. Ranny, jakby go co ścięło, wali się na kolana. Worek z łomotem upada w śnieg. Śnieg mokry. Śliski. Jasiński widzi, jak drugi konwojent próbuje wyszarpnąć pistolet z kabury. Słabo mu idzie. Nie trenował tej procedury. Jasiński kuli się i robi pół obrotu w lewo, w kierunku drzwi. Furman mija go, stawiając wielkie kroki, wyrywa pistolet z kieszeni, prostuje ramię i strzela.

Pach! Pach!

Ręka konwojenta nagle drętwieje, jakby rażona prądem. Kobieta krzyczy w hysterii. Ręce ma przy twarzy. Furman nie patrzy już w tamtą stronę. Jest pewien, że trafił w pierś i w głowę. Spogląda na samochód. Kierowca jest bystry, daje nura pod kierownicę, ale naciska klakson. Drzwi ciągle otwarte. Kobieta wrzeszczy i pada na kolana. Pełźnie. Czołga się, żeby się schować za samochodem, Furman mógłby pierdolnąć jej w ten durny łeb, ale są tu po to, żeby realizować plan, a nie żeby się wyżywać na kimkolwiek, nawet na takiej głupiej pizdzie. Ona już nic nie robi. Szuka wzrokiem oczu konwojenta. Strach. Ręce rozrzucone, z ust krwawa piana. Furman kręci głową niezadowolony, opuszcza rękę, celuje i strzela jeszcze raz. W czaszkę.

Jasiński podnosi głowę i widzi, że Furman ogarnął sytuację. Kurwa, ucisz ten samochód, myśli, a potem odwraca się, żeby zobaczyć, gdzie jest worek.

Strażnik na kolanach zapierdala po śniegu, ciągnąc worek i smugę

juchy.

Furman patrzy, jak kobieta niknie za kufrem warszawy, a potem strzela, celując gdzieś nad głową kierowcy. Przez silnik się nie przestrzeli, ale może przestanie trąbić.

Pach!

Szyba idzie w proch.

Pach! Pach! Skurwysyn! Nie przestaje trąbić. A idź w chuj, dwie kulki mogą się przydać, Furman odwraca się i widzi, jak Jasiński wyszarpuje z ręki konwojenta worek z kasą. Przyspiesza. I po chwili biegnie za róg Hibnera.

Wtedy Furman słyszy, jak ludzie krzyczą dookoła. Ale teraz to już bez znaczenia. Adrenalina pulsuje. I zadowolenie. Poszło dokładnie tak, jak miało pójść. Wyjęli w tłumie tych dwóch, których mieli wyjąć.

Kiedy mija warszawę, Jasiński wrzuca na tylną kanapę worek i zatrzaskuje drzwi. Dyrektor wciska pedał gazu i samochód rusza. Nie za szybko, ale warszawy nie są za szybkie. Krótki rzut oka dookoła. W oknach są gapie, ale nie wiadomo, ile zdołali ogarnąć, bo wciąż słychać ten klakson i wrzask z placu przed bankiem i zdaje się, że wszyscy właśnie tam patrzą.

Jasiński biegnie prosto przed siebie przez parking obok filharmonii. Na rogu Moniuszki wpada na jakąś parę. Uderzenie jest silne, więc na chwilę staje w miejscu.

– Bardzo przepraszam! – rzuca i skręca w lewo w kierunku Marszałkowskiej.

Furman w tym czasie zwalnia na końcu Kniewskiego. Odsuwa deskę w parkanie i przeciska się na plac budowy Ściany Wschodniej. Był tu dzisiaj rano, jeszcze przed świtem, żeby obluzować deski. Zna drogę pomiędzy wykopami.

Pięć minut później przechodzi znowu przez parkan, od strony Marszałkowskiej. I za chwilę będzie w tramwaju.

TERAZ

Ostrzeżenia meteorologów nie potwierdziły się, orkan Barbara osłabł i nie spustoszył Polski. Wtorkowy ranek był szary, ciężki i obcy. Serbia miała podkrążone oczy, a włosy niedbale związane gumką. Warszawa powoli obsychała po deszczach, ale sytuacja nie była jeszcze całkowicie klarowna, bo tłuste, opasłe chmury tarły brzuchami nisko po szczytach wieżowców.

Skreśliła w prawo, w Krasińskiego. Kościół Świętego Stanisława Kostki miał na murach ciemne plamy wilgoci, zupełnie jakby się poccił. Kiedyś dziwiło ją, że stoi tyłem do ulicy. Kościoły powinny przecież stać frontem do klienta. Czytała gdzieś, że po wojnie, kiedy budowa ruszyła na nowo, księża zdecydowali, że budynek stanie tyłem do kolonii zamieszkałej wówczas przez komunistycznych działaczy. Wtedy Żolibórz był najmodniejszą dzielnicą elit. Miał swoje rytuały, kino i postępowy, komunistyczny klimat. A potem okazało się, że z jednej strony mieszkał w tej parafii Jacek Kuroń, a po drugiej stronie placu Wilsona ksiądz Popiełuszko. I Żolibórz okazał się jednak kolebką wolności.

Podobno mają gdzieś pod kościołem muzeum Popiełuszki. Nie była. Nie lubi martyrologii. Dość się naoglądała zdjęć trupów w robocie. Ale może powinna to zobaczyć? Może powinnam pojechać tam z Siwym? – pomyślała złośliwie. Wkurzał ją tymi zagadkami sprzed lat. A może irytowała się na samą siebie, że nie potrafi mu odmówić. Skreśliła w lewo. Ruch zgęstniał. Nie żeby nie interesowała

jej sprawa napadu sprzed lat. Wręcz przeciwnie, tamta sprawa z Barcikowskim też była ciekawa, dużo się nauczyła. Ale to nie jest w porządku dostawać zadania poza drogą służbową. Wiedziała, że Siwy ją wykorzystuje, każąc jej grzebać się w starych papierach, podczas kiedy ona powinna jak najszybciej znaleźć mordercę dziewczyny w czarnej sukience. A może po prostu brakowało jej Kosińskiego? Zawsze to on odwaliał najgorszą robotę, a teraz z rozpieprzoną ręką siedzi w szpitalu i podrywa pielęgniarki.

Ale komputer pewnie ma. Podeśle mu zaraz kilka pomysłów, na które wpadła, poszukując informacji o napadzie na Bank Polski. Kosiński ma jedną rękę sprawną, ma czas, niech poszpera w Internecie.

Nie, no ja pierdołę, nie mogę mu przecież powiedzieć. Zobaczyła, że przed Arkadią jak zwykle formuje się korek. Olbrzymi, biało-czerwony sztandar ledwo majaczył pośród niskich chmur. Nie mogę mu powiedzieć, bo zapyta, po co ma się tym zajmować, do jakiej sprawy, o co w ogóle kaman, a wtedy co mu powie? „Aspirancie, to osobista prośba naszego dowódcy, proszę mnie o nic nie pytać, tylko meldować”. Zapyta wtedy, czy to polecenie służbowe, czy po prostu prośba, bo co to za polecenie, skoro dotyczy sprawy sprzed pół wieku? Głupiec by się połapał, że coś tu śmierdzi.

Gównem śmierdzi! Uderzyła w kierownicę dwa razy otwartą dłonią. Nie pomogło. Ruszali się wszyscy jak muchy w smole, postoi jeszcze do kolejnych świateł. Szkoda, że mu nie może powiedzieć. On czasami ma dobre pomysły. A tu trzeba znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Może wystarczy mu powiedzieć, że na końcu tej zagadki są cztery miliony w złocie? Uśmiechnęła się do tej myśli. A może powinna sama to odnaleźć? Gdyby dostała dziesięć procent znaleźnego, mogłaby kredyt spłacić. Głupio zrobiła z tą ugodą. Rozwód nie rozwód, kredyt brali wspólnie. Ale wtedy nie umiała

walczyć. Kurwa, przed Arkadią zawsze korek. Dokąd ci ludzie jadą, do jasnej cholery? Przecież o tej porze po świętach wszyscy powinni jeszcze spać! Pomyślała, że aleja Jana Pawła II będzie zapchana, wzdłuż cmentarza zwykle jechało się wygodniej. Czerwony, mokry mur był surowy i odpychający. Nie lubiła tej drogi, wołała jechać przez miasto.

Ale co robić, nie chciała marnować zbyt wiele czasu. Nie dzwoniła wczoraj do Grzegorzycyka przez cały dzień, ale na pewno swoje zrobił. Jeśli coś wiedział, to już pewnie nie mógł wytrzymać, żeby się jej pochwalić.

Przy cmentarzu żydowskim z autokaru wysypywała się izraelska wycieczka. Serbia poszukała wzrokiem cywilnego auta z oficerami służb, którzy rezydują na stałe w Warszawie z zadaniem ochraniańa szkolnych wycieczek. Nie bardzo rozumiała dlaczego, bo nie pamiętała, żeby kiedykolwiek były jakieś napady na Żydów, ale nie było co na ten temat dyskutować, zwłaszcza odkąd pewien zadymiarz spalił publicznie kukłę Żyda na wrocławskim rynku. Widać w Izraelu nie rozumieli, gdzie Wrocław, a gdzie Warszawa.

Podkręciła radio, kiedy zaczęły się wiadomości, i usłyszała, że orkan Barbara pozbawił prądu ponad sto tysięcy mieszkańców województw północnych, a potem, że najbardziej prześladowaną w świecie grupą religijną są chrześcijanie. Co sześć minut ginie na świecie przedstawiciel tej religii. Najchętniej oglądanym programem telewizyjnym w czasie świąt był po raz kolejny z rządu amerykański hit sprzed lat *Kevin sam w domu*. W czasie kręcenia reklamy z udziałem Ewana McGregora na warszawskim lotnisku Bemowo doszło do zranienia polskiego operatora. Miał nakręcić strzał oddawany w stronę kamery przez strzelca z pokładu śmigłowca. Strzelał emerytowany żołnierz związany z fundacją Sprzymierzeni z GROM. Kula trafiła operatora w udo, konieczna była poważna

operacja. Do zdarzenia doszło kilka dni temu, ale wiadomość dopiero dziś ujrzała światło dzienne.

– No to żeś sobie, chłopie, postrzelał – mruknęła i przyszło jej do głowy, że wszystko popieprzyła z tego niewyspania, bo powinna przecież najpierw pojechać do centrum i zobaczyć na własne oczy cały ten Bank Polski. Jak tu teraz jechać? Minęła już Muzeum Powstania, więc za chwilę znowu wpieprzy się w jakieś korki.

Odstała jedną kolejkę świateł, a potem zjechała na lewy pas i przed korkiem oczekujących do wjazdu na plac Zawiszy zrobiła nawrotkę. Z prawego pasa pojechała Srebrną, koło Orłenu, a potem Złotą do końca. To znaczy do skrzyżowania z Jana Pawła, bo dalej już pojechać nie sposób. Aleja przecina ulicę na pół. Sznur aut był jak rzeka, ale co to jest dla dziewczyny z miasta – wbiła się bez rozglądania na boki prosto na drugi pas, olewając jakieś rozhisteryzowane panny, które dały po sygnale. Trąb se, trąb, jęzdo malowana. Dwie sekundy potem stały obok siebie na światłach dla skręcających w lewo w Aleje Jerozolimskie i pinda jedna wpatrywała się w Serbię wzrokiem zranionej łani spod rzes „jesteś tego warta jak jasna cholera”. A potem wydeła wargi i zaczęła się ostentacyjnie przeglądać w lusterku z miną, która mówiła: „nigdy nie będziesz tak zajebista jak ja”.

Serbia wiedziała, że mogłaby ją zastrzelić. Gdyby tylko naprawdę chciała.

Pięć minut potem skręcała w Marszałkowską i dalej nie było już zakorkowane.

To musi być gdzieś tutaj. Rozglądała się po prawej stronie, szukając zjazdu w Sienkiewicza, a potem w Zgodę.

Jak się wtedy nazywała ta ulica? Hibnera. Ciekawe co za gość ten Hibner. Pewnie komuch. I to nie byle jaki, bo żeby mieć w ścisłym centrum stolicy swoją ulicę w czasach Gomułki, trzeba było być kimś

ważnym. Pomyślała, że to kiedyś sprawdzi. Nie, żeby ją to jakoś specjalnie nurtowało, ale lubiła wiedzieć. Skręciła w Zgodę i natychmiast wyrósł jej przed maską jakiś żul. Wyglądało na to, że jest w damskim płaszczu. Poły rozchodziły się na boki już od wysokości pasa. Kiedyś był niebieski, pikowany i obsyty sztucznym futerkiem. Żul wskazywał jej, że po lewej stronie jest miejsce do parkowania. Super! Nie miała ochoty wciskać się na parking po prawej. Zawsze tam ciasno i jakieś pindy cię jeszcze zastawią. Pomyślała o jesteś-tego-wartej. Ciekawe, gdzie taka lala pracuje. Pewnie gdzieś na Saskiej Kępie. A może w biurówcach na Gocławiu. W tych gazetach i czasopismach... Zaparkowała.

– Da pani na bułkę, kierowniczo – powiedział ten w damskim płaszczu.

– Policja – rzuciła odruchowo.

– A ja nic złego nie robię. Ludziom pomagam, nie wolno? – Skłonił głowę w bok jak wielki ptak.

– Ha, ha, ha – powiedziała poważnie. Pochyliła się z powrotem do auta i wygrzebała piątkę ze schowka. – Tylko żeby mi było na bułkę! – Pogroziła palcem.

– No a jak, pani władzo, jakby inaczej. W takie zimno przecież pić nie należy, bo alkohol wychładza organizm. Dzieje się tak dlatego, że rozszerzają się naczynia włosowate...

Serbia nie słuchała. Poszła szybkim krokiem na róg Domu pod Orłami. Worki ze śmieciami leżały wciśnięte pomiędzy zaparkowane samochody. Po przeciwnej stronie, pod nocnym klubem, walały się foliowe torby i puste butelki. Żadna z nich nie była whisky, a New Orleans chwali się, że ma największą kolekcję w Warszawie. Ciekawe czy dziewczyny pracowały dziś w nocy, czy może na święta pojechały do domów? Na pasterkę. Spojrzała w górę, w okna. Ale nic. Wszystko pozasłaniane. Żadnego ruchu.

Poszła prosto na parking i stanęła pomiędzy samochodami. Były tam dwie pary okutych drzwi, a pomiędzy nimi szyldy kilku firm. Bank Pekao, Krajowa Rada Spółdzielcza, Aviva, Edukator, jakieś komisje, radcy prawni i audytorzy.

A więc to tutaj? – pomyślała. Przechodziła tędy wiele razy i nigdy nie przyszło jej do głowy, że kiedyś mogła się tu wydarzyć taka akcja. Zrobiła jeszcze kilka kroków w stronę Jasnej. Budynek nie miał węgła, tylko elegancko wyprofilowany, półokrągły narożnik. W zaokrąglonym, stylowym narożniku budynku przyciągała wzrok wnęka wypełniona odrobinę jaśniejszym kamieniem. Dotknęła ściany. Piaskowiec. Nad wnęką była płaskorzeźba przedstawiająca dwóch żniwiarzy, a pomiędzy nimi tarczę zegara. Musiały tu być kiedyś drzwi, pomyślała. Ciekawe, w którym roku je przeniesiono. Teraz w zamurowanym otworze tkwiła jedynie dziura zamaskowana żelazną klapą. Pewnie konwojenci mogą tędy wrzucić worek z gotówką. Wtedy, w sześćdziesiątym czwartym, nie mogli. Musieli wejść drzwiami. Bandyci to wykorzystali. Ciekawe. To rzeczywiście środek miasta.

Wróciła do auta i pojechała prosto na Oczki.

Nie lubiła tego odrapanego budynku. Cztery wysokie kolumny. Od ziemi aż pod sam dach. Na kolumnach trójkątny tympanon. Wyglądało to jak przerośnięty dwór. Jak pałac. Tyle że pałace pachną inaczej. Na pewno nie lizolem i nie trupami.

Pokazała legitymację, bo w recepcji siedział ktoś nowy. Powiedziała, że zna drogę i że doktor czeka.

– Który doktor? – zapytała dziewczyna.

– Ten od umarłych.

– Właściwie to chyba wszyscy tutaj są w jakiś sposób od umarłych.

– Uśmiechnęła się recepcjonistka.

– Doktor Grzegorzczak.

– Dziękuję.

Kiedy weszła, Grzegorzycy jadł kanapkę, siedząc przy stole, na którym leżał podłużny kształt przykryty czarną folią.

– Jak tam? Schudłeś? – Popatrzyła Grzegorzycy w oczy, a on wytrzymał to spojrzenie po męsku. Zacisnął usta i milczał.

– No bo ja, powiem ci, czasu nie marnowałam. Oglądałam filmy, jadłam kajmak z puszki i myślałam o wszystkich, z którymi chciałabym spędzić święta, gdybym oczywiście nie była samotną wilczycą.

Nie zająknęła się ani słowem o tym, że przegadała z Szymonem pół nocy. Że opowiedziała mu połowę swojego życia. Że się śmiała i wypła whisky od Siwego do ostatniej kropli.

– Jesteś samotną wilczycą? – Grzegorzycy popatrzył na nią spod oka. – Klimakterium masz? Załatwić ci jakieś hormony? To nie jest tak, że życie się kończy, naprawdę. Przestajesz mieć ochotę na facetów, ale można z tym żyć. Jeśli potrzebujesz porady, to naprawdę możesz mi powiedzieć. Znam kilku psychoterapeutów a nawet psychiatrów, którzy doskonale radzą sobie z tym problemem – dorzucił głośniej. – Jeżeli nie chcesz się przyznawać, rozumiem. Ale hormony, radzę ci, zacznij brać. – Ugryzł kanapkę. – Przepisać ci coś?

– Ja pierdziele, zamknij się! – Wyciągnęła w jego kierunku rozcapierzone palce, jakby chciała go udusić.

– Poddaje się pani, pani podkomisarz? – Grzegorzycy uśmiechnął się promiennie.

– Poddaję się, jeden zero dla ciebie. – Posłała mu całusa. – Masz coś dla mnie o dziewczynie?

– O tancerce?

– O jakiej tancerce?

– W takich butach i w takiej sukience nie mogła być byle kim. Pewnie była tancerką.

- Niech ci będzie. O tancerce.
- Mam. To porządna dziewczyna. Miała dobre serce.
- Skąd wiesz?
- Pokażę ci.

Grzegorzycy podniósł się nagle i jednym ruchem ręki zdarł płótno z korpusu. Serbia zobaczyła nagie ciało dziewczyny z klatką piersiową rozciętą od góry do pępka.

WTEDY

Koniec grudnia sześćdziesiątego czwartego nie należał do udanych. Niskie, szare chmury szarpane wiatrem, śnieg zdeptany i brudny. Ludzie zasmarkani. Pod nosem wartownika zbierał się pęcherzyk powietrza. Czy to, kurwa, wypada, żeby pod nosem wartownika wisiały smarki, pomyślał, ale nic nie powiedział. Uśmiechnął się tylko, kiedy chłopak przyłożył dłoń do czapki.

Nie było powodów, żeby eskalować napięcia. Jeszcze się wszystko nie poukładało, nie uleżało. To przecież dopiero kilkanaście dni. Żydzi jeszcze nie rozumieli, że już po nich. Jeszcze się gapili w oczy, kiedy ich mijał na korytarzu. Jebani. Już się dość napanoszyli, dość, kurwa, krwi napsuli. Cwaniaczki jedne, pewne, kurwa, siebie, jakby zawsze miały rządzić. Oj, kurwa, niedoczekanie. Skończyła się Krwawa Luna i skończą się oni wszyscy. No nie, nie skończyła się, ale podskakiwać już nie będzie. Ani ona, ani ten jej profesor od siedmiu boleści.

Nie bał się ich. Teraz to było jego piętro. I teraz to jemu mieli schodzić z drogi. Jakikolwiek by tam mieli stopnie czy zasługi.

Miał gabinet na końcu korytarza.

Minister pytał, czy nie chciałby gdzieś bliżej, ale nie, nie no, z jakiej racji, obywatelu ministrze, nogi mam młode, przejdę się.

– Miałbym do ciebie bliżej – powiedział minister.

– Ale ja muszę ich tutaj straszyć, obywatelu ministrze – kapitan się uśmiechnął – niech nie patrzą w oczy, tylko po ścianach.

– Masz rację, niech patrzą, jak idzie młodość – powiedział Moczar dźwięcznym głosem.

Tym samym głosem, którym kilka dni temu w Polskim Radio mówił, że napaść Izraela na kraje arabskie, którą sami agresorzy porównują do napaści Hitlera na Polskę w 1939 roku, stworzyła nową groźbę dla światowego pokoju.

„Dla nas, zbowidowców – tłumaczył – zawiera ten konflikt szereg skojarzeń, które wywołują u nas głębokie oburzenie. Obywatele wielu krajów europejskich pochodzenia żydowskiego, którzy tyle nieszczęść, cierpień zaznali ze strony hitlerowskich Niemiec, dziś milczą. Haniebny flirt Izraela z Niemcami, tymi samymi, którzy przed dwudziestu laty posyłali Żydów do komór gazowych, ma swoją polityczną i moralną wymowę. Agresji Izraela na kraje arabskie towarzyszy antypolska kampania prowadzona w świecie przez międzynarodowy syjonizm. Tej wrogiej, antypolskiej działalności jesteśmy zobowiązani przeciwstawić się!”.

I właśnie w ramach przeciwstawiania się kapitan dostał swój gabinet na samym końcu korytarza. Jedyne drzwi, na których nie było żadnego numeru, żadnej tabliczki. Nic. Żydzi wiedzieli, co to oznacza. Moczar oszczał kąty. Zazaczył swoje królestwo. Nie wypierdolił ich wszystkich od razu, ale posadził im na karku szczyła. Bo przecież, kurwa, nie zbowidowca? Ile ten chujek mógł mieć lat? Najwyżej trzydzieści. Nie strzelał w czasie wojny. Nie był na froncie ani na Kielecczyźnie. Nie potrafili się zorientować, skąd się wziął. Nie mieli już tak długich rąk jak kilka lat temu. Wiedzieli, że Moczar się zemści. Polski chłop zawsze się będzie mścił. A białoruski chłop będzie się mścił do siódmego pokolenia.

Minister wiedział, co gadają. Od tego miał ludzi – żeby wiedzieć. Kilku takich jak kapitan. Dobry, operacyjny oficer. Młody, odważny, samodzielny, ale w uzgodnionym zakresie. Był pozbawiony wyrzutów

sumienia. A mógłby je mieć, na przykład z powodu wiceministra Alstera. Malarz czy, jak on to tam nazywał, grafik był za miękki. Dobry był na to, żeby księżom podstawiać kleryków pedałów albo jakieś dupy. Ale do poważnej sprawy był za miękki.

Siedem lat temu, prosto ze studiów kapitan trafił do resortu. Filozof, mówili o nim, ideowy, historię Kościoła ma w jednym palcu i będzie wiedział, jak porozgrywać klechów od środka. Przyda się taki. Siedział kilka tygodni w biurze analiz, nudził się, robił plany.

– A gdyby tak wyszkolić tajną, specjalną, niewidzialną grupę, która mogłaby wykonać każde zadanie – zagadnął przy pierwszej okazji w cztery oczy, w toalecie pierwszego piętra wiceministra Alstera.

Szef powiedział, że tak, tak, to bardzo ciekawe, że przemyśli, żeby mu sporządzić krótką notatkę.

Kapitan, wtedy jeszcze porucznik, się ucieszył. Spisał swój plan, opatrzył teczkę klauzulą ściśle tajne. I zostawił wiceministrowi do rąk własnych na biurku w sekretariacie.

Potem była cisza. Miesiąc, dwa, pięć miesięcy.

A potem z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Zastukali w nocy do drzwi jego kawalerki przy Puławskiej.

Otworzył zaspany. Ale broń w ręku miał.

Jak to zobaczyli, obaj zaczęli się śmiać.

– *Nu zobacz! Kajok maładiec* – powiedział ten niższy.

Żarówka z korytarza świeciła im w plecy. Nie dało się odróżnić rysów twarzy. Tylko ten śmiech.

Odsunął się. Weszli.

Obaj pod pięćdziesiątkę. Obaj w długich płaszczach. Jeden w skórzanym. Drugi w jakimś dziwnym. Jakby z sukna. No ale zimno było. W sumie co się dziwić. Obaj w kapeluszach. Buty suche. Znaczy,

że przyjechali samochodem.

– A wy nie powinniście być tu o szóstej rano? – zapytał.

– Nie wkurwiał. – Nie byli rozmowni. – Ubieraj się.

– Szczoteczkę mam zabrać? – zapytał.

– *Pagadać pajedziosz.*

Ten w skórze rozglądał się po mieszkaniu. Miednica z wodą na stojaku na czterech nogach. Dwa ręczniki. Stół, maszyna do pisania. Sterta książek pod oknem i pod ścianą. Nie na półce, ale ot tak, zwyczajnie na ziemi. Szafa drewniana. Farba w kilku miejscach obłazi. Łóżko stalowe. Czasami myślał, że gdyby przyszedł tu z kobietą, słyszałyby to cały budynek.

– Z kim?

Ten w skórze wzruszył ramionami.

– Mundur mam zakładać czy marynarkę?

– Marynarkę – powiedział ten drugi. – I umyj zęby, synku. Umyj.

Ruszyli. Myślał, że zaraz zawrócą na Rakowiecką, ale skręcili w kompletnie pustą I Armii, a potem Alejami. Dopiero co zmienili nazwę ze Stalina na Ujazdowskie.

Mogłem zabrać zegarek, ganił się w myślach. Postanowił odtąd nie zdejmować zegarka nawet do snu.

Pojechali na Nowy Świat. Zatrzymali się na skrzyżowaniu z Rutkowskiego.

– Tu zaczekamy.

– A ja dokąd?

– Do Kamery.

Zdziwił się, ale nie dał po sobie poznać.

– To nie możecie podjechać? – Wiedział, że to blisko, ale po cholerę miał iść zimą po nocy, nawet jeśli to dwieście metrów.

– Ni możemy – powiedział zza kierownicy ten w skórze. –

Pijnuj, żeby nikt wam nie przeszkodził.

– Ale śnieg pada – powiedział bez gniewu.

– Nie możemy. Rozkaz jest rozkaz – odparł ten w sukienym płaszczu. Pochylił się przez całą długość auta i otworzył drzwi swojemu pasażerowi. – Spierdalaj.

– A chuj z wami.

Mężczyzna wysiadł i obciągnął marynarkę. Zaraz potem postawił kołnierz. Śnieg padał mokry i gęsty. Pochuchał w dłonie, wcisnął je w kieszenie spodni i poszedł.

– Drzwi! – usłyszał za plecami, ale nawet się nie obejrzał.

Cholera, że też nie powiedzieli mu, żeby wziął jakiś płaszcz.

Szedł środkiem ulicy. Kamienice były tutaj wysokie i miały ciekawe fasady. Najciekawsza była ta pod numerem 19. Zbudowana jeszcze w czasach carskich. Stała tam w niszy rzeźba przedstawiająca Polskę z trójką dzieci. Że to niby trzy zabory. Dom Towarzystwa Wioślarskiego. Sienkiewicz i Żeromski mieli tam przed wojną odczyty. Popatrzył w górę, rzeźba była zasypana śniegiem. Nie wyglądała na Polskę. Była za ładna. Za młoda. Wzdrygnął się i skręcił do Kameralnej.

Przed wejściem warowała obła, czarna skorupa limuzyny. Mruczała gardłowo. Nie spała. Po dzielonej na dwoje przedniej szybie od niechcienia wachlowały wycieraczkę. Za szybą widział dwa czerwone światła. Jedno ledwo widoczne, drugie rozbłysło, znikło i po chwili znowu rozbłysło. Pasażer trzyma papierosa w ustach, a kierowca zaciąga się trochę nerwowo, zanotował w myślach. Na drzwiach wisiała wywieszka „Lokal nieczynny. Remanent”. Wyjął rękę z kieszeni. Nie chciała się łatwo wysunąć, bo spodnie ciasne. Skóra zapiekła go do żywego.

Nacisnął klamkę. Zamknięte.

– Ja pierdolę – powiedział na głos.

A potem nakazał sobie spokój. Przez szybki w drzwiach sączyło się światło. Złożył dłoń w pięść i załomotał. Potem jeszcze raz. Zobaczył jakiś cień i szcęknął zamek.

– Długo trzeba na pana czekać – powiedział olbrzymi facet i odsunął się, żeby go wpuścić.

Gość stanął przy kontuarze szatni i spojrzał w lustro. Był cały zasypany śniegiem. Odgarnął go z włosów i zaczął strzepywać z marynarki.

Olbrzym wsunął się za kontuar szatni, wciągając przy tym brzuch, a potem zamknął klapę i wyciągnął prawą dłoń, strzelając palcami.

– O co chodzi? – Młody rozcierał przemarznięte dłonie. Rozejrzał się. W szatni zajęty był tylko jeden wieszak. Kozuch.

– O marynarkę pańską się rozchodzi – powiedział olbrzym. – Pan szanowny pozwoli. Nie godzi się w takim stroju towarzyszyć panu mignistrowi przy posiłku.

– Przecież zamknięte. – Gość z ulgą zsunął z ramion mokrą marynarkę.

– Dla kogo zamknięte, dla tego bęc – powiedział z uśmiechem recepcjonista. – Dla pana mignistra otwarte. – Chwycił marynarkę z lekką odrazą. Gość odwrócił się i chciał ruszyć w głąb lokalu. – Hola! – recepcjonista podniósł głos. – No nie możesz pan iść, królewiczu, w samej tylko koszuli...

– Szafy ze sobą nie przywiozłem.

– Nie bądź pan takim cwaniakiem. U mnie porządek droższy od pieniędzy. Coś poradzimy, zaradzimy.

Otworzył drzwi, na których napisane było „garderoba”, i wszedł do środka. Po chwili wynurzył się stamtąd, niosąc ułożoną na wieszaku aksamitną marynarkę w ciemnogrnatowym kolorze.

– Powinna być jak raz na szanownego pana.

Gość włożył ją. Była za obszerna. Rękawy zsuwały się do połowy dłoni. Recepcjonista z niezadowoleniem pokręcił głową.

– Widzisz pan, pan Hłasko jest od szanownego pana nieco jednak lepiej zbudowanym mężczyzną. No ale nie poradzę. Resztę garderoby mam na samech konusów, więc ta musi nastarczyć. Tylko żebyś mi pan, szanowny panie, nie poplamiał rękawów majognezem, bo się pan poeta śmiertelnie by obraził.

– Dobrze, nie poplamię. – Gość położył prawą rękę na sercu, a lewą podniósł w geście przysięgi.

– No, jeszcze krawacik.

– Pan nie żartuje...

– Ja nigdy nie żartuję, szanowny panie. U mnie bez krawata nie wpuszczamy. Mignister nie mignister. U mnie się liczy, królewiczu, prestiż. O mnie pan Hłasko powiedział innym poetom, szanowny pan raczy posłuchać, że Mniecio nigdy nie bije gości po szczękach, lecz tylko zgarnia ich do kupy i wyrzuca za drzwi z siłą tornada tak, że goście rozplaszczają się na murze po przeciwległej stronie ulicy. Krawat się przynależy.

– No ale nie mam.

– Był tu taki jeden, co sobie skarpetę wiązał, ale ja mam. Szanowny pan będzie łaskaw. – Pan Mieczysław wydobył spod kontuaru czerwony, wąski krawat na gumce.

– Jak pan podłożysz pod kołnierzyk, królewiczu, będzie jak prawdziwy.

Sala była pusta i nie paliły się w niej żadne światła z wyjątkiem dwóch lamp na wysokich stojakach, ustawionych w odległym końcu lokalu. Stolik zastawiony był jak do świątecznego obiadu. Dwóch kelnerów. Pierwszy, wysoki i szczupły, nakładał właśnie jajka z majonezem komuś, kogo zasłaniał. Drugi, niski, stał wyprostowany, trzymając w ręce butelkę wódki.

Gość szedł przez ciemną salę, zastanawiając się, czy powinien zapiąć guziki, czy jednak nie. Marynarka Marka Hłaski wisiała na nim jak na kijku od szczotki. Był dwa metry od stolika, kiedy wysoki kelner wyprostował się i wtedy wszystko stało się jasne.

– Dobry wieczór – wiceminister rozłożył ręce w zapraszającym geście – czy może już nawet dzień dobry. Niech pan siada, panie kapitanie.

– Jestem porucznikiem, dobry wieczór.

– Będzie pan kapitanem, ani się pan spostrzeże – machnął ręką minister – niechże pan siada, zje pan coś? Panie Edziu, niechże pan odsunie krzesło gościowi.

– Jestem po kolacji.

Porucznik nie bardzo wiedział, jak się ustawić, żeby zrobić miejsce wysokiemu kelnerowi. W końcu ten domyślił się i odsunął krzesło.

Porucznik usiadł z ulgą. Kiedy siedzisz, za duża marynarka nie rzuca się tak bardzo w oczy. Starał się opanować zdenerwowanie. Wiedział, że w resorcie toczy się wojna między Moczarem a Alsterem. Gomułka uważał, że obaj wiceministrowie będą się mieć na oku, dzięki czemu nie powtórzy się terror czasów Bieruta. Żydzi Alstera byli wciąż zbyt silni, żeby usunąć ich z ministerstwa. Ale Moczar miał swoich partyzantów. I być może dość siły, żeby się Żydom postawić. Porucznik wiedział, że ten człowiek jest mściwy i okrutny. Że nie zapomniał żadnej z twarzy, które wykrzywiały się w satysfakcji, kiedy składał samokrytykę, odsuwany od władzy wespół z towarzyszem Wiesławem. Nie był pewien, czy jedna z tych twarzy nie należała przypadkiem do wiceministra Antoniego Alstera.

– Jajko w majonezie? – zapytał gospodarz. – Czy może nóżkę w galarecie? Panie Edziu, poproszę obsłużyć pana kapitana.

Wysoki kelner położył przed porucznikiem talerz i zapytał wzrokiem o jajka. Porucznik zmarszczył nos.

– To może tatar? Mamy świetny tatar – powiedział pan Edward.

– Panie Józiu, lej pan. – Minister przywołał gestem niższego kelnera.

– Wie pan, kapitanie, pan Józef jest w tym mieście instytucją. Jeśli, dajmy na to, nie masz pan gotówki, to może pan u niego zamówić kolejkę pod zastaw zegarka.

– Nie wiedziałem, że to taka sensacja – powiedział porucznik.

– No bo nie jest. Tak się rzeczywiście zdarza. Ale pan Józef jest jedyny w swoim rodzaju. Każdego dnia nakręca te zastawione zegarki, prawda, panie Józefie?

– Jak pan minister życzy – powiedział bezbarwnym głosem pan Józef i nalał mu do pełna. Tak że nie dało się podnieść kieliszka, żeby kropelka nie spłynęła po krawędzi. Porucznikowi nalał dokładnie tak samo. Mistrz, pomyślał porucznik.

– Zapewne dziwi pana, kapitanie, że spotykamy się tutaj, a nie w resorcie. – Minister włożył do ust kawałek jajka. – Porucznik czekał. – Nic pan nie powie? – Kropelka majonezu na jego ustach zatrzęsała się jak ła.

– Nie mam pojęcia, obywatelu ministrze – powiedział porucznik. A potem pozwolił sobie na żart: – Czyżby nie było tu podsłuchów?

– Zapewniam pana, że są – minister otarł usta grzbietem dłoni – ale te tutaj są moje własne.

Skinął dłonią. Pan Józef i pan Edward cofnęli się w mrok.

– Niech pan zje jajko, zanim przyniosą tatar. Ja, wie pan, do jajek przywykłem w partyzantce. No po prostu nie mogę się bez nich obejść. Zwłaszcza kiedy mam taki wieczór jak dzisiaj. Kiedy załatwiam sprawy.

– A – zauważył porucznik i sięgnął po chleb. A potem nożem nabrał trochę masła.

– O właśnie. Żebyś pan wiedział – uśmiechnął się Moczar – pan jesteś dzisiaj ostatni, kapitanie.

– Poruczniku.

– Niech już pan da spokój.

Jedli przez chwilę w milczeniu.

– Czytał pan moją samokrytykę? – zapytał Moczar.

– Ależ skąd. – Porucznik z trudem zdołał zapanować nad głosem.

– No tak... – Minister machnął ręką. – Pan na to za młody. Musiałem przeprosić partię i naród za swoje antyradzieckie i antysemityczne poglądy, rozumie pan? Antysemityczne poglądy.

– Doszły mnie słuchy o tym.

Porucznik nie potrafił zrozumieć powodu swojej obecności w tym miejscu. Grał na zwłokę. Jadł chleb z masłem i skupiał się na tym, żeby nie pobrudzić rękawów pożyczonej marynarki.

– Wie pan, a ja czytałem pańską tajną notatkę. – Tamten sięgnął po półmisek i zrzucił sobie na talerz jedną z sześciu galaret. Potem rozejrzał się po stole i nie podnosząc wzroku, ruchem ręki przywołał kelnera.

– Panie Edziu – spojrzał na niego dopiero, kiedy kelner był tuż obok – ocet, poproszę.

– Już się robi, towarzyszu ministrze.

Moczar przywołał go skinieniem palca. Pan Edward pochylił ucho.

– Towarzysze, panie Edziu, to wpierdalają ziemię razem z towarzyszem Bierutem. A my, obywatele, zrobimy teraz nowe porządki. Tylko octu nam potrzeba. Więcej octu. – I poklepał pana Edzia po policzku.

Porucznik milczał.

– Niech mu pan każe przynieść wreszcie ten tatar. – Minister zmarszczył brew.

– Już, oczywiście. – Pan Edzio wycofał się rakiem z kręgu światła.

– No... czytałem, czytałem. Bardzo ciekawe. Ale wie pan, z towarzyszem Alsterem to pan daleko nie zajdziesz.

Porucznik milczał. Żuł chleb. Na słowo „towarzysz” nie zareagował.

– Wiem, że pana polubił, może nawet pozwoli panu wyprowadzać psa, bo zdaje się, że mieszkacie w jednej kamienicy, ale nie zrealizuje pan z nim swojego planu, bo towarzysz Antek jest tchórzem. Artystą. Pię-kno-du-chem. Zresztą niech pan sam powie. Żyd z Rzeszowa to prawie jak idzie Sasza suchą szosą. – Minister się roześmiał.

Porucznik milczał, ale w oczach zaświeciły mu się wesołe ogniki. Postanowił mieć się na baczności. Zjadł już kromkę, a nie chciał teraz wyciągać ręki po kolejną. Na szczęście z mroku jak duch wyłonił się pan Edzio z butelką octu i półmiskiem tatara.

– Nałożyć szanownemu panu?

– Tak, poproszę.

– Żyd z Rzeszowa, syn Mojżesza. Syjonista. Wróg Kościoła, to się chwali, ale o walce nie ma pojęcia. W sztabie przekiblował wojnę. Nie strzelał. I do nadzoru nad działalnością antypaństwową nadaje się jak chuj do zamiatania.

– Nie to, co pan, obywatelu ministrze – odważył się porucznik.

– Właśnie – minister wycelował w niego palec – ja potrafię strzelać. Wiem, jak to jest patrzeć wrogowi w oczy. Antka dali na wiceministra, bo trzeba było zademonstrować społeczeństwu ludzką, łagodną, obywatelską twarz odwilży. Zresztą kogo tam trzeba dla dobra socjalistycznej ojczyzny wyeliminować, to już towarzysze wyeliminowali. A teraz się bohaterom Warszawy postawi jakiś pomnik i zapomnimy o tym, co złe. Nike czy syrenę, co oni tam planują. Zresztą ja sobie myślę, że my w lesie, a oni tutaj, w mieście, robili z Niemcami dobrą robotę. Wkurwia mnie, że o tym milczymy.

No! To wypijmy. Za bohaterów Warszawy.

Wypili.

Pan Józef natychmiast podszedł i bez słowa napełnił kieliszki znów w ten idealny sposób. Ponad krawędzią szkła perliła się powłoka płynu, który jednak nie spływał, póki nie wyciągnęło się po niego ręki.

– A mnie się, kapitanie, pański pomysł podoba. Nie możemy być bezbronni. Granica na Odrze i Nysie nieustalona. Niemcy chcą wracać do Wrocławia i do Legnicy. Żydzi kombinują porozumienie z Niemcami. Powąchaliby pieniądze i już zapomnieli, kto ich pakował do krematoriów. To nam nie posłuży. Będą jeszcze zwałali na nas winę za ten ich cały Holokaust, za obozy. Popamiętasz pan moje słowa. A my się mamy bawić w politykę zagraniczną. Przyjaźń z Ruskimi, przyjaźń z Niemcami. Przyjaźń dobra rzecz, ale dobrze byłoby mieć kilku ludzi gotowych na wszystko. Taka ekipa, o jakiej pan myślisz, byłaby bardzo przydatna, ale nikt tego poza mną nie zrozumie.

– Mam przejść do pańskiego pionu w resorcie? – zapytał porucznik, nie kryjąc nadziei.

– Oj, wyżej pana oceniałem.

– Tylko pytam. Słyszę, że jednak nieprędko będę kapitanem.

– Gdyby pański awans mógł pomóc sprawie, załatwilibyśmy to dzisiaj.

– Ale wtedy musiałbym zmienić mieszkanie, a wówczas kto wyprowadzałby psa z przyjaciółmi towarzysza Antoniego Alstera?

– O! – Minister sięgnął po kieliszek. – Widzę, że się rozumiemy. Jednak nie myliłem się co do pana. A wtedy skąd bym wiedział, co oni tam knują?

– Kto w szczególności?

– Zambrowski, ten od kontroli państwowej... no niech pan sam

sobie dopowie.

– Kasman? – Porucznik przypomniał sobie o konflikcie Moczara i Kasmana.

– Doskonale.

– Jaroszewicz, Putrament, Rakowski?

– Bardzo dobrze się rozumiemy. Z jednej strony my, z drugiej ci z Puławskiej. Tak to nam towarzysz Wiesław urządził, że niby się nawzajem mamy pilnować, żeby się nie powtórzył już nigdy w naszym kraju krwawy terror. A to, kurwa, nikomu nie służy. Resort ma inne zadania niż szachowanie jedni drugich. Ale zagramy w te karty. Pan mi pomoże, kapitanie, a ja pomogę panu spełnić to marzenie. A teraz pomówmy o pańskim pomysśle. Dostanie pan ode mnie teczki. Będą do zwrotu. Wybierze pan czterech. Będą należeć do pana. Twardzi, zaufani bojowcy. Bardzo ideowi. Nieulękli, można powiedzieć. Nadadzą się. Przygotuje ich pan i urządzicie jakąś akcję. Tylko żeby to była, wie pan, petarda!

Pochylili się nad półmiskiem i nałożyli sobie tatara.

– Panie Edziu – zawołał minister.

Dziesięć miesięcy później, 4 grudnia, dwaj nieznani sprawcy dokonali zuchwałego napadu na kasjerkę sklepu obuwniczego Chełmek. Ofiara była bez znaczenia, ale datę wybrali bardzo skrupulatnie, to była bardzo ważna rocznica dla Żydów. Czwartego grudnia 1942 roku powstała Żegota. Reakcyjny londyński rząd litościwie postanowił, że będzie ratował Żydów.

Dochodzenie było intensywne. W końcu padł strzał. W powietrze, ale to zupełnie wystarczyło. Milicjanci odnaleźli kilkadziesiąt niedopałków po papierosach marki Nysa za budką stróża pilnującego budowy kina Luna. Uznali, że bandyci od kilku dni obserwowali kasjerkę i jej ochroniarza i wiedzieli, że tędy chodzą. Nie udało się sporządzić rysopisów, ale udało się odnaleźć łuskę kalibru 7,62

milimetra. Pochodziła z pistoletu wojskowego wz.33, autoryzowanej kopii radzieckiej tetetki. Śledczy ustalili, że najprawdopodobniej została wyprodukowana w 1951 roku i należała do serii M.

A teraz kapitan szedł korytarzem i wspominał stare dzieje. Rozmowę z Alsterem, spotkanie w Kameralnej, lata oczekowań i wczorajszą akcję. Uśmiechał się do siebie. Był pewien, że Żydzi w resorcie już zaczynają rozumieć, że czas się pakować. Ale jeszcze się gapili w oczy. Jebani. Mieli mu pewnie za złe, że po ostatecznym odsunięciu Alstera nie odszedł, ale z dnia na dzień awansował.

Popchnął drzwi na końcu korytarza.

– Dzień dobry, obywatelu kapitanie – powiedział adiutant, zrywając się z krzesła. Starszy gość, wąsaty. Sprawdzony przez Moczara jeszcze w partyzanckich czasach. Jeden z tych z boju pod Rąbłowem.

– Ma mnie szpiegować? – zapytał ministra i mrugnął, kiedy ten ich sobie przedstawiał.

– Jest lepszy niż telefonogram – Moczar położył porucznikowi rękę na ramieniu – szybki, bezbłędny i natychmiast wszystko zapomina. Kiedy mówisz mu coś do ucha, to jakbyś mówił mnie.

– Siadajcie, siadajcie – powiedział do adiutanta. Czy też może powinien myśleć o nim jak o sekretarzu?

– Gazetki już są.

– A to dawajcie, dawajcie.

Rozwinął „Express Wieczorny” i na pierwszej stronie zobaczył informację o napadzie przy ulicy Jasnej.

– Przy Hibnera, kurwa mać! – zaklął na głos. – Powinni napisać, że przy Hibnera. Daty, miejsca, to ma przecież fundamentalne znaczenie!

TERAZ

– Pojechało cię. – Serbia odwróciła wzrok. Zrobiło jej się słabo.

– Przepraszam. – Spowaźniał w jednej chwili.

Zrozumiała, że musi wyglądać naprawdę źle. Odliczyła w myślach od siedmiu do jednego. Ale nie pomogło.

– Już dobrze – powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Widziała tylko brzeg stołu. Z okrągłym otworem spływu. Stół był suchy. Krew już tamtędy nie płynęła. Ani nawet woda.

– Oddychaj, oddychaj – powiedział nieswoim głosem Grzegorzycy. – Myślałem, że trochę zwłok już w życiu widziałaś.

– Widziałam – przełknęła ślinę – ale nie były wypatroszone.

Zaprzagnęła nagle usiąść gdzieś, gdziekolwiek. Na samo wspomnienie otwartego ciała dziewczyny zakręciło jej się w głowie.

– Przepraszam, może usiądziesz?

Grzegorzycy musiał zauważyć jej stan. Podniósł się z blaszanego stołka na gwintowanej nodze, dzięki której można było regulować wysokość. Stołek miał okrągłe siedzenie. Raz, dwa, trzy... osiem dziurek, policzyła szybko w pamięci.

– Już dobrze. – Usiadła ciężko. I podniosła na niego wzrok. Byle dalej od tego pierdolonego blatu. – Ale możesz ją zakryć?

– No jasne, kurwa, już zakrywam. – Grzegorzycy wepchnął do ust resztę kanapki i rzucił się w kierunku stołu. – Wiesz, tu nawet ludzie z laboratorium czasami nie wytrzymują. Zamilkł na moment, żeby

przełknąć ostatni kęs. – Ci ze szpitala mają dyżury. No i ci najlepsi zawsze wytrzymują, ale czasami zachorują albo co i przychodzą inni na zastępstwa. No i widzisz, że ledwo się trzymają. Serio. A to przecież lekarze albo laboranci. To jednak nie jest to samo, kiedy badasz gotowy wycinek tkanki i kiedy sam go musisz wykroić z człowieka.

Nie pomagasz, pomyślała. Ale nie powiedziała nic. Poczula, że odpływa. Usłyszała oleisty szelest folii. To musiał być gruby materiał. A potem kroki, stęknienie i Grzegorzcyk pojawił się jej przed oczyma, taszcząc identyczny taboret na gwintowanym trzpieniu.

– Może wody ci dam? – Wydawał się naprawdę przejęty.

– Nie... – Pokręciła głową. – Chyba bym nie przełknęła. Przepraszam. Nie spodziewałam się. – Przestraszyła się, że straci oddech. Łapała powietrze otwartymi ustami.

– Ja też cię przepraszam. Może wolisz na korytarzu pogadać? – Położył jej rękę na ramieniu.

Milczała chwilę. Obecność ciała wypatroszonej dziewczyny była bolesna. Serbii wydawało się, że słyszy jak pod oddechem denatki porusza się ta gruba folia. Z całej siły skupiła się na butach Grzegorzcyka. Żeby nie stracić oddechu. Żeby nie stracić oddechu.

– Chodź, idziemy.

Nie usłyszała.

Wybudziła się z odrętwienia dopiero, kiedy nią potrząsnął.

– Idziemy na korytarz – zawyrokował. – Wezmę papiery.

Wyszli. Do okna było kilka kroków.

– Otworzysz? – poprosiła.

– Nie da się.

– Jak to?

– Takie procedury.

– Ochujeli?

Kiedy podniosła oczy, zobaczył, że zrobiły jej się pod nimi sine, brzydkie cienie.

– Nie chcą, żebyśmy robili im zdjęcia.

– Umarli nie chcą? – Nie zrozumiała.

– Nie, nasi sąsiedzi. Ci z drugiej strony podwórka. WSI.

– Pierdolisz, jakie WSI?

– Wojskowa bezpieka. Mieli tu swój biurowiec. Nie wiedziałaś?

– Ja z prowincji jestem. – Powoli dochodziła do siebie. Chciała myśleć o czymś innym niż ten korpus pod folią. – Sądziłam, że nie ma już WSI.

– Teraz jest kontrwywiad. Rozumiesz. Szpiedzy... nie lubią, żeby im się gapić na budynek.

Spojrzała przez szybę. Gówno widać. Parking, kilka samochodów, ale żadnych luksusów. No i brązowe ściany.

– Jest o co kruszyć kopie?

– Zależy, kto pyta. – Grzegorzycy się uśmiechnął. – Pewnie mają swoje powody. Ale kiedyś, jakieś dziesięć lat temu, zrobili tam muzeum.

– Muzeum wywiadu?

– Kontrwywiadu. To jednak różnica. Ale nie, nie kontrwywiadu. Zbrodni komunistycznych. Ale żadnego szyldu nie było, nic. Widziałem reportaż w TVN24. Że trzeba podanie złożyć, rozpatrzą i można zwiedzać.

– I złożyłeś?

– Miesiąc czekałem na zgodę, ale w końcu dostałem telefon, że czekają. Rozumiesz? Zadzwonili, że mogę przyjść pozwiedzać.

– W dupach się im przewraca w tej armii. – Cieszyła się, że może posłuchać o czymś innym niż zwłoki.

– Wchodzę, a tu okazuje się, że jest nas z dziesięć osób. Sami jacyś emeryci, powstańcy czy ktoś. No i wchodzimy. Najpierw wartownia. Wszystko mi kazali z kieszeni powyjmować. Nie pozwolili wziąć aparatu, nawet, cholera, telefonu nie wolno wnieść. Mają specjalne szafki, telefon musisz zostawić.

– Zupełnie jak we więźniu. – Uśmiechnęła się.

– A żebyś wiedziała – przytaknął. – A potem jeszcze jedna kontrola. I tam czekał przewodnik. Prosto korytarz, jak w urzędzie, ale my schodzimy do piwnicy.

– I co widziałeś?

– Właściwie nic. Cele i kilka tablic.

– Jak w szkole? – zdziwiła się.

– Nie, takich ze zdjęciami. Zdjęcie i życiorys. Na jednej ci, co mordowali. Na drugiej kilku z tych, którzy dostali kulkę w łeb. Wiesz, jak kogoś dorwali w obławie i zabili, to potem robili mu zdjęcie. Sadzali pod ścianą, ręce wzdłuż ciała i robili zdjęcie. To widziałem. I order z podobizną Dzierżyńskiego. No a poza tym cele.

– Jak to w więźniu.

– Tyle że w tym strzelali ludziom w głowę.

– Jak to?

– Łeb rozbity, rodzina nie pozna.

– Długo działało to więzienie?

– Kilka lat po wojnie. Za Gomułki zlikwidowali. Ale ten przewodnik mówił, że kilka cel było w użyciu jeszcze w latach osiemdziesiątych. Siedzieli tu współpracownicy Kuklińskiego. Podobno były tych piwnic trzy poziomy, a teraz został tylko jeden. Resztę zasypali.

– Dobrze. – Wyprostowała się i uśmiechnęła. – Już.

– Co „już”?

– Już więcej nie pierdol, nie musisz się starać. Oddycham. Gadaj, co z dziewczyną.

Odwrócił się tyłem do okna i przysiadł na parapecie. Otworzył teczkę.

– Przyczyną śmierci, jak wiesz, było wykrwawienie. To łatwiejsza część. Ale jak to możliwe, że nie krzyczała, że się nie szarpała?

– Była odurzona, to chyba oczywiste.

– Takie przyjąłem założenie. Z oględzin ciała wynika, że leżała bez ruchu. Nie ma otarć na stopach i na nadgarstkach. Nie była związana. Musiała więc być czymś nafaszerowana. Może zabił ją jakiś domorosły anestezjolog?

– Myślisz?

– Powiem ci więcej, kiedy oznaczymy tę substancję. Na pierwszy ogląd to morfina. Ale na razie tego jeszcze po prostu nie wiem. Pobrałem próbki z wątroby, wycinki z żołądka i jelit. No wszystko, co może się przydać. Znajdziemy, co to jest, ale tak na szybko ci nie powiem, a analizy potrwają. – Szurał papierami. – Na ustach nie znalazłem żadnych zmian, które mogłyby sugerować, że coś wypła przed śmiercią. Nie ma siniaków. Nie przygryzła sobie warg ani języka. Nie ma też śladu po tym, żeby ktoś jej nałożył maskę. Na ustach i w jamie ustnej żadnych pyłków, skrawków bawełny, gazy, waty... nic. Nie ma też podrażnionych błon śluzowych. Gardło czyste.

– A więc nie była uśpiona chloroformem – powiedziała Serbia.

– Gdyby to był na przykład dichlorometan, miałyby podrażnione błony śluzowe. Gdyby chloroform, znaleźlibyśmy jakieś ślady walki. Broniłaby się. Tylko na filmach przykładają ci chusteczkę do nosa i od razu się osuwasz. Musiałaby mieć maskę na twarzy. No ale zobaczymy. Jeśli to chloroform, będą ślady w nerkach i w wątrobie. Szukałem dalej i jest ślad po wkłuciu igły na ramieniu. Zupełnie jak po szczepionce. Nie ma żadnych śladów przemocy. Żadnych śladów

walki. Pod paznokciami czysto. W ogóle czysta jest bardzo.

– Seks?

– Też nie. W każdym razie nie bezpośrednio przed śmiercią.

– Bezpośrednio przed śmiercią to leżała w błocie w eleganckiej sukience. Tyle rozumiem, że tam do niczego nie doszło.

– No to powiedzmy, że nie spółkowała w ciągu ostatnich kilku godzin.

– Nie ma śladów przemocy, więc dostała zastrzyk od kogoś, kogo się nie bała. Może jakieś dewiacje seksualne? Wiesz, po tych twarzach Greya ludziom odbija. Myślą, że się zabawia, a potem umierają.

– Nie wiem, ludzie są dziwni, ale intuicja podpowiada mi, że tu nie ma seksualnego podtekstu.

– A sukienka? Ułożenie ciała?

– To rzeczywiście zastanawiające, ale raczej nie ma śladów penetracji. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że mogła dostać zastrzyk, kiedy spała.

– Albo że zrobiła to dobrowolnie.

– Mogło być i tak. Powiem ci, co dalej. Plamy opadowe są czerwonawe. To czasami pomaga toksykologom. Ale dla mnie to na razie tajemnica. Tyle to wiedziałem przed jej otwarciem. No a potem standardowo. Podwiązanie żołądka...

– Pardon?

– Znowu ci niedobrze? – Podniósł na nią wzrok.

– Nie, nie zrozumiałam.

– No podwiązuje się żołądek z jednej i z drugiej strony, żeby zachować do analizy to, co ostatnio jadła. Chcesz jaśniej? Mam ci opowiedzieć ze szczegółami?

Pokręciła głową.

– No dobra, więc podwiązanie żołądka – wrócił do czytania. –

Wycinki z jelita cienkiego, wycinek z jelita grubego, wycinek z wątroby razem z pęcherzykiem żółciowym. Poza tym wzięłem też z płuc, na wszelki wypadek, bo na moje oko można wykluczyć wziewne zatrucie, ale strzeżonego pan Bóg i tak dalej. No i oczywiście mózg.

– Mózg jej wyciąłeś? Kurwa, dobrze, że stałam z boku – westchnęła Serbia.

– Nie wyciąłem, ale jest potrzebny do zbadania. To standardowa procedura. Wycinek z mózgu i próbki krwi. Z tym był kłopot, ale mam próbkę z serca. Nie mam z żyły udowej, a by się przydał. Mam z łydki. No i to masz tu wszystko napisane. Teraz będziemy musieli poczekać na wyniki.

– Szybko mi zrobisz?

– No to już nie ja. Mamy tu dziewczynę od toksykologii. Młoda, piękna, cudowne dziecko. Doktorat zrobiła z ksenobiotyków w czasie, kiedy ja dopiero kończyłem trzeci rok na studiach.

– A... zawsze się tak grzebałeś i dlatego robisz w trupach.

– Widzę, że już ci lepiej. – Roześmiał się.

Kiedy wyszła na zewnątrz, deszcz przestał padać. Wiatr gonił chmury, ale w tunelu ulicy i tak nie było widać słońca. Wsiadła do auta. Było tak wyziębione, że założyła rękawiczki.

– Kurwa, żeby tak mieć chociaż podgrzewane fotele – mruknęła. Przekręciła klucz i od razu rozgadało się radio.

„Zdaniem dziennikarzy TVN w czasie liczenia głosów w Sali Kolumnowej Sejmu mogło zabraknąć kworum. W ostatnim sektorze na nagraniach widać pięćdziesiąt sześć uniesionych rąk, tymczasem w protokole zapisano, że padło sześćdziesiąt pięć głosów. Opozycja uważa, że przeniesienie obrad do Sali Kolumnowej odbyło się z naruszeniem prawa. Do prokuratury trafiło zawiadomienie o przekroczeniu uprawnień i niedopełnienia obowiązków przez

marszałka Sejmu oraz o działania funkcjonariuszy publicznych na szkodę interesu publicznego. Tymczasem na skwerze naprzeciwko Sejmu ustawiono kilkanaście nagrobków. Napisy głoszą: prawo, sprawiedliwość, konopie w medycynie, antykoncepcja awaryjna. Jest to «cmentarz wartości, które pogrzebał lub usiłuje pogrzebać obecny rząd»”.

A zaraz potem Kazik Staszewski zaśpiewał „wstyd, wstyd, hańba i wstyd”.

Wyciszyła i zadzwoniła do Siwego.

– Jak tam, dowódco? Jak zdrowie?

– Chujowo, ale nie będę ci się żalił.

– Podśluchów się boisz?

– Chuj ich tam wie – mruknął. – Emerytury zabiorą, to będzie ich przecież stać na podsłuchiwanie. Mów, o co chodzi, bo rosół gotuję.

– A... – zdziwiła się – to chyba naprawdę nie jest z tobą najlepiej. Wiesz, myślałam nad tymi twoimi zagadkami i coś mi się poskładało.

– Serio? – Usłyszała metaliczny dźwięk, jakby upuścił łyżkę do blaszanego zlewozmywaka. – Opowiadaj.

– Na razie nie mam czego. Ale zdaje się, że zrozumiałam już te cyfry. Może nie wszystkie, ale mam punkt zaczepienia.

– Naprawdę? Jestem z ciebie dumny.

– No ale żeby to potwierdzić, potrzebuję zajrzeć do jakichś archiwów. Do teczek z 1964 roku. Myślisz, żeby uderzyć do IPN-u?

– Nie, tam nie bardzo możesz, bo musiałybyś oficjalnie prowadzić dochodzenie, to są popieprzone procedury. Dałbym ci wejście do naszych akt, gdybym nie był na zwolnieniu, ale teraz sama widzisz, w domu siedzę.

– A nie możesz zadzwonić do kogoś w tym archiwum?

– Mogę, ale nie chcę zostawiać śladów. Nie chcę, żeby ktoś pytał

albo się interesował. Teraz już nie ta fabryka co dawniej. Dobra zmiana nastaje. Nie wiem, komu ufać. A nie prowadzimy przecież oficjalnego postępowania.

– Bez archiwum nie ruszę – sponsepniała.

– Gdzie teraz jesteś? Może wpadnij do mnie, przegadamy to.

– Nie, może wieczorem, ale wiesz co, do Narodowej podjadę.

Muszę coś posprawdzać.

– Do jakiej Narodowej?

– Do Biblioteki Narodowej.

Godzinę później taszczyła do stolika monstrualny tom „Trybuny Ludu”. Chcieli jej wcisnąć wersję na mikrofilmie, ale pokazała legitymację i powiedziała, że musi mieć oryginalny papier.

Podziałało.

– Tylko niechże pani na to uważa. – Kobieta za kontuarem mierzyła Serbię nieprzychylnym wzrokiem. – Co się raz rozerwie, to się już potem nie skleji.

Tomiszczce było tak wielkie, że zajmowało dwie części biurka i nikogo już koło Serbii nie można było posadzić.

Zaczęła od tyłu. Trzeci numer, licząc od końca roku. Pierwsza strona. „Zuchwały napad bandycki w centrum stolicy. Jeden konwojent zabity, drugi ranny. Łupem bandytów padło 1 mln 300 tys. zł”.

WTEDY

„Zuchwały napad bandycki w centrum stolicy. Jeden konwojent zabity, drugi ranny. Łupem bandytów padło 1 mln 300 tys. zł – czytał kapitan informację, własną, na pierwszej stronie »Trybuny Ludu« – O bliższych szczegółach napadu poinformował nas w późnych godzinach nocnych szef Służby Kryminalnej Komendy Głównej MO płk Stanisław Górnicki. Według wstępnych ustaleń śledztwa wypadki miały następujący przebieg...”

Kapitan przeczytał uważnie artykuł. Rysopisy sprawców. Jeden młody, wysoki, krótko ostrzyżony blondyn o bladej i szczupłej twarzy. Brak nakrycia głowy. Ubrany w ciemnobrązowy skafander albo kurtkę ortalionową, czy może skórzaną.

– Ilu świadków, tyle rysopisów – mruknął kapitan.

„O drugim sprawcy udało się ustalić, że był niższego wzrostu. Obaj oddalili się samochodem oczekującym na nich w pobliżu miejsca przestępstwa”.

Kapitan był zadowolony. Wszystko grało. Żałował tylko, że pisali „przy Jasnej”, bo powinni przecież napisać „przy Hibnera”. To było dla niego ważne. Takie sprawy się liczą.

Stuk, stuk.

– Dawajcie.

– Herbatka, obywatelu kapitanie. – Ordynans zaszurał butami.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Stary wiarus ustawił spodek na biurku i zerknął na gazety. Fusy powoli opadały na dno szklanki.

– „Expressiaka” to czytałem – powiedział. – Niezłe cwaniaki te bandyty.

– Myślisz pan?

– No ba! Akcja jak z partyzantki. – Uśmiechnął się. Miał dwa złote zęby.

– No dobra, dobra... – Kapitan odchylił się do tyłu i splótł ręce na karku. – I to się działo na ulicy Hibnera... Słyszał pan o Hibnerze?

– Nazwisko jakby żydowskie...

– A nie, nie, to porządny komunista był. Z KPP. Mieli wtedy w partii kapusia. Hibner zgłosił się, że go zlikwiduje. – Kapitan rozsiadł się wygodniej. – Było jeszcze dwóch innych ochotników: Rutkowski i Kniewski. Mieli to zrobić na ulicy Zgoda w biały dzień. Ale ten kapuś, Cechnowski, wyczuł sprawę i policja urządziła nagonkę. Zamachowcy byli młodzi, mieli po dwadzieścia pięć lat, tylko Hibner był już doświadczony. Może jakby bardziej się opanowali, to by po prostu przeszli obok policjantów i zrobiliby zamach za kilka dni. Ale oni nie potrafili się opanować. Zagadnięci o dokumenty wyjęli broń i zaczęli strzelać do policjantów. Kniewski pobiegł w prawo, tamci dwaj w lewo. Kniewski przebiegł kilkaset metrów. Dopadli go na Brackiej. Najpierw dostał w nogę, a potem konny policjant przyłożył mu pałą. Rutkowski z Hibnerem porwali dorożkę. Ostrzeliwali się i uciekli na Twardą. Ranili po drodze kilka osób, bo z dorożki nie jest łatwo strzelać. Jakaś kula trafiła matkę z dzieckiem. W końcu zostali otoczeni w składzie złomu na Żelaznej. Ostro się bronili. Poddali się dopiero, kiedy zabrakło im amunicji.

– No, no, no. – Adiutant z uznaniem pokręcił głową. – A obywatel kapitan skąd zna te opowieści z KPP?

O ty, czujna kurwo, pomyślał kapitan i postanowił lepiej się

pilnować przy adiutancie.

– Na studiach miałem historię ruchu ludowego – powiedział – byłem dobrym studentem. Uważałem. Sporo zapamiętałem. Cukru możecie mi przynieść? – Poskrobał w cukiernicy, ale wszystko było zbrylone i poślizkłe, jakby od dymu z papierosów. – Ten jakoś się nie nadaje.

– Rozumie się, obywatelu kapitanie. Przyniosę. – Ruszył do drzwi, ale jeszcze się odwrócił.

– A z zamachowcami, co stało się?

– Rozstrzelali ich. Wszystkich trzech. Na stokach cytadeli. O czwartej nad ranem w sierpniu 1925 czy 1926 roku.

– A z kapusiem, co się stało? – Stary był już w drzwiach.

– Był na niego drugi zamach. Ale już nie w Warszawie. We Lwowie. Nie pierdolili się, tylko dostał kulkę w plecy.

– Dla zdrajcy lepsza byłaby w głowę.

Ordynans zatrzaskał za sobą drzwi.

Kapitan wertował gazety. O napadzie na bank nie było już wiadomości na kolejnych stronach.

Następnego dnia nic się nie działo.

Minister nie wzywał. Pewnie w ogóle go nie było dzisiaj, bo Wigilia. Żydzi na korytarzach łypali na kapitana spode łba. Wiedzieli pewnie, że nie ma nic do roboty. Że nie prowadzi żadnego postępowania. W takiej instytucji nic się nie ukryje. W każdym razie nic, na co muszą być papiery. Rządzili tu kilka lat, więc mieli swoje kanały informacji. Wcale go to nie dziwiło. Wiedział, że go podejrzewają. Myślą, że jest w resorcie tylko po to, żeby ich śledzić. Żeby podsłuchiwać. Na korytarzu. W kantynie. Czekał na sygnał, ale wiedział, że to próba. Że musi czekać. Czekał dwa lata beczynnie, więc się nauczył.

– Cierpliwość – powiadał swoim ludziom – cierpliwość jest bardzo ważną umiejętnością. Pozwala wygrywać wojny.

Teraz był o nich spokojny. Pojechali do Szczawnicy. Pojeździć na nartach. Niech się zabawią na święta. Zapracowali.

Po południu wybrał się, tak jak to miał zaplanowane, na spotkanie Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności do Staromiejskiego Domu Kultury. Klub został rozwiązany pół roku wcześniej, ale jego członkowie spotykali się ciągle na nieformalnych zebraniach. Nie zdziwił się, że sala była pełna. Ani szpilki wcisnąć. Znał się z widzenia z niektórymi, bo bywał na tych spotkaniach wiosną kilka razy, żeby się przyjrzeć ich działalności. Wtedy chciał przekonać towarzysza Gomułkę, że taka działalność nie służy ludowej ojczyźnie. Rozwiązano klub, a jednak raz na miesiąc czy dwa wciąż się spotykał. Musieli wiedzieć, że są obserwowani, ale zdaje się, że to ich tylko podniecało. Zawsze tak jest z rozwydrzonymi szczeniakami z bogatych domów. A to przecież narybek żydowskich komunistów, tak o nich myślał. Kiedy przyszedł z pomysłem obserwowania Klubu a potem jego likwidacji, ministrowi ta inicjatywa się spodobała.

– Warto wiedzieć, co mają w głowach małolaty – potakiwał – ale czy pan do nich pasuje, kapitanie?

– Poruczniku. Wciąż tylko poruczniku.

– Przecież pan wie, że to dla kamuflażu.

– Wiem, wiem. Pasuję do nich. Studiowałem filozofię. Mieliśmy tych samych wykładowców. Adwokata Zygmunta Grossa znam osobiście, oczywiście on nie ma pojęcia, kim jestem, poza tym, że studiowałem filozofię i pracuję w aparacie. Ale nie wie, kim jestem. A w tym klubie bywa jego syn.

– Jak mu na imię?

– Jan. Jan Gross.

– A inni?

– Michnik, Lityński, Perski. Titkow.

– Titkow, powiadacie? Ten pułkownik milicji, który został naczelnym „Trybuny Ludu”?

– Syn jego. Młody Titkow. Nie chce być dziennikarzem, chce być filmowcem. Oni zbuntowani są.

– Przeciwko systemowi?

– Być może przeciwko systemowi, a być może przeciwko te-mu, w co wierzą ich rodzice. Wie pan, to, co robi ojciec, młodemu zawsze wydaje się nudne. Ciekawe środowisko.

– A więc warto tam bywać, kapitanie.

Bywał. Dziś nie było to spotkanie dyskusyjne i nie roztrząsano, czy jest możliwe zaprowadzenie socjalistycznej demokracji albo czy możliwa jest prawdziwa sztuka w dobie cenzury, która co prawda formalnie ograniczona zagnieździła się w głowach ludzi. Bywały w klubie takie dyskusje. Usłyszał kiedyś, że w społeczeństwie, w którym brak wolności, cenzura zamieszkuje w głowach twórców. Ludzie sami ograniczają to, co chcą powiedzieć. Poeta używa metafor. Pisarz ucieka się do zakamuflowanych, symbolicznych obrazów, dziennikarz cenzuruje sam siebie w obawie przed redaktorem, redaktor w obawie przed naczelnym, a naczelny w obawie przed Urzędem Kontroli.

Ale dzisiaj nie było to spotkanie polityczne, tylko towarzyskie. Wpadły zapraszane na te dyskusje osobistości z bardzo różnych środowisk. Był ksiądz prezbiter Dembowski, więc można powiedzieć, że spotkanie było świąteczne. Jak to w Wigilię. Kapitana dziwiła obecność księdza na spotkaniach z młodymi komunistami, ale oni potrafili dyskutować z każdym. Z redaktorem Kuczyńskim z tygodnika „Argumenty” albo z heglistą profesorem Baczką. Bawiło go to towarzystwo. Jakby patrzył na kocioł pełen pary, pod który co rusz ktoś podrzucał kolejne smolne polano. Poszukiwacze

sprzeczności, kurwa jego mać, nie powinno się pozwalać na takie rzeczy. Co to znaczy, że nie ma demokracji? Jakby nie było demokracji, to kto by pozwalał się spotykać i za państwowe pieniądze krytykować władze? Przecież dom kultury to nie jest prywatne mieszkanie. Gdyby nie było wolności czy wolności słowa, za takie gadanie sadzaliby do więzienia. Zresztą był czas, że trzeba było sadzać do więzienia. Ojczyzna musiała przecież okrzepnąć, nauczyć się, jak stąpać po grząskim gruncie polityki. Zwłaszcza że z jednej strony Ukraina, a z drugiej Niemcy chcący odebrać Polsce ziemie na zachodzie. Póki nie było gwarancji zachowania granic, nie było też miejsca na wolnomyślicieli. Czas wojny jest inny niż czas pokoju. Ale wojna minęła. Dzisiaj można już mówić, co się chce, można być, kim się chce. A oni tu o wzmocnieniu demokracji. O uspołecznieniu, o obywatelskich ideologiach.

Rozumiał ich.

Kiedy człowiek naprawdę nie ma nad czym myśleć, to mu się w dupie przewraca.

Dzisiaj jednak nie rozmawiali o demokracji, tylko – jak się zorientował – powtarzali sobie w grupkach fragmenty jakiejś szopki politycznej. Słyszał potężny głos Michnika, który co rusz przerywał, żeby zgromadzeni wokół mogli się uśmieć do woli.

– Więc wolny szlak chłopcom z Gołędzinowa! – recytował Michnik, potykając się o niektóre słowa. – Więc wolny szlak temu, co pałę ma! Gazrurę w górę wznies i śmiało w-w-wal po głowach! Zamordobrania z-z-z-znów nadchodzi czas! A gdy spod pał Gęgaczy krew wytryśnie i w n-n-n-nery werźnie się ubecki but, jutrozenka wszędzie znów w ludowej nam ojczyźnie i wnet nastąpi gospodarczy cud!

Ludzie bili brawo.

– A czyje to? – zapytał kapitan jakiegoś tęgiego młodzieńca. Duża

twarz, spocona z emocji. Rozdrapane pryszcze, tłuste włosy.

– Nie słyszałeś pan? Szpotańskiego. Kolegi naszego, też studiował, ale go wyrzucili. A teraz tę operę napisał.

– Jak to „operę”?

– To wszystko do śpiewania.

– Albo to, albo to. – Michnik przerzucał bladymi przebitkami zadrukowanymi na fioletowo. – T-t-to jest dobre! R-r-robotniczo-chłopskie syny p-potem idą na dziewczyny, dzielnie jebią chłopcy – ha!, lecz największy jebak – ja! Czy pannica, czy gamratka, czy rozwódka, czy mężatka, k-każdą w łóżku będę miał, b-bo ja jestem chłop na schwał. Błyszczą dziarsko epolety, oglądają się kobiety. Cóż za piękny zandarm, a? A to właśnie jestem ja! I t-tak sobie człowiek rośnie, w socjalizmu cudnej wiośnie...

Kapitan wyszedł przed innymi. Miał ochotę napić się wódki gdzieś w mieście, ale przecież nie tutaj, nie z nimi. Mógł się z nimi śmiać, klepać po plecach, mógł się za brzuch trzymać od śmiechu z krotochwil tego jak mu tam, Szpotańskiego, ale pić z nimi wódki nie musiał.

Orzeźwił go mróz. Buty skrzypiały. Na Rynku Starego Miasta ludzie pokrzykiwali podnieceni nadchodzącymi świętami. Spóźnialscy ciągnęli do domu choinki. Szmaciane dziadówki przemakały, jeśli ktoś miał tam akurat karpia.

Karp. Nowa świąteczna tradycja.

Nie musiał się tym kłopotać. Nikt na niego nie czekał.

Zatrzymał się na rogu Świętojańskiej i zapalił papierosa.

Do pętli autobusowej niedaleko, w sam raz na jednego. Ciekawe, jak tu wszystko wyglądało przed wojną. Pewnie było widać zamek. W sumie szkoda, że nie odbudowali. No oczywiście – to relikwielkopańskiej obludy i pomnik niewolnictwa, bo co to za Rzeczpospolita, w której chłop należał do pana, ale zawsze dobrze

byłoby popatrzeć... Był kiedyś w Krakowie i Wawel mu się podobał. Ciekawe, czy zamek w Warszawie też był taki wielki. Ruszył niespiesznie, myśląc o tych „bandyckich” akcjach. I milicja, i prokuratura, i co najważniejsze – gazety były przekonane, że zawsze chodzi o pieniądze. Przeliczali te sto osiemnaście tysięcy z napadu na Wyzwolenia na liczbę miesięcznych pensji. Nikomu nie przyszło do głowy, że napad może mieć inny motyw. Że nie zawsze chodzi o pieniądze. Zresztą na co komu pieniądze w kraju, w którym ich przecież nie wydasz na samochody ani pałace. Gdyby takie pieniądze wypłynęły nagle, operacyjni zaraz by wiedzieli. Albo by wysłedzili, albo jakaś szmata by podkablowała. Nie wypłynęła ani złotówka. A więc nie chodziło o pieniądze. Chodziło o naukę. O planowanie i o realizację. Napastnicy wiedzieli, że strażnik pobiegnie za tym, który wyrwie paczkę z pieniędzmi. To było oczywiste. I że baba będzie się tylko darła i darła. Jak to baba. I że niczego nie zapamięta. Z obserwacji wiedzieli, że strażnik nie ma refleksu. Jeśli się rozbiegną, to on, zanim podejmie decyzję, za kim biec, rozejrzy się dwa razy. A potem wybierze tego z paczką. Dobry wybór, ale czas reakcji do dupy. To dawało uciekającemu przynajmniej cztery metry przewagi. Pewnie nawet pięć. Dość, żeby skrócić w bramę i zniknąć w cieniu klatki schodowej, zanim tamten wybiegnie z podwórka. W pustej bramie dokona kolejnego złego wyboru. Nie rozejrzy się, tylko popędzi prosto, wybiegnie na Wyzwolenia i chuja w polu kukurydzy będzie sobie mógł szukać. To był prosty człowiek. Gdyby go porównać do psa – buldog. Popędzi bezmyślnie tam, dokąd sam by uciekał.

Potem była akcja z milicjantem na Bednarskiej. Siódmego kwietnia. Na rocznicę powstania Armii Ludowej. Koniec żartów. Poważny sprawdzian. Mokra robota. Dwa ciosy nożem w plecy. Oba chybione. Trzeci w pierś. Też chybiony, ale to oczywiste. Nie jest

łatwo trafić w serce, kiedy trzymasz człowieka za szyję od tyłu. I to wyższego i cięższego od siebie człowieka. A ten, jak mu było? Kielkowski? Kielczykowski? Nie przypominał sobie. W każdym razie wysoki był. Co innego uderzyć w gardło. Dałoby się to zrobić, ale do takiej roboty trzeba mieć zimną krew. Dla debiutantów to jednak bardzo trudne. No ale nie spierdolili do końca. Jeden strzał. To nie to samo co nóż. Furman i Jasiński byli przekonani, że idą na egzamin. Że to koniec etapu szkolenia. Że są gotowi zabić nożem w biały dzień zupełnie na zimno. I że mają zdobyć broń. Zostawić ślad dla milicji. Zostawili. Na ulicy została łuska 7,62 milimetra. Laboratorium oceniło, że to ta sama broń co w napadzie na Wyzwolenia. I dobrze. Nie denerwował się. Albo wygrywasz, albo się uczysz, powtarzał im. Mówił, że trzeba się nauczyć zachować zimną krew. Nikt się nigdy nie dowiedział, że ten milicjant był w lesie z szefem. Że wiedział o tej sprawie z grupą Kasmana czy, jak go nazywali, Jankowskiego. Nikt nie musiał wiedzieć, jakie są motywy. Ważne, żeby milicja myślała, że to bandycki napad.

Załatwił w resorcie, żeby Furman dostał przydział do tej sprawy. Jako operacyjny. Chodził na Stare Miasto, słuchał, co gadają o tym z Bednarskiej. To była dobra szkoła. Podwójny kamuflaż. W końcu przyniósł śledczym informacje o trzech mężczyznach uciekających Bednarską tuż po napadzie. I o tym, że podobną trójkę widziano kilka dni wcześniej w miejscu napadu.

Śledczy doszli do wniosku, że napad był starannie przygotowany i miejsce nie było przypadkowe. Jedyne nieoświetlone miejsce na całej Bednarskiej.

Słusznie. Słuszną linię ma nasza władza, pomyślał kapitan i uśmiechnął się pod nosem. Wskoczył do 144 i pojechał do domu. Wigilia nie była jego ulubionym dniem. Zamykali bary i nie można było się po ludzku napić.

TERAZ

Rano pobiegła na Kępę. Nie było lekko, ale tak już bywa, kiedy wciąż i wciąż zaczynasz od nowa. Ledwo zaczynała łapać rytm, w fabryce działo się coś, co nie pozwalało jej biec dalej. Inne dziewczyny miały łatwiej. Potrafiły się pozbierać na przykład wieczorem. Albo kiedy padało, pojechać na siłownię na rogu Nowego Światu i Świętokrzyskiej, naprzeciw szpitala. Albo na jakąś salę gimnastyczną pograć w koszykówkę.

Ona nie dawała rady. Nie umiała biegać o innej porze niż tylko rano. A ile człowiek ma wolnych poranków? No, kurwa, ile?

Ale nie narzekała. Nawet jeśli stawiasz niewielkie kroki, to i tak jesteś coraz bliżej celu, powtarzała sobie. Piekło ją w gardle zimne powietrze. Kępa zmrożona. Na wodzie kozuch z lodu, ale pod mostkiem w pobliżu pętli na Gwiazdzistej woda była czarna. Na mostku stali wędkarz i facet z włochatym psem. Palili papierosy. Pies obszczekiwał biegaczy. Zadziwiająco dużo ludzi biegało dzisiaj rano. Pewnie odbywali karę po świątecznym obżarstwie.

Zatrzymała się obok mężczyzn, żeby odetchnąć i porozciągać uda.

– Mnóstwo bab dzisiaj biega, co nie? – powiedział wędkarz.

– No, co jedna to ładniejsza. – Ten od psa odwrócił się od ścieżki i splunął do wody. – Czasami się do mnie uśmiechają, wie pan?

– Serio? – zapytał przez zaciśnięte usta wędkarz. Musiał nimi przytrzymywać papierosa, bo właśnie zaczął zwijać żyłkę.

– To z powodu psa, wiem... – powiedział smutno ten drugi. – Ale niektóre ładne. Pobiegliby człowiek za nimi.

– E tam, panie. – Wędkarz wyciągnął z dna kanałku poczerńiałe gluty starego zielska. – Lepiej iść z wielkim psem, niż lecieć z małym ptaszkiem.

Serbia uśmiechnęła się i pobiegła do domu.

Wykąpała się. Poleżała na kanapie. A potem zadzwoniła.

– Przyjeźdź – powtórzyła – nie bądź taki.

– No co przyjeźdź, przyjeźdź, myślisz, że nie mam swojego życia?

– Aaaaa – roześmiała się – no to opowiadaj. Na co czekasz?

– No nie mam, nie mam.

Wydawało jej się, że posmutniał. Cholera jasna, dziewczyno, zupełnie nie potrafisz gadać z facetami, zganiła się w myślach.

Za oknem na nagiej gałęzi, ale daleko od siebie siedziały dwie wrony. Obie nastroszone. Wiatr tarosił nimi jak kawałkami siana. Aż dziw, że nie wrywał im piór. Dalej był kolejny budynek. A nad nim niebo. Chwilami szare, chwilami niebieskie.

– Przyjeźdź. Nie daj się prosić. Wiesz, ja słabo sobie radzę z proszeniem. Przełamalam się. Przemogłam. To nie było łatwe. I pewnie nie będę mogła przez to zasnąć. Całymi latami budowałam w sobie ten mur, tę siłę, która pomogłaby mi zachować niezależność w każdej, ale to każdej sytuacji. Jestem niezależną kobietą. Radzę sobie. Nigdy nie proszę. Ale dla ciebie się przemogłam. Poprosiłam. Nie pozwól, żebym żałowała – powiedziała powoli i dobitnie, bez cienia uśmiechu.

– Co ty pieprzysz, dziewczyno? – Teraz z kolei wyczuła w jego głosie niepewność. – Nie mów tak...

– No przecież żartuję. – Roześmiała się. – Zapraszam szczerze i z całego serca. Nie zgwałcę cię. Nie będę ci się rzucać na szyję.

Pościelę ci w innym pokoju. Wypijemy wódkę. Pójdziemy do chińskiej knajpy i na sylwestra w miasto. W tym roku jest na placu Defilad.

– Gdzie?

– No przed Pałacem Kultury. Chylińska, Lady Pank, Varius Manx. Będzie dobrze.

– Może ty przyjedź. Tutaj będą L.U.C., Mesajah, piosenkarze z Capitolu, będzie nowocześnie i nostalgicznie. Whołow jest piękny nocą. Hynek mamy wielki i przesthonnny. Nie to co w Wahszawie.

– Ale jeśli przyjadę, to nic nie zwojujemy, poza radością życia. A tutaj mam pewną zagadkę do rozwiązania.

– Khyminalną? – zaciekał się.

– No a jaką? Ja znam tylko kryminalne zagadki.

– Naphawdę chcesz, żeby ci pomógł?

– Raz już pomogłeś. W sprawie Siwego, pamiętasz? Bez ciebie nie wydobyłabym papierów z IPN-u.

Milczał.

– Jesteś tam?

– Jestem. Pamiętam. Ale czy jesteś pewna, że to tobie pomogłem? Haczaj twojemu szefowi, esbekowi. Może nie chciałem pomóc, ale nie miałem wyjścia.

Brzmiał teraz poważnie.

Cholera jasna, powiedziała sobie w myślach. Zdenerwowała się. Przed momentem była pewna, że już właściwie żartują. Żartują, flirtują. A tu nagła zmiana nastroju.

– Coś się stało? – zapytała.

– Nie, nic... Po phostu twoje zagadki khyminalne są dziwaczne. Przedziwne.

– Nie moja wina. Ta nie jest dramatyczna. Trzeba odnaleźć skarb.

Prawdopodobnie to prawdziwy skarb. Z jakichś ubeckich machlojek, to prawda, domyślam się nawet z jakich, ale nie chodzi o rozwikłanie tajemnicy, tylko o to, że ukryli gdzieś mnóstwo kasy w złocie. Rozumiesz?

– Hozumiem. Ale nie moja sphawa.

– O co ci chodzi?

– Co o mnie wiesz? – zmienił temat.

– Hm... – Za oknem chmury zwyciężyły z błękitem. Odwróciła się i poszła w głąb pokoju. – Jesteś fajny. Może nawet najfajniejszy w mieście. – Położyła się na kanapie. Uniosła nogi i oparła wysoko.

– Nie o to pytam. – Jego głos znowu był cieplejszy. – Co o mnie wiesz? Tak sehio.

– Jesteś policjantem. Jeździsz na motocyklu. Nosisz skórzane kurtki. Nie masz rodziny...

– Może jednak mam.

– Okłamałeś mnie, że spędzasz święta u znajomych? – Położyła rękę na brzuchu. Nie jest źle, pomyślała, kiedy leżę, to wcale nie mam brzucha.

– Nie, nie okłamałem. Ale miałem kiedyś godzinę. Może taką jak ten twój Siwy.

– Nieszczęśliwą? – zapytała.

– Nie, nie o to chodzi.

– Resortową? – zrozumiała.

– Hesohtową.

– I co z tego?

– I z tego powodu niektóhe twoje khymentalne zagadki mogą być dla mnie thudne.

– Nie rozumiem.

– A myślisz, że dzięki czemu dostałem w kilka dni papiehy z IPN-

u, jak nie dzięki znajomościom? Dzięki czemu mam phacę? I dzięki czemu może nawet dostanę tydzień uhłopu... Zhesztą to nie na telefon. Opowiem ci.

– Opowiesz, kiedy przyjedziesz.

– Opowiem, kiedy przyjadę – powiedział nagle. – Jeśli chcesz, jutho. Nie, jutho nie zdążę, muszę załatwić uhlop.

– Ale po co czekać? Dlaczego nie dzisiaj? Weź zwolnienie na zapalenie okostnej. Nie masz znajomego dentysty?

Milczał.

– Pościelę ci na kanapie. A jeśli chcesz, możesz zająć dziecięcy pokój. – Sama nie mogła uwierzyć, że to mówi.

– Nie mówiłaś, że masz dziecko.

– Miałam. Opowiem ci.

– Nie... muszę dokończyć jakieś hapohty. Ale należy mi się kilka dni uhłopu. Przyjadę. Pójdziemy na ten konceht do Pałacu Kultuhy, a potem zostanę kilka dni. Nie obiecuję. Ale zapytam.

– Mnie by nie dali – powiedziała. – Mam trupa, nie mamy ludzi.

– Mówiłaś, że będziemy szukać skahbu, a nie, że masz thupa.

– Z tym mi nie będziesz mógł pomóc, ale może skarb odnajdziesz.

– Może odnajdę – powiedział w taki sposób, że miała pewność, że się uśmiechał.

Godzinę później skręciła w Smolną, żeby zaparkować. Nie było miejsc na początku ulicy. Tylko przy tym nowym hotelu. Minęła klub, który grał w filmie *Nie lubię poniedziałku*. Rankiem wychodził z niego sławny aktor Bohdan Łazuka, lokował się za pomocą korby w torach tramwajowych i ruszał do domu. Serbia zwolniła, bo bruk obok budynku, w którym mieszkał Tadeusz Boy-Żeleński, był mocno nierówny. Znała ten dom z pamiętników Ireny Krzywickiej. Młoda dziennikarka, wyzwolona feministka, całą noc przygotowuje pytania

do sławnego pisarza. A kiedy ten sadza ją przy biurku, zostawia samą, dziewczyna omal nie mdleje z przejęcia. Potem on przynosi kawę, ona moczy usta w filiżance i choć wie, że Boy jest kobieciarzem, zakochuje się w nim bez pamięci.

Serbia skręciła w prawo. Na parkingu były miejsca, ale nie chciało jej się iść tak daleko. Wyjechała w Aleje Jerozolimskie i zaparkowała tuż koło kiosku. Przeszła przez skwerek z pomnikiem, na którym atletycznie zbudowana kobieta o małych piersiach wznosi w niebo gałązkę wawrzynu, a drugą ręką podtrzymuje półnagiego, umierającego partyzanta. Z jakiej racji półnagiego? Poszła uliczką pomiędzy pałacem Branickich i hotelem Indigo. Po lewej kilka połamanych słupków mających chronić miejsca parkingowe. Po prawej syf po tynkowaniu i malowaniu ścian. Zimno. Ale Côtú było otwarte. Czasami zaglądała do tego lokalu. Przypominał jej wakacje. Miejsce po lewej pod samym grzejnikiem było wolne. Wzięła bun z wołowiną. Ktoś w fabryce powiadał, że na spring rollsy idzie się na Marywilską, na zupę pho na Chmielną, a na bun tylko tutaj. Wzięła do przejrzenia stary numer „Gali”. Na okładce Małgorzata Rozenek. Ile ona może mieć lat? – zastanowiła się. Wyjęła telefon i wpisała w Google’a: „Małgorzata Rozenek wiek”. Cholera, nie do wiary! Posmutniała. Naprawdę myślała, że jest młodsza od gwiazdy telewizji. Przewróciła kilka stron, oglądając kurtki i spodnie pięknych i bogatych. A potem dostała swoją miskę. Wyjęła z kieszeni kartkę z notatkami i po raz setny w ciągu ostatnich kilku dni przeczytała:

4 12 57 11 18 00

7 04 59 00

1 06 59 66 66 00

22 12 64 13 36 50 0

– Ha – powiedziała pod nosem i uśmiechnęła się do siebie,

nawijając makaron na widelec i gdzieś w duszy marząc o tym, żeby nauczyć się jeść pałeczkami. W mieście, w którym jest tylu Wietnamczyków, powinno się jadać pałeczkami.

A potem przeczytała cyfry jeszcze raz i wybrała numer Siwego.

Długo nie odbierał, ale była cierpliwa.

– Jak tam, żyjesz?

– Ćwiczyłem.

– A więc żyjesz. – Uśmiechnęła się i wepchnęła sobie do ust porcję makaronu. Zapieкло. Nie powinna przesadzać z czerwoną pastą chilli.

– Żyję. Staram się. Ja nie chcę jeszcze do piachu. Nie teraz. Chcę jeszcze poopierdalać ludzi w fabryce.

– A... notowało – mówiła z pełnymi ustami.

– Co mówisz?

– Że warto. Ale nie dzwonię, żeby zapytać o zdrowie, tylko żeby ci powiedzieć, że rozwiązałam zagadkę.

– Pierdolisz. Myślałem nad tym i myślałem. Niemożliwe, żeby było aż tak proste.

– Możliwe, że mnie nie doceniłeś. – Uśmiechnęła się.

– Przyjedziesz?

– Zjem i przyjadę.

– Co masz do jedzenia?

– Wietnamski bun. Znasz?

– Nie znam, ale jeśli dają na wynos, weź mi, dobrze?

Wiadomości w radio były jakieś smutne. CBA prowadzi sprawę wyłudzeń w krakowskim sądzie. Dzisiaj rano funkcjonariusze dokonali przeszukań pomieszczeń w sądach we Wrocławiu, w Kielcach, Nowym Sączu, Tarnowie, Zakopanem, Oświęcimiu i w Chrzanowie. Posłowie opozycji twierdzą, że kryzys polskiego parlamentaryzmu jest bardzo głęboki. Grozi nam rozpad na dwa

sejmy. Jeden w Sali Plenarnej, drugi, pisowski, w Sali Kolumnowej. Taka sytuacja grozi paralizem państwa. Ciało mężczyzny w średnim wieku odnaleziono w kałuży krwi na chodniku przy ulicy Chełmońskiego w Grodzisku Mazowieckim. Obok leżał pistolet. Policja nie wyklucza zabójstwa...

Na szczęście Puławska była przejezdna i Serbia dotarła na miejsce, zanim bun z wołowiną zdążył wystygnąć.

– No dobrze, powiedz mi – niecierpliwił się Siwy.

– Powiem, jak zjesz.

Stała przy zlewozmywaku i myła naczynia. Na oko z pięciu dni. Od Wigilii. Nie miała do Siwego pretensji, nie robiła mu wyrzutów. Cieszyło ją, że wstał z łóżka i że jest w dresie, a nie w szlafroku. Może naprawdę ćwiczył. W każdym razie miał apetyt.

Gdy skończyła, nastawiła wodę na kawę.

– Masz jakieś ukryte ciastko?

– A wiesz, dostałem coś na święta i nie zjadłem. Więc jeśli poszukasz w lodówce i nie spleśniało, to może się nada.

Nie pytała od kogo. Szarlotka na papierowym talerzyku owinięta srebrną folią. Wszystko było wilgotne i miękkie, ale nie śmierdziało pleśnią.

– Nada się.

Potem usiedli przy stole.

Przyniosła ciasto, talerzyki i kubki z kawą. Rozwinęła kartkę.

– No to jak, chcesz wiedzieć, o co chodzi?

– Ty mówisz serio. – Siwy popatrzył jej w oczy. – Serio to rozwiązałaś?

– No. To prostsze, niż myślisz. – Usiadła obok niego i wzięła kartkę do ręki. – To daty.

Siwy patrzył na zapiski, ale jeszcze tego nie dostrzegął.

4 12 57 11 18 00

7 04 59 00

1 06 59 66 66 00

22 12 64 13 36 50 0

– 4 grudnia 1957, 7 kwietnia 1959, 1 czerwca 1959 i 22 grudnia 1964.

– A reszta cyfr? Godziny?

– E... nie, nie godziny. Reszta to kwoty. Tak na to wpadłam. Przez pieniądze. Pamiętasz początek tych zapisków? „Dwa miliony po siedemdziesiąt złotych za sztukę. Po kosztach dwadzieścia siedem i pół tysiąca. Uncja po trzydzieści pięć i pół dolara”? Od tego zaczęłam. Od ceny złota w dolarach.

– Ale jak to sprawdziłaś?

– Jak to, kurwa, jak? W Internecie.

Siwy wzruszył przepraszająco ramionami.

– Wiem, wiem, w twoich czasach zakładało się podsłuch jakiemuś cinkciarzowi i miało się wieści z pierwszej ręki.

– A może wódki byś się napiła? – Siwy zatarł ręce. – Lepiej się dzisiaj czuję.

– A napiłabym się, czemu nie.

– No mów, mów – wstał – przyniosę, ale będę cię słyszał.

– Więc odkryłam, że to cena z 1965. A potem zauważyłam tę cyfrę: 64 w ostatnim zapisie. A potem sprawdziłam, jakie były napady w 1964 roku. I wszystko mi się poskładało. Ostatnia linijka to napad na Jasnej.

– Co ty pierdolisz? – Siwy postawił na stoliku finlandię i dwie szklanki z grubego, rżniętego szkła. – Znam tę sprawę ze szkoły. W moich czasach każdy pies się o tym uczył. Największy napad w historii.

– No już nie największy, ale w Warszawie rzeczywiście wyjątkowy. Siwy nalał dwie szklanki do połowy.

– A reszta?

– To inne napady. Pierwszy na kasjerkę z obuwniczego, drugi na milicjanta, którego zabili, żeby mu podpierdolić broń, trzeci na transport pocztowy. Poszłam do biblioteki i posprawdzałam to w „Trybunie Ludu”. Kwoty się zgadzają. Wygląda na to, że twój przyjaciel zawiął kasę z kilku napadów z bronią w ręku. Było też sporo trupów. Goście się nie pierdolili. Strzelali, żeby zabijać.

WTEDY

– A więc potrafia strzelać, żeby zabić...

– Tak jest. – Porucznik skinął głową. – Potrafia.

Mucha tłukła się o szybę. Stali w końcu korytarza. Biały dzień, chociaż jeszcze wcześniej, w dodatku przecież niedziela. Duszno. Lipiec 1959 roku okazał się bardzo gorący.

Niewielu tu dzisiaj pracowało. A gdyby komuś przyszło do głowy szwendać się po korytarzach, oficer zadba, żeby nie poszedł za daleko.

Słońce wpadało niskim, ostrym światłem. Może nawet zbyt jaskrawym dla zmęczonych oczu. Drobinki kurzu obracały się w tym świetlistym trójkacie niczym planetoidy w trzewiach jakiejś odległej, nienazwanej galaktyki.

– Wiedzą, dlaczego to robią?

– Oczywiście. Są dobrze zmotywowani. Racja stanu wymaga poświęcenia. Od żołnierzy wymaga poświęcenia największego – mówił cichym, ale mocnym, dobitnym głosem porucznik. Był opanowany, bo dobrze się przygotował. – Problem w tym, że żołnierze są potrzebni na frontach, a wojny nie zawsze rozgrywają się na polach bitew. Dzisiaj toczą się w zaciszu gabinetów. W czasie niejawnych spotkań polityków i przedsiębiorców wspierających imperialistyczne zapędy. Finansiści finansują działania polityków, politycy przesuwają granice, żeby przedsiębiorcy mogli zarobić na nowych złożach surowców i oddać pieniądze, które otrzymali od

finansistów. I tak w nieskończoność. Do takich gabinetów nie można posłać żołnierzy w mundurach. Można za to posłać innych. Tych, którzy sprawią, że wojna nie wybuchnie. Dość ludzi oddało życie w ostatniej wojnie. Dzisiaj to nie jest potrzebne. Dzisiaj potrzebne jest bohaterstwo innego rodzaju. Potrzebni są ludzie, dzięki którym klasyczna wojna nie będzie już potrzebna.

– Dobrze, bardzo dobrze. Rozumieją to?

– Doskonale.

– A rezerwowi?

– Oni wiedzą tylko tyle, ile jest konieczne. Dobrze zarabiają i dobrze odnajdują się w swojej roli. Gdyby coś poszło nie tak, włączą się do akcji.

– A co może pójść nie tak?

– Staramy się przewidzieć wszelkie okoliczności.

– A rezerwowi będą umieli się nie zawahać?

– Oczywiście.

– No... To w zasadzie tyle chciałem wiedzieć... Może papierosa?

– Chętnie.

Zapalili. Stali obaj w oknie i pozwalali, żeby dym znajdował sobie drogę przez lufcik. Prosto w kierunku nieba. Słońce prażyło niemiłosiernie. Zapowiadało się upalne lato.

– No to właściwie wszystko dobrze, ale teraz trzeba im zlecić jakąś prawdziwą robotę. Nie ma sensu, żeby biegali po mieście w prochowcach i kapeluszach.

– W sprawie z pocztą poradzili sobie dobrze.

– Nie przeczę, ale list, kurwa. – Nie było popielniczki, więc mężczyzna strzepnął popiół na parapet. – List nie był potrzebny. Wysłać list z pogrózkami facetowi w szpitalu? To nie jest Dzik Zachód, pan rozumie.

Porucznik skinął głową, ale postanowił nie przyznawać się, czyj to był pomysł.

– Wyciąć litery z nagłówków „Trybuny Robotniczej”, posklejać list z pogrózkami i nadać go na Śląsku, to nie był zły pomysł, to pozwoliło naprowadzić milicjantów na nowy trop – powiedział tylko.

– Ale po co? Przecież ten biedny konwojent nie rozpoznałby własnej matki.

– To jasne. Był posrany ze strachu. Zrobiliśmy to... z ułańskiej fantazji. Poza tym – zaryzykował – generałowi Dobieszakowi warto było pogrozić palcem. Jak będzie miał zajęcie, przestanie się wpierdalać między wódkę a zakąskę.

Zapadło milczenie.

Piętnaście sekund. Dwadzieścia.

Porucznik zaciągnął się papierosem i szybko dokonał analizy swojej postawy. Czy stoi dość swobodnie? Czy widać, że pot zbiera mu się na skroniach? Nie, nie może podnieść ręki, żadnych zbędnych ruchów. Oparł czubek buta o linoleum.

– W sumie racja. Teraz lepiej, żeby te wszystkie przydupasy miały własne kłopoty. Ale wie pan, że on wkurwi się i stanie na głowie, żeby rozwiązać tę sprawę?

– A czy nie o to nam chodziło? – Porucznik nie potrafił jednak ukryć ulgi w głosie. – Gra się tak, jak konkurencja pozwala. A my pozwolimy mu poszaleć w „Trybunie Ludu”.

Znowu zapadło milczenie.

Wypuszczali dym nosem. Mucha tłukła się o szybę. Powinni jednak zatrudnić lepszych ludzi do sprzątnięcia. Szyba była brudna. A to nie uchodzi.

– Nie pochwalam. Im mniej go w gazetach, tym lepiej. Ale ułańską fantazję rozumiem. Całe szczęście, że nie zostawili odcisków, bo o to, kurwa, z klejem i papierem bardzo łatwo.

– Wiedzą, jak jest, przecież robią w tym na co dzień. Zawodowo.

– No ale teraz trzeba, żeby poznali trochę świata, nie? Przewietrzą się, język podszkolą.

Porucznik milczał.

Czekał. Ale się nie doczekał.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Wydział drugi coś przygotowuje. – Porucznik poczuł ulgę, że nie został poprawiony na „pojadą”. Też miał ochotę się przewietrzyć.

– Wydział drugi... – mruknął – czyli trzeba się będzie spocić.

– Dowie się pan, jak będę miał konkrety. A na razie niech sobie odpoczną. Lato się zaczęło, niech dokąds pojadą. Do Międzyzdrojów, do Świnoujścia. No niech się zabawią. Tylko nie za bardzo. Na służbie są. Niech pan pamięta.

Porucznik zbiegł po schodach. Kiwnął głową dyżurnemu.

– Samochód dla obywatela porucznika?

– Nie, przejdę się. Piękny dzień mamy.

Skręcił w lewo, zsunął kapelusz na tył głowy i pomyślał, że sprawy idą dobrze, i w końcu mógłby kogoś wyruchać. Studentkę jakąś zapoznać. Albo ja wiem? Nawet, kurwa, kwiaciarkę z Otwocka. Albo którąś z tych, co przyjeżdżają z jabłkami z Warki. Albo nawet tę rudą z mięsnego. Pewnie Żydówka, wiadomo, ruda, ale miła jest. Widać, że ma na niego oko, zawsze coś pozartuje. No i wiadomo, jak masz w mięsnym dupę, głodny nie chodzisz. Nie żeby kogoś na stałe, przecież miał już żonę w swoim małym, powiatowym mieście. Dobrą, ładną, cichą dziewczynę, która rozumiała, że nie trzeba do niego ani dzwonić, ani pisać. I że nie może tu przyjechać, dopóki nie skończy się zadanie. Ale był sam tak długo, że czasami potrzebował odmiany. Żeby nie budzić podejrzeń. Powinien się czasami z kimś pokazać. Nie za długo, żeby niepotrzebnie nie narażać ani siebie, ani tych dziewczyn. Lepiej samemu kogoś znaleźć, niż pozwolić, żeby oni ci

kogoś podstawili. Tak, przydałby się ktoś na miesiąc, dwa. Nie dłużej. Potem zawsze zaczynają się pytania, dlaczego wychodzi, dlaczego wraca późno, czym śmierdzi, albo jeszcze gorzej – czym pachnie i dlaczego kobietą. Albo krwią. Albo potem. Albo strachem. Przecież mogłoby się tak zdarzyć. Żona to rozumiała. Przyszedł czas, w którym był przydatny ojczyźnie sam i tylko sam. Ale przecież od czasu do czasu mógłby przytulić jakąś dziewczynę. Takiego dnia jak dziś. Może na Starówkę pojechać? Albo do Łazienek? Do Łazienek blisko, w zasadzie mógłby się tam przejść. Zawrotna, Łądowa i już. Może by mu to dobrze zrobiło? Łabędzie pokarmić, wiewiórki. Odpocząć od papierów i od, kurwa, tego myślenia. W końcu całkiem nieźle poszło z pocztą. Dobrze, że to był poniedziałek, bo dobrze takie sprawy mieć z głowy na początku tygodnia. A jeszcze lepiej, że był Dzień Dziecka. Najważniejsze, żeby to nie był byle jaki dzień. Zawsze musi być jakieś święto. To był jego znak. Jego fetysz. Wybrany dzień, staranne planowanie. Stali pod pocztą w samochodzie cały tydzień. I nikt, kurwa, się nie zainteresował. Żaden patrol nie podszedł, nie wylegitymował. Kurwa, to ma być milicja?

Po tygodniu wiedzieli wszystko. Rozpracowanie było wzorowe. Konwojenci z przedsiębiorstwa Łączność przyjeżdżali zawsze kilka minut przed dwudziestą drugą. Było ich dwóch na zmianę. W poniedziałek, jeśli dobrze obliczył, dyżur mieli konwojent Czeczua Łukasz i kierowca Orlicz Henryk. Kierowca nigdy nie wysiadał. Nie wyłączał silnika. Konwojent wysiadał i czekał na strażnika z poczty, w poniedziałek miał dyżur Furmańczyk Stanisław. Spotykali się, podawali sobie ręce i szli po pieniądze. W czasie liczenia poczta była zamknięta. W drzwiach wisiała kartka. Jeśli nawinął się jakiś klient, czekał pod drzwiami. Wychodzili po dziesięciu, dwunastu minutach. Konwojent z workiem forsy. Strażnik z pepeszą. Taki strażnik to nie to samo co gruby milicjant z bronią w kaburze. Takiego można było

zajść od tyłu i wbić mu nóż w plecy. Z tym z pepeszą trzeba uważać. Pewnie będzie zabezpieczona, ale odbezpieczyć taką broń to przecież sekunda. Więc nie ma miejsca na wahanie.

Wieczorem czekali przed budynkiem poczty. Jeden dźwigał paczkę. Była duża, owinięta szarym papierem i sznurkiem. Pusta, ale trzymał ją pod pachą przechylony w drugą stronę, żeby sprawiała wrażenie ciężkiej. Że niby czeka, aż wydadzą pieniądze i poczta znowu będzie otwarta. Drugi niby też stał w kolejce. Gadali. Ale tym razem żadnych papierosów, żadnych niedopałków. Furmańczyk otworzył drzwi, rozejrzył się, nic nie wzbudziło jego podejrzeń, więc puścił Czeczunia przodem. Worek był ciężki, więc przytrzymał mu drzwi. Pepesza wisiała mu na pasku, przytrzymywał ją prawą ręką. Ale nie położył palca na spuście. Zrobili obaj po dwa czy trzy kroki w stronę samochodu. Wystarczyło. Czeczun dostał kulę w plecy, Furmańczyk zaczął się odwracać i dostał w twarz. Krew go zalała. Czeczun, ranny, próbował się czołgać. No i nie puszczał worka. Dostał dwa strzały w głowę. Puścił. Jeden chwycił worek, drugi wyszarpnął Furmańczykowi pepeszę i pobiegli w prawo, wzdłuż płotu, w stronę Litewskiej. Tam czekał samochód.

Milicja sprowadziła psa w ciągu kilkunastu minut. Zwierzę doszło tylko do Litewskiej. Czysta robota. Zostały łuski, ale były wytarte, bez odcisków palców. Może jakieś fragmenty należały do plutonowego, któremu wzięli tetetkę, starali się ich nie pozacierać. Milicja znalazła też fragmenty odcisków na kartonowym pudełku. To podnieciło techników. Ale ślady okazały się bezwartościowe, bo przecież odciski należały do ludzi, którzy dotykali kartonu przed napastnikami. Porucznik pochwalił technika, który je odnalazł. W ogóle z uznaniem obserwował pracę specjalistów. Notował w myśli każdą czynność. Próbował zapamiętać ich rytuały. Kto wie, kiedy to się będzie mogło przydać.

Obłą, czarna wołga nadpłynęła niemal bezszelestnie. Kierowca truchtem obiegł auto i otworzył tylne drzwi. Wygramolił się z nich generał Dobieszak we własnej osobie. Wiceminister spraw wewnętrznych odpowiedzialny za Milicję Obywatelską.

– A to pan, poruczniku? – Pomachał ręką. Znali się z narad u wiceministra Alstera. – A widzi pan, ja wołałem osobiście.

Zrobił kilka kroków w stronę porucznika, a ten sięgnął do kieszeni.

– Nysy. Mogą być? – Poczęstował generała.

– Mogą być i nysy. – Dobieszak sięgnął po papierosa lekko drżącą ręką.

– Odkąd skończyliśmy sprawę ze zbrojną reakcją, nie mieliśmy do czynienia z takim bestialstwem. – Wpatrywał się w wielką plamę krwi wokół obrysowanych kredą postaci strażników. Rannego zabrali po kwadransie, zwłoki jakąś godzinę później.

– Hm... rzeczywiście. – Porucznik wypuścił dym nosem. – To była sprawna akcja. Zdecydowani, zdeterminowani ludzie.

– To bezwzględni, bezczelni mordercy! Kurwa mać! Nie sądzi pan, poruczniku, że to wyzwanie rzucone organom bezpieczeństwa? Może nawet ojczyźnie? – Generał wydawał się bezradny. Jakby wystraszony.

– Poradzi pan sobie – powiedział spokojnie porucznik. – Bandyci są jak zwierzęta. Kierują się instynktem. Zabijają z pragnienia zysku. My jesteśmy racjonalistami. Nie pozwalamy sobie na emocje. Dlatego to my jesteśmy górą.

– Oczywiście, oczywiście. – Generał zaciągnął się, przymykając oczy.

Zmrok nad Warszawą stał się całkiem atramentowy. Jakieś spłoszone ptaki przeleciały nad ulicą. Dużo teraz wystraszonych ptaków. Porucznik słyszał, że więcej niż przed wojną. Może coś im się

w głowach pozmieniało?

– O tej porze roku noce są takie krótkie – powiedział porucznik. – Pójdę już, nie będę przeszkadzał technikom. Radzą sobie znakomicie. Niczego nie przeoczą.

– Tak, tak. – Generał jakby ocknął się z zamyślenia. – Tak, z pewnością niczego nie przeoczą.

Dwa dni później w „Expressie Wieczornym” ukazał się wywiad z Furmańczykiem.

– Ilu było bandytów? – pytał reporter, który dotarł do rannego w izolatce szpitala przy Lindleya.

– Dwóch – odpowiedział konwojent. – Nie zauważyłem, żeby mieli obstawę.

– Jak wyglądali?

– Jeden niski w berecie i jasnym płaszczu, drugi wysoki, ciemny, bodajże w brązowym ubraniu.

– Zażądali pieniędzy czy też od razu strzelali?

– Od razu, oddali kilka strzałów bez słowa uprzedzenia i wtedy straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w szpitalu.

Furmańczyk miał poważne obrażenia. Kula przebiła policzek, język i drasnęła gardło. Ale nie dość poważne, żeby nie mógł trzymać języka za zębami.

Porucznik pomyślał, że dobre okazje nie trafiają się każdego dnia.

Nazajutrz pojechał służbowo do Katowic. W barze na dworcu znalazł numer „Trybuny Robotniczej” sprzed dwóch dni. Z tytułów wyciął litery i sporządził anonimowy list:

Huju

stul morde przed mentami

ta kulka ci się należy

z gazety wiemy gdzie mieszkasz

dziękujemy za 35 kulek
general
w smrodzie sie poniewieral
to nie ostatni strzal

Wysłał go nazajutrz z Katowic, tuż przed zamknięciem poczty na adres szpitala przy Lindleya. Włożył do koperty wyrwany z „Expressu Wieczornego” artykuł o tym, że strażnik powraca do zdrowia, oraz nabój kalibru 7,62 milimetra. Jeden z pocisków z pepeszy.

Generał Dobieszak zorientował się, że bandyci musieli obserwować miejsce napadu i widzieli go palącego te zasrane, śmierdzące nysy. Gdyby chcieli, mogli go nawet odstrzelić. A może nie było tam bandytów? Może któryś z milicjantów jest z nimi w zмовie? Albo któryś z techników? Od tej pory spał coraz gorzej.

TERAZ

Denerwowała się, jakby znowu była małą dziewczynką, która czeka na Świętego Mikołaja i nie ma pewności, czy rzeczywiście była grzeczna, dobra i posłuszna. Dość grzeczna, dość dobra i dość posłuszna. Inaczej nie ma co marzyć, żeby ze swojego worka z prezentami wyciągnął coś więcej niż tylko różgę.

Wtedy też się denerwowała. Miała na głowie ni to czapkę, ni koronę z marszczonej, różowej bibuły i sreberek z opakowań po czekoladzie. Wszystko zszyte brązowym kordonkiem przez mamę, a na szczycie związane pękiem kolorowych sznurków. Miała grube rajtuzy, których koloru nie pamiętała, a zdjęcia przecież były wtedy zwyczajne, czarno-białe, więc nie da się odtworzyć niektórych barw nawet w pamięci. Zdjęcie jest na papierze pokrytym maleńkimi pęcherzykami, jakby ktoś posypał je idealnie równym najdrobniejszym piaskiem. Kiedy się przeciągnęło po takiej fotografii paznokciem, wydawała z siebie specyficzny, wysoki dźwięk. Serbia ma nadzieję, że rajtuzy nie były zielone. Siedzą na tej fotografii oboje pod wielką palmą, czy może jakimś rododendronem, fikusem albo innym szkaradztwem. Mikołaj trzyma ją na kolanach i ma spocone czoło pod włosami z waty. Broda też jest z waty. Olga płacze.

– Nie płacz, Olu. Czemu płaczesz? – Mama macha do niej ręką, żeby spojrzała w stronę obiektywu, a wtedy tata robi to zdjęcie, które

stanie się potem jedną z niewielu pamiątek, jakie pozostaną jej z dzieciństwa.

Oprócz lęku, że nigdy nie będzie dość grzeczna, dość posłuszna i dość dobra.

Kurwa, może to był głupi pomysł, żeby zapraszać do siebie kogoś, kogo zna zaledwie kilka dni? Okej, przegadali potem kilkanaście godzin przez telefon i lubiła w nim i tę skórzaną kurtkę, i motocykl, i że nieprawidłowo wymawiał „r”. Ale czy to wystarczy, żeby kogoś zapraszać do siebie? Nie, nie zapraszać, tylko namawiać. Prosić. Cholera jasna, chyba na głowę upadłam. Prosić!? Prosiłam się jak jakaś szczeniara. Ale lubię z nim żartować. On łapie moje żarty od razu, w lot.

Wysmarkała się w serwetkę. Była sztywna i gładka. Wilgoć w ogóle w nią nie wsiąkała. Olga otarła nos grzbietem dłoni. Było jej zimno i wcale nie smakowała jej kawa na dworcu. Co za pomysł, żeby w ogóle wychodzić po kogoś na dworzec? To takie upokarzające siedzieć tutaj, pić kawę z tekturowego kubka, czytać te żałosne gazety i patrzeć, jak się całują młodzi, piękni ludzie. Nie mają pojęcia, co jest w środku takiej dziewczyny, kiedy się ją rozetnie nożem, piłą czy czego tam Grzegorzycy używa na robocie. Nie mają pojęcia o dobrym sercu. Czy ja zmarnowałam czas, kiedy byłam taka młoda jak oni? Cholera jasna, przecież nie. Przecież wychodziłam w góry i kochałam się jak szalona. Źle się zakochałam po prostu. A może wcale nie tak źle? Kim bym się stała, gdyby mnie to ominęło? Też się wtedy umiałam tak całować. W autobusie. W pociągu. W wąskiej szczelinie Jaskini Mroźnej.

Uśmiechnęła się. Wspomnienia potrafią być tak kompletnie oderwane od rzeczywistości. Zerknęła do gazety.

Aktorka Debbie Reynolds zmarła nazajutrz po śmierci swojej córki Carrie Fisher. Fisher zdobyła popularność jako odtwórczyni

księżniczki Lei w *Gwiezdnym wojnach*. Debbie Reynolds trafiła do szpitala z podejrzeniem udaru. Zachorowała nagle w czasie planowania pogrzebu swojej córki. Pieśniarz Władimir Halimon zginął w katastrofie Tu-154 dzień po tym, jak w szpitalu w Jekaterynburgu zmarł jego młodszy brat. Paweł Halimon był chory na białaczkę. Władimir Halimon był solistą Chóru Aleksandrowa i znajdował się na pokładzie feralnego lotu na koncert dla żołnierzy walczących w Syrii.

Przerzuciła stronę. Celebryci przygotowywali się do sylwestra. Uśmiechali się do zdjęć zębami, które były białe nawet na tym byle jakim papierze.

Dalej było coś o postanowieniach noworocznych. Pomyślała, że w tym roku będzie mniej musiała i będzie więcej mogła.

Potem wstała i podeszła do kontuaru.

– Jeszcze jedna kawa dla pani? – Chłopak miał zęby tak białe, że nie mogły być prawdziwe, pomyślała. Nie, no za młody jest przecież. To niesprawiedliwe, żeby być tak młodym i tak pięknym.

– Nie, kawę jeszcze mam. – Uśmiechnęła się tak, żeby nie pokazać mu zębów. – Chciałabym ciastko owsiane.

– Oczywiście, od razu pani proponowałem.

– Wtedy jeszcze nie miałam świadomości, o czym piszą gazety.

– Woli pani ciastko bezglutenowe czy tradycyjne? Z żurawiną czy karmelem i solą himalajską?

– Proszę? – Próbowała przełknąć ślinę i trochę się zakrztusiła.

– Bezglutenowe, prawda?

– Nie, no za kogo mnie pan bierze? Z żurawiną. Żurawina ko-jarzy mi się z pieczonym mięsem.

Chłopak się roześmiał.

– Osiem złotych. Kartą czy gotówką?

– Mam jakieś drobne. – Miała nadzieję, że nie dostrzegł rozczarowania w jej oczach, kiedy zaczęła grzebać w kieszeni, w której zawsze miała jakieś monety na opłaty parkingowe.

Ciastko było duże i wcale nie za słodkie.

Spojrzała na wyświetlacz telefonu. Jeszcze dwadzieścia siedem minut. Może powinna zadzwonić? Zapytać, jak mu mija podróż? Nie, to głupie. Może śpi? A może wcale nie wsiadł do tego wagonu? Może tylko żartował?

Palce ją świerzbily. Ale wybrała inny numer. Kosiński odebrał po czwartym sygnale.

– Jak tam, szefowo?

– To ja dzwonię, więc to ty odpowiadasz, rozumiemy się? Jak ręka?

– Jest dobrze. Odzyskam sprawność. Właściwie to mógłbym już dzisiaj wyjść, wracać do roboty, ale postanowili, że zostawią mnie na sylwestra, bo inaczej pewnie musieliby zamknąć szpital.

– Sam jesteś?

– Nie no, jest jeszcze pan Jacek, taki gość, któremu przyszyli palec serdeczny w miejsce wskazującego.

– No co ty pierdzielisz? – zdziwiła się. – Na morfinie jesteś?

– Nie, serio mówię. Zrobili mu taki przeszczep, bo jest myśliwym, a kiedyś piła odcięła mu palce, środkowy i wskazujący z prawej ręki. No i jakoś nie mógł już strzelać. Próbował się nauczyć strzelać z drugiego oka, ale nie trafiał. No i się zdecydował na przeszczep.

– Co ty w ogóle mówisz, wkręcasz mnie? – Zaśmiała się.

– Nie no coś ty, szefowo. Zrobili mu przeszczep, żeby miał palec, który można położyć na spuście. Miał wyjść już dwa tygodnie temu, myślał, że jeszcze przed świętami sobie postrzela do dzika, ale coś tam drapał, drapał i go zostawili i na święta, i na sylwestra. Teraz mu się

goi, ale jakoś za domem nie tęskni, nie narzeka. W Eurobiznes gramy.

– W co gracie?

– W Eurobiznes. We trzech.

– A ten trzeci?

– Sylwek. Fajny chłopak, jest tu pielęgniarzem. Nie ma nikogo, więc siedział z nami w święta. No i gramy. Coś tam popijamy po cichutku i gramy.

– Znaczy do domu nie tęsknisz?

– Do pustych ścian? Nie, to już wolę tutaj z panem Jackiem i z Sylwestrem grać i oglądać seriale. Zajebicie jest. Bez przerwy gadamy. Pan Jacek o polowaniu, ja o zbójach, a Sylwester o butach. Wiesz, on projektuje buty, no po prostu zajebiste buty rysuje, jakieś szaleństwo. Pewnego dnia rzuci szpital i będzie sławny. Wystarczy, żeby sprzedał jeden projekt Włochom albo Francuzom.

– Ale ty coś jesteś nie tego? – zażartowała.

– Nie czego? – Kosiński nie zrozumiał. W każdym razie się nie roześmiał.

– No... – Nie wiedziała jak zakończyć. – No homo nie jesteś? O butach mi pierdolisz? Ja mam trzy pary butów, a jestem kobietą.

– Ale ty się nie znasz. – Usłyszała, że go uraziła. – Nie każdy musi się znać na wszystkim. A ty co? Sama siedzisz na sylwestra? Na imprezę idziesz?

– No sama, nie sama... brat przyjeżdża.

– A nie mówiłaś, że masz brata.

– Mówiłam, ale nie słuchałeś.

– No i co, z bratem wódkę będziesz piła?

– Pójdziemy pod Pałac Kultury posłuchać muzyki. Szampana wypijemy i będę się całowała z kim popadnie.

– Jak możesz tak w ogóle pomyśleć, to strasznie niehigieniczne!

– Ha, ha, ha. Żartowałam. To kiedy wracasz?

– Za dwa, trzy dni. Pan Jacek też wychodzi, to pojedziemy razem blablacarem.

– Czym?

– No jest taka aplikacja, zamawiasz sobie samochód z Trzebnicy do Warszawy i jedziesz. Taniej niż pociągiem. Serio.

Zaczął jej tłumaczyć, ale słuchała coraz mniej uważnie.

Pociąg powinien nadjechać za kilkanaście minut. Może zdążyłaby jeszcze zadzwonić do Siwego? Nie, jutro zadzwoni. Złoży mu życzenia. Co teraz by powiedziała? Przecież sprawy nie posunęły się do przodu. Gapiała się bezmyślnie w gazetę. W czwartek, 29 grudnia, na Zamku Królewskim w Warszawie wicepremier, minister kultury Piotr Gliński podpisał umowę z księciem Adamem Czartoryskim i Fundacją Książąt Czartoryskich i zakupił w imieniu Skarbu Państwa kolekcję obrazów, wśród których znajduje się *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci.

– Chyba *Dama z lasiczką* – mruknęła do siebie.

– Jesteś tam, szefowo?! Chyba mnie znowu nie słuchasz. – W głosie Kosińskiego brzmiał zawód. Nie złość, ale właśnie zawód. Najgorsze, co może się przydarzyć dziecku. Nie byłaś dość dobra. Nie byłaś dość grzeczna.

– Przepraszam cię – powiedziała – muszę lecieć. Odbiorę cię z tego blablacara. Daj znać, kiedy i gdzie.

Wyłączyła się. Dopiła kawę i wsunęła do kieszeni połowę nadgryzionego ciastka. Może powinna jeszcze zadzwonić do Grzegorzycy? Dowiedzieć się, czy już coś wiadomo o tych analizach, bo nie ruszyła przecież z miejsca ani na krok. Mogła zadzwonić rano, ale przecież musiała odgruzować mieszkanie. Usunąć kamień z kubków i odetkać odkurzacz. Mężczyźni przydawali się kiedyś do wynoszenia śmieci.

– *You know, I am an independent woman* – tłumaczyła chłopakowi jakaś ciemnoskóra dziewczyna. Obejmowała go i bez krzty zawstydzenia muskała po pośladkach.

Serbia skręciła na schody ruchome na trzeci peron.

„Pociąg Intercity z Wrocławia Głównego do Warszawy Wschodniej jest opóźniony o pięć minut”. – Usłyszała, kiedy zjechała już do połowy.

– Kurwa, no zdenerwowana jestem. – Poczowała, że poci się jej czoło i palą policzki. – Nie no, proszę, proszę.

Nie miała chusteczki. Kto dziś nosi chusteczki. Spróbowała osuszyć czoło wełnianą rękawiczką, ale zupełnie bezskutecznie.

– No ja pierdziele. – Potarła czoło palcami, ale skończyło się na tym, że palce też miała teraz tłuste.

Spróbowała grzbietem dłoni. Lepiej. Dobrze, że ma taką przesuszoną skórę. Poprawiła lewą ręką. Miała jeszcze kilka minut. Pomyślała, że jeśli zadzwoni do Grzegorzycy, to zajmie głowę czymś swojskim, znanym i niestrasznym.

Odebrał po drugim sygnale.

– Cześć, królewno – powiedział uradowanym głosem. – Dziękuję, że dzwonisz, bo mnie do sprzątania gonią, a przecież dopiero co sprzątałem na święta. Wyobrażasz sobie, żeby tyle sprzątać?

– Nie wyobrażam – próbowała wejść mu w słowo, ale Grzegorzycy nie pozwolił.

– Wyobraź sobie, że trzeba posprzątać przed sylwestrem, bo kiedy wyniesiesz z domu wszystkie brudy z ubiegłego roku, to tak, jakbyś wynosiła całe zło. Wszystkie złe słowa, wszystkie złe myśli i uczynki.

Zasapał się.

– Ale kto tak twierdzi? – zapytała.

– Teściowa – powiedział wesolo.

– A zdrady małżeńskie też?

– Co ty gadasz, w moim wieku, ale serio... myślisz, że jakbym trochę schudł?

– Nie no, żartowałam. Przecież nie mogę cię okłamywać. Ty trupem walisz. Dziewczyny tego nie lubią.

– Oj, czytałem, że gotki lubią.

– Kto?

– No te, co słuchają Sisters of Mercy.

– One już chyba nie są zdolne do zdrady. Przecież mają po pięćdziesiąt lat.

– Sharon Stone ma pięćdziesiąt lat i gdyby coś, to... A nie, czytałem przecież, że miała wylew...

– Nie pierdol mi o wylewach. Mów, co z moimi próbkami. – Niepokoila się coraz bardziej. Na peronie było sporo ludzi. Przyszło jej do głowy, że w takim tłumie w ogóle nie pozna Szymona.

– Będą zaraz po sylwestrze, wpadnij drugiego, przedstawię ci kogoś.

– Tę twoją piękną i mądrą panią analityk?

– Nie, wiesz... przeziębila się, bo po cmentarzach lata.

– Jak to po cmentarzach? Z wami naprawdę coś nie jest w porządku.

– Nie no, bada te szczątki z drugiej kwatery na Łączce, łązi tam z byle okazji i się przeziębila. Ale mam zastępstwo, będziesz zachwycona, młody, przystojny profesor od eliksirów, trucizn i kremów. Kurwa, bóstwo, mówię ci, dandys. Pracuje w jakiejś zagranicznej firmie farmaceutycznej i zna się na tych wszystkich substancjach tak, jak ja się znam na ranach kłutych i szarpanych.

– Profesor?

– No czy tam docent. Ale taki śliczny jak James Bond. Tylko

młodszy. I on zrobił te analizy. Pisze dla ciebie raport.

Megafony na dworcu ożyły i nagle Serbia zdała sobie sprawę, że już czas.

– A ty na stacji jesteś? – zdziwił się Grzegorz.

– No, rodzina przyjeżdża z prowincji, to trzymaj się, drugiego wpadnę.

Zakończyła połączenie i pomyślała, że pociąg jest bardzo długi. I że ludzi tylu, że się na pewno nie odnajdą. W sumie to dobrze. Nawet nie miała pewności, czy on w ogóle wsiadł do tego pociągu. Kurwa, no chyba na głowę upadła, żeby obcego, nieznanego mężczyznę zapraszać do miasta na sylwestra. Przecież nie ma dwudziestu lat. Nie ma dwudziestu lat od dawien dawna. Wyprostowała się i poprawiła włosy. Ale to i tak na nic. Pod czapką włosy się tylko elektryzują i cokolwiek by zrobiła, będą się przylepiać do policzków i włączyć do oczu. Mogła się chociaż umalować, a nie jak ta dupa z bazaru stać spocona i brzydka. Nie, nie jestem aż taka brzydka. Są tu brzydsze lafiryndy i się za ręce prowadzą ze swoimi fagasami. Jezu, ilu ludzi. No nie musisz się pan tak rozpychać, kurwa, jeszcze mi postaw walizę na nodze. Jest.

Zobaczyła go z daleka.

Uśmiechał się nieporadnie do jakichś obcych ludzi, coś pokazywał rękoma, jakby tłumaczył, że nie jest stąd, że nie wie którądy. Pójdę. Nie no, stój, dziewczyno, stój, niech nie widzi, że ci zależy. Niech sobie nie pomyśli, że nikt cię nie przytulał od lat, że już nie pamiętasz, jak to jest inaczej niż sama ze sobą. Stój. Nie uśmiechaj się.

Znowu poczuła, że jej czoło robi się mokre. Zsunęła czapkę na same oczy.

– Cześć.

Pomachał jej. Ciągłe z tym uśmiechem. Kiedy tak szedł między ludźmi, zdała sobie sprawę, że widzi tylko jego, i to było bardzo

dziwne, bo przecież ona zawsze widzi wszystko. Zawsze. Zmusiła się do tego, żeby ogarnąć tłum. I żeby znowu słyszeć te wszystkie oddechy i słowa po polsku, po rosyjsku, po hiszpańsku i po niemiecku.

– Witaj.

Był o krok. Skórzana kurtka, czerwony szalik, czapka pilotka i szmaciany plecak. Nie miał walizki. Co on sobie myśli? Na golasa chce spać?

– Dobry wieczór.

Uśmiechnęła się mimowolnie

– Całujemy się? – zapytał.

– Wolalabym nie, ale możesz mnie przytulić.

Objął ją. Poczula jego ramiona na plecach. A potem rękę na pupie. Delikatnie, ale stanowczo. Pomyślała, że teraz przecież nie może się rozplakać i tylko pociągnęła cichutko nosem.

WTEDY

Czekał w stromych ostatekach cienia, który cztery kolumny wspierające klasycystyczny portyk rzucały na białą, czystą ścianę. Pomyślał, że dobrze wiedzieć, co to jest portyk. Było to jedno z tych słów zupełnie nieprzydatnych, ale potrafiących sprawić, że człowiek czuje się lepiej. Lepiej od innych. Za to właśnie lubił obce słowa.

Stał niedbale oparty o ścianę. Rozpięta marynarka, kapelusz zsunięty na oczy. Im mniej zapamięta ten wsiur, wartownik, tym lepiej. Chuj wie, komu opowiada o tym, co widzi w pracy. Czuł teraz, że strażnik gapi się przez szybę na jego plecy, więc zaciągał się papierosem z ostentacyjną beczelnością. Był pewien, że gnój nie wie, co ma o tym myśleć. Przecież byle komu nie wolno opierać się o belwederski parapet. Ale dostał polecenie, żeby gościowi wynieść na zewnątrz popielniczkę, a obowiązkiem wartownika jest mieć oczy i uszy otwarte, ale o nic nie pytać. Nie zapytał. Ale swoje pewnie myślał. Co to ma, kurwa, znaczyć, że ktoś sobie beczelnie pali pod Belwederem?

Porucznik uśmiechnął się w duchu.

Poza tym wieczór był spokojny jak nigdy. Skwar. Kamienne płyty dziedzińca rozpalone do białości, ale dwie palmy w wielkich, okrągłych, drewnianych skrzyniach wyglądały na szczęśliwe w tym upale.

Palil i myślał sobie o dupach.

Różne już w życiu widział. Okrągłe jak dynie albo cierpkie, gruszkowate dupy tych chudych dziewczyn o oschłym, wrednym charakterze. No i te nieduże, białe, nigdy nieopalone dupy w kształcie serca.

Wypuścił dym nosem.

Nudził się. Kurwa, jak bardzo się nudził. I to już od miesiąca. Zrobił parę kroków przed siebie. W słońcu było upiornie gorąco. Podszedł do palmy i strzepnął popiół do donicy.

Co za pojebany pomysł, żeby w naszym mieście stawiać palmy. Jakbyśmy swoich drzew nie mieli. Brzozy by posadzili. Brzozy dobre, polskie drzewa. Świetnie się nadają na krzyże.

Pokręcił głową i powrócił do myślenia o dupach. Ale nie zdążył przypomnieć sobie żadnej konkretnej dość dokładnie, bo wartownik otworzył drzwi i porucznik zrozumiał, że już czas. Rozdeptał niedopałek i ruszył w kierunku samochodu. Kierowca otworzył pasażerowi drzwi z lewej strony. Porucznik wsiadł po prawej. Wołga była miękka i pachniała lawendą. Od tego zapachu porucznikowi zrobiło się niedobrze. Cholera, co za babski zapach. Jak z magła. Milczeli. Kierowca zakręcił szeroko, żeby było jasne, że wiezie nie byle kogo. Wyjechali w prawo w Ujazdowskie i od razu się zatrzymali, bo przez ulicę wędrowały parami dzieci w jednakowych koszulkach. Białe koszulki i czerwono-żółte chusty. Kolonie szły oglądać pomnik Chopina. Pewnie miały też podkolanówki, ale porucznik nie widział tego z tylnego siedzenia.

Kierowca z dezaprobatą kręcił głową. Pasażer wyciągnął z kartonowej teczki jakieś dokumenty. Zaszleściły papiery, ale porucznik nie popatrzył w tamtą stronę. Wiedział, że nie warto.

– Francuzi mają nowy ponaddzwiękowy bombowiec. – Usłyszał, ale nie zareagował. Nie był pewien, czy to do niego, czy też może szef mówi sam do siebie. – Miraż. Niezła nazwa. Francuzi to jednak poeci.

Lepsi poeci niż inżynierowie, bo za daleko ten ich samolocik nie poleciał.

Porucznik czekał. Nie po to przecież tu siedział, żeby słuchać o samolotach.

– Spadł? – zapytał jednak z grzeczności.

– Nie. Słaby zasięg. Panie Aleksandrze – szef podniósł głos – proszę skrócić tutaj, zjedziemy sobie w dół. I proszę się nie spieszyć. – Agrykola była przyjemnie zacieniona. – Decyzja jest taka, że wysyłamy ich do przyjaciół z Moskwy. – Szef złożył papiery. – I nie będziemy wiedzieli, jakie mają zadanie. Może to będzie ważny sprawdzian, a może posiedzą gdzieś nad Morzem Czarnym, opiją się wina gruzińskiego i wrócą. Nie będziemy mieli już na to wpływu. Ale zaskarbimy sobie wdzięczność. A wdzięczność przyda nam się w rozmowach z Niemcami o kwestii granicznej.

– Kiedy wyruszamy?

– Oni wyruszają, pan, kapitanie, jest bardziej potrzebny tutaj, na miejscu.

Porucznik nie zapytał, czyja to decyzja. Nie warto zadawać pytań, które muszą pozostać bez odpowiedzi. Przełknął ślinę. Kurwa jego mać, zaklął w duchu. Za szybą dziewczyny w sukienkach stały w kolejce do saturatora.

– No niech pan nie będzie rozczarowany. Bierut, pamięta pan, poleciał do Moskwy jak skowronek, a wrócił jak... No jak to było?

– Pojechał w futerku, a wrócił w kufierku – odpowiedział porucznik.

– Nie to, nie to...

Za szybą po lewej stronie mignął pomnik Jana III Sobieskiego.

– Pojechał salonką, a wrócił... – starał się przypomnieć sobie porucznik, niepewny, czy warto w ogóle pamiętać takie żarty, ale skoro się powiedziało a... – ...pojechał w salonce, a wrócił w jesionce.

– Macie dobrą pamięć. Panie Aleksandrze, w lewo.

– A... w Myśliwieckie?

– Tak, a potem koło Sejmu. Ale zwolni pan wcześniej koło ruin tego kościoła po prawej. Rzuciłbym okiem. Czytał pan, kapitanie, *Złego*?

– Jakiego znowu *Złego*?

– Taką kryminalną opowieść o Warszawie, wie pan, to się podobno zaczyna właśnie w tym kościele. Ludzie idą na lodowisko, bo to zimą, tam się awanturują chuligani z Czerniakowa, a potem im ktoś w tych ruinach wpierdol spuszcza. No, ruiny uprzątnięte, ale książka została.

– Nie czytałem.

– No ja też nie czytałem, ale opowiadali mi, że dobra. I że się tutaj dzieje. To musi być przyjemne, kiedy się napisze książkę, nie sądzi pan? Kościoły znikają, ruiny znikają, a książka jednak zostaje.

– Nie mam pojęcia. – Porucznik zacisnął wargi. Czuł się z tym źle, że go odsuwają.

Ruiny za oknem wcale go nie ciekawiły. Wołga zawyła, kiedy zaczęli jechać pod górę.

– Co to za mina? Ktoś musi dbać o nasze interesy. Czy wyobraża pan sobie, poruczniku, że wysyłamy do zakładów inżynierskich w Niżnym Nowogrodzie naszych najlepszych specjalistów z Żerania?

Porucznik usłyszał, że tym razem nie tytułują go kapitanem.

– Toż to przecież byłaby skrajna nieodpowiedzialność – kontynuował szef – z kilku powodów. Mogłoby na przykład się okazać, że potrafią zastosować niektóre modyfikacje w samochodach w sposób, który wzbudziłby w konstruktorach z Nowogrodu zazdrość. I co wtedy? Albo że nasi inżynierowie, racjonalizatorzy, nie zachowali staranności w czasie analizy licencji i posunęli się za daleko, wywołując tym samym, całkiem słusznie, gniew konstruktorów

radzieckich. To by nam nie posłużyło. Więc jeśli chcą na własne oczy obejrzeć warszawę M-20-57, to czy nie lepiej posłać im gotowy samochód? Niech sobie pojeżdżą, niech sprawdzą, jak nam się udało uzyskać lepszy moment obrotowy, niech się rozpędzą raz czy drugi. Nawet jeśli się rozbiją, to przecież będzie ich wina.

– Przydałby mi się taki samochód.

Spojrzał w okno na gmach Sejmu. Budynek za parkanem z prostych, żeliwnych prętów wydawał mu się jakby ucięty w połowie. I całkiem bez życia. Może to z powodu wakacji.

– Operacyjny wóz panu nie wystarczy?

– Operacyjny jest, jak sam pan wie, do operacji. A mnie by się przydał na wakacje.

– Do żony macie zamiar się wybrać? Nie wiem, czy auto to rozsądne rozwiązanie. Pociągi mamy wygodne. W pociągu widać, czy ktoś za nami wsiada, czy nie wsiada. Auto przyciąga wiele par oczu. Ale macie rację. Pojedźcie w te wasze góry. Odpocznijcie.

– Wolałbym...

– Ja wiem, czego wam potrzeba. Teraz potrzeba wam po prostu urlopu.

– A moi ludzie?

– To są nasi ludzie, przypominam. Nasi. A właściwie teraz to już są ludzie radzieccy. Ale nie pójdzie w zapomnienie, kto ich szkolił, proszę się nie niepokoić. Ale bardziej cenimy ten pański pomysł niż samych wykonawców. Rozumie pan?

Porucznik uświadomił sobie nagle, że nikt nigdy nie zapytał go o pieniądze z napadów. A to była spora gotówka. To musi być podstęp. Pułapka. Hak. Kurwa, no pewnie, że to hak! Postanowił milczeć.

Jechali tak obydwaj pogrążeni w milczeniu aż do skrzyżowania Nowego Światu ze Świętokrzyską.

– Wysadzę pana przy Bagińskiego, dobrze? Tak będzie lepiej. Mniej pytań. Przejdzie pan się po świeżym powietrzu, ochłonie, porozmyśla... Ten Bagiński to ciekawa postać, słyszał pan? Za wojnę z Leninem dostał Virtuti Militari, a potem sanacja go zakatowała na śmierć. Taka jest wdzięczność w tym narodzie.

Porucznik milczał.

Nie wiedział, co powiedzieć na tę „wojnę z Leninem”.

Kiedy został sam na rogu Bagińskiego i Krakowskiego Przedmieścia, pomyślał o tym, że wszystko zmienia się tak szybko. Jeszcze nie tak dawno temu po drugiej stronie ulicy straszyły ruiny. Z kamienic zostały tylko sklepy w parterze. A dzisiaj skwer, szerokie chodniki, Bristol odremontowany jak nowy. Dobrze by było zobaczyć kawałek świata. Ale jak nie, to nie, chuj z tym, poczeka.

Ludzie porucznika dostali paszporty i wizy do ZSRR. Kiedy lądowali w Boryspolu, lotnisko działało dopiero od kilku tygodni. Przesiedzieli do wieczoru w jakichś biurach, ani brudnych, ani czystych. Śmierdziało lizolem i mokrym papierem. W oknach kraty pomalowane na szaro. Za kratami słońce. Furman drzemał. Jasiński czytał małą książeczkę z serii Biblioteka Żółtego Tygrysa. *Operacja „Violet”*. Najnowszy numer. Kupił ją w kiosku na lotnisku. Była o lądowaniu w Normandii. Cieszył się, że ją zabrał, bo nie lubił się nudzić, a odkąd wysiedli z samolotu, nie odezwali się do siebie ani razu. Odpowiadali tylko na pytania, a pytań nie było wiele. Przez odprawę przeprowadził ich szybką ścieżką jakiś cywil. Bez kontroli bagażowej. Zresztą nie mieli przy sobie nic wartościowego. Paszporty na nazwiska, jakich uczyli się przez ostatni tydzień. Jakieś drobiazgi osobiste z życiorysów należących nie wiadomo do kogo. Znoszone portfele. Jakieś fotografie rodzinne powycierane na rogach. Prawo jazdy. Listy miłosne na te ich nowe tożsamości. Stara recepta. Słowa zupełnie bez znaczenia, ale nie powinni niczego wyrzucać.

Kiedy zaczęło się ściemniać, zapalił lampkę na biurku. Książka była nieciekawa. Ale po żadną z teczek, które leżały na stalowych regałach, nie miał ochoty sięgać. Myślał, czy Furman naprawdę śpi, czy tylko udaje.

Pół godziny po tym, jak zapadł zmierzch, dostali do jedzenia gulasz i grube, pachnące pajdy chleba. W blaszanych miskach. Do tego kawa. Gorzka, czarna, w blaszanych, aluminiowych kubkach z czarną, lakierowaną rączką. Cywil, który przyniósł im to wszystko na tacy, nie odezwał się ani słowem. Widać znał się na swojej robocie.

Potem pojechali w kierunku, którego Jasiński nie potrafił się domyślić. Najpierw krążyli po mieście, potem po przedmieściach, a potem za oknem było ciemno, a w wąskiej strudze światła przednich reflektorów nie pojawiała się nic ciekawego. Szary bruk. Szary asfalt.

Jechali dwie godziny i siedem minut.

Przy bramie stali wartownicy w połowych mundurach. Pepesze. Do tego jakiś podoficer z krótką bronią. Nie pochylił się w kierunku kierowcy, najwyraźniej znał samochód. Jedna brama. Pas ziemi, który wyglądał na zagrabiony, druga brama. Jeszcze sześć minut jazdy. I byli w miasteczku. Czy może w jakiejś osadzie. Musiało być tam przynajmniej kilka parterowych budynków, bo widział sporo świateł.

– *Pajdiom* – powiedział cywil, który siedział obok kierowcy, i otworzył drzwi.

I poszli. Mieszkali w ośrodku miesiąc. Każdego dnia strzelali, jeździli samochodami po torze przeszkód i godzinami uczyli się niemieckiego. Jadali w kantynie pośród kilkudziesięciu wojskowych w mundurach bez dystynkcji i dużej grupy cywilów. Niektórzy byli czarni. Kilku bardzo wysokich, brązowoskórych, z długimi nosami i krzaczastymi brwiami. Kilku żółtych.

Nikt nikogo nie pytał o imię ani o stopień. Ale pytali o to, czy

można komuś podać sól albo cukier. Wszyscy byli bardzo mili. Uśmiechali się. Nie odzywali. W bibliotece za to było sporo książek. Przeważnie kryminałów. Angielskich, francuskich i po niemiecku.

Nie mieli telewizji. Musieli czytać niemieckie książki.

Każdy z nich nocował w osobnym pokoju. Łóżko, niewielka poduszka, stolik, lampka i krzesło. Nie było szaf. Rzeczy trzeba było trzymać w walizce. Łazienki i toalety na korytarzach.

Linoleum, kremowe ściany pomalowane olejną farbą.

Podobno gdzieś w lesie było jezioro. Czasami spotykali ludzi z mokrymi włosami. Czasami słyszeli w pobliżu śmigłowiec.

Jeden jedyny raz cywil przyszedł do nich, kiedy jeszcze spali.

– *Pajdiom* – powiedział.

W sali konferencyjnej: długi stół, zielone sukno, dwanaście krzeseł, tablica, którą w razie potrzeby można było zakryć białą folią nawiniętą na długą rolkę przymocowaną do sufitu, dwa okienka projekcyjne, tak jak w kinie. Regał z książkami.

Spotkali tam młodego, przystojnego Niemca. Przedstawił się jako Hans Joachim Budeit.

– Tłumacz z Dortmundu – powiedział i mrugnął – będziemy razem pracować. Potrzebuję kierowcy i kogoś, kto dokończy sprawę w razie, gdyby mi się zacięła maszynka.

Rozmawiali po niemiecku. Hans miał niebieskie oczy i miły uśmiech. Uścisk ręki mocny i zdecydowany.

– Obserwowaliśmy was i zdecydowaliśmy, że ty – cywil wskazał Jasińskiego – prowadzisz samochód. – A ty – odwrócił się w kierunku Furmana – niesiesz ładunek.

– Jaki ładunek?

– Taki. – Pokazał im wieczne pióro. Trochę większe od zwyczajnego. Nie, nie większe. Grubsze. Obsadka w czarno-brązowym

kolorze. Stalówka szeroka, srebrna.

– Przekręcasz obsadkę, ładunek trafia do komory, a potem ściskasz w garści i strzelasz.

Zademonstrował. Pióro wystrzeliło jakimś gazem pod ciśnieniem.

Odruchowo cofnęli się o krok.

– *Nie nada bajatsia* – powiedział z uśmiechem cywil. – To tylko dwutlenek węgla. Prawdziwym ładunkiem będzie kwas pruski. Strzał z bardzo bliska, cel musi wciągnąć go do płuc. Wtedy w kilka chwil umrze na zawał serca. Kwas ulega szybkiemu rozpadowi. Nie pozostanie żaden ślad. Sekcja zwłok wykaże zatrzymanie pracy serca. Bardzo ważne jest, żeby żaden ślad nie pozostał. Wynik sekcji musi być jednoznaczny.

– Serio mówicie? – zaniepokoił się Furman.

– Serio – powiedział Budeit. – Ten numer udał mi się niedawno znakomicie. Trzeba mieć szczęście. A szczęście chodzi parami.

Od tej pory Furman trenował strzelanie ładunkami z wiecznego pióra. Jasiński uczył się na pamięć mapy miasta, którego nazwy nie znał. Nazwy ulic były po niemiecku: Sandstraße, Dachauer Straße, Kreittmayrstraße, Erzgiessereistraße. Niektóre jednokierunkowe. Przypuszczał, że to może być Dortmund. Uczył się też otwierania zamków samochodowych za pomocą prostego wytrycha i zapalania silnika bez kluczyka. Wiedział, które przewody trzeba ze sobą zewrzeć, żeby silnik zaskoczył. Próbował tej sztuczki z kilkoma rodzajami niemieckich samochodów. Z mercedesem, oplem i volkswagenem.

W połowie września dostali nowe dokumenty i od tej pory byli Niemcami. Uczyli się nowych tożsamości. Tydzień potem Furman dostał fotografię celu. Starszy gość. Głowa jak jajo, zakola tak duże, że zostało mu tylko trochę ciemnych, kędzierzawych włosów na samym szczycie czaszki. Mocne brwi, zaciśnięte usta. Wyglądał jakoś

swojsko, znajomo, jakby go kiedyś widział na jakiejś fotografii. Nie było żadnego nazwiska. Ani żadnej sygnatury. Musiał oddać zdjęcie na dzień przed akcją.

Polecieli najpierw do Genewy i dopiero tam, na lotnisku, dowiedzieli się od łącznika, że lecą do Monachium. W Monachium odprawa poszła bez żadnych przeszkód. Byli przecież Niemcami powracającymi z wakacji w Szwajcarii. Wieczne pióro w kieszonce marynarki nie zrobiło na nikim żadnego wrażenia.

Mieli siedzieć w hali przylotów i czekać na samolot z Berlina.

Zobaczyli Hansa w tłumie pasażerów, ale nie podeszli się przywitać. Szli za nim na parking lotniskowy. Tam Jasiński otworzył jakiegoś zakurzonego opla. Samochód wybrał Hans. Zatrzymał się i pokazał palcem, że to będzie ten. Biały. Pewnie raczej niedrogi. Dookoła stały znacznie lepsze samochody.

Wyjechali bez większych przygód.

Hans powiedział, że trzeba się kierować drogowskazami na Altstadt, że ten kierunek wyprowadzi ich na Sonnenstraße. Jasiński powiedział, że zna Sonnenstraße, że to jedna z ulic na mapie, którą zna na pamięć. Hans odparł, że jadą na Kreittmayrstraße numer 7. Jednokierunkowa. I że on też zna trasę, bo był w tym budynku już kilkakrotnie, żeby dopasować kształt klucza do klatki schodowej.

– Dopasowałeś?

– Mam nadzieję, że tym razem będzie pasował idealnie.

Potem Hans dał Furmanowi klucz i dwie pigułki. Białe, niewielkie kapsułki.

– Gdyby doszło co do czego i kwas dostał się do twoich płuc, musisz to natychmiast przegryźć. Wtedy przeżyjesz.

Furman nie odpowiedział. Z tylnej kanapy opla niewiele widział.

Od chwili gdy wjechali na teren Starego Miasta, Jasiński jechał jak po swoje. Nauka mapy bardzo mu się przydała.

– Słuchaj – Hans odwrócił się do Furmana – wchodzę do budynku. Otwieram drzwi tym kluczem. Twój klucz pozwala otworzyć drzwi garażu od ulicy. Wchodzisz do garażu. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli cel się cofnie, jest twój. Jeśli wyjdzie z garażu na klatkę schodową, jest mój. Gdyby coś poszło nie tak, trzecie piętro, drzwi z napisem „Poppel”.

– Co może pójść nie tak?

– Ktoś mnie może rozpoznać. Byłem tu już cztery razy. Cel może mieć towarzystwo.

– Ochrona?

– Nie. Ale może być ktoś obcy na klatce schodowej. Albo w garażu. Musimy być zdecydowani, bo jeśli coś pójdzie źle, cel zniknie.

– Dlaczego?

– Bo nie jest głupi. I ludzie, którzy załatwili mu tę przykrywkę, też nie są głupi. Zorientują się. A raz ostrzeżony zniknie i już go nie odnajdziemy. W każdym razie nie od razu. Sto procent wykonania oznacza, że cel ma zawał serca, a po nas nie ma śladów. Połowa zadania oznacza, że cel jest wyeliminowany.

– Osoby trzecie?

– Byłoby źle, gdyby dwie osoby w tym samym budynku dostały zawału serca w ciągu jednej minuty. Nawet najgłupsza policja świata zaczęłaby coś podejrzewać.

– Masz jakąś broń?

– Nie. Musi być cicho.

– Może nóż?

– Nie. Kwas musi wystarczyć. To bardzo ważne.

Dojechali.

– Czekamy.

– Na co? – zapytał Jasiński.

– Dziś czwartek. On wyjedzie do sklepu. Potem będzie wracał. I to jest nasz plan.

Czekali półtorej godziny. Cierpliwość jest w tej robocie jedną z podstawowych umiejętności. Czekać tak, żeby się nie zmęczyć. Żeby się nie zdekoncentrować. Uczyli się tego w Warszawie długie, długie godziny. Słońce wędrowało po dachach domów. Czasami przejechał jakiś samochód. Dzieci przebiegły. Starszy pan czytał gazetę na stojąco. Nie było wiatru. Wiatr musiałby mu wyszarpnąć te wielkie płachty papieru. Ciekawe, czy ten gość jest tu przypadkiem, czy też należy do ekipy.

– To on. – Hans kiwnął w stronę czarnego opla. – Poppel jedzie po zakupy.

– Długo mu to zajmie?

– Zwykle załatwia sprawę w trzy kwadranse.

Około trzynastej zobaczyli na końcu ulicy samochód Poppela. Hans wysiadł z auta, podszedł do zewnętrznych drzwi, otworzył je i zaczął wspinać się schodami na trzecie piętro. Furman zbiegł podjazdem do garażu. Były tam boczne drzwi. Wsunął klucz. Pasował. W środku panował mrok. Nikogo. Rozluźnił kark i dłonie. Jeśli Poppel tu wjedzie, jest jego. Hans tymczasem dotarł na drugie piętro. Chciał spotkać Poppela na trzecim. Wspinał się po schodach, kiedy usłyszał z trzeciego rozradowane kobiece głosy. Jakieś baby opowiadały sobie, co zrobią mężom na obiad. Hans zawrócił. Ale pomyślał, że nie zdąży, i na pierwszym piętrze wcisnął guzik windy. W tym czasie z mieszkania obok wyszła jakaś kobieta, więc zbiegł schodami na parter. Zobaczył przez oszklone drzwi, że Poppel próbuje je otworzyć lewą ręką. W drugiej trzyma torbę z zakupami. Hans zrozumiał, że cel zaparkował na ulicy.

Furman już wiedział, że pozostawanie w garażu jest bezcelowe. Poppel musiał zaparkować gdzieś przed domem, na ulicy.

Hans zszedł cztery schodki, otworzył drzwi od środka i zapytał wysokiego mężczyzny, czy zamek się zaciął.

– Nie, nie, w porządku – odpowiedział Poppel. – Bardzo panu dziękuję.

Odsunął się o pół kroku, żeby zrobić wychodzącemu miejsce. Hans wystrzelił mu w twarz ze swojego pióra. W tym momencie Furman szybkim krokiem wspiął się z powrotem na ulicę, wyszedł zza rogu budynku i zobaczył, jak Hans układa pod ścianą tracącego przytomność mężczyznę. Przeszedł przez ulicę.

Jasiński odpalił opła. Furman wsunął się na tylną kanapę. Hans wsiadł na miejsce pasażera.

– Jedziemy na lotnisko – powiedział – i wypijemy po piwie.

TERAZ

Prosto z Centralnego poszli na Chmielną na zupę pho. Pomyślała, że skoro on nie ma walizki, nie muszą jechać prosto do domu. Wypili piwo w jakimś barze. Potem kolejne. Opowiadał jej o ludziach w pociągu. Na początku denerwujesz się, kiedy twoje miejsce zamiast normalnie, przy oknie w dwuosobowym boksie, wypada na samym środku, przy stoliku, przy którym musisz jechać z trzema obcymi osobami. Ksiądz czytał jakąś powieść włożoną w okładki brewiarza. Na pewno powieść, bo przecież nie śmiałyby się, gdyby to była ewangelia, którą zna już na pamięć. Chłopak w okularach oglądał film. Co i raz widać było na jego twarzy pojawiające się jakieś rozbłyski. Słuchawki na uszach. Dziewczyna, pewnie Chinka, czytała przewodnik po Polsce napisany za pomocą tych przedziwnych liter. Zapytała, skąd wie, że po Polsce. No przecież poznał po zdjęciach Wawelu i Sukiennic. I Kolumny Zygmunta. A, jeszcze ten chłopak – pod stołem wciąż dotykał butem jej stopy. Czasami przydeptywał stopę Szymona.

Nie zapamiętała więcej z tego, o czym rozmawiali. Myślała, żeby wciągać brzuch, uśmiechać się i żeby się nie poplamić. W Toan Pho Szymon uparł się, żeby próbowała jeść pałeczkami, ale to było jednak ponad jej siły.

Pozwalała cierpliwie, żeby układał jej dłoń we właściwy sposób. Od dawna nie dotykała niczyjej dłoni dłużej niż na uścisk ręki i to było dosyć niezwykle. Facet miał szorstkie ręce. Trochę ją laskotał, ale

potrafiła zachować powagę.

W lokalu było sporo ludzi. Na szczęście żadnych znajomych twarzy. Żadnych zbójów, żadnych bandytów. Sporo Wietnamczyków. Sporo turystów. Sporo młodych ludzi. W kącie pod okienkiem, w którym oddawało się brudne naczynia, siedział w ołtarzyku, w kwiecie lotosu, po turecku mały fajansowy budda i gapił się w telewizor, który wyświetlał dalekowschodnie teledyski. Na szczęście muzyka nie grała zbyt głośno. Zamówili zupę z kaczką. Serbia nie miała pewności, czy prawdziwą. Ale miała nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. Czasami, kiedy sprawy miały się dobrze, obawiała się, że zupełnie jak w tych żydowskich opowieściach, które czytała od czasu do czasu, trzeba wietrzyć podstęp losu. Bo jeśli wszystko się udaje, czyż to nie jest widomy znak, że Najwyższy chce nas wystawić na próbę?

Zostawiła samochód na Marszałkowskiej i pojechali metrem. Dla chłopaka z Wrocławia to było całkiem nowe. Sporo ludzi jak na taką porę. Nie sądziła, że wieczorem przedostatniego dnia starego roku metro będzie wypchane po brzegi. Stali przyciśnięci do siebie. Myślała, że jak to dobrze, że nie wziął walizki. I jacy różni są ludzie w metrze.

Ćwiczyła umiejętność patrzenia. Usłyszała o tym w szkole. Wchodzisz do lokalu, liczysz stoliki, mężczyzn, kobiety, zapamiętujesz rozkład sali. Na ulicy zapamiętujesz numery rejestracyjne samochodów. Na początku zupełnie ci to nie wychodzi, ale z czasem dostrzegasz coraz więcej. Najpierw te, za które ktoś zapłacił, żeby poszpanować numerem Wo BOSS1. Potem te, w których powtarzają się cyfry. A potem te, które widzisz zbyt często. I wtedy wiesz, że ktoś cię śledzi.

Teraz rozglądała się po metrze. Przeważnie mężczyźni. W polu widzenia ma ich kilkunastu. Większość przegląda obrazki

w telefonach. Kilku czyta. Niektórzy są ciągle tacy młodzi, inni już nigdy nie będą, choćby zrobili sobie wszystkie zabiegi świata, choćby wtłoczyli w siebie cały botoks i wycisnęli na sztandze sto kilo w każdej serii. Nie będą, bo mają w sobie smutek. Kompulsywne zażeranie szarości. Jak dwie z trzech kobiet.

Ona nie była smutna. Z jednej strony była niecierpliwa, z drugiej chciała, żeby jechali bez końca pośród tych ludzi bogatych i biednych. Niektórzy mają pewność, dokąd jadą, a inni potrzebują sporo czasu, żeby to zrozumieć. Może nigdy nie zrozumieją. Ktoś pił sporo kawy. Jeszcze czuć ten zapach. Dwaj studenci pewnie wciągali dzisiaj kokainę. Gadają bez sensu i bardzo ich to bawi. Płatki nozdrzy zaczerwienione. Przypomniała jej się wigilijna dziewczyna. Ciekawe, czy morderca też jeździ metrem. Może szuka kolejnej dziewczyny, której zrobi krzywdę? Nie no, Serbia, co ty pierdzielisz, przecież to by musiał być seryjny, a tacy się zdarzają rzadko. Bardzo rzadko. Nawet nie zauważyła, kiedy kompletnie odjechała.

– Hej, o czym myślisz? – Trącił ją w ramię.

– O pracy. – Uśmiechnęła się. – Zawsze myślę o pracy. Zbója mam przecież na rozkładzie.

– Po to przyjechałem?

– Nie, do tego cię nie zatrudnię, bo wiesz... – skrzywiła się – no, jak bym to ogarnęła służbowo?

– Ale opowiesz mi?

– O trupie?

Skinął głową.

– Dziewczyna młoda, piękna, ładnie ubrana, jak na bal, smukła, długie nogi. Wykrwawiła się.

– Dlaczego?

– Ktoś otworzył jej żyły.

– Na nadgahstkach?

– Aha.

– Związana była?

– Nie.

– A to ciekawe. Więc była nieprzytomna, ale miała oddech i kłężenie. Pewnie była na jakichś phochach...

– Skąd wiesz?

– Gdyby nie miała kłężenia, khew zebhałaby się w tułowiu i z rozciętych nadgahstków wypłynęłoby niewiele khwi. Umahlaby na wskutek niewydolności kłężenia, a nie z powodu wykhwawienia.

– Serio mówisz?

– No. – Uśmiechnął się. – Ja też czasami mam do czynienia z denatami. Chociaż nie z dziewczynami. W ogóle mam niewiele do czynienia z dziewczynami – powiedział.

– Kłamiesz.

– E... wcale nie.

Rozglądał się po wagonie metra. Z trudem zmusiła się, żeby się nie obejrzeć. Na pewno była tam jakaś atrakcyjna lafirynda.

– Napatrz się, bo wysiadamy. – Dała mu sójkę w bok.

Na zewnątrz było zimno. Może nawet mróz? Szkoda, że nie było śniegu. Lubila Żolibórz na biało. Potem wpuściła go do mieszkania przodem, jakby to on był kobietą.

– No co tam masz w plecaku? – spytała, kiedy wziął od niej kurtkę.

– Szczoteczkę, butelkę, ogóhki, zapasowe skahpety, koszulkę na zmianę. Książkę, bo to długa dhoga jednak. Takie tam.

– Damy radę. Zaczniemy od butelki czy głodny jesteś?

– Nie no, jedliśmy. – Zrzucił buty i nie ustawił ich jeden obok drugiego.

– Cholera, nie mam kapci. Wszystkie takie rzeczy kiedyś wypieprzyłam.

– Dam hadę, mam gube skahpety. Podchoinkowe.

Były czerwone. Z Mikołajem i reniferem. Pomyślała, że po całej podróży pewnie śmierdzą, ale tego właśnie chciała. Chciała, żeby śmierdziało męskim potem.

– Tu jest łazienka, tu pokój. Kuchnia, jeśli chcesz, możesz sobie zrobić kawy. Możesz szperać po szafkach. Ale tylko w kuchni, okej?

Pokiwał głową.

– Nie lubię zmywać. Teraz jest pozmywane, bo posprzątałam na twój przyjazd, ale normalnie nie lubię. – Kurwa, po co ja to wszystko mówię? Odwróciła się do niego plecami i poczuła się całkiem bezradna.

– To może naphawdę zacznę od łazienki? – zapytał. – Thochę jednak jestem wczohajszy po tym pociągu i po tym chińskim zahciu.

– Wietnamskim.

– A, tak... po wietnamskim. Wiesz, że we Whoławiu to chyba nie ma wietnamskiej kuchni. Zdaje mi się, że tam są same pizzehie.

Wszedł do łazienki. Usłyszała szum wody. Ale jeszcze wrócił, wziął z ziemi swój plecak.

– A ty co tak stoisz? – dobiegło ją.

Wtedy dopiero zorientowała się, że od dłuższej chwili zupełnie stoi bez ruchu.

– Ręcznik weź sobie z półki – powiedziała, odwracając się od niego. – Wszystkie są wyprane, więc możesz wziąć, który chcesz.

– Potrzebuję kwadhansa. – Zamknął się w łazience.

Serbia odetchnęła. Weszła do kuchni, żeby nastawić czajnik, jednak zaraz wróciła. Stała pięć centymetrów przed drzwiami łazienki, ale tak, żeby nie było widać jej cienia przez to małe okienko

z mlecznobiałą szybą. Nastawiła ucha. Nic. Tylko szum wody. Wzruszyła ramionami i stanęła przed lustrem w korytarzu.

Podciągnęła sweter i obejrzała swój brzuch. Nie był szczupły. Ale, kurwa, nie był wcale taki zły jak jeszcze dwa miesiące temu! Mniej jeść, powiedział jej wtedy Grzegorzczuk. Nie знаła innego lekarza, któremu nie wstydziłaby się powiedzieć, że zaczęła tyć. Że biega, ale to chyba nic nie pomaga, bo wciąż jest gruba.

– Mniej jedz i wódkę odstaw – poradził Grzegorzczuk.

– No przecież nie umiem.

– To przynajmniej mniej jedz.

Ostateczny, nieostateczny, Grzegorzczuk był jednak dobrym doktorem. Nie śmiał się z niej, a wtedy nie zniosłaby śmiechu. Wciągnęła brzuch, przesunęła po nim dłonią i stanęła bokiem. Nie no, serio jest lepiej. Mogłaby tylko mieć większe piersi. Podciągnęła sweter jeszcze wyżej. Nie były złe, miały ładny kształt, ale były za małe. Chłopaki lubią duże.

– Dobra tam. – Opuściła sweter i poszła włączyć radio. Katie Melua śpiewała *Wonderful Life*. Jak miło. Dwie minuty później okazało się, że to lista Trójki. W sumie może być. Lubiała tę listę właściwie od dziecka. Kiedy Szymon otworzył drzwi łazienki, Muniek Staszczuk śpiewał właśnie: „Mijam królestwa tego świata, mijam miasta, krwawy tron”, a ona siedziała na kanapie z nogami pod brodą i swetrem naciągniętym na kolana. Miała w rękach kubek kawy. – Zrobiłam ci kawę. Słabą, żebyś mógł potem zasnąć. – Uśmiechnęła się. – Stoi na stole. Cukru nie mam, żeby mnie nie kusilo.

– A mleko masz?

– Jeśli znajdziesz lodówkę, detektywie, znajdziesz i mleko.

Znalazł. Usiadł z drugiego końca kanapy. Niby obok, ale jakoś wyczuł, że nie powinien za blisko.

– No to opowiadaj.

Miał włosy mokre. Pomyślała, że pewnie woda płynie mu jeszcze po karku.

– O czym? – Siorbnęła kawy.

– O tej sphawie, w której potrzebujesz pomocy.

– A – powiedziała z ulgą.

Opowiedziała mu wszystko. O prośbie Siwego i o tajemniczych zapiskach. O tym, jak rozszyfrowała ciągi cyfr, i o wszystkim, czego zdołała się dowiedzieć.

– I co o tym sądzisz?

– Nie wiem. Długi czas akcji, ale ta sama bhoń. To zastanawiające. Co hobili przez ten cały czas pomiędzy napadami? Siedzieli we więźniu? Phowadzili zwyczajne życie? Chodzili do phacy, bawili się z dziećmi? Wydawali po thochu te pieniądze, a potem znowu nadali? To się nie trzyma kupy.

– Sprawców nigdy nie ustalono. Nigdy nie znaleziono śladu tych pieniędzy. Krążyły jakieś opowieści o tym, że zbóje byli milicjantami czy może nawet raczej funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa. I że ich rozpoznali, i że ich ktoś skazał na zniknięcie. Tyle wiem.

– Skąd wiesz?

– Z gazet. No i z tego, co znalazłam w Internecie. Jest tego całkiem sporo, ale nic pewnego.

– Może coś będę mógł sphawdzić. – Kiedy opowiadała, wypił swoją kawę do końca. Teraz odstawił kubek.

– Jak sprawdzić?

– Zwyczajnie. Tak jak się kiedyś dowiedziałem o tym, kto był ojcem twojego dowódcy.

– A jak to zrobiłeś?

– Wiesz, że nie wolno mi mówić. Ja nie zadaję zbyt wielu pytań, a jeśli rzadko pytasz, może się okazać, że dostajesz odpowiedzi.

– Naprawdę nie możesz mi powiedzieć? Przecież ci ufam.

– Gdybyś nie ufała, to bym ci nie pomógł. Ani wtedy, ani teraz. Ale nie wiem, czy się dowiem. Poza tym w mętnej wodzie nigdy nie wiesz, jaka hyba jest na haczyku. Bywają tak ościste, że można się zadławić. To dziwna spha. Zabójcy, zaginiona kasa... Przemyślę to. A teraz napijmy się wódki.

Poszedł do łazienki po plecak.

– Wstrząśnięta i schłodzona – powiedział, trzymając w rękach butelkę finlandii. – Jeszcze się nie hozgrzała.

Serbia wyswobodziła kolana spod swetra i przyniosła z kuchni dwa ceramiczne kubki. Lubiła pić z nich wino. Kiedyś. Teraz nie lubiła już wina.

– No a jeśli te pieniądze naphawdę są gdzieś ukhYTE, jeśli naphawdę kupili za nie złoto, to co zhobimy ze skahbem? Myślałaś o tym?

– Nie, nie myślałam.

– Weźmiemy sobie? – Otworzył butelkę.

– No coś ty! Nie są moje. Gość je ukrył, żeby były kiedyś dla jego rodziny.

– Ale przecież to kasa z przestępstwa. – Sięgnął po kubek i nalał jej całkiem sporo.

– No... Ale morderstwa przedawniają się po trzydziestu latach.

– A napady po dwudziestu. – Sięgnął po drugi kubek. – Popijamy czymś?

– Mam colę w lodówce, możesz sobie przynieść. Ja nie popijam.

– A ja tak.

Wyszedł do kuchni. Serbia wstała i poszła wyłączyć światło w korytarzu. Teraz świeciła już tylko nocna lampka. „Czy pamiętasz jeszcze mnie, dziewczynę z rzeką w tle? – śpiewała Anita Lipnicka. –

Mówił: trzeba żyć, nieustannie goniąc sny”...

– Choleha, myślę, że znajdziemy tę fohsę. I powinnaś się zastanowić, co z nią zhobić – powiedział, wracając z butelką coli.

– Ale to nie jest moja forsa. Jest Siwego.

– No tak, dostał zapiski od jakiejś przyjaciółki. Ale czy naphawdę jest jego? Nie jestem tego taki pewien. Pijemy?

Wypili. Szymon od razu nalał sobie coli do kubka.

– Może by to przekazać tej fundacji, która wspiera dzieci po zabitych policjantach?

– Niezła myśl, pod wahunkiem, że kasa jest twoja. Jeśli nie jest twoja, to nie wiem, jak możesz jej użyć. No bo jak? Wypierzesz pieniądze jak ci bandyci, których ścigamy?

– Sprawdzę w kodeksie. To nie jest skarb w rozumieniu dziedzictwa narodowego, przestępstwo jest przedawnione, może się więc okazać, że w sensie prawnym właściciela nie ma... No dobrze, już dobrze, na razie niczego nie znaleźliśmy. Może zawiozę tę kasę w plecaku do Zurychu i tam założę konto?

– Myśl o tym. Znajdziemy.

– Skąd wiesz?

– Bo jesteście naphawdę dobrzy w te klocki.

Usiadł wreszcie. Teraz już bliżej.

– I w jakie jeszcze jesteś dobry?

– W jakie zechcesz.

– Serio?

– Tak. Sehio.

„Na ósmym Kortez, *Wracaj do domu*” – powiedziało radio.

– No to mi jeszcze nalej – poprosiła.

Wypiła szybko, ale nawet nie zakręciło jej się w głowie.

„Wracaj do domu, jeszcze czas. Ten, za kim idziesz, nie jest aż tyle

wart” – śpiewał Korteż.

– Czy to będzie problem, jeśli pościelę ci na kanapie? – zapytała.

– Nie no, skąd. – Wypił swoją część i sięgnął po colę.

Korteż zamilkł w pół słowa. Piosenki, które spadają, nie są odtwarzane w całości. Teraz Metallica zaczęła walczyć z całym światem.

– Ech, to radio, nigdy nie gra jak należy – powiedziała ze śmiechem.

Potem milczeli. Pomyślała, że dobrze jest z kimś milczeć. Znacznie lepiej niż milczeć samemu.

– Czy możesz mnie po prostu przytulić? Nic już nie gadać i zwyczajnie mnie przytulić?

– Tak, mogę. *Sehve and photect, I am a cop*. Nie pamiętasz?

Przytuliła się. Delikatnie, żeby niczego nie spłoszyć. Potem wypła jeszcze jeden raz. I znowu mogła się przytulić. Rano obudziła się na kanapie. Była spocona, w powyciąganym swetrze i pod kołdrą. I całkiem sama.

WTEDY

– Nie czytajcie jutrzejszych gazet.

Mieli w głowach już po litrze piwa.

– Aż taka ważna była ta akcja? – zapytał Jasiński.

– To nie jest moja rada. – Hans pokręcił głową. – Miałem wam przekazać polecenie. Nie kupujecie, nie czytacie.

– Jutro będziemy już daleko od Monachium – powiedział Furman.

Dokończył kufel. Gapił się na zielony plakat oprawiony w ramkę i zawieszony nad barem. Oktoberfest 1959. Piwo, precel, kurczak, ryba, serce i rzepa. Niemcy kojarzyły mu się z zupełnie innymi sprawami: Auschwitz, Hitler, Palmiry, rozpierdolona Warszawa, rewizja granic i może jeszcze Schiller i Goethe. Nie mógł zrozumieć, że po tym wszystkim Niemcy mogą być szczęśliwi i bogaci.

– Cieszę się, że odjebaliśmy jednego Niemca – powiedział cicho i odwrócił głowę od plakatu.

– On był taki sam Niemiec jak i ty – mruknął Hans.

– Polak? – Jasiński ugryzł się w język, ale mleko już się rozlało. Zaklął w myślach i skupił się na tym, żeby nie dać po sobie nic poznać.

– Ty za dużo gadasz. – Uśmiechnął się lekko Hans. – Jak się nauczysz nie zadawać głupich pytań, to może jeszcze popracujemy.

Pożegnali go przy bramkach odlotów krajowych. Szedł

wyprostowany i odprężony. Z kapeluszem nasuniętym na tył głowy. Jakby był turystą, a nie gościem od brudnej roboty.

– Popierdoliło cię? – warknął Furman.

Potem poszli na samolot do Zurychu. W drodze na lotnisko przejechali przez Stare Miasto, zaparkowali nad rzeką, weszli na most koło Muzeum Niemieckiego i z tego mostu dyskretnie wrzucił pióro do rzeki. Muzeum wyglądało jak wielkie krematorium. Odpychająca bryła. Wieże jak kominy. Na maszcie pewnie wisiał w czasach Hitlera sztandar ze swastyką.

W Zurichu czekał na nich jakiś człowiek. Szary garnitur, kapelusz, długi jasny płaszcz, tabliczka z napisem „Mr. Furman, „Mr. Jasinsky”. Zanim dojechali do hotelu, usłyszeli, że wszystko jest opłacone, ale nie powinni korzystać z barku.

– Zresztą to nie będzie konieczne, bo dotrzymam panom towarzystwa.

– Jako wartownik?

– Ależ skąd – odparł z uśmiechem. – Jako przyjaciel. Sądzę, że jesteście nazbyt zmęczeni, żeby nocą wędrować po mieście. Ale znam doskonałą restaurację. Nie będziecie rozczarowani.

Restauracja znajdowała się nad rzeką, w pobliżu kościoła z dwiema wieżami. Usłyszeli opowieść o tym, że stoi na grobowcach patronów Zurychu, Świętych Feliksa i Reguli. Zostali ścięci za szerzenie nowej wiary, ale kiedy kat odciął im głowy, ciała dalej chodziły. Ludzie uznali to za cud.

Siedzieli w barze. Kierowca opowiadał im niestworzone damsko-męskie historie, dzięki czemu mogli doskonale poznać strategie podrywania Francuzek, Brytyjek i kobiet ze słonecznej Italii.

Pili porządną whisky i podobał im się ten wieczór. Nie rozmawiali o pracy.

– O siódmej rano czekam na was przed wejściem do hotelu –

powiedział nieznajomy.

Mieli przed sobą sześć bitych godzin snu.

Polecieli do Moskwy, a stamtąd do Kijowa. Tym razem do ośrodka jechali już tylko półtorej godziny, i to w świetle dnia. Rzeczywiście, po drodze było jezioro.

W dalekiej Warszawie na biurku porucznika zadzwonił telefon.

– Chciałem panu serdecznie pogratulować, grażdanin kapitan – powiedział ktoś niskim, zachrypniętym i obcym głosem. Człowiek ten oddychał z podobnym trudem, z jakim wypowiadał polskie słowa.

A może to tylko odległość? – pomyślał porucznik albo ktoś nas słucha? Na pewno słucha. Postanowił nie mówić zbyt wiele. Nie zapytał, kto mówi.

– Dziękuję – powiedział po prostu.

– Wasza komanda bardzo dobrze gra nawet bez kamandira.

– To dobrze czy źle? – zaryzykował. Trzeba wykorzystywać takie okazje.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się głos po drugiej stronie – to zależy, co jest do zrobienia. Jesteście mało cierpliwi. Zdaje się, że tylko nad tym musicie popracować. To moja rada. Ale nie dzwonię, żeby wam cokolwiek radzić. Tylko żeby pogratulować ku chwale ojczyzny.

Porucznik milczał.

– Ojczyzna nie umie być wdzięczna, niech pan jej to wybaczy. Ale należą się panu gratulacje.

I nastąpiła cisza.

Od następnego poranka Jasiński w towarzystwie jednego z obcokrajowców rozpoczął intensywny kurs obsługi zaawansowanego sprzętu fotograficznego. Pierwszy raz miał w ręku japoński aparat fotograficzny Nikon F. Podobno to najnowocześniejszy aparat fotograficzny świata. Jasiński był

przekonany, że czeka go jakaś grubsza akcja, ale szybko przekonał się, że chodzi po prostu o to, żeby potrafił udawać fotografa.

Dwa dni później wraz z nowym znajomym, Ismailem, polecili przez Stambuł do Bejrutu, żeby w tłumie fotografów obserwować finały Trzecich Igrzysk Śródziemnomorskich. Wygrywali przeważnie Francuzi. Po zawodach zostali w mieście jeszcze dwa dni. Jeździli wynajętym samochodem z pięknie położonego nad samym morzem lotniska do małej willi na wzniesieniach dzielnicy Barouk. Droga wiodła obok zamku Moussy zbudowanego z białego kamienia. Zatrzymali się tam kiedyś, żeby zrobić zdjęcia tej budowli. Nad bramą wyrzeźbiony był orzeł, a dookoła konie, lwy, żółwie i dzieci.

Nauczyli się drogi na pamięć i mogli wracać.

Furman tymczasem uczył się składać z powszechnie dostępnych materiałów niewielkie ładunki pirotechniczne. Poznał też kilka interesujących wynalazków. Na przykład ładunek karbidowy w kartonowym opakowaniu z małym zapalnikiem wybuchał i płonął doszczętnie. Miał tę wadę, że trzeba było uruchomić zapalnik ręcznie i odrzucić w czasie dwóch sekund. Podobny ładunek w puszcze Big Mac Beer wybuchał tuż po drugim przebiciu blachy. Żeby wypić cokolwiek z takiej puszkii, trzeba było ją otworzyć za pomocą klucza albo wybić dwa otwory. Pierwsze przebicie wieczka nie powodowało żadnych skutków, ale kolejny ruch klucza albo przebicie drugiego otworu uruchamiało ładunek, który rozrywał puszkę.

Poza tym wciąż sporo trenował i był już całkiem dobry na strzelnicy.

Wyruszyli ze Stambułu 7 listopada volkswagenem garbusem w wersji z pojedynczym oknem ponad klapą silnika i zsynchronizowaną skrzynią biegów. Samochód miał już sporo na liczniku i gdyby potrafił opowiadać, mógłby sporządzić atlas tej części świata, w której plotły się interesy ludzi, którzy nie mieli nazwisk, ale

posiadali wiele paszportów.

Na tylne siedzenia załadowali walizki z rzeczami osobistymi, a do bagażnika torby ze sprzętem fotograficznym. Mieli do przejechania dwa tysiące kilometrów i niemieckie paszporty z udokumentowaną podróżą przez całą Europę. Pokonanie tej trasy zajęło im tydzień, ponieważ musieli zatrzymać się sfotografować Izmir, a potem baseny wapienne i wodospady w Pamukkale. Nie ulegało wątpliwości, że za kilka lat będzie to wielkie turystyczne zagłębienie. Kilka hoteli już było na etapie prac wykończeniowych. Odwiedzili Antalię i kiedy przekraczali granicę Zjednoczonej Republiki Arabskiej, mogli opowiedzieć pogranicznikom o swojej misji pokazania czytelnikom niemieckiej prasy najpiękniejszych miast Bliskiego Wschodu. Dowódca zmiany pochodził z Aleppo i uznał za konieczne opowiedzieć dziennikarzom swoją ubogą angielszczyznę o wspaniałym, zabytkowym mieście wszystkich religii świata. O wielkim meczecie, kościołach, cytadeli, serze i o mydle z Aleppo.

– Nie wiem, czy mamy dość czasu – zafrasował się jeden z dziennikarzy.

– Ależ na pewno macie, z pewnością w Bejrucie nie będzie aż tylu miejsc do sfotografowania – obruszył się strażnik.

Dziennikarze wyjaśnili, że po igrzyskach Bejrut stał się bardzo popularny wśród zachodnioeuropejskich turystów. Dowódca zmiany naciskał jeszcze bardziej, że powinni odwiedzić Aleppo, skoro Bejrut i tak jest już dość popularny. Jasiński był zirytowany. Nie jest dobrze, kiedy ktoś w takim miejscu cię zapamiętuje. Ale najwyraźniej trafili na lokalnego patriotę.

Zgodzili się, że muszą tam pojechać, a on podarował im mapę syryjskiej części republiki oraz wbił stemple w paszporty. W tym czasie celnicy wyjęli z garbusa wszystko, co tylko mogli. Dowódca zmiany zasugerował im, żeby nie rekwirowali alkoholu, bo to przecież

tylko słabe piwo.

– Poza tym, Muhammadzie, przecież w Aleppo produkujemy własne piwo, Al-szark, więc nie widzę powodu, żebyś miał cokolwiek zatrzymywać.

Oczywiście nie pojechali do Aleppo, bo przykrywka dziennikarskiej misji nie była już potrzebna. Jasiński był zdzwiony, że w jednej z toreb podróжных wiozą dziesięć puszek piwa, ale Furman powiedział, że nie chciał go denerwować tym, że przemycają piwo.

– Może byśmy wypili po jednym?

– Popieprzyło cię? To piwo jest właśnie naszym zadaniem.

Jasiński zamilkł.

– Wiesz, co jest w puszkach?

– Wiem.

– Kwas pruski? – ząartował Jasiński.

– A... żebyś kurwa wiedział.

– Serio?

– Tak.

– A nie przeżre tej blachy?

– Mówili, że nie przeżre.

– Ale mamy robotę, co? Kurwa, wieziemy przez pół świata dziesięć puszek piwa.

Wieczorem, 14 listopada, przejechali granicę z Libanem. Jasiński znał drogę z poprzedniego pobytu tutaj i mimo że była już noc, dotarli do wili w dzielnicy Barouk bez żadnych przygód. Przenieśli do domu wszystkie rzeczy. Między innymi dziesięć puszek amerykańskiego piwa Krueger Extra Light. Osiem było białych z delikatnym rysunkiem pędów jęczmienia, a dwie złote z dużym, czerwonym napisem. Nowe etykiety. Weszły do sprzedaży dopiero w tym roku.

Ismail przygotował im jajecznicę. Do śniadania otworzyli sobie po

piwie. Z puszek z jęczmiennym deseniem. Te z czerwoną etykietą Ismail zapakował do swojej torby. Od dwóch tygodni pracował w ekipie sprzątającej samoloty na bejruckim lotnisku. Miał doskonałe papiery. Wynikało z nich, że już od czterech lat pracował jako sprzątacznik na lotnisku, a teraz awansował na szefa brygady. Był jedynym Libańczykiem w ekipie. Pozostali byli emigrantami z Pakistanu. Od przewrotu wojskowego Ayuba Khana przybywało ich na Bliski Wschód coraz więcej.

Jasiński i Furman przespali niemal cały dzień. Wieczorem wybrali się pozwiedzać Bejrut. Myśleli o dziewczynkach albo o tym, żeby znaleźć jakiś bar z prawdziwą whisky, ale zdawali sobie sprawę, że nie powinni za bardzo rzucać się w oczy. Wrócili przed północą.

Następnego dnia zapakowali samochód i ruszyli z powrotem do Stambułu.

Ismail pokornie przyjął popołudniową zmianę na cały tydzień.

Tymczasem lot FG 202 linii Ariana Afghan z Londynu do Kabulu miał pechowy przebieg. Do międzylądowania we Frankfurcie wszystko szło doskonale, ale po starcie z Frankfurtu zapalały się kontrolki pracy lewego skrajnego silnika. W Bejrucie na pokład weszły ekipy mechaników. Pracowali szesnaście godzin i w końcu udało im się zlokalizować, i naprawić usterkę. Zanim powiadomiono pasażerów, że start odbędzie się za cztery kolejne godziny, na pokład weszła ekipa Ismaila. Kokpit był zamknięty, ale brygadzysta postawił dwa piwa przed wejściem. Piloci znaleźli je i pomyśleli, że to podarunek od mechaników. Ucieszyli się.

Samolot wystartował gładko i szybko nabierał wysokości. Drugi pilot otworzył puszkę malutkim otwieraczem do konserw, który nosił przy pęku kluczy. Jedna dziurka, druga dziurka.

– Fuck! – krzyknął, bo puszka momentalnie się rozgrzała i zaczęły się z niej wydobywać kłęby białego dymu.

– Co jest? – kapitan spojrział w prawo.

Nie powinien był tego robić, ale okrzyk kolegi go zdekoncentrował. Gaz wypełnił kabinę i kapitan nie dostrzegł już wskazań wariometru. Ale startował stąd już nieraz i pamiętał, że odległość od pasa startowego numer 1.8, z którego korzystali, do stoków góry Aramoun to zaledwie pięć kilometrów. Zaczął manewr zwrotu w prawo.

Ja pierdołę, pomyślał, kiedy zrozumiał, że jest za późno. Kabina DC4 roztrzaskała się o stok góry w ułamku sekundy. Wrak stanął w płomieniach, ale w odłamanym, tylnym fragmencie kadłuba trzy osoby wciąż żyły, kiedy dotarli do nich ratownicy. Z mężczyzny siedzącego w czwartym rzędzie po prawej stronie nie zostało zbyt wiele. Ktoś w Moskwie zatarł ręce z zadowolenia.

Pusta puszka po kruegerze w zmiażdżonej kabinie nie zwróciła by nadmiernej uwagi komisji badającej przyczyny wypadków lotniczych, nawet gdyby została odnaleziona. Jej resztki rdzewieją do dziś na stokach góry. Dla członków komisji badającej przyczyny katastrofy najważniejsze było, że we krwi żadnego z pilotów nie znaleziono śladu alkoholu. Komisja dość szybko wydała oświadczenie, przypisując winę za katastrofę pilotowi, który nie wykonał zwrotu w prawo w momencie nabierania wysokości. Raport stanowi, że możliwe są dwa powody takiego zachowania: pilot zapomniał instrukcji startowej, która nakazuje zwrot w prawo, albo też coś nagle odwróciło jego uwagę. Możliwe też, że tuż po starcie uruchomił się alarm przeciwpożarowy, co spowodowało, że zredukował ciąg i samolot miał zbyt małą prędkość, żeby sprawnie wykonać manewr zwrotu w prawo. Zresztą nie zaprzętało sobie tym zbyt głowę, ponieważ była to już sześćdziesiąta czwarta katastrofa samolotu DC4 od zakończenia ostatniej wojny światowej.

Jasiński i Furman nie dowiedzieli się, czemu miały służyć puszki,

które przemycili do Bejrutu. Ani oni, ani Ismail nie mieli też pojęcia, że dowództwo operacji uznało ją za wysoce obiecującą. Być może to właśnie jest dobry kierunek, sposób na to, żeby amerykańskie samoloty, na przykład produkowane przez zasłużony koncern Douglas, spadały częściej niż inne.

O takiej roli tych puszek zupełnie nic nie wiedział Eral Cleon Fraze, który od miesiący starał się uzyskać patent umożliwiający otwieranie puszek bez użycia klucza. Udało mu się właśnie teraz. Pracował nad swoim wynalazkiem kilkanaście miesięcy i w końcu wyprodukował puszkę do piwa z nacięciem i kluczem, który nazwał pull-tab. Był przytwierdzony do wieczka i wystarczyło wygiąć go i mocno pociągnąć, żeby w wieczku zrobił się otwór. Pan Fraze potrzebował jeszcze czterech kolejnych lat, żeby zainteresować któregośkolwiek z producentów napojów swoją innowacją, ale pierwszy krok był już za nim.

Po powrocie do Stambułu Jasiński i Furman zainkasowali wypłatę i dostali trzy dni wolnego. Mogli robić w mieście, co chcieli. Ale nie szaleli, przekonani, że są obserwowani. Warszawski trening nie poszedł na marne i bardzo szybko odkryli, że ich przypuszczenia są słuszne.

– Myślisz, że chodzą za nami, żeby nas sprzątnąć?

Rozmawiali po polsku. To dobry język, na Wielkim Bazarze nie rozumiał ich nikt.

– Myślę, że nie. Całkiem nieźle dajemy sobie radę.

– Ale wciąż nie robimy nic prawdziwego.

– Jak to „nic prawdziwego”?

– Ja tylko jeżdżę samochodem. Nic, kurwa, tylko jeżdżę samochodem i uczę się map na pamięć.

– No to chyba jesteś zadowolony? Lepiej chyba jechać do tego, jak mu tam, Aleppo, niż zapierdalać na taksówce z Okęcia do Pałacu

Kultury.

– Chyba lepiej. Ale przecież jesteśmy zawodowcami. A robimy chujowe rzeczy. Wakacje.

– Nie wiesz, co robimy. – Furman pociągnął Jasińskiego do jakiejś kawiarni. – Nie wiesz, kim był ten gość w Monachium.

– Mnie się wydał znajomy, kiedy zobaczyłem to zdjęcie.

– Myślałeś nad tym?

– Oczywiście.

– I co?

– Nic. Ale mam przeczucie, że to był Rosjanin.

– Że przeszedł na ich stronę? Zdrajca?

Jasiński pokiwał głową. Nawet jeśli nie był zdrajcą, to lepiej tak myśleć. Im mniej zdrajców, tym lepiej dla świata.

Zamówili po kawie i po kawałku baklawy. Ich ogon usiadł w knajpce po drugiej stronie uliczki. Oni siedzieli w cieniu, a on musiał stać w słońcu. Ale nic mu przecież nie będzie, to listopad, a nie sierpień.

– Ciekawe, co robi nasz dowódca – powiedział Jasiński.

– Pytasz czy zatęskniłeś za dawnymi czasami?

– Pytam.

– Pewnie zapierdala jakiś tor przeszkód dla sztabowców na Syberii albo może gdzieś na Saharze.

Furman obserwował dziewczyny. Dawno nie był z nikim. Ale wybrał sobie zajęcie jak dla mnicha. Nie wolno brać się do takich spraw na terenie wroga, powtarzał im porucznik. Ufali mu. Więc z kurew dzisiaj znowu nic nie będzie.

Porucznik nudził się w swoim biurze w resorcie. Ciągnęło go w pole. Ale wiedział, że w robocie, do której jest stworzony, najważniejszą cnotą jest cierpliwość. A najważniejszym z talentów

jest talent do tego, żeby ukrywać zniecierpliwienie.

Za kilka tygodni ktoś zadzwoni i powie, że już czas.

TERAZ

Powinna być zła. Powinna wkurzyć się tak do samego spodu. Drzwi do pokoju Anki były otwarte, a obcy spał tam w ubraniu, w tych podróżnych, grubych, brudnych skarpetach na jej ulubionym pomarańczowym kocu. Nie miał prawa. Nie wolno wchodzić do takich miejsc byle komu.

Powinna się wkurzyć, bo wszystko można zrozumieć i wiele można wybaczyć, nawet mężczyznom, ale nie to, że ktoś wchodzi z butami do świata, którego nie rozumie.

No nie, jednak bez butów. Ale nie rozumiała, jak mógł. Jak mógł wszystko zepsuć. Jeszcze przed chwilą może nawet pozwoliłaby mu się pocałować. A na pewno pozwoliłaby przytulić. Zachciało jej się płakać. Ale nie. Nie będzie płakać. Jest, do kurwy nędzy, silna. Daje sobie radę ze zbrojami. Wie, co trzeba mówić i co trzeba robić.

Otworzyła drzwi na oścież i wzięła oddech dość głęboki, żeby wypieprzyć Szymona w jedną minutę. Zrobiła krok, potem drugi. Poczowała, jak jej zimno w stopy. No tak, wciąż była bosa. Dobrze, że nie naga. Gdybyś była naga, dziewczyno, to jak byś krzyczała? Zrobiła kolejny krok. Doszedł ją swąd skarpet. Wszystko nagle stało się takie wyraźne. To dziwne. To przez to światło. Sączyło się przez niebieskie firanki. Takie niepewne. Efemeryczne. Serbia lubiła to słowo, zapamiętała je z jakiejś książki z dzieciństwa, chyba z *Małego Księcia*. Efemeryczne...

Patrzyła na firanki, nieruchome i lekkie, i zrozumiała, że musi być już dzień. Spała pewnie bez końca. Ostatni dzień roku. Krótki. Skoro było już światło, to znaczy, że jest późno. Mało światła, ale dość, żeby zdjęcia na biurku zaczęły się do niej uśmiechać jedno po drugim. Zobaczyła kredki. Otwarty zeszyt. Otwarty od lat na tej samej stronie. Nigdy nie spojrzała na poprzednie. Nigdy też nie spróbowała zajrzeć, co dalej. Zawsze patrzyła tylko na tę jedną, zawsze tę samą stronę: Anka, mama, tata i królik. Strona, na której zawsze jest dzisiaj.

Przy biurku stało stare krzeselko, wyściełane płótnem z wizerunkiem Hannah Montany. Kto to dzisiaj pamięta? Hannah miała wyblakłą twarz. Część poszycia fotelika, ta, na którą pada słońce, zdążyła wypłowić. Ale niżej padał cień, więc ubranie Hannah wciąż miała jak nowe.

Nigdy nie zblaknie – pomyślała Olga – to, co w cieniu, nigdy nie zblaknie. Ale nie można wrócić po własnych śladach, jeśli się je pozaciera.

Usiadła na łóżku, na samym brzegu. Popatrzyła na te jego skarpety. Czerwone. Z Mikołajem. I reniferami. Poczowała, że złość ją opuszcza. Jakoś nagle nie chciała już krzyżeć, tylko dotknąć tych skarpet. Zaczęła płakać.

Nie zauważyła, kiedy się obudził, ale gdy otarła nos i podniosła wzrok, zobaczyła, że Szymon nie śpi.

– Nie wiem, jak się zachować – powiedział.

– Co ty pieprzysz? – chlipnęła.

– Nie wiem, jak się zachować. Nie wiem, dlaczego płaczesz.

Milczała.

– Jest kilka możliwości – powiedział. – Możesz płakać dlatego, że bez pytania wszedłem do pokoju twojego dziecka. Może na mnie nakryczysz i może będziesz miała hację. Ale możesz płakać, bo weszłaś tu za mną i tehas tęsknisz. Więc nie będziesz krzyżeć, ale

pewnie nie dasz się przytulić. Ale możesz płakać dlatego, że już dawno nie miałaś pod hęką takiego fajnego chłopaka. W takim przypadku pewnie się nie będziesz wzbhaniać. – Chciał dodać, że istnieje też możliwość, że Serbia przechodzi klimakterium, ale w samą porę ugryzł się w język.

– Nie wiem. – Opuściła wzrok. – Sama nie wiem.

– To zchobimy tak, że najpieh w się przytulisz. To nie boli. Potem zjemy śniadanie. A potem hozwiążemy te twoją zagadkę. Dobrze?

– Nogi ci śmierzdzą. – Wytarła nos grzbietem dłoni.

– Niechaj to, patrz na sehce.

Położyła się obok niego i przytuliła. Ale nie przyłgnęła całym ciałem.

– Nie leżałam na tym łóżku ani razu, odkąd nie ma Anki – powiedziała po długiej chwili.

– Hozumiem. Ale przecież nie znikamy, widzisz? Jesteśmy.

Zjedli potem jajecznicę z kielbasą na maśle. Bardzo niezdrowo i bardzo nieekologicznie.

Później włożyła jakąś starą kasetę do magnetofonu. Nie za głośno.

I podała mu kartkę.

– Cyfry już ogarnęłam. Mówiłam ci. To daty napadów i suma zrabowanych pieniędzy.

Przejrzał je szybko.

4 12 57 11 18 00

7 04 59 00

1 06 59 66 66 00

22 12 64 13 36 50 0

– Siedem lat. Sthasznie dużo czasu. Co hobili między napadami? Jakby byli złodziejami, byłoby więcej dat. – Zmarszczył czoło.

– Może nie wydawali kasy tak szybko, w PRL-u nie było na co wydawać.

– Mówiłaś, że prawdopodobnie zamieniali na dolary i na złoto. Więc nie wydawali. A jeżeli nie wydawali, to znaczy, że mieli inne źródło utrzymania. Musieli mieć inne zajęcie. Do tego pochodzenie tego papieru... twój dowódca nie dostał go od byle kogo.

Nie pamiętała już, ile powiedziała Szymonowi. Przestraszyła się tej myśli. Może powiedziała mu o Siwym zbyt wiele.

– Jeśli na tej kahtce zapisane są wszystkie ich akcje, to sama rozumiesz, że nie byli zwykłymi złodziejami. Możliwe, że habowali częściej, ale nie wszystkie sphawy są tu spisane. No ale zakładamy, że mamy komplet... Dziwna sphawa. – Wstał i zaczął chodzić po kuchni.

– Nie byle kto dał twojemu dowódcy te papiery. Nie zdziwię się, jeśli nigdy się nie dowiemy, kimbyli.

– Ale mamy przecież te zapiski.

– Może nie odkryjemy kim byli, ale jeśli to zagadka, szahada, to pewnie damy hadę ją hozwiązać.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien tego, co wiem i co pothafię. Lubię zagadki. Ale czy nie miałaś nam jeszcze zhobić kawy?

Pochylił się nad trzecią stroną. Ciemniewski Lucjan, Wróblewski Zdzisław.

Zapisał sobie te nazwiska w małym, czerwonym notesie na gumkę. Miał tam właściwie zapisane tylko nazwiska. Czasami jakiś numer telefonu. Albo numer teczki.

Czytał dalej:

Nazwiska są wzięte z książki telefonicznej na użytek zupełnie innej sprawy. Może ci się do czegoś przydadzą, może nie przydadzą. Dzielić się z nimi nie ma już potrzeby. Sprawa pogrzebana tam, gdzie święta ziemia. Nie było łatwo, ale nie było wyjścia. Wszystko się pochrzaniło przez politykę. Zawsze jest przez politykę. Jednego dnia masz

robić tak i tak, drugiego dnia okazuje się, że to, co było dobre, od teraz jest już złe.

Ale zadbałem o resztę. Schowałem między Chopina a Reymonta. Pod szczęściami z kosmosu. Miałem śrubokręt, ale ty musisz podważyć czymś twardym i ostrym.

Na czwartej stronie tym samym długopisem był nabazgrany dziwny napis w obcym języku.

– Co myślisz? – Zajrzała mu przez ramię.

– Myślę, że to po hebhajsku.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, ale tak mi się wydaje. Na hазie i tak musimy się skupić na czym innym. Widzisz – pokazał palcem – nazwiska wzięte z książki telefonicznej. To znaczy, że mogli się tak nazywać, ale wcale nie musieli.

– Dziwne.

– Nie tak dziwne sphawy działały się w hesohcie w tamtych czasach.

– W jakim resorcie?

– Jak to w jakim? W Hesohcie Sphaw Wewnętrznych.

– Myślisz, że to ubecka sprawa?

– A ty nie? Przecież dostałaś to od swojego szefa. A kim on był całe życie i jakich miał przyjaciół?

Milczała. Nie pamiętała, ile zdradziła Szymonowi, ale była pewna, że nie powinna mu powiedzieć nic więcej. Czy powiedziałam mu, jak się nazywał ten, od którego Siwy dostał papiery? Poczula, że się znowu poci. Spuściła wzrok.

– No ale musimy od czegoś zacząć, skoho zapisał te nazwiska, to może są ważne. Pophoszę kogoś, żeby mi to sphawdził.

– Jeśli będzie chciał, to nam powie?

– Jeśli będzie chciał, to nam powie – potwierdził.

– A jeśli nie będzie chciał?

– To może powie przynajmniej, czy bezpiecznie jest o to pytać.

– Aż tak?

– Kuhwa, to przecież było mnóstwo pieniędzy. Zastanowiłaś się, co z nimi zrobimy?

– Nie, ale podoba mi się, że mnie z tym nie zostawiasz samej. Myślę, że zapytam Siwego, ale dopiero kiedy coś znajdziemy.

– Musimy wiedzieć, co to za miejsce między Heymonta a Chopina.

– Całe miasto jest między tymi ulicami. Chopina jest przy parku Ujazdowskim, a Reymonta na Bielanych.

– A co jest w połowie drogi między nimi?

– Nie mam pojęcia. – Sięgnęła po smartfona i wybrała aplikację z mapami. Przeglądała je chwilę. – Powązki. Cmentarz na Powązkach – powiedziała.

– A widzisz. To by nawet pasowało. – Pokazał jej fragment zapisków: „sprawa pogrzebana tam, gdzie święta ziemia”. Cmentarz to dobre miejsce, żeby coś ukryć. Sprawdz, gdzie są pochowani.

Sprawdziła.

– Reymont jest na Powązkach. A Chopin na Père-Lachaise.

– Gdzie?

– W Paryżu.

– Ale Heymont na Powązkach, więc musimy tam pojechać.

– Teraz? – spytała zdziwiona.

– No a kiedy?

– Przecież dzisiaj sylwester...

– A w czym to przeszkadza? Masz za dużo wolnych dni? Pojutrze whacam do Whocławia, więc musimy teraz.

Pojechali metrem po samochód. Uśmiechał się, kiedy patrzyła mu w oczy i spytała, czy chce prowadzić. Pokręcił głową. A ona przekreśliła klucz.

„Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę dezubekizacyjną,

czytamy na Twitterze Kancelarii Prezydenta. Od tej pory wysokość świadczeń byłych peerelowskich funkcjonariuszy nie będzie mogła przekraczać dwa tysiące pięćdziesiąt trzy złote. – Usłyszeli w radio. – Zmarł William Salice, twórca Kinder Niespodzianki, miał osiemdziesiąt trzy lata. W Rio de Janeiro w spalonym samochodzie odkryto zwłoki ambasadora Grecji...”.

Zmieniła stację. Usłyszeli *Last Christmas*. Tak było lepiej.

Znaleźli jakieś miejsce przy Powązkowskiej. Sylwester nie jest dniem odwiedzania cmentarzy, więc było pusto. Ale pan sprzedający znicze budkę miał otwartą. Niektóre sprawy muszą się dziać mimo wszystko.

Minęli posąg legionisty z mieczem, na którym zwijał się wąż.

– Nie dałby hady walczyć takim mieczem. – To były pierwsze słowa, jakie Szymon wymówił, odkąd wysiedli z metra. Milczał cały czas i ona też milczała. Myślała o tym, jakie to dziwne spacerować po mieście z mężczyzną. Wysokim, tajemniczym, należącym teraz tylko do niej, bo tylko ona wiedziała, że śmierdzą mu nogi. W samochodzie nie rozmawiali. Zamilkł nagle. Pomyślała, że to przez cmentarz. Że myśli o Ance i nie wie, jak się zachować. A może myślał o zagadce? W końcu był policjantem, a policjanci ciągle myślą o zagadkach. Albo o wódce.

Szli przed siebie, mijając po prawej stronie posąg starca, który trzyma w ręku klepsydrę. Była wykuta w kamieniu i czas stał w miejscu od lat. I będzie tak stał na wieki. Albo do jakiejś wojny.

Pomyślała o grobie Anki. Dawno tam nie była.

– Pewnie często tu przychodzisz? – spytał, a ona zrozumiała, że naprawdę czyta jej w myślach.

– Nie. Nierzęsto.

Cmentarz wyglądał na zasmucony. Resztki śniegu, które zdążyły już stopnieć w mieście, tutaj ciągle jeszcze leżały na ramionach

posągów i na ramionach krzyży.

– Anka leży z moją mamą. W innym świecie. W innym mieście.

– To od czego zaczniemy? – Postanowił, że to przemilczy.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wiem tylko, jak dojść do Niemena.

– Dokąd?

– Czesław Niemen, pamiętasz? „Ludzi dobrej woli jest więcej...”.

– Tak, pamiętam.

Brodzili w wilgotnym, pośniegowym błocie.

– Przychodziłam tu, kiedy byłam już sama.

Szli w kierunku kolumbarium. Powolni. Powściągliwi. Wiatr wiał z północnego zachodu. Chmurzyło się, ale była nadzieja, że słońce zdoła się jednak przecisnąć choć na moment. Serbia skrzyżowała ramiona na piersi. Wiedziała, że może mówić. Że on nie będzie pytał, ale będzie słyszał. Czasami tak właśnie jest. Mówisz i nie wiesz, czy przypadkiem nie do samej siebie.

– Nie wychodziłam z domu. Tylko do fabryki. Rozumiesz? Patrzyłam na fotografie zbójów, czytałam protokoły, szukałam tego, co się w nich nie zgadza. Przesłuchanie za przesłuchaniem. Raport za raportem. Znajdowałam luki i pytania, które powinny być zadane, ale nie padły. To wymagało czasu, ale wkręcałam się. Siwy to rozumiał. Dawał mi robotę, która wymagała czasu. W końcu zapominałam. Wychodziłam z domu tylko do roboty. Albo do sklepu. Po wódkę. Po papierosy, bo wtedy paliłam. Czasami stałam na placu Wilsona i patrzyłam na ludzi. Nie pasowałam do nich, ale przynajmniej wiedziałam, że nie jestem na świecie zupełnie sama. No a potem zaczęłam przychodzić tutaj. Jakoś bardziej pasowałam tutaj. Rozumiesz?

Milczał.

Była mu wdzięczna. Nie chciała, żeby się odzywał. Chciała, żeby zrozumiał, jak to jest chodzić pośród cieni.

– Ale nie miałam nikogo na cmentarzu. Więc było mi wszystko jedno, dokąd pójdę. I tak się złożyło, że szłam zawsze w jedno miejsce. Do tego kolumbarium. Łatwo trafić. Nawet po zmroku, zimą, bo tam się zawsze paliło światło. Czasami przychodził taki dziwny gość. Puszczął z magnetofonu piosenki Niemena. Stałam w cieniu i słuchałam. „Mam tak samo jak ty...”. Albo że „ludzi dobrej woli jest więcej”.

Nawet nie zauważyła, kiedy się zatrzymała. Objął ją od tyłu. Nie ścisnął, ale czuła, że tak jest cieplej. Nie musiała patrzeć mu w oczy i nie musiała wstydzić się łez. Kurwa, zimno jest. Wszystko przez ten wiatr.

– Chodź. – Odsunęła się od niego. – To już blisko. Za katakumbami są mogiły znanych ludzi. To może być gdzieś tam.

– A do Niemena nie chcesz zajrzeć?

– Nie. – Odwróciła się i uśmiechnęła, dzisiaj jest po właściwej stronie.

Nagrobek Władysława Reymonta znaleźli po dziesięciu minutach. Wryta była na nim inskrypcja: „Bogiem zbrojny, ojczyźnie ducha zaprzysięgły, piśmiennictwa polskiego chwała. Ziemię plemienną niebem mieć nauczył”. A pod nią rzeźbiona twarz laureata Nobla. Wiatr tarł gałęziami drzew. Pustka.

– No i co? – zapytał.

– Nic. – Zaczęła sobie rozcierać dłonie. – Reymont leży tutaj.

– To tehas trzeba znaleźć Chopina.

– Chopin jest w Paryżu.

– Nie, musi chodzić o coś innego... – Podrapał się po policzku. – Między Paryżem a Wąszawą jest połowa Europy. Dzisiaj można sobie wyznaczyć punkt w połowie dhogi i pojechać samochodem, ale

za komuny nie było to wykonalne. Nie wywieźliby stąd złota. Ani żadnej waluty. Musi być coś, czego nie widzimy. Naphawdę nie ma tu Chopina?

– Nie wiem. Na pewno nie ma Fryderyka.

– No to musimy się hozejrzeć. Może kogoś zapytać? Kuhwa, musi tu coś być.

– Przecież to zagadka. Nie musi być łatwa.

– Moim zdaniem musi. To nie zagadka. To wskazówki, które dał swojej córce przecież. Może ją by trzeba zapytać? Może Chopin i Heymont to jej pasje?

– Nie – zaoponowała – jej nie możemy o nic zapytać. Gdyby coś wiedziała, Siwy by tego nie ukrywał. Idziemy.

Wrócili do początku alei i skręcili w prawo do kolumbarium. Epitafia wznosiły się na kilku piętrach. Niektóre potrzaskane, niektóre nieczytelne, inne całkiem nowe. W połowie kilkadziesiąt zniczy. Część jeszcze się dopalała. Inne były już tylko zimnymi skorupkami.

– A to? – zapytał.

– Tu pali się świece tym, którzy zginęli w obozach i nie mają własnych grobów. – Wspięła się na murek z lewej strony, żeby ominąć znicze. – Niemen jest po drugiej stronie tego grobowca.

Ominęli go łukiem po lewej stronie, przeciskając się między nagrobkami. W tym miejscu nagrobki stały tak blisko siebie, że między nimi a kolumbarium nie było gdzie postawić stopy. Pod tablicą Niemena paliły się znicze. Kilka osób cicho rozmawiało. A może się modliły? Nie, przecież nie patrzyłyby wtedy na siebie. Rozmawiały. Przystanąła ogarnięta nagłym smutkiem. Ale już nie czuła lęku. Szymon podszedł do małej grupki. Poszeptali chwilę.

– Wszystko już wiem – powiedział, kiedy wrócił do niej.

– Co wiesz?

– Są tu hodzice Chopina, kilka methów stąd. Mają nowy naghobek, w kształcie fohtepianu. Łatwo trafimy.

Rzeczywiście szybko go znaleźli. Zielona, brudna od wilgoci płyta. Prosty napis. „Rodzice Chopina”. Za grobowcem czarny kamienny obelisk w kształcie kłapy fortepianu. Wyraźnie późniejszy.

– Co myślisz? – zapytała.

– Nie wiem. – Rozejrzał się. – Nie wiadomo, od jak dawna jest tutaj ten naghobek. Nie wiemy, kiedy powstały te zapiski. Ale skoho między Chopinem a Heymontem mamy znaleźć szczęściarzy z kosmosu, to trzeba poszpehać.

Błądzili między kolumbarium a klapą fortepianu, czytając inskrypcje i przyglądając się figurom. Nagrobki miały grubo ponad pół wieku. Zabytkowe. Żaden nie miał kosmicznych symboli. Nie miał nawet gwiazdy.

WTEDY

– Nie należy się obrażać na bieg wypadków, nic to je bowiem nie obchodzi.

– Nie obrażam się. – Porucznik pokręcił głową. Grał twardego. Wiedział, że nie da się ukryć, że tylko udaje. Ale nie było wyjścia. Słońce prażyło jak oszalałe, choć był dopiero 3 maja. Siedzieli w Łazienkach, niedaleko pomnika Chopina. Obcy wskazał to miejsce. Spokojnie, na widoku, ale jednak pośród ludzi.

Porucznik pomyślał, że ludzie nie byli szczęśliwi. Pierwszy maja wypadł w niedzielę, nie mieli dodatkowego dnia wolnego. A tu wiosna szła całą gębą. Kasztany w bieli, a bzy same siebie próbowały udusić w tej lepkiej słodyczy.

– Marek Aureliusz – powiedział ten wyższy.

– Marek Aureliusz? – Porucznik pomyślał, że obcy podaje mu nazwisko. Oczywiście nazwisko operacyjne, ale i tak byłoby to niezwykle.

– To zdanie o biegu wypadków napisał Marek Aureliusz.

Porucznik nie zareagował.

– Cesarz rzymski. – Obcy z dezaprobatą pokręcił głową. – Powinniście czytać klasyków.

Porucznik rozluźnił krawat i rozpiął koszulę. Pierdolony gorący dzień. Obserwował dziewczyny w sukienkach. Pewnie studentki. Kiedy podbiegała do nich wiewiórka, przykucaly i wtedy widać było,

jak napinają im się mięśnie łydek. Chopin odwracał głowę w drugą stronę. Widać nie znał się na dziewczynach.

- Czytam klasyków komunizmu – odparł z uśmiechem porucznik.
- Nie kpjcie – zachnął się tamten.
- Nie kpię.
- Tu nie ma podsłuchów, nie musicie się wysilać.

Porucznik patrzył na Chopina. Nie wiedział, czy ten wielki kształt po lewej stronie to drzewo, czy może jednak ręka. Wielka ręka o długich, szczupłych palcach, które mogłyby zdusić każde gardło, gdyby tylko podejść zbyt blisko. Kurwa mać, może podszedłem zbyt blisko, pomyślał. Zsunął kapelusz na tył głowy i wyprostował się, żeby wyglądać na odprężonego.

- Hm. – Obcy się uśmiechnął.

Miał dobrze skrojoną koszulę. Guziki nie rozchodziły mu się na brzuchu. Porucznik pomyślał, że trudno określić, w jakim jest wieku. I że choć uczył się zapamiętywania charakterystycznych cech twarzy, to tej nie zdoła zapamiętać. Starał się zarejestrować przynajmniej kształt nosa. Podbródek. Kolor oczu. To nie było łatwe. Siedzieli pod słońce. Mieli zmrużone powieki.

– Powinniście poczytać Marka Aureliusza – powiedział tamten po raz kolejny. – Dobry człowiek. Mądry. Rozumiał, że plaga chrześcijańska szkodzi trwałości Rzymu, zanim ktokolwiek inny się zorientował, że szkodzi to trwałości każdego imperium, oprócz watykańskiego oczywiście. Nie obnosił się z bogactwem. Skromność i cierpliwość, powtarzał. Mówił, że świat jest teatrem, w którym ludzie grają bardzo poślednie role. I trzeba to zaakceptować.

- Po co pan mi to mówi?

– Bo poprosiliście o spotkanie, a to jest wbrew zasadom. Palicie się do roboty, ale komunikujecie to w taki sposób, jakbyście się żalili. A to znaczy, że nie akceptujecie roli, do której doszliście z takim

trudem. – Strzepnął ze spodni wyprasowanych w kant jakiś niewidoczny pyłek. – To nie jest najgorsze. Najgorsze jest to, że sądzicie, że my nie wiemy, co robimy.

– Jak to? – Porucznik patrzył w ziemię. Pamiętał, co mówił mu kiedyś jego szef: „jeśli patrzysz psu w oczy, ryzykujesz, że cię ugryzie”.

– Sądzicie, że nie dostrzegamy waszych zalet. Że jesteśmy nierozsądni i nie wiemy, co jest dobre, a co złe. A to nieprawda.

Porucznik czekał.

– Potraficie wybrać i wyszkolić ludzi. Nie byle jakich, ideowych. Tylko tacy mają znaczenie.

– Ale wy z tego nie chcecie skorzystać.

– Ba! – Obcy uderzył ręką w kolano. – Wciąż nie rozumiecie swojej roli.

– Chciałbym...

– Wiemy, co byście chcieli. Jednak nie ci, którzy biegają z pistoletem po pustyni, zmieniają świat, tylko ci, którzy znają swoje miejsce w historii. Jeszcze jedno wam powiem: człowiek jest wart tyle, ile warte są sprawy, którymi się zajmuje. I my to widzimy.

Porucznik wiedział, nie, nie wiedział, ale czuł, że trzeba milczeć.

– Widzimy też, że wy swojego miejsca nie rozumiecie. Wy nie jesteście od tego, żeby strzelać do zdrajców na schodach. Wy nawet nie jesteście od tego, żeby rekrutować i szkolić tych, którzy strzelają, chociaż to jest wasz wielki talent i świat z niego korzysta.

Porucznik milczał. Patrzył na dziewczyny. Na ich koszule w szerokie, podłużne paski, kolorowe chustki na głowach i na spódnice do kolan. Dobrze wyglądają na skuterach, pomyślał. Widział takie dziewczyny na zdjęciu w „Przyjaciółce”.

Obcy też milczał.

– Zapalimy? – Wyciągnął paczkę na zgodę.

– Ale... – Porucznik podniósł wzrok.

– Co nie jest pożyteczne dla ula, nie jest pożyteczne dla pszczoły. – Położył mu rękę na ramieniu i wbił kciuk pod obojczyk. Znał się na tej robocie, bo porucznik poczuł nagle przeszywający ból. – Czas, żebyście wreszcie zrozumieli, że jesteście dokładnie tam, gdzie należy. – Puścił. Wyjął papierosa, zapalił i z wyraźną ulgą się zaciągnął.

– To znaczy gdzie?

– Tam, gdzie należy czekać – dodał, akcentując ostatnie słowo. – Zbliży się poważne rozdanie. Może nie nastąpi szybko, ale zdecydowanie nastąpi. A kiedy to się stanie, wy będziecie we właściwym miejscu. Słyszeliście o amerykańskim samolocie?

Porucznik skinął głową.

– Myślicie, że to przypadek, że radzieckie służby wykryły samolot szpiegowski lecący na wysokości dwudziestu tysięcy metrów? I to akurat kiedy towarzysz Chruszczow zaczynał przemówienie przed defiladą, żeby mógł powiedzieć generałom: „zestrzelić za wszelką cenę”? Powiem wam, że ja w przypadki nie wierzę. Wierzę w cierpliwość właściwych ludzi na właściwym miejscu. Trzeba być jak pająk. Trzeba być w środku sieci.

Porucznik sięgnąłby po papierosa, ale tamten schował już paczkę.

– Wiecie, co jest ciekawego w naszych czasach? – zapytał, patrząc w niebo. – Pewność, że pająk zawsze będzie najedzony.

Niebo było niebieskie. Niespieszne. Tylko gołębie pędziły gdzieś, jakby miał nastąpić koniec świata.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że nie rozumiecie. Siedzicie w środku pajęczyny i nie rozumiecie, że to jedyne miejsce, w którym jedzą, a nie są pożerani.

– A! – Porucznik zrozumiał wreszcie, że chodzi o jego miejsce w resorcie. – Mówicie, że chodzi o Żydów i o partyzantów.

– No. – Tamten pokręcił głową – Domyśliliście się, a już zaczynałem myśleć, że się do tej roboty nie nadajecie. Kilka lat to zajęło i to nie była łatwa praca. Pomogli nam reakcyjniści, bo dopóki działali, można było im przypisać różne działania. Zresztą to przecież dzieciaki. Brali za złoto każdy tombak, jaki im podrzuciliśmy. Wiecie, co to tombak?

– Podróbka złota.

– Bardzo słusznie. Osiemdziesiąt pięć procent miedzi, piętnaście cynku. Ale to nie tylko podróbka złota. To także doskonały materiał do wykonania pocisku. Zmniejsza tarcie między lufą i nabojem. Taki tombak podrzucaliśmy reakcjonistom, a oni brali go jak masło i chleb.

– Nie rozumiem.

– Wiecie, ilu Żydów zostało w Polsce po wojnie?

– Nie wiem... niewielu.

– No może co dziesiąty. Nie opłacało się więc przekonywać ludzi, że każdy Żyd to wróg, ale warto było im wmówić, że każdy wróg to Żyd.

– Niemożliwe. – Porucznik pokręcił głową. – Nie da się przekonać całego kraju.

Przeszedł przed nimi umundurowany milicjant. Spacerował sobie, pewnie zadowolony, że przypadła mu służba w Łazienkach. Za nim starsza pani pchała wózek. Wąskie kółka grzęzły w żwirze. Dobrze, że większość alejek w tym parku jest już wyasfaltowana.

– Za długo siedzicie za murami. Za mało słuchacie zwyczajnych ludzi. A ludzie myślą tak, jak chcemy. Antysemityzm w kraju, w którym prawie nie ma Żydów, to jest, powiem wam, majstersztyk.

Porucznikowi nie podobało się to słowo. Strzyknął śliną. Męczyło go, że nie może zapalić. Wiedział, że to kara. I nie chciał się z nią pogodzić.

– Wiecie, ilu Żydów wyjechało w czasie między odejściem Stalina a objęciem władzy przez towarzysza Wiesława?

– Nie mam pojęcia.

– Jakież czterdzieści siedem tysięcy. Ale to nie są wszyscy. Wielu zostało, bo wiecie, mają rodziny, majątki, mają władzę. Nawet w partii. Nawet w kraju. Ale to nie są ideowcy. To są synowie adwokatów, pisarzy, nauczycieli, rozumiecie. To nie są synowie robotników. Im nie jest wygodnie w podstawowych organizacjach. Wolą przestronne gabinety. Robotników chcieliby spotykać na spacerze w takim miejscu jak to. Albo w poczekalni do swoich biur. Ale nie na schodach domów, w których mieszkają. A to nie jest dobrze. Nie jest dobrze, bo dorasta nowe, młode pokolenie, ideowe, nieskażone wojną. I wkrótce zacznie się do tych gabinetów dobijać. Kiedyś zacznie się próba sił. A wy będziecie w samym środku pajęczyny.

Tak, porucznik wiedział, że zajmuje niezwykłą pozycję. Niektórzy w resorcie sądzili, że zajmuje się w Biurze B analizą danych o przestępczości. I dobrze, że tak myśleli. Było kilku, którzy domyślali się, że to przykrywka i tak naprawdę zajmuje się przygotowaniem jakiegoś tajnego projektu dla towarzyszy radzieckich. I dobrze, że tak myśleli. Dwie osoby wiedziały, że zrobił robotę dla Departamentu II. Trzy osoby. Był jeszcze kierowca. Ale do niego wiceminister miał pełne zaufanie. Chociaż, kurwa, własny szef porucznika też miał zaufanie do swoich ludzi. Trzeba każdemu patrzeć na ręce. Przypomniało mu się spotkanie w Kameralnej dawno temu, kiedy zagrali przecież w otwarte karty.

– Wyścig się zaczął, a na podium nie ma dwóch pierwszych miejsc – powiedział obcy, a porucznik wzdrygnął się, bo zrozumiał, że tamten potrafił czytać mu w myślach. Kurwa, co to za gość?

– W waszej robocie wszyscy udają. Ale nikt nie wie, oprócz was

i mnie, kto jest muchą, a kto jest pajakiem. – Rzucił niedopałek na żwir alei. Zaraz zakręciły się koło niego mrówki. – Wiecie, że ci z Puławskiej śledzą tych waszych partyzantów. Podglądają kto, kiedy i z kim wsiada do samochodu. Gdzie rzuca niedopałki. A może nawet spotyka się z ludźmi z ambasady.

Porucznik rozejrzał się bacznie, nie podnosząc głowy. Kobiety z dziećmi. Studentki. Jakiś emeryt kruszy chleb wróblom. Dzieciaki biegną ze szkoły. Ale jeszcze nie ta godzina, może są na wagarach, przecież nie ma wakacji. Dwaj młodzi w koszulach. Rowery oparte o ławkę. Milicjant mundurowy...

– No i jak? – Tamten miał kpiący uśmieszek przyklejony do twarzy. – Na kogo obstawiacie?

– A muszę?

– Powinniście.

– Na milicjanta.

– Dlaczego?

– Zatrzymałby dzieciaki i zapytał, czy nie są na wagarach.

Obcy znowu sięgnął po papierosy. Tym razem wyciągnął rękę w kierunku porucznika, a ten nie odmówił. Zawarli rozejm.

– Cholera, a ja sądziłem, że już spokój. Rodzinę chciałem sprowadzić.

– Cy, cy, cy. – Tamten pokręcił głową, cmokając. – Nie ma pośpiechu. Macie pieniądze, wynagrodzicie im to. Kupcie dolary. Za dolary kupcie złoto. Dyskretnie. Żeby nikt nie wiedział.

– Przecież to niemożliwe.

– My w was wierzymy. Może się nawet okazać, że nikt nie będzie was pytać o to złoto.

– A moi ludzie?

– Przysłużyli się sprawie. Należy się wam nagroda. Ale teraz wam

powiem, że wasi ludzie wracają. Jest tu robota do wykonania. Potraktujcie to jako wyróżnienie.

Kilka minut później porucznik zbladł. Przeklął w duszy ten pierdolony pomysł, żeby się z kimkolwiek spotykać i narzekać na brak zajęć.

TERAZ

Sylwestrowa scena na placu Defilad przypominała Oldze wielką literę H. H jak Hanna, Serbia uśmiechnęła się do swoich myśli. Litera błyskała światłami i jarzyła się jak monstrualny neon, a wysoko ponad sceną, na tonącej w mroku ścianie Pałacu Kultury widać było jeszcze świetlisty napis „2017”.

O północy litera rozżarzyła się fioletowym światłem.

– Puhuhowym – upierał się Szymon.

Ale dla niej fioletowy to fioletowy. No, może jasnofioletowy.

– Przecież kobiety odróżniają sto razy więcej bahw niż faceci – śmiał się z niej.

– Tylko te, które malują paznokcie – próbowała przedrzeć się przez muzykę.

Żałowała, że nie przepchnęli się pod samą scenę, bo chciała zobaczyć z bliska Marcina Prokopa i Oliviera Janiaka, przekonać się, który jest przystojniejszy. No i jeszcze zobaczyć Lady Pank. Słyszała, jak Olivier Janiak mówił ze sceny, że loteria przyspiesza i gramy o prawdziwe pieniądze. Wystarczy teraz wysłać esemes...

– Dawaj, popracujemy łokciami – powiedziała wtedy do Szymona – w końcu jesteście od tego profesjonalistami.

Ale on tylko się śmiał i mówił, żeby dała spokój, że lubi mieć wokół siebie trochę miejsca.

– Ale bylibyśmy bliżej – naciskała.

– Ale ja muszę mieć choćę luzu, żeby sięgnąć po bhoń!
– Co, kurwa? Lufę tu zabrałeś? Jak przeniosłeś przez bramki?
– Taka phaca – krzyczał jej do ucha, bo nagłośnienie było rewelacyjne.

Przypomniało jej się, że ochroniarze właściwie go nie sprawdzili. Że pokazał im tylko jakiś dokument. Nie wiedziała teraz, czy żartuje, więc na wszelki wypadek wywróciła tylko oczami.

– Zróbcie hałas! – krzyczała z estrady Magda Mołek, a potem te kilkanaście tysięcy ludzi zaczęło odliczać od dziewięciu.

– Oooosiem!

Kurwa, znowu jestem o rok starsza, pomyślała Olga. Ale czuła się dobrze. Może nawet szczęśliwa. Była tu z Szymonem. Nie jako policjant po cywilnemu wyznaczony do ochrony tego wydarzenia, ale z mężczyzną, który specjalnie dla niej przyjechał tu przez pół Polski. Z kim spędzasz sylwestra, z tym jesteś cały rok. Ona była z motocyklistą.

– Szeeeeść! – krzyczeli do mikrofonów już wszyscy prowadzący.

Nagle zrobił się dookoła ruch i harmider. Jacyś ludzie zaczęli wyciągać ze spodni worki z alkoholem. Nie dało się wnieść na teren niczego w butelce ani w puszcze, ale przecież Polak potrafi.

– Dwaaaaa... Jedeeeen!

Z wielkiego H wystrzeliły nagle w niebo srebrne, stroboskopowe światła, a nad Pekinem wybuchły sztuczne ognie. I w jednej chwili potężna sylwetka pałacu zarysowała się na niebie wyraźna, bo rozświetlona.

Biedne psy, pomyślała Olga i zamknęła oczy, bo Szymon właśnie ją całował. Krótko, ale bez oszukiwania. Usta zapiekły. Zatkaną ją, ale szybko znowu złapała oddech i zastanowiła się, czy chciałaby jeszcze, czy może jednak nie.

– Śmieją ci się oczy! – krzyknął.

– Nic nie słyszę. – Kanonada była potężna.

Reflektory świeciły na niebiesko, fajerwerki były na przemian białe i czerwone, a potem jakiś zespół zaintonował „aaaA, oooO” i zaśpiewał po angielsku.

Pocałował ją znowu. Pozwoliła mu dotknąć językiem zębów. Przyciągnął ją gwałtownie, ale trwało to tylko moment, bo ludzie zaczęli się przepychać, tańczyć, bełkotać i się przytulać.

„*This was a perfect illusion*” – dotarły do niej słowa refrenu.

Smugi po fajerwerkach rozplywały się na niebie w monstrualną, zwiewną pajęczynę.

– Został już tylko jeden los. Sto tysięcy złotych! – Usłyszała ze sceny. Nikomu tutaj nie chciało się wysłać esemesa, ale ludzie przed telewizorami byli pewnie w gorączce loterii.

W każdym razie było już po fajerwerkach. Nie bardzo pamiętała, co było dalej. Pili wódkę z prawdziwej butelki z jakąś wesołą grupą. Przewodził im brodaty chłopak, który miał na sobie dres Legii.

– Kuhwa, jak to wniosłeś? – Szymon nie mógł wyjść z podziwu.

– Tomek z Pragi wszystko wnosi, wszystko wynosi, wszystkiego najlepszego.

Obślinił ją strasznie, kiedy się całowali z okazji Nowego Roku. Aż się skuliła. Jego broda była zaskakująco szorstka.

Tak. Była szczęśliwa.

Potem, kiedy już wszystko ucichło, szli pieszo do autobusu. Tym razem miasto się postarało i N44 jeździł co kilkanaście minut. Śmiali się, przepychali między ludźmi. Było dobrze. Postanowili iść do kolejnego przystanku. Żeby już nie było tłumu. Żeby tylko była noc. Dźwięczało jej w uszach: „zostań, to jeszcze nie pora, zostań, choć jeszcze na chwilę” – nie spodziewała się usłyszeć piosenki zespołu

Łzy. Pamiętała ją z dawnych, szczęśliwych czasów. „Uczę się ciebie na pamięć, niecierpliwymi palcami, rozpaczliwie na pamięć”. Złapała Szymona za rękę. Ścisnął ją, ale się nie obejrzał w jej stronę. W autobusie był tłok. Zakaz wnoszenia alkoholu na plac Defilad najwyraźniej nie powstrzymał w narodzie pragnienia, bo zapach alkoholu był nie do przeoczenia.

– A ty kurde, co? Znasz tego zioma, co tak na mnie łypał? – Jakaś dziewczyna przyciskała się do swojego chłopaka, jakby go chciała pożreć tu i teraz.

– No wiesz, to taki jeden typ z dzielni. On niegroźny jest.

– Ale za dupę łapał, a ty nic nie zrobiłeś.

– No już, nie wściekaj się. – Zaczął ją całować, a ona przyłgnęła do niego całym ciałem i wtedy autobus stęknął i zatrzymał się na placu Inwalidów.

– To my! Wysiadamy! – rzuciła dziewczyna.

Odwróciła się i Olga zobaczyła, że jest prześliczna. Skośne oczy, długie proste włosy, ciekawe czy kiedykolwiek była w Azji. Chłopak leciał za nią jak bocian. Miał czerwone spodnie i białą kurtkę.

Na Wilsona był mrok. Cicho. Samochody spały, dotykając się ukradkiem lusterkami. Jak oni rano wsiadają? Szli szybko, bo zimno. A kiedy weszli do domu, poczuła się skrupowana.

– To co hobimy? – Pomógł jej zdjąć kurtkę, a ona pomyślała, że zdejmuje też cały ten wieczór. Muzykę, pocałunki, alkohol, łzy. Poczula się zmęczona.

– Mam ochotę się napić – powiedziała. – Potępisz mnie?

– O trzeciej nad hanem? Nie. Jakbym śmiał.

– O trzeciej trzydziści – poprawiła go. – To może ty się wykąpiesz, a ja zrobię nam po wódce z sokiem jabłkowym, co?

Sok powinna mieć jeszcze gdzieś w szafce. Zgodził się.

Zanim wyszedł z łazienki, zdążyła wypić już dwie setki.

– Nie późnowałaś. – Spojrzał jej w oczy.

– To z przejęcia – wyjaśniła. – Jestem starsza o cały rok. Po raz pierwszy od lat mam pod swoim dachem zajebistego faceta. Lubię go całować i chciałabym go dotknąć w tym miejscu, które jest miękkie i twarde. – Nalała sobie jeszcze jedną porcję. – Ale boję się, że jak to zrobię, to wszystko się popierdoli.

– Co masz na myśli? – Wypił jednym haustem. Pokręcił głową. Nie miał ochoty na sok.

– Że się popierdoli – powtórzyła. – Że przestaniemy się do siebie odzywać. Lubić się. Chcieć. Nie wiem, co chcę powiedzieć... Pewnie się boję. Rozumiesz?

Pokiwał głową i podstawił jej pusty kieliszek.

– Hozumiem.

– Nie masz żalu? – Nalała mu.

– Nie, jeśli mnie przytulisz. To musi być fajne, kiedy cię ktoś przytula przez sen.

– Nie wiem. – Podniosła swoje naczynie na wysokość oczu. – Ale wypijmy za to, żeby jutro był najlepszy dzień w naszym życiu.

Zakręciło jej się w głowie.

Kiedy wyszła spod prysznica, pomyślała, że nie może chodzić na golasa, i wygrzebała z szuflady pidżamę z grubej bawełny. Tę białą w niebieskie krokodyle. Nie zakładała jej od lat. Ale teraz był dobry czas. Patrzyła potem w lustro na cienie pod oczyma. I na czerwone żyłki wokół źrenic. I na swoje ręce pomarszczone i żółte. Powinna o nie dbać. Może nosić lepsze rękawiczki? Może kupić jakiś krem? Neutrogeny czy jak? Pamiętała reklamę tej firmy z czasów, kiedy miała telewizor. Dziewczyna płynie łodzią na drugi brzeg. Pewnie do kochanka. Ma niebieski czy granatowy sweter i jasne włosy, bo to się dzieje w Norwegii. I takie popękane ręce, ale smaruje je kremem i są

jak nowe. Mogłaby chociaż pomalować paznokcie. Albo brwi. Cokolwiek. Albo pachnieć jakoś lepiej, a nie tylko mydłem. I wódką.

Ale nie chciała udawać.

Tym razem nie będzie udawania.

Kiedy weszła, Szymon posapywał miękko w dziecięcym pokoju.

Spał na plecach z jedną ręką pod głową. Był w podkoszulku i majtkach. Pochyliła się i powąchała. Podkoszulek pachniał potem. Pewnie to ten sam, w którym chodził cały dzień. Uśmiechnęła się. A potem powąchała jego podbrzusze. Tam też pachniał potem. Może trochę bardziej słonym. Miała nadzieję, że to będzie inny zapach. Ale co tam. Zgasiła lampkę i ułożyła się obok niego tak, żeby go dotykać, ale nie zbudzić. Położyła mu rękę na piersi. Sapał równo. Naprawdę spał. Przytuliła się mocniej i z całej siły zapragnęła nie zasnąć.

Obudził ją telefon. Słyszała go jak przez mgłę, ale lata treningu sprawiły, że ten dźwięk potrafiłby wyrwać ją z najgłębszej pustki. Czasami myślała, że nawet z czarnej dupy po tamtej stronie linii życia. Zaczęła macać ręką, ale obok łóżka nie było szafki. Kurwa. No przecież musi tu być. Telefon jest na pewno z fabryki. Znowu ma jakiegoś trupa. Polskie święta, do cholery. Zrozumiała, że nie śpi u siebie. No tak, to pokój Anki. Muszę się zwlec. Oczy nie chciały się otworzyć.

Ktoś usiadł przy niej na łóżku.

– Twoja komóhka – powiedział miękko. – Nie wiem, czy to ważne, ale dzwoni już trzeci raz.

Poczuła, że Szymon potargał jej włosy. Delikatnie. Głowa bolała ją trochę bardziej niż zwykle. Pogładził ją jeszcze po policzku.

– Noooo już. – Udało jej się obudzić. – Daj. Dziękuję.

Poczuła od samej siebie woń przetrawionego alkoholu. Więc postanowiła się nie uśmiechać.

– Co tam? – powiedziała do słuchawki.

– Królowno złota, już popołudnie, więc może raczyłabyś się pozbierać?

– Grzegorzcyk, kurwa twoja mać, ty nie masz litości? Ja nie jestem twoim trupem, żebyś mnie musiał wołać z zaświatów od samego rana.

– Nie jest rano, kochana. Jest prawie jedenasta.

– Ale jest dzisiaj wolny dzień, no nie?

– Nie jest, kochana, przypominam ci, że nie jest. W dodatku robimy w takim gównie, które śmierdzi świętek, piątek. Fentanyl, mówi ci to coś?

– Nic a nic. – Zobaczyła, że Szymon stoi w drzwiach z parującym kubkiem kawy, i pomyślała, że jest szczęściarą.

– A hydromorfon?

– No proszę cię. Harry'go Pottera znowu czytałeś?

– A więc nic ci nie mówi. To dobrze. Przyjedź do mnie do biura. Ulice są puste, będziesz za pół godziny. Potem mój gość sobie pójdzie i gówno się dowiesz.

– O czym mam się dowiedzieć?

– Co uśpiło twoje zwłoki.

– Dobra. Umyję zęby i jadę.

Ostrożnie wzięła kawę, żeby się nie oblać.

– Słyszę, że nie zjesz śniadania. Stahałem się i chcę, żebyś o tym wiedziała. No i zawiozę cię oczywiście. Nie powinnaś prowadzić w takim stanie.

Nie oponowała, kiedy wcisnął jej te swoje kanapki do ręki. Ogórek, sałata, szynka. Normalnie, jakby wciąż były święta.

Jadła w czasie drogi.

– Poczekać? – zapytał. Domyślił się, że nie powinien wchodzić z nią do zakładu.

– Nie – odparła. – Masz tu klucze. Komputer jest włączony.

Poczytaj o Chopinie i Reymencie. Może coś ci wpadnie do głowy. Wróć, jak skończę z Grzegorzkiem.

Kiedy weszła, Grzegorzek chodził nerwowo po sali, a obok, na stołku z okręcanym siedziskiem tkwił w dziwnej pozycji chłopak o twarzy pokrytej czerwonymi krostkami. Golił się i wyglądało, że jego skóra tego nie lubi. Miał rude włosy, druciane okulary, długi nos. Jasne, bystre oczy. Był trzeźwy, nie miał ani jednej czerwonej żyłki w kącikach oczu. I bardzo wysoki. Było mu z tym najwyraźniej niewygodnie, bo się dramatycznie garbił.

– No nareszcie, przecież nie możemy tu tkwić w nieskończoność.

– Uśmiechnął się Grzegorzek.

– Olga. – Podeszła do młodego i podała mu rękę.

– Sven – powiedział młody.

– Szwed? – zdziwiła się.

– Nie, tylko tak na mnie mówią.

– A ze mną się nie przywitasz?

– Kochany, życzę ci w Nowym Roku samych żywych trupów – przytuliła go – i żebyś schudł.

– Ja też cię kocham, córuchno.

Poczuła, że nie kłamie. Że jest mu bliska. W ten dobry, mądry sposób, na który nie stać facetów, zanim nie dorosną. A może zanim się nie zestarzeją.

– Po co mnie wezwalesz?

– Bo ten młody człowiek właśnie rozwiązał twoją zagadkę.

WTEDY

To był wieczór, który porucznik miał zapamiętać do końca życia. Koniec maja. Powietrze gęste jak miód. Oblepiało kark, a koszula lepiała się do pleców. Siedzieli trzecią godzinę w popielatej, blaszanej trumnie warszawy, ile wypalili papierosów, nie miał pojęcia. Popiół i niedopałki trafiały do papierowej torby. Lepiej zabrać ze sobą wszystkie syfy i śmiecie. Trochę gadali. Trochę milczeli. Najczęściej spoglądali na zegarki. Jasiński długo wpatrywał się w tarczę swojego. Chciał, żeby porucznik to zauważył.

– No widzę, widzę, już możesz schować.

– Szturmanskie. – Jasiński postukał w szybkę. – Dostają takie piloci myśliwców ponaddźwiękowych.

– I zasłużeni podoficerowie operacyjni.

– A żeby pan wiedział, Dyrektorze. Żeby pan wiedział.

Ale nawet od częstego spoglądania na zegarek czas płynął powoli. Obiekt się nie pojawiał. Od swojego kontaktu dostał informację, że czasami obiekt nie korzysta ani z kierowcy, ani z ochrony, lecz jeździ własnym samochodem. Francuskim. Dauphine.

– Dupę jakąś ma? – zapytał od razu porucznik.

– Nie – powiedział tamten. – Nikomu nie ufa. Odkąd zrozumiał, że ktoś na niego donosi, odsunął się od ludzi. Nie ufa szoferom. Zresztą uważa się za dobrego kierowcę. No i to jest wasza szansa.

Tamten wstał i obciągnął marynarkę.

Mimo to wciąż odstawała na wysokości pasa i porucznik pomyślał, że marynarki szyją jakoś nieudolnie. Jeśli umiesz patrzeć, zawsze dojrzysz, że coś nie jest tak. Może to broń, a może ma tam manierkę. Z ruskim to nigdy nie wiesz.

– No to życzę wam powodzenia. Jutro odbierzecie swoich na lotnisku. Opaleni, szczęśliwi, jak to po wakacjach.

– Jak to po szkoleniu w ośrodku przygotowawczym personelu operacyjnego – mruknął porucznik.

– Co żeście powiedzieli? – Tamten z uśmiechem pogroził mu palcem.

Poszedł wyprostowany, wysoki, w kierunku wyjścia, nie oglądając się ani razu na porucznika, ani na Chopina, ani na tego milicjanta, który nagle przestał dreptać i również poszedł w kierunku Alej Ujazdowskich.

Porucznik westchnął.

– Co jest, Dyrektorze? – zapytał Jasiński.

– Nic. Wolałbym, żeby to było w piątek.

– A co było w piątek? – zapytał Jasiński. Wiedział, że dla porucznika ważne są daty i miejsca. Że lubił, aby ważne sprawy działały się w odpowiednich okolicznościach. Właściwy dzień, właściwa ulica. Wszystko ma znaczenie. Porucznik podkreślał, że nie jest przesądny, ale tej zasady trzymał się całe życie i dobrze na tym wychodził.

– W piątek był 27 maja.

– No i co z tego? – Jasiński odkręcił szybę i strzyknął śliną przez okno.

– To była rocznica zamachu na Heydricha. Zakręć szybę, jeszcze nas kto rozpozna.

Było już ciemno, siedzieli w kapeluszach, ale na cholerę ma się ktoś przyplątać. Z psem albo z jaką dupą. Przezorny zawsze

ubezpieczony.

– Nie znam. – Jasiński posłuchał i zamknął.

– Bracia Czesi zastrzelili szefa Służby Bezpieczeństwa Trzeciej Rzeszy.

– Trafili? – spytał z uśmiechem Jasiński. – Bo oni słabo strzelają.

– No chyba że do kaczek w wesołym miasteczku. Ale trafili. Zdechł nie od razu, ale zdechł od ran.

– Kurwa. Mógłby już wyjść. – Jasiński zsunął kapelusz na tył głowy. – Nasz przyjaciel pewnie zdążył wychować dziecko na przykładowego obywatela.

Furman od trzech godzin przechadzał się z wózkiem po Puławskiej. Póki było jasno, czytał gazetę. Teraz już tylko palił papierosy. Trochę siedział na ławce. Trochę spacerował. Był zdenerwowany, bo ktoś mógł go zapamiętać, ale miasto było wyludnione.

Był zdenerwowany, chciało mu się szczać i chwilami miał ochotę kopać ten cały wózek. Albo go rozwalić o murek, przy którym siedział. Albo przejść na drugą stronę ulicy i rozpieprzyć wszystko o tego durnego lwa.

Nad wejściem do kina wisiał ogromny plakat z napisem: „Belmondo, Seberg, *Do utraty tchu*”.

Słyszał, że studenci ustawiają się w kolejce do kas. I że to głupi, burżuazyjny film o mordercy, który daje się złapać z powodu jakiejś baby. Dupy zawsze wszystko psują, pomyślał i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Pusta. Zaklął. Kurwa, nie może teraz odejść ani na krok, a tak bardzo mu się chce palić.

Nagle zapaliły się światła i zrozumiał, że jest później, niż sądził. Tak lepiej, powiedział sobie w myślach, nocą zawsze lepiej, ale wózek pasuje tu coraz mniej. Postanowił, że gdyby zaczepiła go milicja, będzie udawał pijanego.

Porucznik i Jasiński wpatrywali się w podjazd siedziby Prezydium Rządu. Wspólna była już całkiem opustoszała. Jak to w niedzielę wieczorem. Niewiele samochodów. Biały dauphine stał przy krawężniku dwadzieścia pięć metrów przed nimi.

Porucznik był w prezydium tylko kilka razy. Wiedział, że w tym budynku, wyglądającym jak wielka, przedwojenna kamienica, jest w środku dziedziniec nakryty kopułą z małymi, okrągłymi okienkami. W podziemiu, gdzie dzisiaj było kino Barbara, rząd zbierał się kiedyś na tajnych posiedzeniach. Wentylację pomieszczeń przygotowanych na wypadek wojny zapewniał system zamaskowany fontanną. Podobno pod kinem pozostała jeszcze jedna kondygnacja ze schronami i salonką Bieruta.

Po co obiekt tu przyjeżdżał, z kim się spotykał, porucznik nie miał pojęcia. Na pewno nie chodziło o kino. Pewnie resort wciąż miał jakieś swoje biura w tym budynku. Zresztą to nie miało znaczenia. Musieli czekać. Ale jeśli ruszy stąd w kierunku domu, to dzisiaj może być ten właściwy wieczór.

– Idzie!

Jasiński zobaczył go pierwszy. Porucznik zapalił warszawę i ruszyli od razu, nie patrząc nawet na to, co zrobi ich obiekt. Jeśli pojedzie prosto do domu, mają szansę. Jeśli ma jeszcze jakieś spotkania, jutro znowu będą za nim jeździć. Do skutku. Furmanowi nie podobał się ten plan. Wolalby zacząć się gdzieś z karabinem i strzelić z daleka w oponę. Ale porucznik się uparł przy swoim.

Skrecał już w Emilii Plater. Miał minutę przewagi. To niewiele. Ale jeśli pojedzie dość sprawnie, wystarczy.

– Że też, kurwa, nie można po prostu do niego zadzwonić. – Jasiński trzymał się skórzanego uchwytu ponad drzwiami dla pasażera. – Piętnaście lat po wojnie, a metody mamy jak z czasów okupacji.

– Widzieliście taki sprzęt? – Porucznik skrzył w Koszykową i docisnął gaz.

– Widzieliśmy – powiedział Jasiński. – Maleńkie nadajniki, bardzo sprawne. Ale nie na odległość pół miasta.

Minęli Koszyki i po chwili byli już na placu Konstytucji. Warszawa zapiszczała w wirażu. Plac był niemal pusty. Można było pojechać jeszcze szybciej.

– Myśli pan, Dyrektorze, że za nami jedzie? – zapytał Jasiński.

– Oczywiście, a dokąd ma jechać o tej porze, jak nie do domu? Przecież nie do kościoła.

Zaśmiali się obaj.

Jeszcze trzy lata temu biskupi przyjeżdżali do towarzysza Wiesława porozmawiać o wspólnym stanowisku w sprawie granicy zachodniej, ale okazali się nieprzydatni, więc teraz wchodził w życie plan likwidacji nauczania religii w szkole.

– I dobrze, kurwa, raz na zawsze trzeba skończyć z ciemnogrodem. – Porucznik poczuł w żyłach adrenalinę. – Pedał z seminarium do armii.

– A krzyż z Nowej Huty do pieca – zarechotał Jasiński.

– No, trochę ten krzyż nerwów kosztował.

Porucznik zwolnił i zamrugał światłami. Czarny cień oderwał się od ławki i popchnął wózek w kierunku jezdni. Dobrze jest. Furman nie spał.

– No tak, słyszałem coś o tym krzyżu. – Jasiński strzelił palcami. – Ale nie za wiele. Ot tyle, co od kolegów, jak wróciliśmy. – W kwietniu Jasiński i Furman mieli zajęcia gdzieś na wschodzie. – Zachciało się czarnym protestować. Wtedy towarzysz Wiesław powiedział: „cały naród wypruwa sobie flaki, a wy tutaj urządacie sobie zamieszki?!”. – Porucznik zwolnił i teraz zjeżdżał do krawężnika przy lewym pasie. – No ale zamieszki były poważne. Katole poranili

ze dwustu naszych. Kamieniami rzucali. Baby łały wrzątek z okien. Piętnastu milicjantów oberwało.

Zatrzymali się tuż przed przejściem dla pieszych. Porucznik uruchomił awaryjne światła i odblokował pokrywę silnika.

– Ale kościółkowi też dostali wpierdol, co nie? – Jasiński położył rękę na klamce.

– A co żeś, kurwa, myślał? Ruszaj.

Jasiński wyszedł, otworzył klapę silnika, a Furman z wózkiem przeszedł po pasach przez prawą nitkę ulicy i stanął tuż obok niego.

– Co tam? – zapytał Jasiński.

– Szczać mi się chce. Jak tam Żydek? Jedzie?

– No jedzie, jedzie.

– Byłe tutaj jechał, a nie znowu gdzieś w pizdu.

Porucznik patrzył w prawe boczne lusterko. Zbliżała się jakaś ciężarówka. Może lublin? Za nią to pewnie syrenka, ale trzeba być czujnym, dauphine ma takie same okrągłe reflektory. Poczul, że pocał mu się ręce na kierownicy. Ciężarówka minęła ich po prawym pasie. Silnik pracował na luzie. Wolał go nie wyłączać. Nie słyszał i nie widział Furmana ani Jasińskiego, ale miał pewność, że robią, co należy. Że pochylają się nad silnikiem. Gdyby ktoś spoglądał na nich z daleka, niczego by nie podejrzewał. Minęła ich syrenka. Dwusuw popierdywał i śmierdziało, jakby jechała na oleju rzepakowym.

Gdzieś w oddali kolebał się autobus. Porucznik pomyślał, że to może być chausson, a za nim, tak, to może być renault. Nacisnął klakson. W lusterku widział, że autobus trzymał się lewej strony i wrzucił kierunkowskaz. Będzie skręcał w kierunku ulicy Nowoparkowej. Dauphine szedł równo lewym pasem.

Jasiński wyprostował się i stanął z prawej strony warszawy.

– To on – zameldował Furmanowi. – Sto metrów. Pięćdziesiąt

metrów. Wal!

Furman zrobił dwa kroki i wypchnął wózek wprost przed maskę dauphine. Hamulce renaulta zaskowyczały jak pies, któremu przyłożysz kablem. Kierowca próbował odbić w prawo, żeby ominąć rozcapierzoną warszawę, ale nie miał szans, wózek dostał się już pod koła. Kierowca przestraszył się i puścił kierownicę. Kiedy ścinał znak drogowy na rogu Puławskiej i Rakowieckiej, zamknął oczy i nie zobaczył tego momentu, kiedy samochód uderzył w ścianę budynku po przeciwnej stronie Rakowieckiej. Miał pecha. Gdyby jakieś auto szykowało się akurat do skrętu, zamortyzowałoby uderzenie. Ale tak się nie stało. Kierowca uderzył w kierownicę klatką piersiową, a potem z całej siły w fotel, na którym siedział. Głowa poleciała mu do tyłu jak piłka. Nie był kulturystą. Był artystą i urzędnikiem. Stracił przytomność.

Tymczasem Jasiński zatrzasnął pokrywę silnika i wcisnął się na tylne siedzenie. Furman zebrał z ulicy połamany wózek, wrzucił go do bagażnika i usiadł z przodu. Wiedział, że ludzie widzą to zza firanek, ale nie obchodziło go to. Nie powiedzą. Zeznają, że spali. Przyszły takie czasy, że lepiej nie widzieć.

Warszawa ruszyła, zawracając na Puławskiej, a potem w prawo na plac Unii. Porucznik prowadził z dużą swobodą. Nie musiał troszczyć się o to, czy ktoś zapisał numery. I tak były wymalowane tylko na tę jedną akcję.

W poniedziałek porucznik pojawił się w resorcie koło południa. Wziął jeszcze w piątek pół dnia wolnego, żeby mógł dopiero rankiem wrócić z Wrześni po spotkaniu z żoną i dzieckiem. Brał takie wolne poniedziałki już od jakiegoś czasu i nikogo to nie dziwiło. Ludzie w resorcie nie lubili go i woleli nie spotykać się z nim na korytarzach. Dzisiaj miał już za sobą lekturę porannych gazet. O wypadku nie było tam ani słowa. Zapadły więc decyzje, że trzeba go będzie zatuszować.

Od razu zauważył niezwykle poruszenie na korytarzach.

– Słyszał pan, poruczniku?

– Nie było mnie w mieście kilka dni, a co się stało?

– A nic, nic.

Wszedł do swojego biura, zamknął drzwi, wyjął z biurka butelkę samogonu i nalał sobie w szklaneczkę po musztardzie. Tak do połowy.

Po tygodniu w korytarzach zaczęły już całkiem głośno krążyć pogłoski o wypadku wiceministra. Nie dawano im wiary, ponieważ informacje na ten temat zostały utajnione i tylko nieliczni mieli do nich dostęp.

We wtorek porucznik dostał rozkaz wyjazdu do Zielonej Góry. Pieprzony klecha Michalski nie nauczył się niczego w więzieniu i wziął się do rozruchów. Kapitan Jakubowski okazał się kompletnym dupkiem i zamiast zablokować wejście do budynku, który miał przejąć z rąk klechów, pozwolił babom z kółka różańcowego wejść do środka. I one zastrajkowały. A teraz pięć tysięcy ludzi tam stoi i nie wiadomo, co zrobić. Jedźcie tam, poruczniku. Meldujcie mi, co i jak. Jestem przy telefonie.

Kiedy porucznik dotarł do miasta, grupy chuliganów atakowały komendę. Kilku ukradło więzienną sukę i jeździli po mieście. Co za burdel! Na szczęście milicjanci z Poznania się nie pierdzielili. Lali równo. A kto ma brudne ręce – znak, że rzucał kamieniami – wyładował w więzieniu.

Z tego wszystkiego sprawa wypadku na Puławskiej zostaje kompletnie wyciszona. Kierowca przeżył, ale był w ciężkim stanie. Po miesiącu na ulicach miasta ktoś zaczął rozpowszechniać pogłoski, że wiceminister Alster uciekł śladem pułkownika Światły na Zachód. Ponieważ przestał pojawiać się publicznie, a jego sekretariat nie udzielał dziennikarzom żadnych wyjaśnień co do przyczyn jego nieobecności, plotka obrastała własną legendą i ulica warszawska

nabierała pewności, że musi się za nią kryć coś poważnego. Wiceminister Moczar nie potwierdzał ani nie zaprzeczał, że coś jest na rzeczy. Uśmiechał się tylko zagadkowo i zapewniał, że cokolwiek by się działo, resort pracuje normalnie. Więźniowie skazani za sprawę nowohuckiego krzyża musieli zrobić w celach miejsce dla tych, którzy szli siedzieć za wydarzenia zielonogórskie. Klechy zaczęły się za bardzo panoszyć i trzeba było pokazać babom podkościelnym, kto tu rozdaje karty.

Porucznik, Jasiński i Furman zaczęli obmyślać, jakie są możliwości skupu złota w miastach Europy Zachodniej. Mieli do tej operacji wykorzystać pieniądze z napadu na pocztę. Porucznik poprosił o akta śledztwa. Znalazł w nim ciekawą uwagę. Śledczy byli przekonani, że napastnicy muszą być wieloletnimi partnerami. Może znają się jeszcze ze szkoły, a może służyli razem w wojsku lub byli razem w partyzantce. Pojawiła się też teza, że służyli w resorcie i zostali zwolnieni po czystce w latach odwilży.

Uśmiechnął się.

Konkluzja dochodzenia była zabawna: ponieważ istniały dokładne rysopisy, należy przyjąć wniosek, że bandyci nie pochodzili ze stolicy i przebywali tutaj tylko okazjonalnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

– Tak... Od czego zacząć? – Sven wykonywał swoimi długimi palcami jakieś kółka w powietrzu. Jakby czuł się tutaj nieswojo. Może przeszkadzał mu zapach? Silne środki dezynfekujące, spod których wiała się ledwo wyczuwalna, ale jednak nieustępliwa woń śmierci. – Może to wszystko niepotrzebnie, bo przecież pani podkomisarz dostanie pełny raport z badania.

– No nie pierdol, Sven, nie po to wydzwaniasz do mnie w Nowy Rok, żeby się teraz krygować. Znalazłeś punkt zaczepienia? Gadaj.

– Dobrze, więc po kolei. – Sven wyprostował się i wziął głęboki oddech. – Zainteresowała mnie ta sprawa, bo wyodrębniłem fentanyl i hydromorfon – zaczął wreszcie – w zmodyfikowanej postaci, z jaką się dotąd nie spotkałem. Fentanyl jest opioidem syntetycznym o bardzo wysokim stopniu przenikalności do krwi, ponieważ doskonale i przede wszystkim bardzo szybko rozpuszcza się w tłuszczach i przenika do komórek, stając się agonistą receptorów opioidowych.

– Słuchaaaam? – Olga zapragnęła usiąść. Nie umiała się skoncentrować. Było jej gorąco i zimno zarazem. Czuła, że się poci. Że ma obrzydliwie wilgotne czoło.

– Kawy chcesz? – Grzegorzycyk musiał coś zauważyć.

Skinęła głową.

– Sven... Sven, tak? – upewniła się. – Proszę, powiedz mi ludzkim

głosem, o co chodzi. Dobrze? Powoli, łatwymi słowami.

– To bardzo silny środek znieczulający.

– Okej, ale to o antagoniście – powiedziała powoli. – Bo nie wszystko załapałam.

Musiła zacisnąć usta i wstrzymać oddech. Miała wrażenie, że za chwilę dostanie czkawki.

– Nie antagonistą, ale agonistą. Antagonista powoduje zablokowanie reakcji receptorów. Agonista natomiast zmienia sygnał bólu w obojętny. Nie blokuje, ale zmienia, rozumie pani?

– Łączy się w bólu? – Zachciało jej się śmiać, choć byłoby to zupełnie nieestosowne. No i wtedy na pewno dostałaby czkawki. To pewnie dlatego, że Szymon o niej myśli. Matka powtarzała jej: „jeśli nie śpisz, to się komuś śnisz, jeśli masz czkawkę, to ktoś o tobie myśli”.

– Jeszcze raz. – Sven strzelił palcami. – Antagonista blokuje receptor. Agonista zmienia sygnał. Prościej już nie mogę powiedzieć. – Wyglądał na zafrasowanego.

– No dobrze. A w czym różnica?

– W skuteczności. Agonista przez to – nazwijmy je symbiotyczne – działanie może być bardzo skutecznym środkiem. Fentanyl w każdym razie taki jest. Jest skuteczniejszy od morfiny.

– Czyli to narkomanka? – Wreszcie coś zaczęło się Serbii układać. – Zmyliło mnie to ubranie. Że jest taka nieskazitelna. Upozowa...

Grzegorz nie dał jej dokończyć.

– Nie sądzę, żeby była narkomanką. Wycinki z mózgu i z wątroby nie wskazują na długotrwałe uzależnienie – krzyknął z kąta, w którym stał nad elektrycznym czajnikiem. – Nie mam cukru ani mleka.

– Ale trzeba powiedzieć, że stężenie obu środków jest wysokie – podkreślił Sven. – Za wysokie, żeby mogło pochodzić z plastra albo ze

zwykłej tabletki.

– Z jakiego znowu plastra? – Zapragnęła tej kawy już, natychmiast. Bez cukru, bez mleka, ale już.

– Chorzy dostają plaster, z którego środek dostaje się do organizmu przez skórę, albo tabletki z fentanylem, które rozpuszczają się pod językiem. Substancja uwalnia się powoli i przenika przez błonę śluzową we wnętrzu jamy ustnej.

– Jakiego rodzaju chorzy to dostają?

– Ci z nowotworami przede wszystkim.

– Z tego, co mi mówiłeś – wyciągnęła ręce po kawę, bo Grzegorzycy był już o dwa kroki od nich – to nie wyglądała na przewlekle chorą. Miała nowotwór?

Grzegorzycy pokręcił głową.

– A więc nie narkomanka?

– Nie wydaje mi się – powiedział. – Miała ślad po jednym ukłuciu.

– Ale tabletki mogła brać?

– Sven już ci powiedział. Nie widziałem zmian organicznych w obszarze mózgu czy wątroby. Ani żadnych objawów zapalenia osierdzia, a to by było widoczne przy stałym zażywaniu opiatów czy opioidów.

– Jaka to różnica? – Siorbnęła kawy. Była gorąca i mocna. Szkoda, że bez mleka, ale przecież nie ma co wybrzydzać.

– Jak to jaka? – spytał zdziwiony Grzegorzycy.

– Opiaty i opioidy.

– Opiaty są produktami organicznymi uzyskiwanymi z makówek, a opioidy to te wszystkie substancje o strukturze podobnej do opium, które służą do znieczuleń. I organiczne, i syntetyczne.

– Opiaty są opioidami, ale nie wszystkie opioidy są opiatami, dobrze myślę? – zapytała.

Kiedy pokiwali głowami, uśmiechnęła się i znowu upiła trochę kawy.

– No i jeszcze hydromorfon – powiedział nieśmiało Sven. Wciąż siedział na tym krzeselku zwinięty, jakby przygnieciony jakimś nieziemskim ciężarem. Ale kiedy mówił, ginęła gdzieś ta jego nieadekwatność. Tak, dokładnie tak o nim pomyślała, że kiedy tak siedzi, sprawia wrażenie nieadekwatnego.

– Co to za potwór? – spróbowała zażartować, ale skutku nie było.

– Środek przeciwbólowy o działaniu podobnym do morfiny czy do oksykodonu. Zwykle podaje się go w postaci czopków albo tabletek. Powoduje omamy i halucynacje. W zestawieniu z fentanylem w takiej ilości to musiał być zupełny odjazd.

– Słucham?

– Odjazd, haj, odlot, jazda – wyliczał Sven.

– Euforia, ekscytacja, uniesienie? – zapytała z uśmiechem.

– Dokładnie tak.

– A więc to jednak narkomanka.

– No właśnie mówiłem ci już, że nie. Była zdrowa. Ekologiczna. Pewnie jadła tylko sałatę i piła wodę niegazowaną ze szklanej butelki, najlepiej jakiejś obrzydliwie napuszonej francuskiej firmy – upierał się Grzegorz. – Nie była narkomanką.

– No dobrze już, dobrze. Nie była narkomanką. To mi ułatwi poszukiwania. Ale ściągnęłaś mnie tutaj w mój ostatni wolny dzień. Zwabiłaś mnie do swojej trupiarni, bo powiedziałaś, że Sven rozwiązał moją zagadkę. Czy tak?

– Tak! – powiedział Grzegorz.

– To dobrze. Bo na razie niczego się nie dowiedziałam.

– No mów jej. – Grzegorz podszedł do Svena i trącił go w ramię.

– Pani podkomisarz – Sven podniósł wzrok na Grzegorzycyka – fentanylu nie można legalnie kupić w Polsce. Nie ma go w dystrybucji. Tymczasem dawka, którą przyjęła, jest wysoka. Nie znam żadnego środka, który zawierałby i fentanyl, i hydromorfon. Do tego inne substancje, ale już nie w takim stężeniu i nie tak istotne. Rozumie pani cała ta *massa tabulettae*...

– Nie rozumiem.

– No różne pomocnicze substancje.

– Nie, no to rozumiem, nie rozumiem, co pan chce mi powiedzieć. Że to nielegalny środek? Że na ulicach jest jakiś nowy dopalacz?

– O nie, to nie jest dopalacz. Małolatów nie byłoby na to stać.

– A więc narkotyk dla najbogatszych?

Sven pokręcił głową.

– To by nie było opłacalne. Mają kokainę i jeśli chcą przeżyć coś naprawdę kosmicznego, kupią sobie od Rosjan karfentanyl. To co innego. Uważam, że to nie jest narkotyk, ale farmaceutyk. Nowy, nieużywany jeszcze w medycynie. Kompletny skład tego, co znalazłem, będzie pani miała w raporcie, ale to może jutro, pojutrze... W każdym razie myślę, że jakaś firma farmaceutyczna prowadzi badania nad nowym lekiem dla chorych na raka.

– To leczy raka? – zdziwiła się.

– Nie. Ale pozwala uśmierzyć ból. Oczywiście nie w takiej dawce, jaką przyjęła N.N.

– A ile przyjęła?

– Dość, żeby kompletnie odlecieć. Jak w narkozie.

– Straciła przytomność?

– Oczywiście. Utrata przytomności, spowolnienie metabolizmu, zwiotczenie mięśni, spowolnienie oddechu. Jak by to pani powiedzieć, pani podkomisarz... Pewnie to był stan podobny do

hipotermii.

– Była zimna? To znaczy, nie że to ją zabiło, ale na dotyk była zimna. – Serbia poczuła skurcz w żołądku. Zdarzało jej się to czasami. Znak, że jest blisko. Na tropie. Stawała się wtedy czujna i dzięki temu nie umykało jej nic istotnego.

– Najprawdopodobniej zimna. To między innymi krążenie krwi pozwala na utrzymanie ciepłoty ciała. Zwłaszcza ciała, które jest bezwładne. Jej krew płynęła wolniej. Miała zimną skórę.

– Brawo – pochwaliła go. – Dobry jesteś, Sven.

– Ale jeszcze nie powiedziałem, z czym przyszedłem – odparł zdziwiony.

– Powiedziałeś coś, czego mi brakowało. Była zimna, wiotka, nie dawała znaku życia. Tak?

– W początkowej fazie na pewno.

– A więc ktoś, kto jej zrobił zastrzyk, mógł pomyśleć, że ją zabił?

– Mógł tak pomyśleć. Jeśli nie był lekarzem, oczywiście.

– Dlaczego?

– Lekarz potrafiłby znaleźć tętno w innym miejscu niż przegub – powiedział Grzegorz. – Wiem, do czego zmierzasz, dziewczyno. Ktoś mógł pomyśleć, że ją zabił. Wyrzucił nad rzeką i podciął jej żyły, żeby nas wprowadzić w błąd? Tak myślisz?

– Mogło tak być – powiedziała Serbia. – Może chciał ją zabić i wstrzyknął jej to gównem, żeby się nie rzuciła. A może wcale nie chciał jej zabijać. Może oboje chcieli się tylko rozerwać? Stąd ta jej sukienka. Albo może, tak jak mówisz – zwróciła się do Svena – dostała testową dawkę leku i coś poszło nie tak.

– Nie, nie, to proszę do razu wykluczyć – zaproponował Sven. – Badania leków to poważna procedura. Nikt by nie zaryzykował wieloletniego programu z powodu jednej błędnej decyzji.

– Może tak, może nie. – Serbia była sceptyczna. – W mojej pracy trzeba wziąć pod uwagę wszystkie rozwiązania, nawet te najbardziej nieprawdopodobne, i po kolei je eliminować. To, które pozostanie na liście, musi być prawdziwe.

– Proszę skreślić błąd w badaniach. – Sven się wyprostował. – Branża farmakologiczna jest bardzo uczulona na przestrzeganie wszystkich procedur. A pieniądze, o jakie toczy się gra, są naprawdę ogromne. – Wstał i zaczął się rozglądać. Wreszcie spojrzał na wieszak.

– O czym więc chciałeś mi powiedzieć? – Serbia przestraszyła się, że zapomniał i po prostu sobie pójdzie.

– Mam w kurtce listę firm farmaceutycznych, które mogą brać udział w takich procedurach badawczych. Nie jest długa. Ale to jakiś punkt wyjścia.

– Sądziś, że powiedzą mi, że wstrzyknęli jakiejś tancerce fentanyl i hydromorfinę?

– Fentanyl i hydromorfon – poprawił ją z uśmiechem. Miał naprawdę ujmujący, męski uśmiech. – Nie, nie sądzę. Ale może powiedzą, ile i kiedy im tego zginęło. To była spora dawka. Nie mogła zniknąć niezauważona.

– Wiesz co? – dopiła kawę. – Możesz mieć rację.

Odstawiła kubek, żeby uścisnąć mu rękę. A on zachnął się jak dziewczyna. Że niby nic wielkiego. Zwyczajna sprawa. Ale uszy mu poczerwieniały.

Musiała to sobie wszystko przemyśleć, więc podziękowała Grzegorzcykowi za propozycję odwiezienia. Potrzebowała świeżego powietrza. Hałasu miasta, który tak lubiła. Wiatru i słońca.

Na zewnątrz było ciepło, ale pochmurno. Deszcz musiał przestać padać dopiero co, bo chodnik mokry. Wiatr szarpał jej ubranie, ale i tak była zadowolona, bo wreszcie czuła się lepiej. Tyle że zaczynała być głodna. Może zadzwoni do Szymona i zaproponuje mu, żeby

przyjechał do centrum? Znaleźliby jakieś dobre miejsce, żeby posiedzieć... Nie! Zeszłoby im do wieczoru, a teraz powinna się zająć dziewczyną. Ma w kieszeni listę tych przedsiębiorstw farmaceutycznych. Ma od czego zacząć. Lubi ten stan. Lubi być w roboczym trybie. Wtedy wszystko jest na miejscu. Są pytania i zaczynają się pojawiać odpowiedzi. Są zadania i są sposoby ich realizacji. Adrenalina i satysfakcja. Inna niż całowanie. W pracy Serbia czuła się bezpieczna. A teraz właśnie poczuła, że znowu jest w pracy. Zaczynała być sobą.

Zadzwoniła do Kosińskiego. I nie pieprzyła się z żadnymi życzeniami.

– Potrzebuję cię – powiedziała. – Robota jest.

– Ale ja w szpitalu przecież – odparł zaskoczony. – Miejże litość, szefowo. Może za dwa, trzy dni mnie wypiszą.

– Miałeś blablacarem tu jechać, nie pamiętasz?

– Pamiętam, ale jeszcze nie wiadomo, czy mnie wypiszą. To szpital, a nie wakacje – zachnął się.

– Ja mam akurat medyczne zadanie dla ciebie, więc nie narzekaj. Jesteś w dobrym miejscu. Komputer masz?

– Mam?

– Pornosy oglądasz?

Nie odpowiedział.

– No proszę cię – uśmiechnęła się do telefonu – żartuję przecież. Oglądasz, to przestaniesz. Nie oglądasz, twoja strata. Zapisz sobie nazwy leków...

– Jakich znowu leków, przecież dostaję wszystko, czego potrzebuję. Przynoszą mi na tacy w maleńkich kubeczkach. Kolorowe tabletki. Kolory takie jak w sklepie z zabawkami...

– Zapisz, mówię, bo nie mam czasu.

– Nie mogę.

– Co znowu? – Poczuała, że Kosiński stawia opór.

– Słuchawkę trzymam w jednej ręce, a drugą mam unieruchomioną – mówił powoli, jakby tłumaczył dziecku. Zrozumiała, że usłyszał jej emocje.

– Dobrze, wyślę ci esemesem nazwy leków. Poczytasz na ich temat. Wszystko, co tylko znajdziesz. Jeśli znajdziesz coś niestandardowego, to skopiuj i wklej do jakiegoś pliku tekstowego, okej?

– Co to znaczy „niestandardowego”? Nie lepiej wypytać o wszystko jakiegoś lekarza, z którym pracujemy? Choćby Grzegorzycyka?

– Teraz nie wiem, co to znaczy, ale kiedy coś znajdziesz, sam się dowiesz. Grzegorzycyka przepytalam. I jakiegoś młodego, jego kolegę, magistra czy doktoranta. Nie wypytałam go od razu o wszystko, ale wyślę ci też nazwy kilku przedsiębiorstw. I poczytasz o nich, dobrze?

– Jakich przedsiębiorstw?

– Takich od lekarstw. Poczytasz i zrobisz mi krótki, treściwy raport.

– Bardzo krótki. Jedną ręką słabo piszę.

– Niech ci będzie. Bardzo krótki. Ale żeby było w nim coś konkretnego, dobrze?

– Dobrze, szefowo.

– No i wracaj. Potrzebny mi jesteś.

– Myślałem, że kogoś masz. – Usłyszała w jego głosie, że on się uśmiecha. – Gdybyś nie miała, zadzwoniłabyś w nocy z życzeniami.

Nie odpowiedziała. W każdym razie nie od razu.

– Nie. Nie mam. Mam trupa i trzeba znaleźć jakiś punkt zaczepienia, a na razie wiem tylko tyle, że dziewczyna miała we krwi

silne psychotropy czy tam opiaty.

– No to niewiele.

– No i sukienkę. Bajeczną. Nigdy takiej nie widziałam.

– Jakiej marki?

– Co „jakiej marki”?

– Sukienka. Wiesz, to może być trop.

Kosiński miał rację. Powinna była sprawdzić sukienkę. Kurwa, przez Szymona traciła czujność.

– Masz rację – powiedziała, starając się zachować spokój. – Dobrego popołudnia.

Kurwa mać, zakłęła w duchu. Jak mogłam to przegapić?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

WTEDY

Od wypadku porucznik siedział jak lis w norze. Przyczał się. Wypełzał rzadko i nie odzywał się niepytany. Nie dzwonił do nikogo, ale odbierał po drugim dzwonku. W kantine wymieniał z ludźmi uwagi tylko o tym, co pisali w „Trybunie” albo w „Expressiaku”, no i oczywiście o dupach, których nigdy jakoś na korytarzach resortu nie brakowało. Podobno wiceminister dochodził jednak do zdrowia. Szczegółów wypadku nie pamiętał albo zrozumiał, że opowieść o tym, że przejechał wózek dziecięcy na przejściu dla pieszych, nikomu nie posłuży. Może wołał milczeć, jeśli doszedł do wniosku, że to była prowokacja. Moczarowcy przy stolikach pod oknami zachowywali się hałaśliwie i prowokacyjnie. Żydzi przy swoich łatwo wpadali w milczenie.

Rozmawiali teraz o przyszłości Zygmunta Gadeckiego, piłkarza Legii, który wiosną miał już iść do cywila.

– Nu ali on Brychczemu się zaklinał, że zostanie w Legii – mówili niektórzy, chwytając się każdego skrawka nadziei.

– Pierdoli. – Uśmiechał się uprzejmie porucznik. – Ci z Wybrzeża zawsze tak pierdolą. Piłkarz ma lepsze życie niż pan czy ja. Piłka to nie służba. A jak dobrze grasz, to zawsze cię jaka drużyna przygarnie.

– Piłkarze nie mają źle – dodawał ktoś. – Kwaterunek jest, kiełbasy nie brakuje, dupy same się do łóżka pchają.

– Nu ali gdzie jemu, temu Zygmuntowi lepij będzie jak we

Warszawie?

– A tutaj co? – Porucznik mrugnął. – Tutaj niby jest tak dobrze?

Przeglądał „Trybunę”. Ameryka zerwała stosunki dyplomatyczne z Kubą. Kolejny samolot DC-3 spadł tuż po starcie w fińskim Koivulahti, ciekawe, czy mieli na pokładzie piwo w puszkach. Nikita Chruszczow ogłosił zwrot w zimnej wojnie. Związek Radziecki i blok państw demokratycznych nie mogą dłużej spokojnie patrzeć na to, jak dążenia do niepodległości państw Afryki i Azji są tłumione przez amerykańskich i zachodnioeuropejskich kolonialistów. Państwa wolnego świata nie mogą stać z boku, kiedy Francuzi i Amerykanie testują broń atomową na poligonach uciskanych krajów. Afryka ma prawo do samostanowienia. Ciekawe, pomyślał, bardzo ciekawe. Może wreszcie zmienię klimat na jakiś bardziej ludzki.

Warszawa zasypana śniegiem była szara i ponura. Baby w futrach, niektóre jeszcze pewnie przedwojennych, faceci w kaszkietach, na ulicach samochody, które nie chcą zapalić. Albo szyby mają całkiem pozamrażane. Taksówek jak na lekarstwo. Całe szczęście, że furmanki z węglem dobrze sobie radzą. Czasami z kominów smród walił tak, że się chciało rzygać. Wiezorami wracał do domu pieszo. Ulica pusta, nieliczni przechodnie przemykają do kawiarni, a ci biedniejsi na prywatki. Wiatr hula środkiem ulicy. Skrzypienie śniegu pod butami przypomniało mu dzieciństwo. Zapach słoniny, mokrego drewna i krowy. Chleb moczony w wodzie z cukrem. Zabawy z kotem.

Kotka była bura i zwyczajna, chuda. Przybłąkała się do chałupy takiego właśnie zimowego dnia jak dziś. Wyszedł przed dom, jeszcze po ciemku. Musiał iść jak bocian, stawiając nogi tak, żeby trafiać nimi w zamrożone ślady trzewików matki. Wyglądały jak sznur cieni. Od progu chałupy do samego kurnika. Przed kurnikiem zamrożona zaspą, ale drzwi można było uchylić. Przełożył przez ramię sznurek, na którym wisiał za ucha garnek, i wtedy zobaczył kota. Wtedy nie

wiedział jeszcze, że to kotka. Siedziała na oblodzonej od tygodni ławce pod oknem.

– Sio – powiedział – sio! Wynoś się.

Zamachnął się, jakby ciskał kamieniem.

Kot zeskoczył w mrok.

Ojciec, tak go zapamiętał, zawsze przeganiał koty. Ufał tylko psom. „Pies, powtarzał, póki go karmisz, nie ugryzie ani nie zdradzi. W nocy będzie wył albo szczekał na obcych. Pies, kurwa, to jest takie zwierzę, które się zawsze boi. I zawsze woli dostać po grzbiecie od swoich, a nie od obcych. Dlatego szczeka. Koty są do niczego. Kot zawsze cię sprzeda za lepszy kawałek spyrki”.

Któregoś dnia, w piątek, pamiętał, bo w piątek żarcie było całkiem do niczego, ojciec poszedł do lasu. A on został z matką, siostrą, krową i kurami. Konia Niemcy wzięli zaraz pierwszego dnia, jak tylko przyszli. Poszedł do kurnika, włożył garść do garnka i wysypał kurom ziarno na ziemię. Sznurek poczerniały. Z drobnych, kłujących włókienek. Garnek niebieski. Lutowany. Cygański. Kiedy wracał, kot znowu siedział na ławce. Wygiął grzbiet i wyprężył ogon. Chłopak wyciągnął rękę. Ostrożnie, żeby nie użarł... Ale kot nie chciał gryźć ani drapać. Łasił się. Mruczał. Chudy, ale mięciutki. Chłopak nigdy nie miał nic tak miękkiego. Siostrze, tej małej suce, kupowali różne rzeczy. Nawet lalkę miała. Całkiem nową. Iwonkę. Lalka Iwonka wysrana spod ogonka, mówił, a ona skarżyła matce. Matka wrzeszczała. Jemu nie kupowała nowych rzeczy. Przerabiała to, co już miał. Albo stare rzeczy po wyższych chłopakach ze wsi. Kiedy drapał kota po grzbiecie, mruczał tak głośno, że chłopak aż usiadł na ławce i wcale nie czuł, jak lód topnieje. I jak powoli przemakają mu portki.

Wziął kota do domu i nalał mu mleka do talerzyka. To był ten sam talerzyk, na który kilka dni wcześniej matka nalała wody święconej i położyła kropidło. Talerzyk dla księdza po kolędzie.

Matka wrzeszczała. Żeby z tym kotem wypieprzał na zbity pysk. Że to musi być kot od Żyda. Jak Żydzi uciekali przed Niemcami, to pewnie zostawili kota. I że wiadomo – żydowski kot, będzie z niego nieszczęście. W dodatku czarny. Ale on nie słuchał.

– Zamknij się – powiedział do matki.

Jak ojciec.

Matka chwyciła ojcowy pas, który wisiał przy lustrze obok drzwi. Ojciec ostrzył na nim brzytwę. Ale jego nie było od miesięcy i pas stwardniał. Kiedy matka zdejmowała go ze ściany, przypominał węża.

Nie rozpląkał się, kiedy go uderzyła. Miał osiem lat. Powtórzyła jeszcze trzy razy. Nie w dupę, ot tak, przodem stał, pas owijał mu się wokół ramienia i trząsał go po plecach. Kot miauknął. Chłopak wzruszył ramionami i dolał mu jeszcze mleka z glinianego garnka. Matka opuściła ramiona. Płakała, kiedy dziewczynka się obudziła i weszła do kuchni z lalką pod pachą. Było zimno, bo matka z tego płaczu nie rozpałała jeszcze pod kuchnią.

Ojciec wrócił późną wiosną. Wpadł, jak powiedział, na kilka dni. Kotka miała małe. Chłopak wyniósł je do obory, ale piszczały tak, że ojciec je znalazł.

– Sam to zrobisz czy znowu będę musiał wszystko robić za ciebie?
– zapytał.

Ojciec pociemniał na twarzy. Miał pod oczyma głębokie cienie. Opalony był, schudł. W nocy przyszedł. Matka nagrzała wody na kuchni i myła go powoli. Nie spali do samego rana.

– Co zrobię? – spytał chłopak, nie rozumiejąc.

– Kociaki trzeba podusić.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział złamanym głosem, jakby był jakąś babą.

Ojciec strzelił go w pałę raz. Ale porządnie.

– Nie podskakuj, smarku. Jeśli zrobisz to sam, kotka może zostać. Jak ja się nimi zajmę, to wszystkie do wora. Możesz wybierać.

Ojciec nie żartował. Nie żartował nigdy.

Chłopak poszedł do obory. Wokół krowy latały muchy. Wachlowała ogonem. Kociaki leżały w sianie z matką. Krowa, niby takie bydlę, a nie nadepnęłyby przecież. Młode mlaskały z zadowolenia. Jeszcze dzień, dwa i zaczęłyby się rozłączyć po obejściu. Na razie nie odstępowały od matki.

Pozwolił im wyssać mleko do reszty. Potem zapakował je do worka po ziemniakach. Trzeba je było zanieść aż nad rzekę. Nie mógł po prostu wrzucić ich do studni.

Worek zrobił się ciężki, kiedy nasypał do niego ziemi. Wrzucił go może jakiś metr od brzegu. Chlapnęło. I worek poszedł na dno, ale potem wypłynął, ziemia musiała się wypłukać, nurt szarpnął i poniosło koty po szumach. Biegł ścieżką przy brzegu. Zdawało mu się, że słyszy, jak piszcza. To było fascynujące. Dobięgl aż do zakrętu. Nurt wyrzucił worek na płyciznę. Pewnie nie wszystkie się podusiły, bo worek ciągle się ruszał.

Nie było kamieni na brzegu. Nie wiedział, co zrobić. Ale odwrócił się i znalazł grubą gałąź. Zżuł buty, podwinął nogawki, wlaź do wody i uderzył. Raz, potem drugi. Płakał, ale walił z całej siły, aż całkiem się zasmarkał. Kiedy wrócił do domu, wszedł do spiżarni, odciął kilka pasków słoniny i dał jeden kotu. Drugi żuł sam. Siedzieli na ławce. Tutaj nie śmierdziało krową jak w oborze.

Ojciec zginął następnej jesieni. Pierdolony partyzant, pomyślał porucznik. Instynkt powiedział mu, że czas obudzić się ze wspomnień.

Przed domem kilka cieni. Psy na smyczach. W dłoniach ogniki papierosów.

– Dobry wieczór – powiedział. – Zimno.

– Zima stulecia to to nie jest, ale w dupę daje – odparł jeden uprzejmie.

Psy zaczęły się łączyć do nóg. Porucznik pochylił się i tarmosił je po grzbiecie. Każdego po kolei. Wiedział, że sąsiedzi trzymają psy na pokaz. Że niby są tacy nowocześni. Wszyscy wiedzieli, że prawdziwy, ortodoksyjny Żyd psa trzymał nie będzie. Pies jest nieczysty. Nie tak bardzo nieczysty jak kot, ale to jednak podła gadzina. A jednak stali tutaj ze swoimi Azorami i Murzynami. Nie opowiadał dowcipów, ale śmiał się z ich żartów. Palili papierosy. Nie trzymaliby też kotów. Kot, którego miał jako dziecko, na pewno nie był żydowski. Był swój. Własny. Porucznik się wyprostował. Od wypadku wiceministra mijały kolejne tygodnie. Dymisja nie nadchodziła. Żydzi powoli odzyskiwali humor. Skoro żartowali, to znaczy, że podnieśli głowy. A wydawało się, że już po nich. Odpowiadał uprzejmie na uwagi na temat pogody i nowego programu telewizyjnego, bo od niedawna Telewizja Polska nadawała już po kilka godzin każdego dnia, a nie tylko trzy razy na tydzień, i czasem coś ekstra od święta. Zastanawiał się, co o nim myślą. Wciąż traktowali go jak swojego czy już rozumieli, że gra w przeciwnej drużynie? Czy nie za wysoko nosił głowę po wypadku? Chyba nie. Starał się pilnować pozorów.

Pogłaskał jeszcze raz największego psa i wszedł do budynku.

Wcześniej wstawał i dużo chodził po mieście. Zatrzymywał się przy wystawach. Widział w „Trybunie” zdjęcia z poznańskich targów krajowych. Nowe przeszklone lady dla gastronomii. Właśnie takie jak za szybą. Nie, nikt go nie śledził.

Ruscy się nie wtrącali. Telefon milczał.

W końcu wiceminister Alster pojawił się w resorcie. Było to na kilka miesięcy przed wyborami do Sejmu i do rad narodowych. Partia miała inne zadania niż czystki i być może dlatego mu się upiekło. Na korytarzach głośno było o tym, że skoro skończyło mu się zwolnienie

lekarskie, to pójdzie w odstawkę, bo ostatnie kilka miesięcy dowiodły, że minister Moczar dobrze sobie ze wszystkim radzi całkiem sam.

Latem znowu przyjechali po porucznika do domu. Tym razem bez żartów. Dwaj goście w za dużych marynarkach.

– Zejdziecie na dół i poczekacie na transport – powiedział ten z jasnymi włosami – bez zbędnej zwłoki.

Zbiegał schodami, przeskakując po dwa stopnie, i myślał, czy tamci, schodząc powoli i dostojnie, nie grają na czas. Czy nie chodzi o to, żeby mogli mu poprzeglądać rzeczy. Albo założyć podsłuch. Odrzucił tę ostatnią myśl. Po co zakładać podsłuch komuś, kto mieszka sam i z nikim się nie spotyka po pracy? Ale papiery mogą przejrzeć. Mieszkanie było czyste. Pościerajcie sobie trochę kurzu, palanty.

Samochód podjechał po kilku minutach.

Milczeli całą drogę do placu Zwycięstwa.

– Panie majorze, proszę się zatrzymać. Przejdziemy się z panem kapitanem.

Było już ciemno, ale wciąż parno. Gorąco. Granitowe płyty aż buchały skwarem.

– Wicherek zapowiadał burzę i widzisz pan, co z tego wyszło? Gówno. Jak zwykle.

Porucznik milczał.

– Ciekawy gość ten Wicherek. Jak to on powiedział, że co wisi nad Polską? Miecz Damoklesa?

– Miecz Damokratesa – poprawił porucznik. – Chciał powiedzieć „Damoklesa”, a powiedział „Damokratesa”. Cała Polska się śmiała.

– Ja bym nie przesadzał, że cała. Kilku profesorków się zaśmiało. Żydzi. Żydzi lubią takie anegdoty. Rozumie pan, to im pozwala okazać swoją wyższość nad ludem pracującym miast i wsi. Sądzi pan, że

nasze sprzątaczkę albo higienistkę w szkołach wiedzą, jaka jest różnica z tym Demokratesem? Nie wiedzą. A Żydzi wiedzą...

– Kosmopolici. – Porucznik uśmiechnął się z politowaniem.

– A żebyś pan wiedział, kosmopolici jebani. Jak o nich powiedział towarzysz Wiesław? Reprezentanci kosmopolitycznego nihilizmu narodowego i ciasnego nacjonalizmu... Czas już by się z nimi rozprawić, ale sam pan widzisz, odzydzanie resortu idzie opornie. Koledzy z komitetu boją się gadania o antysemityzmie, a syjoniści znowu zapierdalają środkiem.

– Rzeczywiście, już był moment, że chodzili pod ścianami – przytaknął porucznik. – Zapalimy?

– Lepiej byłoby wypić, ale nie czas po temu, zapalimy.

Zatrzymali się na środku placu. Na tyle daleko, że wartownicy pod Grobem Nieznanego Żołnierza nie mogliby ich rozpoznać.

– Niestety, widzicie, zdaje się, że towarzysz Wiesław nie może po prostu tego załatwić po męsku bez jakiejś porządnej dupokrytki.

– To co robimy?

– Nic, kurwa, trzeba czekać. Róbcie swoje, ale miejcie uszy otwarte. Jak stary chuj malarz leżał w sanatorium, popracowałem nad jego ludźmi i powiem wam, mamy sojuszników. Najważniejsze, że towarzysz Wiesław przekonał się, że nie potrzebuje dzielić resortu na dwa równorzędne pionki ani zlecać kierowanie nimi dwóm różnym politykom. Ale Żydzi w partii wciąż są, kurwa, zbyt silni, żeby można było tak po prostu wypierdolić wiceministra.

– Już byli słabi.

– No byli. Ale się skurwili z towarzyszami radzieckimi. Wchodzą im w dupę bez mydła.

– Sądziłem, że to my jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteśmy, jesteśmy, niech pan będzie spokojny, kapitanie.

Z nami się przyjaźnią, a ich ruchają w dupę. Ale widać lubią. Nic nie poradzimy. Trzeba czekać. Odezwe się, jak sytuacja się wyklaruje.

Lato mijало, Irena Dziedzic, Lucjan Kydryński i Mieczysław Voit prowadzili Festiwal Piosenki w Sopocie, Irena Santor zaśpiewała *Embarras*, a konkurs główny wygrał jakiś Szwajcar. Festiwal był demonstracją otwartości i dowodem na to, że należymy do europejskiej rodziny narodów. Dolarów na rynku było jakby więcej. Porucznik skupował je od warszawskich cinkciarzy. Wciąż nie potrafił znaleźć sposobu na ewentualny transport złota przez granicę. Skłaniał się ku myśli, żeby przetransportować je na pokładzie trawlera, ale obawiał się, że to nie jest dobre rozwiązanie, bo taka operacja wymagałaby zaangażowania zbyt wielu ludzi.

Jasiński i Furman uczyli się w Leningradzie hebrajskiego i arabskiego. A także nowych technik minerskich. Kierownictwo uważało, że po tym, jak kilka państw Afryki Środkowej ogłosiło niepodległość, tendencje do samostanowienia w rejonie Bliskiego Wschodu powrócą ze zdwojoną siłą. A wtedy dobrze mieć kogoś, kto potrafi się poruszać w regionie.

Minęła jesień i nadeszła zima. I w końcu zadzwonił telefon.

– Sytuacja się wyklarowała. O dwudziestej drugiej, tam, gdzie ostatnio.

Porucznik wziął taksówkę. Do Bristolu. Zapłacił i zapalił papierosa. Dzięki temu taksówkarz nie mógł sprawdzić, czy wejdzie do hotelu. A jeśli ktoś za nimi jechał, musiałby ich teraz minąć. Czwartek. Zimno jak chuj. Trochę ludzi kręciło się przy wejściu. Jak zwykle. Waluciarze, kurwy, kapusie, naciągacze i bananowa młodzież. Splunął, postawił kołnierz i poszedł w kierunku placu Zwycięstwa. Nie czekał długo, sprawa była widać poważna. Odniósł wrażenie, że już tu na niego czekali, bo auto podjechało natychmiast. Trzasnęły drzwi. Czekał. Nie ruszył z miejsca.

– Jak wasi ludzie? – zaczął tamten pierwszy.

– Wrócili na święta. Urlop mają od pustyni i od puszczy – zażartował porucznik.

– Wiem, pytam, czy zdrowi są.

– Oczywiście, jak to na urlopie.

– Robotę macie na jutro.

– Jaką?

– Okazyjną. Żydzi się panoszą w gazetach, zagarnęli, kurwa, telewizję, radio, czasopisma. Nie chodzi o to, że to nam nie służy, ale to nie służy ojczyźnie. Oni się, wiecie, będą zawsze popierać. Najgorsze beztalencie będą promować, jeśli będzie im to na rękę. A my musimy zamiatać. Macie tutaj teczkę.

Porucznik zajrzał na pierwszą stronę. Jakieś fioletowe przebitki, zajrzał jeszcze dalej. Zobaczył nazwisko.

– Znam go. Co przeszkrobał?

– Nic. To porządny gość, odważny, Gomułka go lubi.

– Pamiętam. To on miał to przemówienie, żeby rozliczyć stalinistów, a towarzysza Wiesława zrehabilitować... To dlaczego?

– Bo jest akurat okazja. Weźmiecie go na wizję lokalną.

– W jaki sposób? – Porucznik wyciągnął rękę. Teczka była ciężka. Sporo papieru.

– Do czysta.

– Aż tak?

– Nie ma wyjścia. Trzeba zrobić tak, żeby to wyglądało na zupełny przypadek, rozumiecie? Ale musi być czysto. Trzeba utrzymać porządek w bibliotece.

– Podśluch jest? – Porucznik domyślił się od razu. Z podśluchów powstają raporty. Ludzie, którzy je spisują, nie znają reguł gry. Spisują wszystko jak leci. Tam, gdzie jest cisza, zostawiają pustą

kartkę.

– Tak jest. Bez słowa.

– Ale po co?

– Żydzi będą pewni, że zrobili to nieznani sprawcy, wice-minister sprawdzi podsłuchy i będzie pewien, że to wypadek. Zrobi się gówno, Żydzi się wezmą za łby między sobą, a wtedy my jebniemy w to wszystko granat.

Tamten zaśmiał się rubasznie.

– Rozumiem – powiedział porucznik.

– No. To przeczytajcie i zadzwońcie, jaki macie pomysł. O każdej porze dnia i nocy.

– Kurwa, przecież nie mam telefonu.

– A... zapomniałem. Ale to dobrze. Kto nie ma telefonu, ten nie ma go na podsłuchu. Rano dacie mi znać. Przyślę kogo trzeba.

TERAZ

Od razu zadzwoniła do technika, a on z miejsca, zanim jeszcze zdążyła zapytać, wypalił:

– Al.Sky.

– Co „Al.Sky”? – spytała zirytowana.

Stała na skrzyżowaniu z Chałubińskiego i nie była pewna, w którą stronę powinna iść, żeby było bliżej do przystanku. Dla kogoś, kto na co dzień używa samochodu, niektóre sprawy nie są proste. W dodatku taki brzydki dzień. Ani ciepły, ani zimny. Gdyby była tu z dzieckiem, kazałaby zapiąć mu kurtkę, bo najłatwiej się przeziębic w taką pogodę. Ale była sama. I już zawsze będzie sama. Nie będzie miała komu zawiązać czapki ani butów.

– Oj, ta sukienka – technik był zawiedziony, że się nie domyśliła – ta sukienka to Al.Sky.

– Proszę mówić jaśniej, jestem na ulicy i słabo pana słyszę. – Zatkła sobie lewe ucho. Nie było wielkiego ruchu, ale nadciągał tramwaj, a te potrafią obudzić umarłego.

– Pani podkomisarz, wiedziałem, że wcześniej czy później zadzwoni pani w sprawie sukienki. Więc pomyślałem sobie, że podam odpowiedź, zanim pani mi zada pytanie. Dowcip taki.

– No tak – mruknęła – uważa pan, że nasza praca to dobre miejsce do strojenia sobie żartów? – Pomyślała, że jeśli pójdzie w prawo, to będzie musiała się cofać. W lewo był za kilkaset metrów

Centralny. Jak nie przyjedzie tramwaj, to zawsze będzie mogła iść na metro. Poza tym od kilku dni nie biegała, więc spacer dobrze jej zrobi.

– Przepraszam – powiedział już poważniejszym tonem.

– Ja też przepraszam. – Ruszyła w kierunku Alej Jerozolimskich.

– Przecież ja też żartowałam. Może nieudolnie, bo zapomniałam pana od razu zapytać o tę sukienkę. W ogóle o niej zapomniałam. I mam o to do siebie pretensje.

– Rzadko kto w tej robocie powiedziałby „przepraszam, zapomniałem”.

– Wiem. Proszę mi powtórzyć, co to za Al.Sky.

– Taki napis na metce. Zapisane w taki charakterystyczny sposób. „Al”, kropka i „Sky” wielką literą. Jak niebo po angielsku.

– Dobrze. Zapamiętam.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Ani numeru, ani adresu, ani instrukcji prania. Nie była przerabiana. Ani zwięzana, ani skracana. No i to wełna.

– Jakie to ma znaczenie? – Musiała iść dalej, niż sądziła. Zaczynało jej się robić ciepło. Za ciepło.

– Dobra wełna. Cienka, dobra, ciekawy splot. Mogę pani wysłać jutro zdjęcia w dużym powiększeniu.

– Wiem, jak wygląda ta sukienka. – Rozpięła kurtkę. Najchętniej zdjęłaby też szalik i czapkę, ale to głupie. Zapalenie zatok gotowe. I kto wtedy znajdzie złoto z Szymonem?

– Ale mnie chodzi o ten splot. Myślę, że jeśli pokazać to dobremu krawcowi, mógłby powiedzieć więcej niż ja.

– Dobrze, proszę przysłać.

Szła i szła, a była dopiero przy Nowogrodzkiej. Stała na światłach, więc wybrała numer do Kosińskiego.

– Jeszcze nie zdążyłem tego obczaić – powiedział – dzwoniłaś

przecież dopiero co.

– Przepraszam cię, mam jeszcze jedną sprawę.

– No?

– Sukienka jeszcze. – Ruszyła, bo się zapaliło zielone światło.

– Jaka znowu sukienka?

– Czarna, lśniąca, z dobrej wełny, krótka, nieprzerabiana. Na metce „Al”, kropka i „Sky”. Jak niebo po angielsku.

– A to znam – powiedział Kosiński – to ten młody krawiec z Grochowa, Gliński, taki trochę naśladowca Roberta Kupisza.

– Podszywa się pod niego? – Uśmiechnęła się do siebie.

– Nie, no skąd! Uważa się za jego ucznia, w takim sensie w jakim na przykład Caravaggio był uczniem Tycjana i na przykład Leonarda. Leonarda wręcz wielbił. I od niego uczył się, jak oswoić światło, jak zapanować nad cieniem i perspektywą.

– Co ty, Kosiński... – Poczula się zaskoczona.

– Przepraszam. Więc ten Gliński nie jest żadną podróbą. No coś ty, nie można tak o nim myśleć. To znakomity młody krawiec. Sam projektuje i sam szyje. A to nie jest zasada, nie wiem, czy wiesz, że niektórzy wybitni projektanci po prostu rysują fasony, a kroi i szyje już zupełnie kto inny. Ja cenię tych, którzy szyją sami. I ten Gliński, wiesz, robi ekskluzywne rzeczy. Nie można iść do niego tak z ulicy. Trzeba się umawiać. I to wcale nie takie proste, nawet jeśli dysponujesz poważną kwotą pieniędzy. Są długie terminy, bo on nie korzysta z pracy szwaczek. Rozumiesz? Wszystko, co podpisuje, to jest jego osobista robota. Moim zdaniem to po prostu mistrz!

Serbia oniemiała.

– Ale skąd wiesz, że to ten Gliński?

– To proste, z metki. Glin to w układzie okresowym pierwiastków Al. A Sky to ski, żart taki. Glin plus ski, ale też Boski Gliński.

Przeszła przez aleje i stała na kolejnych światłach, tych do przystanku.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Interesuję się modą.

– A nie wyglądasz.

– A co by powiedzieli, gdybym przychodził do fabryki w wąskich spodniach z powycinanymi dziurami na udach i na kolanach? Sama pomyśl. Albo gdybym włożył czerwone spodnie? Co by powiedzieli?

– O kurwa – westchnęła. I ten komentarz musiał wystarczyć im obojgu. Zapaliło się światło i ruszyła. – Dobra, dziękuję, spisałeś się. A ten Gliński ma jakieś imię? Żebym go mogła namierzyć?

– Chyba Sylwester. Ale nie jestem pewny, czy dobrze pamiętam. W internecie znajdziesz, no najszybciej na Instagramie.

– Nie używam Instagrama. Instagram jest dla młodych, szczupłych lasek, które mają zrobione usta i sterczące cycki – powiedziała. – Ja z tego wszystkiego mam tylko mózg. Może czasami o czymś zapominam, ale mam. Na zdjęciu tego nie widać.

Roześmiał się.

– Przecież jesteś ładna, szefowo – powiedział.

Uśmiechnęła się.

– Na ten swój najeżony sposób – dodał.

I wszystko zepsuł.

Wsiadła do siedemnastki. Kilka przystanków do Księdza Popiełuszki zajęło jej kwadrans. Myślała o tym, jak to możliwe, że zapomniała o sukience. I że Kosiński jest dobry. I że jej go brak. Minęło już kilka tygodni. Wróci z bliznami. Może przestaną tak z niego drzeć łacha. Przeszedł chrzest. Mało nie zginął. Tak naprawdę niewiele było w takiej opresji. Mógł zginąć, a nawet się nie zesrał w gacie, kiedy go tamten dźgnął. Znała kilku takich, co by się zesrali

jak amen w pacierzu. Za oknem Arkadia rozświetlona jak Manhattan. A dalej pustka i smutek. Z wiaduktu widać było tylko niebo. Szarzało i puchło, jakby pogryzione. Jakby było zmęczone tym, że musi każdego dnia zaczynać wszystko od nowa.

Żolibórz był już bardziej radosny, choć świateł w domach nie paliło się wiele. Ludzie wyjechali na święta do ciepłych krajów. Albo przynajmniej do domu. Do matki. Do niej Anka nie przyjedzie na żadne święta.

Nie zadzwoni. Nie powie: „maaaaamo, daj mi spokój”. Nie przymierzy jej butów. Nie wyśmieje swetrów. Nie zapyta: „dlaczego nie chodzisz w sukienkach, dlaczego ty nawet żadnej nie masz”? Nie będzie ukrywać telefonu pod poduszką, żeby nie słyszała, jak zadzwoni nocą ten pierwszy chłopak, żeby mówić słowa, których nie da się wysłuchać bez dotykania się tu i tam. Nikt nie będzie krzyczał: „wyjdz, tu jest mój pokój, moja przestrzeń, mój świat i nie myśl sobie, że możesz mi cokolwiek kazać. Jestem dorosła!”.

Pociągnęła nosem.

Chora będę, pomyślała, taka gówniana pogoda w tej Warszawie.

Z przystanku szła pieszo. Myślała, czy może by nie zajrzeć do Merkurego i nie kupić jakiegoś wina. Albo lepiej dwóch. Ale ostatnio Merkury był otwarty w kratkę. Nie wiedziała, czy to dobry pomysł. Może będzie zamknięte? No nic. Wypiją wódki. Coś przecież jeszcze zostało.

Szurała nogami po kałużach. Ładna na ten swój najeżony sposób, o co mu do cholery chodziło? Że niby coś z włosami? Przecież nie są najeżone, do cholery. To znaczy są, kiedy biegnę i kiedy się przepocę, to są, ale tak normalnie na co dzień nie. Więc o co? Że nie maluję ust? Że przeklinam? Kurwa, jak mam nie przeklinać w takiej robocie? Naprawdę jestem taka najeżona? Zdjęła czapkę i przejrzała się w szybie wystawowej.

No nie, skąd. Włosy były przylizane. Naelektryzowane. Jak to zimą.

Wcisnęła czapkę z powrotem na uszy i ruszyła dalej.

No i jeszcze do tego wszystkiego nie mam klucza. Westchnęła.

Wybrała numer na furtce. A potem w klatce schodowej. Kiedy weszła na pierwsze piętro, stał w drzwiach uśmiechnięty i zrelaksowany. Zza drzwi docierał do niej zapach kotletów.

– Kotlety zrobiłeś?!

Pokiwał głową. Nie przestawał się uśmiechać. Wyglądał jak chłopiec. Śmierdziały mu skarpety, ale wyglądał jak chłopiec.

– Wzruszyłam się – powiedziała – a miałam na ciebie nakrzyczeć.

Odsunął się, żeby mogła wejść.

– Nie wiedziałam, że umiesz gotować.

– No phawda jest taka, że nie pothafię – powiedział zakłopotany – ale kilka rzeczy umiem zhobić. Mięso znalazłem w lodówce, jeszcze się nadawało. No to ci nasmażyłem kotletów.

Gdybym miała córkę, mogłabym jej zawinąć w srebrną folię i dać na drogę, pomyślała.

Pomógł jej zdjąć kurtkę.

– Dlaczego chciałaś nakrzyczeć?

– Bo jestem rozkojarzona – powiedziała. – I to jest twoja wina.

– Jak to? – Znowu wyglądał jak chłopiec. Taki, który coś zbroił, ale za żadne skarby świata się nie przyzna.

– Tak to! Jestem przez ciebie rozkojarzona. Zapominam o najprostszycich sprawach. – Zdjęła buty, naciskając palcami stóp jednej nogi na piętę drugiej. To nie służy butom, ale służy plecom. – Zapomniałam zapytać o sukienkę tej zabitej dziewczyny, a przecież ta jej sukienka była właśnie najbardziej niezwykła. No i może jeszcze buty. Ale sukienka, rozumiesz, może być zwyczajna, z sieciówki.

A może też być niezwykła. I ta była niezwykła.

Olga weszła do kuchni i zaniemówiła.

Nie pamiętała już, kiedy miała na stole obrus, talerze i lampki do wina. No i kotlety, których sama nie zrobiła. Poczuli się głodni.

– Siadamy?

– Nie no, przecież nie wiedziałem, kiedy wrócisz. Kałafle muszą nastawić.

– A kotlety przez ten czas wystygną.

– No nie da się zjeść wszystkiego naraz.

Zaczęła się śmiać.

– Ale przecież miałeś wytropić Chopina.

– No i choć go thopiłem.

Zapalił gaz pod niebieskim garnkiem. Za oknem zaczęło się już robić ciemno. Krótki ten dzień. Gawrony zlatywały się na bezlistne drzewo. To chyba był buk, ale nie miała pewności. Nie znała się na drzewach. Buk albo może olcha? Na pewno nie topola, bo topola syfiała wszędzie tym białym puchem, przez który kręciło ją w gardle. Gawrony siedziały nastroszone i choć było ich sporo, wydawały się samotne. Biedne ptaki. Nigdy się nie przytulają.

WTEDY

Porucznik zawrócił. W Bristolu podszedł prosto do baru. Zamówił setkę wódki. No i śledzia. Nie zdjął płaszcza. Tylko go rozpiął, zdjął szalik i kapelusz. Teczkę położył przed sobą. Wódki nie wychylił jednym haustem jak inni, ale sączył ją powoli jak wino. Stał tyłem do sali, ale półka z alkoholem miała lustro zamiast tylnej ściany. Przyglądał się ludziom. Kurwy, cinkciarze, badylarze, jeden z tych przemądrzałych demokratów, którego spotkał kilka lat temu, gdy ten smarkacz, student jąkała, czytał Szpotańskiego. Jak on się nazywał? Nie umiał sobie przypomnieć, ale twarz pamiętał. Wąski nos, duże uszy, wysokie czoło. Był z dwiema kobietami. Zbyt atrakcyjne jak na możliwości takiego gościa, ciekawe, czy są od nas.

Uważnie zlustrował kobiety. Jeśli od nas, to pełny profesjonalizm – ocenił – od kurwy nie odróżnisz.

Pomyślał przez chwilę o żonie. O jej świecie prostym i oczywistym. To, co dobre w katechizmie, to, co złe, trzeba zatrzymać za progiem. Najlepiej, kurwa, modlitwa do Anioła Stróża. Gdyby się dowiedziała, jaki świat jest naprawdę, pewnie by zwariowała. Nie ma innej rady. Prychnął. Dziewczyny z małych miasteczek i ta ich pierdolona naiwność... ale dzieci wychowują dobrze. Jak biją, to po dupie. A jak dziecko płacze, to zakrywają mu usta ręką. Sąsiedzi nie słyszą. Przestań, mówią. Przestań, bo mamusia przestanie cię kochać.

Zjadł śledzia i zamówił kolejną setkę.

Teczka leżała przed nim na blacie. Szara. Zwyczajna. Wołała go. Wołała go tajemnica. Drugą wódkę wypił po polsku. Pokręcił głową, żeby rozciągnąć mięśnie karku. Tak... dziewczyny na pewno ze służby. Pomyślał, że uchyli im kapelusza, kiedy będzie wychodził, ale to byłoby głupie. Jeszcze raz spojrzął w lustro. Nikt na niego nie patrzył.

– Da pan telefon? – poprosił barmana. – Zapłacę.

Barman wskazał mu aparat.

Porucznik wykręcił numer Jasińskiego.

Wrócił do domu taksówką. Noc była zimna. Nie spotkał nikogo z psem. Tak lepiej. Lepiej, kiedy ludzie nie wiedzą, kiedy wychodzisz ani kiedy wracasz.

W teczce były maszynopisy. Fioletowe, zamazane, ledwo widoczne. Przebitki. Tłumaczenie sześciu zdań z francuskiej gazety „Le Monde” z 17 listopada. Sześć zdań o tym, jak to towarzysz Chruszczow w czasie XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wspomniał, że w 1953 roku, dziewięć miesięcy po śmierci Stalina, w czasie partyjnej narady osobiście oskarżył Ławrientija Berię, z którym właśnie pili wódkę, o zdradę narodu. Chruszczow potrzebował kilku miesięcy, żeby zdobyć kompromat na Berię i przekonać I sekretarza Malenkowa, że w czasie rewolucji w Baku Beria był udającym rewolucjonistę agentem antyradzieckiego azerskiego kontrwywiadu. A Azerowie chodzili wtedy na pasku Wielkiej Brytanii. Beria został aresztowany osobiście przez marszałka Żukowa.

Dalej była osobista notatka towarzysza Gomułki nakazująca sprawdzenie, skąd wziął się przeciek. Publikacja w „Le Monde” została przez Rosjan uznana za zdradę, ponieważ wystąpienie Chruszczowa miało klauzulę tajności. Służby radzieckie postawiono w stan najwyższej gotowości, jako że trzeba było znaleźć źródło przecieku wśród ścisłego kierownictwa partii. Korespondenci „Le

Monde” we wszystkich krajach bloku wschodniego trafili pod lupę. Ustalono, że autorem tekstu jest warszawski korespondent Jean Wetz.

Stało się oczywiste, że warszawski korespondent „Le Monde”, który nie był w Moskwie w czasie zjazdu partii, informację o wystąpieniu towarzysza Chruszczowa mógł zdobyć tylko w Warszawie, po IX Plenum KC PZPR, kiedy to polska delegacja na XXII Zjazd KPZR składała sprawozdanie. Sprawozdanie było w załączeniu. Kilkanaście stron. Wydruk na gazetowym papierze formatu A4. Nie chciało mu się tego czytać. Ale ktoś zakreślił jeden akapit czerwoną kredką.

Postawy komunistów nie można mierzyć tylko atmosferą strachu. Nie można widzieć przemilczania przez nich gwałtów i zbrodni Stalina tylko w świetle obawy o utratę własnej głowy. Jasne, głowa każdemu jest droga. Ale komuniści to ludzie odważni, ideowi; dowiedli w całej historii walk rewolucyjnych, że wyżej cenią sprawę socjalizmu niż swoją głowę. Stanąc do walki przeciwko Stalinowi to nie to samo co stanąć do walki o rewolucję socjalistyczną lub do walki z kontrrewolucją. Przed każdym komunistą, który mniej lub więcej coś o tym wiedział, widział lub słyszał, musiało powstawać pytanie – czy występując przeciwko Stalinowi, nie działa tym samym na szkodę socjalizmu, czy ułatwi to, czy utrudni budowę socjalizmu w Związku Radzieckim? W warunkach, w jakich znajdował się wówczas Związek Radziecki, pytanie to rozbrajało komunistów przed walką ze Stalinem.

No właśnie, pomyślał porucznik, a o co my dzisiaj walczymy? I z kim? Ze swoimi. Zupełnie jak Rosjanie kilka lat temu. Gdyby

stalinowcy wygrali, gdyby I sekretarzem został Beria, krew lałaby się bez końca. A u nas?

Pomyślał, że Polska musi swoją sprawę rozwiązać teraz. Że już dość cackania się z piątą kolumną. Tak o nich myślał. Syjoniści. Piąta kolumna. Albo oni nas, albo my ich. Nie podobała się Żydom siła organów państwa. Nie podobała się im, odkąd stracili nad nią kontrolę. Nie podobała się, bo wiedzieli, jaka potrafi być skuteczna. Przewrócił kolejną stronę. Sami sobie szykują stryczek, pomyślał z satysfakcją. Obserwację Wetzę prowadził pion podległy ministrowi Alsterowi. Dysponował listą kontaktów francuskiego dziennikarza i prowadził stały podsłuch w jego warszawskim mieszkaniu.

Alster nakazał analizę podsłuchów. Śledczy odnaleźli interesujący ich zapis. W niedzielę, 12 listopada, po siedemnastej w mieszkaniu państwa Wetzów pojawił się polski dziennikarz i opowiedział im historię wystąpienia Chruszczowa w formie anegdoty. Zapis z podsłuchu porucznik pominął. To było szesnaście stron maszynopisu i nikt nie zadał sobie trudu, żeby zakresić odpowiedni fragment. Na ostatniej stronie raportu zapisano: „głos polskiego dziennikarza nie został zidentyfikowany”.

– Ciekawe skąd wniosek, że to dziennikarz – powiedział do siebie porucznik. – Jakby tylko dziennikarze kontaktowali się z członkami egzekutywy, a nie na przykład dziwki.

Potał oczy kciukiem i palcem wskazującym. Był zmęczony, a papierów jeszcze cała masa. Podszedł do lodówki i wyciągnął wódkę. Czysta. Krakowska. Dwadzieścia pięć pięćdziesiąt za butelkę. Kurwa, gdzie jest ten pieprzony otwieracz...

Przeszukał szufladę. „Problemy Kryminalistyki” numer 33, z października, jeszcze nieczytany. Kalendarz „Hasła Ogrodniczo-Rolniczego” z kolorową okładką. Ładna dziewczyna, chociaż tylko narysowana. Nigdy nie zajrzał do tego kalendarza. Miał go zawieźć

żonie, lubiła czytać te bzdury o wywabianiu plam i sadzeniu narcyzów, domowych sposobach rozjaśniania włosów i horoskopy. Nożyczki, cyrkiel, ołówki, gumki recepturki, zakrętki do słoików. Kurwa mać. Matka kazała mu zbierać nakrętki. Co za chujnia. Nie ma otwieracza. Druga szuflada. Proporczyki z herbami miast, proporczyki z gwardyjskich zawodów sportowych, nożyczki do paznokci, obcęgi, klucz francuski, gwiazdki do munduru... jest.

Podważył kapsel i nalał wódki do połowy szklanki.

– Do połowy pełna, do połowy pusta – zakołysał ręką, żeby wprawić w oleisty, powolny ruch – filozofia jebana.

Wypił i nalał sobie znowu.

Następna kartka była sprawozdaniem funkcjonariusza operacyjnego, który śledził dziennikarza, sprawozdawcę sejmowego Henryka H. Tego samego dnia, ale kilka godzin wcześniej Henryk H. spotkał się z dziennikarką Ireną R., swoją byłą żoną, z którą pozostawał w dobrych stosunkach, oraz ich wspólnym znajomym Stanisławem Brodzkim, dziennikarzem, redaktorem naczelnym pisma „Świat”. O czym rozmawiali, nie wiadomo. Z raportu wynikało, że to właśnie Henryk H. w dniu 12 listopada 1961 roku spędził wieczór w mieszkaniu państwa Wetzów. Przyszedł przed siedemnastą, wyszedł przed dwudziestą drugą. Czas się zgadzał.

Porucznik przejrzał pobieżnie dossier pana H. Ceniony sprawozdawca sejmowy, liczne, bliskie kontakty z kierownictwem PZPR. To były poważne, frontowe przyjaźnie. H. odznaczył się jako sanitariusz i felczer w czasie obrony Warszawy w 1939, walczył w Armii Wojska Polskiego, przeżył bitwę pod Lenino. Żyd. Ale to właśnie on w 1956 roku pierwszy wystąpił z apelem o rehabilitację towarzysza Wiesława. To zapewniło mu dobre kontakty w partii.

– Ale dla towarzyszy radzieckich taka wdzięczność to za mało – powiedział do siebie porucznik i przeczytał osobistą notatkę Gomułki

z nakazem aresztowania H. i ustalenia, skąd uzyskał informację o wystąpieniu Chruszczowa.

H. został zatrzymany 19 grudnia. Następnego dnia złożył wyczerpujące zeznania. Z treści jego wypowiedzi wynikało, że nie rozumiał powagi oskarżenia i całą sprawę bagatelizował. Był gotów ponieść konsekwencje, ale spodziewał się raczej jakiejś partyjnej nagany. Kiedy usłyszał, że chodzi o artykuł 7 małego Kodeksu karnego – działanie na szkodę państwa polskiego przez fakt przekazania wiadomości stanowiącej tajemnicę państwową, załamał się. Za ten paragraf prokurator mógł domagać się kary od pięciu lat pozbawienia wolności do dożywocia albo kary śmierci.

H. przyznał, że o wystąpieniu Chruszczowa dowiedział się od Stanisława Brodzkiego. Brodzki, jego zdaniem, wiedział o tym od członka Biura Politycznego, towarzysza Ignacego Sowińskiego.

– No... – Porucznik wreszcie zrozumiał. Sowiński, jak wiadomo, był blisko zaprzyjaźniony z wiceministrem Alsterem.

Ostatni papier w teczce był zwyczajną kartką maszynopisu. Żadnej sygnatury, żadnego podpisu. Ale to nie była przebitka. To była oryginalna strona. Żadnej kalki. „No. Teraz spalcie to wszystko. Jeśli dobrze pójdzie, Żydzi podniosą lament, ujawnią się ich powiązania. Będziemy wiedzieli, kto jest kto. Powodzenia”.

Nalał sobie jeszcze jedną szklanekę wódki, a potem wszedł z teczką do łazienki. Wstawił do wanny zwykły aluminiowy garnek z emaliowanymi rączkami. Wrzucił do środka zawartość teczki. Samą tekturową okładkę zostawił. Nie paliła się tak łatwo jak zwykłe kartki. Ostatnią wziął w palce, razem z pudełkiem zapalek. Trzasnęła draska, odpalił. Kartka zajęła się szybko. Wrzucił ją do garnka i patrzył, jak papier staje się czarny i jak zwija w grube, smoliste kęsy.

Rano miał plan.

Postanowił, że najlepiej będzie, jeśli zajmie się tym Jasiński. Da

mu do asysty jedną z agentek z Biura Śledczego MSW. Młoda, wybitnie uzdolniona absolwentka filologii klasycznej, bardzo zaangażowana propaństwowo. Miała odegrać rolę tłumaczki z francuskiego. Że niby jest potrzebna, gdyby na przykład znaleźli jakieś zagraniczne dokumenty potwierdzające szpiegowską działalność dziennikarza. Nie było to specjalnie oryginalne rozwiązanie, ale w takiej sytuacji kobieta zawsze jest dla sądu bardziej wiarygodna niż mężczyzna. Ważne, żeby potrafiła rozdzierająco lamentować.

H. był w całkiem dobrym nastroju. Nie spodziewał się, żeby w jego mieszkaniu przy Nowotki 10 były jakieś kompromitujące go materiały. Pojechali tam dwoma samochodami. W jednym Jasiński z dziewczyną i obiektem, drugi wóz dla obstawy. Ulice zaśnieżone. Opony szumiały na białej, ubitej masie śniegu posypanego piachem. Drzewa całe w świeżym puchu. Niebo nabierało atramentowej gęstości. Biel była tak wyraźna, że aż bolało.

– Wyglądają jak z ilustracji Rychlickiego – powiedział H.

– Nie rozumiem. – Jasiński zrobił się nagle czujny, jak zwykle kiedy padały nowe nazwiska.

– No drzewa, wyglądają jak z ilustracji Rychlickiego. Do tej książki o *Kubusiu Puchatku*. Nie zna pan?

– Nie znam. – Jasiński się odprężył. Prowadził nieśpiesznie. Mieli czas. Mieli czas.

– Znaczy, nie ma pan dzieci. – H. westchnął. – A ja mam i kupiłem niedawno tę książkę. Jest tam taka ilustracja zimowa. Drzewa, proszę sobie wyobrazić, dokładnie takie same. Czy moglibyśmy zatrzymać się przy kiosku? Kupiłbym papierosy.

– Ależ oczywiście, panie doktorze.

Jasiński przejrzał papiery i wiedział, z kim ma do czynienia. Dziennikarz miał doktorat z historii. Był uczniem profesora Schaffa,

niebezpiecznie inteligentnego, wpływowego Żyda z Komitetu Centralnego. Jeśli coś pójdzie nie tak, Schaff będzie trudnym przeciwnikiem. Miał kolegów ze studiów w Moskwie. Niektórzy z nich wysoko zaszli.

H. wyszedł po papierosy. Jasiński został za kierownicą. Pokręcił odmownie głową, kiedy dziewczyna zrobiła ruch, jakby też chciała wsiąść.

– Znam takich typów – powiedział. – Inteligencja. Są przekonani o sile prawa i sprawiedliwości. Potrafią krzyczeć, czasem nawet głośno, o swoich prawach i o obowiązkach państwa. Przed sądem potrafią się mądrzyć i czasami nawet napisać jakąś odezwę. Chuj z takimi odezwami. Papier wszystko przyjmie, a ogień pożera każdy papier. Jednego, czego taki inteligentlik, wykształciuch nie umie, to walczyć.

Jasiński spokojnie patrzył, jak doktor wysupłuje z kieszeni drobne. Przed wizją oddali mu portfel, żeby poczuł się pewniej. Żeby pomyślał, że wszystko będzie dobrze, że to tylko pomyłka.

– Taki cwany, a uciekać nie potrafi – powiedział do dziewczyny.

– Zobaczymy, co potrafi. – Była jakaś spięta.

– Nie denerwuj się – zmierzył ją z satysfakcją – to twoja pierwsza akcja?

– Tak – powiedziała. – Normalnie podrywam obcokrajowców, sprawdzam papiery, oceniam co i jak. Wiesz, zwyczajna służba.

– To też zwyczajna służba – powiedział.

– Jak to? Co ja mam tam robić?

– Nic. Powiesz, że strasznie duszno w mieszkaniu, a potem już nic nie mów, dobrze?

– Dobrze, pamiętam instrukcje.

H. podszedł z powrotem do auta i zapytał, czy mają jeszcze chwilę

i czy może zapalić.

– W areszcie, proszę sobie wyobrazić, bardzo mi tego brakowało.

– Ależ proszę bardzo, panie doktorze, doskonale pana rozumiem.

Palił, a tymczasem mrok nad miastem zrobił się ołowiany, ciężki. Jasiński pomyślał, że jest poharatany bliznami ptaków. Gawrony ciągnęły na nocną wachtę gdzieś na drzewach. Pewnie na cytadeli. Po skwerach dawnego getta nie zostało przecież zupełnie nic.

– Brrr – powiedziała dziewczyna, nagle zadowolona, że nie musiała wysiadać. – Nie lubię, jak tak kraczą.

– A ja owszem. – Jasiński złożył ręce i wyłamał palce. Świerbiło go. Kurwa, znowu go świerzbiło.

– Jak może pan to lubić?

– No... – uśmiechnął się do niej – sam nie wiem. Ale powiem ci, że lubię. To jak muzyka dla uszu żołnierza.

– A więc uważa się pan za żołnierza?

– Oczywiście, za żołnierza ludowej ojczyzny.

H. otworzył drzwi samochodu.

– No jedźmy, bo zimno, jak nie wiem.

No tak. Nie miał kurtki ani płaszcza, pewnie zapomniał zabrać, kiedy po niego przyszli, i wciąż był w marynarce.

Jechali jeszcze z siedem minut. Nowotki. Kilka pięter. Zwyczajny blok.

– Zaczekajcie – powiedział Jasiński do chłopaków z drugiego wozu. – Zapalcie sobie. To może potrwać, zanim przeszukamy te szuflady.

– Długo nie potrwa – powiedział H. – To małe mieszkanie, nie ma za dużo rzeczy.

I poszli.

Wypadł z okna jakieś dziesięć minut później. Zapis podsłuchu nie

pozostawiał wątpliwości, że to było samobójstwo.

Słysząc, że ona coś mówi jeszcze we drzwiach. Niewyraźnie, ale pewnie, że w mieszkaniu jest duszno.

– Oj tak, nie wietrzyłem tu od kilku dni – mówi H. – Otworzę okno, dobrze.

Słysząc kroki. Szczęk zamka i drżenie szyby. Szelest kartek, szybkie kroki.

– Co pan robisz? Stój! – krzyczy Jasiński. – Zatrzymaj się!

Potem słysząc krzyk dziewczyny. Hysteryczny. Długi.

Rzeczywiście potrafiła lamentować.

Ci z Biura Śledczego zaparkowali od strony Franciszkańskiej. Dotarli do zwłok pierwsi. Pochylili się nad ciałem. Zegarek rozbity. Okulary złamane na pół. Ale szkła się nie potłukły.

Pogrzeb odbył się już po świętach. Przez te osiem dni Warszawa mówiła tylko o tym, że H. został zamordowany. Pisały na ten temat zagraniczne gazety. Na pogrzeb przyszła elita dziennikarstwa, Lasota, Bratkowski, młody Olszewski, Bauman, Kołakowski i Brus. No i kilkunastu żydowskich członków władz partii. Nie wytrzymali, choć Gomułka rozpuścił wici, że członkowie partii za żadne skarby nie powinni się tam pojawiać.

Było tak, jak przewidziano: Żydzi, pewni, że H. został zamordowany, wypełźli, żeby pokazać swoje oburzenie. Żeby pokazać, że partia jest silniejsza niż służby. Zaśpiewali *Międzynarodówkę* nad grobem. To rozwścieczyło Gomułkę, bo ten hymn powinien być zarezerwowany dla najwybitniejszych działaczy chowanych z państwowym ceremoniałem.

Wiceminister Moczar był zadowolony. Osobiście interesował się postępami śledztwa. A w trakcie przesłuchań wyszło na jaw, że wiceminister Alster próbował ostrzegać swoich znajomych przed tym, że mają założone podsłuchy. Próbował ostrzec Artura Starewicza,

kierownika Biura Prasowego Komitetu Centralnego, że Biuro Śledcze dotarło prawdopodobnie do informacji o tym, kto wyniósł na zewnątrz informację o przemówieniu Chruszczowa. Nie wiedział, że Brodzki zeznał, iż usłyszał tę opowieść od Ignacego Sowińskiego. A Sowińskiemu wszystko opowiedział Starewicz.

Kiedy Gomułka otrzymał te informacje, zaprzestał jakichkolwiek kontaktów z Alsterem. Nie godził się na audiencję i nie odpowiadał na jego pisma. Latem 1962 roku wiceminister Alster złożył dymisję i prośbę o skierowanie na inny odcinek pracy partyjnej. Wysłał I sekretarzowi obszerne memorandum, w którym złożył szczegółowe wyjaśnienia na temat drapieżnego jego zdaniem przejęcia resortu przez Moczara oraz odebrania odpowiedzialnych zadań towarzyszom pochodzenia żydowskiego i powierzenia ich funkcjonariuszom o nastawieniu narodowym, co powoduje powrót do niedobrych praktyk, takich jak nieprawidłowy, skrzywiony, szkodliwy stosunek Służby Bezpieczeństwa do prokuratury i sądów, narzucanie im woli i decyzji Służby Bezpieczeństwa, ustalonych z góry wyroków, niezależnie od czynów, dowodów i przewodu sądowego.

Dymisję wiceministra, który wciąż nie doszedł do pełni sił po wypadku, przyjął w imieniu Komitetu Centralnego minister Strzelecki.

Minister Wicha także złożył wniosek o dymisję. Napisał, że już czas odmłodzić kadry, ale było oczywiste, że po prostu ma dość bycia figurantem w resorcie rządzonej przez Moczara.

To był koniec prożydowskich porządków w MSW.

Porucznik dostał awans i od tej pory wszystkich syjonistów w resorcie mógł zwyczajnie mieć w dupie.

TERAZ

– Więc ten Chopin rzeczywiście jest pochowany w Pahyżu na cmentarzu Pèhe-Lachaise. To jedno z najbahdziej znanych miejsc w tym mieście. I jedna z najslawniejszych nekhopolii świata. Z dwóch powodów. Piehwszy to wahtość ahtystyczna ghobowców. Można powiedzieć, że to muzeum rzeźby funehalnej. Wyjątkowe w skali świata.

– Jakiej rzeźby? – zdawało jej się, że nie zrozumiała.

To pewnie przez ten obiad. Było jej tak błogo. Domowe jedzenie, którego nie musiała sama zrobić. I nie musiała odgrzewać. I mogła jeść nożem i widelcem przy stole nakrytym dla dwojga, a nie łyżką z miski przed ekranem komputera, na którym oglądała jakieś amerykańskie seriale kompletnie oderwane od jej zwyczajnego, warszawskiego świata. I mogła patrzeć mu w oczy. Nie, nie patrzeć, zerkać. Ale to przecież wystarczało, żeby widzieć radość. Dawno nie miała radości w tym domu. Pewnie wszystko się jej dziwiło. I ściany, i zasłony w kuchni. I krzesła. I obrazek z Matką Boską, w którą Serbia za bardzo nie wierzyła, ale do której gadała czasem w chwili smutku, albo kiedy się bała. I żarówka energooszczędna. I czajnik oblepiony przypalonym tłuszczem.

Kurwa, Olga, co się z tobą dzieje? – przywołała się do porządku, bo wydało jej się, że jest Alicją w disnejowskiej bajce z czasów dzieciństwa. Tam też wszystkie naczynia i sprzęty były zwyczajnie

żywe i nikogo to nie dziwiło.

– Nie słuchasz mnie – wydał usta – śmiejesz się i nie słuchasz.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Nie zrozumiałam ostatniego słowa.

– Funehalnej – powtórzył – czyli naghobnej. Nie są to zwyczajne krzyże, ale pomniki, obeliski, phawdziwe dzieła sztuki

– A drugi powód?

– Nazwiska tych, którzy mają tam swoje miejsce. Nie byle kto może być pochowany w samym sehcu Fhancji. Lista celebhytów ostatnich dwóch stuleci jest imponująca.

Siedziała pod kocem, a on na krześle naprzeciwko. Był uradowany, bo z entuzjazmem opowiedziała mu o wszystkich swoich perypetiach, o sukience, prochach i o tym, jaka była głodna. I był ucieszony, że też ma jej coś do powiedzenia. Krok, który zrobił dla rozwikłania tej zagadki, był może niewielki, ale we właściwą stronę. Nie chciał powiedzieć jej wszystkiego od razu. Chciał ją trochę potrzymać w napięciu.

– Jakich celebrytów? – zapytała. Tak naprawdę nie miała ochoty słuchać. Teraz, kiedy skończyli jeść, wołałaby pić wino, przytulić się, a potem zasnąć. I nie usłyszeć, że on jutro wraca. Jutro, może pojutrze. Nie zapytała. Czasami pytasz i płoszysz przez to coś dobrego.

– Mahcel Phoust, Yves Montand, Jim Mohison...

A gdyby tak nie musiał wracać? Gdyby można było wybierać? Postawić wszystko na jedną kartę, kilka spraw zamknąć, a inne otworzyć? Wino, wino na pewno mogłoby teraz pomóc.

– Gioachino Hossini, Eugène Delachioix, Édith Piaf...

Albo po prostu wyciągnąć się pod tym kocem i słuchać muzyki.

– Nie słuchasz mnie? – Patrzył na nią badawczo.

– Słucham, to bardzo ciekawe – skłamała.

– Nie słuchasz. – Pokręcił głową. – Ciekawe, o czym myślisz.

– Zastanawiam się, do czego zmierzasz. – Złapała się na tym, że właśnie przekrzywiła głowę. Mógłby sobie pomyśleć, że go podrywa.

– No jak to? Mamy zagadkę do hozwiązania. Jestem o khok bliżej do jej hozwiązania, włożyłem w to spoho phacy i chciałbym swoją naghodę.

– Taaak? – Nie rób tego, zganiła się w myślach, co ty, kurwa, robisz, nie masz piętnastu lat.

– Tak! – Udał, że się dąsa. Zapach przypalonego mięsa wciąż docierał do niej z otwartych kuchennych drzwi i wcale jej to nie denerwowało.

– Oj, przepraszam.

Wygrzebała się spod koca, pochyliła w jego stronę i zmierzwiła mu włosy. To był pierwszy raz, kiedy ich dotknęła. Były sztywne. Ani nie tłuste, ani nie nażelowane. Po prostu sztywne.

– No mów, mów.

– Chopin zmałł we Fhancji pewnej nocy po długothwałym ataku kaszlu. Spodziewał się, że umieha, bo tuż przed śmiehcją pophosił swoją siostrę Ludwikę, żeby zadbała o dokonanie sekcji. Zhobił to w obecności – Szymon sięgnął do kieszeni po mały notesik, przekartkował i odczytał: – Adolfa Guttmana i Jane Stihling...

A gdyby tak było każdego wieczora, pomyślała sobie, gdybyśmy opowiadali sobie o tym, co nas spotkało w fabryce, czy to by nas obchodziło? Nie moglibyśmy rozmawiać o dziecku ani o psie, ani o tej pieprzonej polityce, przez którą tyle zła między ludźmi. Ale może gadalibyśmy o robocie? Czy to by mogło wystarczyć?

– Nudzę cię – zauważył, że się zamyśliła.

– Nie, skąd. Myślę. Kim oni byli dla Chopina? Musieli być z nim

związani, skoro zostali świadkami w takiej sprawie.

– Ta Stihling była uczennicą Chopina. Była bogata, co ma pewne znaczenie w dalszej części tej opowieści.

– Ale dlaczego chciał sekcji? Wyczytałeś to?

– Tak. – Skinął głową. – Powiedział im, że sekcja potrzebna jest z dwóch powodów: musi być pewien, że nie pogrzebią go żywcem. Bardzo się tego obawiał. Litehatuha tamtego okhesu jest pełna opowieści o ludziach pogrzebanych żywcem. Chciał uniknąć takiego losu. Długi powód był symboliczny. Chciał, żeby siostra zabłała jego sehcę do Polski.

– Skąd to wszystko wiesz!? – zainteresowała się.

– No jedną hęką ogahnałem kotlety, a długą poczytałem thochę w Intehniecie. Zhozumiałem, że pozwoliłaś mi używać komputeha.

– Pozwoliłam, ale nie podałam ci hasła. Myślałam, że skoro nie zadzwoniłeś w tej sprawie, to dałeś sobie spokój.

– Oj tam hasło – powiedział, machając ręką.

Poczuła się przez chwilę nieswojo. Hasło było banalne. Jeśli trochę ją już poznał, rzeczywiście mógł je odgadnąć. Odczytać z tych zdjęć w pokoju, w którym spał. Domyślić się. Mógł wypróbować kilka kombinacji. Ale jeśli go nie potrzebował, jeśli po prostu potrafił obejść hasło logowania? Cholera, to znaczy, że wszystko w tym komputerze stało dla niego otworem. Wiedział, że czasami ogląda te erotyczne filmiki?

Teraz to już bez znaczenia. Zresztą co by się stało, gdyby wiedział?

– No...

– Co „no”?

– No opowiadaj. – Uśmiechnęła się. Nie tylko do niego. Także do myśli, że dobrze jest nie mieć przed kimś tajemnic.

– Sekcji dokonał doktoh – znowu wyciągnął notesik z tylnej

kieszeni – doktoh... Chu... no masz, przeczytaj.

Wzięła od niego książeczkę.

– Cruveilhier – przeczytała na głos – anatomopatolog.

– To był nie byle kto. Phofesoh anatomii patologicznej, jeden z najlepszych ówczśnie lekarzy we Fhancji. Ustalił, że Chopin nie zmał z powodu ghuźlicy, na któhą był leczony. Zmian w płucach nie stwiehdził. Phawdopodobnie się nie mylił, bo na swoim stole widział wielu ghuźlików. Nie znalazł też zmian w obhębie sehca.

– Wiadomo, na co zmarł?

– Nie. Jest wiele hipotez. Od dephesji do mukowiscydozy. Ale to nas nie phowadzi do celu.

– Więc po to mi to mówisz?

– Bo pan doktoh ophócz tego, że wykonał sekcję, wyjął panu Fhydehykowi Chopinowi sehce.

– Co to znaczy?

– Nohmalnie. Wyciął je, sphepahował i zamknął w słoju, któhy otrzymała Ludwika, sioস্থা Chopina.

– Jak to?

– Nohmalnie. Pani Stihling zapłaciła za to wszystko gotówką.

– Ale jak to: w słoju?!

– No nohmalnie. W słoju, dużym, szklanym naczyniu z pokhywką. Pan doktoh wyjął sehce, zszył je po hozcięciu...

– Po co je rozcinał?

– Bo był patologiem i chciał sphawdzić, czy Chopin nie miał uszkodzonego sehca.

– No dobrze, a potem?

– Włożył do khysztalowego słoja, zalał wszystko alkoholem i szczelnie zamknął, uszczelniając słów i wieko za pomocą wazeliny. Było jej tak dużo, że wypełniła przestrzeń wewnątrz słoja,

uniemożliwiając odpahowanie alkoholu. Podobno taki eksponat może przethwać setki lat.

– To wszystko znalazłeś w Internecie? – spytała z niedowierzaniem.

– Przecież uczą nas zdobywania infohmacji. I to nie takich, które są na wyciągnięcie hęki, ale takich, które się khyją między słowami.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie chodziło o grób Chopina, ale o jego serce? – domyśliła się.

– Tak! Bhawo, wyghała pani tysiąc złotych.

– I gdzie jest to sehce?

– Najpierw przez phawie dziesięć miesięcy stało na półce w pahyskim, wynajmowanym mieszkaniu siostry Chopina. A potem przywiozła je do Wahszawy.

– W słoiku?

– W słoju, dla którego jakiś rzemieślnik wykonał specjalną podwójną, wyściełaną skrzynię, dzięki czemu można je było bezpiecznie thanspohtować. Przywiozła z Pahyza sehce bhata ohaz jego fohtepian. To musiało kosztować. Od pani Stihling pożyczyla na podhóz pięć tysięcy.

– No i wiesz, co się stało ze słojem?

– Oczywiście. Ludwika miała go w domu na półce. Mieszkała na ulicy Podwale.

– Wszystko zburzone w czasie powstania.

– Oj, mylisz się. Sehce było w mieszkaniu na Podwalu tylko do śmiehci pani Ludwiki. W hoku – znowu musiał zajrzeć do notesu – 1855 zabhała je do swojego domu młodsza siostra Chopina Izabela. Mieszkała w kamienicy Zamoyskich na Nowym Świecie. Sehce stało na komodzie. Osiem lat minęło w spokoju. Ale w 1863 zamachowcy rzucili bombę z okna tego budynku pod koła dohożki, która jechał do

Pałacu Namiestnikowskiego Fiodoh Behg.

– Co to za jeden?

– Hosijski namiestnik.

Szymon zamknął notes.

– Namiestnik przeżył, ale Hosjanie zdemolowali kamienicę, wyrzucając na bhuk wszystko, co wydało im się cenne. Między innymi poleciał na bhuk fohtepian Chopina, któhy Izabela przechowała aż do tego czasu. Cyphian Kamil Nohwid napisał o tym wierhsz, któhy czytało się kiedyś w szkole.

– Żartujesz sobie ze mnie, teraz naprawdę sobie żartujesz. Nabijasz się, kpisz, robisz sobie jaja.

Owinęła się kocem. Jak on może ją tak wkręcać? Przecież to się wszystko nie trzyma kupy.

– Co się stało?

– Oszukujesz mnie. Żarty sobie stroisz, a ja ci przecież we wszystko wierzę.

– No ale przecież nie oszukuję. Naphawdę to wszystko się zdarzyło.

– Co? Że serce Chopina stoi w słoju na komodzie w budynku, z którego rzucają bombę na jakiegoś polityka? Przecież żadne dziecko w to nie uwierzy.

– Przepaszam – powiedział trochę zakłopotany. – Nie wiem, co powiedzieć. Może thoszkę przesadziłem, ale chciałem ci opowiedzieć tę całą histohię, bo wydała mi się fascynująca.

– No proszę cię. Słoik zaklejony parafiną, w którym jest zatopione w alkoholu serce ze śladami szwów po sekcji? Proszę cię. Co to ma być? Nowy film Patryka Vegi?

– Ale to wszystko zdarzyło się naphawdę...

– Wiesz, gdzie jest ten słoik, czy powiesz mi teraz, że się rozbił, jak

wyrzucili go z okna razem z fortepianem.

– Nie hozbił się. – Oczy mu się śmiały. – Wiem, gdzie jest.

– Gdzie?

– W kościele.

– W którym?

– Świętego Krzyża. To kościół bahdzo blisko domu, w któhym mieszkała Izabela. Phosiła kilka hazy, żeby sehce Chopina mogło się tam znaleźć, ale księža nie chcieli go przyjąć.

– Czemu, Chopin był niewierzący?

– Tego akuhat nie wiem. Ale nie o to chodziło. Phoboszcz bał się hosijskich hepresji. Wiesz, że jak będą tam chować serce Chopina, to się zrobi polityczna sprawa. A wtedy Hosjanie się nie piehdolili, Kozacy wjeżdżali do kościołów konno i hozpędzali takie demonsthacje szablami. Tego księža woleli uniknąć. Więc słój stał na półce u Izabeli do 1880 hoku. Wtedy była już staha i tak schohowana, że stało się jasne: albo to wezmą, albo przepadnie. No i wzięli.

– I co dalej?

– Nic – wzruszył ramionami – ciągle tam jest.

– A więc musimy szukać między Powązkami a bazyliką Świętego Krzyża. To będzie gdzieś... – Podeszła do półki, wyciągnęła stamtąd papierową mapę Warszawy i rozłożyła ją. Stary, włochaty papier kiepskiej jakości był nieprzyjemny w dotyku. Ale z takich materiałów robili kiedyś mapy.

– Coś staha – powiedział Szymon.

– Stara, ale dobra. Z czasów, kiedy chował te swoje skarby.

– Okej, no to szukaj.

Odnalazła kościół Świętego Krzyża. A potem Powązki. Znalazła obiekt, który mógłby być mniej więcej w połowie drogi.

– No, ładnie – powiedziała.

- Co jest.
- Schował to w fabryce.
- W jakiej fabryce.
- U mnie w pracy.

Połowa drogi wypadła w okolicach pałacu Mostowskich.

WTEDY

Lato 1962 roku miało się ku końcowi. Kapitan dzielił czas między poszukiwania coraz to nowych dróg wymiany złotych na dolary a podrywanie dziewcząt, które przybywały do stolicy trochę się zabawić. Jeszcze kilka lat temu kupno waluty byłoby niemożliwe bez wiedzy, a pewnie i pomocy towarzyszy radzieckich, ale odkąd Gomułka, na fali odwilży, zniósł zakaz posiadania złota i walut obcych, sytuacja była znacznie łatwiejsza. Resort miał swoje macki w półświatku i kapitan korzystał z tych operacyjnych kanałów do załatwienia kilku transakcji. Uważał przy tym, żeby nie pozostawić śladów. Miał w tym swój cel. Przez długi czas myślał, że świat zapomniał o tych pieniądzach. Potem wszystko się co prawda zmieniło, ale sytuacja była bardzo dynamiczna, a on po prostu złote zamieniał na dolary. Nie był pewien, czemu ma służyć cała ta maskarada z funduszami. Przez kilka lat pieniądze leżakowały ukryte w sejfie wbudowanym w zwykłą szafę w bezpiecznym mieszkaniu na Woli. Kapitan zaczął myśleć, że góra zupełnie o tym zapomniała. Potem okazało się, że nikt nie zapomniał. Sądził, że mimo to pozwolą mu zatrzymać pieniądze jako wyraz uznania dla wysiłków, jakie włożył w operację. A teraz gromadził dolary, żeby sprawdzić, na ile to jest możliwe bez zwracania na siebie uwagi milicji i prokuratury. Musiał znaleźć sposób, żeby okpić własną drużynę. Nie... milicja nie była jego drużyną. To przecież kundle. Jego drużyną są rasowe psy.

Trochę go martwiło, że trzeba było otworzyć sejf, bo przywykł już

do myśli, że należy do niego w jednej trzeciej. Przecież podzieliliby się z Furmanem i Jasińskim. Ale z drugiej strony niczego na razie nie tracił. I zamierzał tę sytuację wykorzystać. Najlepiej by było rozegrać to tak, żeby zmusić lokacıarzy do obniżki cen dolara. Niestety, kiedy ludzie żyli w spokoju i na świecie nie dochodziło do awantur, ceny zagranicznych walut rosły. Żeby spadły, myślał kapitan, trzeba byłoby wywołać panikę. To nie jest proste, ale gdyby tak państwo wprowadziło znowu restrykcje zabraniające posiadania złota i walut pod sankcją długoletniego pozbawienia wolności, ceny z pewnością by spadły. Zamierzał porozmawiać o tym, z kim trzeba. Na razie miał inne problemy. Nie bardzo mógł dwa razy nagabywać w tej samej sprawie tych samych ludzi, więc wymiany walut zabierały mu mnóstwo energii. Musiał czasami podróżować do Gdańska lub Szczecina. Ale nauczył się już cierpliwości. Z dziewczynami szło mu lepiej. Jeśli potraktujesz sprawę na zimno, nie stawiają oporu. Trzeba im tylko dać to, o czym marzą. Belmonda, Delona, Cybulskiego, białe koszule, drobne prezenty, mało słów, dużo znaczących westchnień. Czasem jakiś dosadny dowcip. Innym razem kilka uwag, jakich nie powstydziliby się Sartre.

Wszystko zależało od tego, z kim się spotykał. Niektórym mówił o miłości, innym głównie o pieniądzech. Bywało, że chodzili do łóżka, ale zdarzało się, że podpisywały papiery i wtedy ich stosunki nabierały służbowej mocy. Rano szedł przez Stare Miasto opustoszałe i zalane słońcem. Mieli tam operacyjne mieszkanie. Lubił je. Mówił dziewczynom, żeby zostawiały klucz w skrzynce na listy. Nie chciał się budzić razem z nimi i słuchać rozterek, czy to może być błąd. Albo tej gadaniny, że teraz, kiedy już jesteśmy razem, będziemy tacy szczęśliwi. „Gównno tam razem”, musiałyby powiedzieć, a one by wtedy ryczały albo mówiły, że przecież się potrafią postarać. Wolał wyjść, kiedy jeszcze spały. Lubił poranną godzinę. Jedyne kroki, jakie

słyszysz, to te twoje. Po Piwnej niosło się stukanie butelek, kiedy mleczarz ciągnął po bruku wózek. Ludzie pracujący na nocną zmianę wkładali wtedy głowy pod poduszki i posyłali mleczarzowi najserdeczniejsze życzenia. Kapitan lubił też, kiedy gołębie, jeszcze zmarznięte po nocy, kłębiły się w dużych stadach na placu, gdzie kiedyś stał zamek. Szedł między nimi i czasami udawało mu się któregoś kopnąć. Gołębie są najgłupsze z ptaków. Nie odlatują, kiedy jeszcze mają szansę. Czekają, aż im się da w pysk. W dziób. Zupełnie jak ci wszyscy Żydzi. Na co oni czekają?

Szedł na pierwszy autobus. Wystawiał twarz do słońca. A potem jechał do domu na serdelową z ogórkiem małosolnym i ciemny, razowy chleb z prawdziwym masłem.

Jasiński i Furman od kilku miesięcy pili kawę z mlekiem w kantynie, a potem uczyli się historii politycznej Bliskiego Wschodu i nie mieli już wątpliwości o tym, jakie znaczenie ma sojusz izraelsko-zachodniemiecki. Niemcy Zachodnie wypłacały odszkodowania, Żydzi powoli zapominali o Holocauście. Kiedy premier David Ben Gurion spotkał się w Nowym Jorku z Konradem Adenauerem i na oczach reporterów z całego świata podali sobie ręce, wszystko stało się jasne. Ben Gurion oświadczył, że nowe Niemcy to są zupełnie inne Niemcy. I że Niemcy już nigdy nie będą nazistowskie. Świat się zmienił i naród niemiecki też się zmienił.

Program zajęć nie obejmował badania opinii publicznej w Izraelu. Jasiński i Furman nie wiedzieli zatem, że znaczący odsetek Żydów nie akceptuje takiej polityki wobec Niemiec. Uczyli się, że Niemcy w ramach reparacji, które mają wynieść około czterech i pół miliarda marek, zaopatrują Izrael w broń. A ta broń służy do wywoływania konfliktów takich jak wojna z Egiptem po znacjonalizowaniu Kanału Sueskiego. Atak Izraela wykorzystwały od razu imperialistyczne kraje Europy Zachodniej i pod pretekstem pomocy, jakiej trzeba udzielić

młodemu żydowskiemu społeczeństwu, podjęły interwencję w Egipcie, zapewniając sobie swobodę przepływu towarów i osób przez terytorium suwerennego Egiptu. Tylko Związek Radziecki stanął w tym konflikcie po stronie wolności i praworządności.

Izrael ujawnił swoje prawdziwe oblicze – interesowne, zachłanne i skierowane na realizację własnych, partykularnych interesów. Sojusz izraelsko-zachodnioniemiecki stanowił zagrożenie dla światowego pokoju i równowagi sił. Kiedy Żydzi staną się silniejsi, zakwestionują ład bliskowschodni, bo nie jest im w smak, że muszą dzielić Jerozolimę z Arabami.

Wykładowcy, specjaliści od manipulacji politycznej, przemilczeli głosy izraelskiej opozycji. A nawet nie rozwodzili się zbyt długo nad tym, że Izrael nie żyje dzisiaj konfliktami z Egiptem sprzed kilku lat, ale schwyтaniem i uprowadzeniem z Argentyny niemieckiego zbrodniarza Eichmanna. Że tamtejsze gazety piszą na pierwszych stronach o jedynym w historii kraju wyroku kary śmierci, który wykonano na Niemcu w Ramli, i o tym, że jego prochy rozsypało nad Morzem Śródziemnym poza wodami terytorialnymi Izraela.

Jakoś w marcu Jasiński i Furman wylądowali w Damaszku i wspólnie z syryjskimi bojownikami przygotowywali operację, która miała wstrząsnąć morale osławionej żydowskiej Jednostki 101, założonej przez Ariela Szarona specjalnej brygady, która mocno dała się we znaki Egipcjanom i Rosjanom w czasie ostatniej wojny.

– To prawda, byli mocni, ale popadli w grzech pychy. Pycha kroczy przed upadkiem – powtarzał im dowodzący operacją oficer o skośnych oczach i szczupłej, brązowej twarzy. Nawet kiedy nosił na twarzy chustę, oczy drapieżnika sprawiały, że nikt oprócz Polaków nie potrafił wytrzymać jego spojrzenia. – Przyszedł czas, żeby im pokazać, że żydowska krew jest tak samo czerwona jak krew Arabów. Jeśli zaplanujemy operację naprawdę dobrze, może się okazać, że

nasz cel, ten pies Szaron, będzie w zasięgu strzału. W czasie wojny egipskiej Ariel Szaron osobiście dowodził oddziałem spadochroniarzy. Egipcjanie byli zbyt zaskoczeni, żeby zareagować. Mieli strachu po kolana i siedzieli w tym gównie jak kaczkę na strzelnicy. Ale my będziemy gotowi. Przed wojną egipską mogłoby się to nie udać, bo Żydzi byli ostrożni, ale teraz stali się ludźmi pychy, więc łatwo będzie ich sprowokować.

Była połowa marca. Nad Jeziorem Tyberiadzkim zapadał zmierzch. Mgły snuły się wąskimi pasmami rozwlekany przez wiatr na kształt zapomnianych pajęczyn, które widzą słońce tylko wtedy, gdy ktoś zerwie dach, żeby zburzyć dom do końca.

Rybaków na pokładzie było trzech. Podpłynęli blisko wschodniego brzegu. Dość daleko, żeby mogło im się wydawać, że są bezpieczni. Dość blisko, żeby Jasiński złożył się i strzelił.

– Postraszyć ich. Mają się tylko wystraszyć.

– Opowiadają se kawały, chujki jedne. – Jasiński patrzył na łódź przez lunetę. – Dwóch młodych, jeden stary, może ojciec, może szef tego kutra.

– Pierdolnij starego, młodzi się zaraz przestraszą i będą spieprzali. A potem możesz strzelić jeszcze dwa razy, ale tak, żeby nie zabić. Tylko pokaleczyć.

Jasiński wypalił trzy razy w ciągu następnych czterdziestu pięciu sekund. Kuter zawinął niemal w miejscu i wyrwał do przodu tak szybko, że pewnie rybacy odcięli sieci.

– No... – Furman zapalił papierosa. – To żeś sobie postrzelał. – Zaciągnął się. – Trzy strzały i miejmy nadzieję, że wystarczy, żeby tę ich dumę troszkę przypalić.

W izraelskich mediach podniósł się lament. Kilka dni później oddziały ze Wzgórz Golan zaatakowały syryjski posterunek w Nuquaib. Syryjczycy byli gotowi. Ich zwiadowcy w porę wysłali

sygnał o alarmie w izraelskiej jednostce. Następnego dnia w izraelskiej prasie ukazał się komunikat, że w ataku poległo trzydziestu syryjskich żołnierzy, ale też w bohaterskiej walce zginęło siedmiu Izraelczyków. Kolejnych siedmiu odniosło rany. Niektórzy z nich ciężkie. W syryjskiej prasie nie było mowy o żadnych poległych Syryjczykach. Tylko o tym, że Arabowie utarli nosa Żydom.

Jasiński i Furman otrzymali odznaczenia, których nie wolno im było zabrać do Polski.

– *Nu, prijdiot' wriemia.* – Koledzy poklepalili ich po plecach.

Od tej pory Furman też nosił na przegubie ten rosyjski zegarek pilotów naddźwiękowych samolotów. Podobno taki sam, identyczny zegarek, szturmanskie, dostał od narodu Jurij Gagarin.

Tymczasem w Polsce na pierwszych stronach gazet królowały informacje o napadzie na bank w Wołowie. Bandyci weszli do piwnicy banku, kiedy jego teren opuściła sprzątaczką, zastraszyli strażnika bronią. Związali go i ułożyli tak, żeby nie mógł nic widzieć. Zgasili światło, czym dali pozostałym znak do wejścia na teren banku. Rozerwali strop za pomocą podnośnika hydraulicznego, wyłączyli alarm, a potem rozwiercili zamek sejfów wiertarką. Musiało to zająć kilka godzin, ale mieli do dyspozycji całą noc. Zgarnęli dwanaście i pół miliona złotych. To była niebotyczna kwota. Oczywiście pojawiły się podejrzenia, że to ta sama grupa, która dokonywała napadów w Warszawie.

Kapitan dziwił się temu. Przecież modus operandi był zupełnie inny. Otrzymał zadanie nadzorowania dochodzenia w Wołowie. Jego uwagę przykuł fakt, że podnośnika użyli w jedynym miejscu, gdzie strop, po przebudowie, był wyraźnie słabszy. Zasugerował milicjantom prowadzącym śledztwo, żeby obserwowali okolicznych mieszkańców, bo musiał tego dokonać ktoś miejscowy. Ktoś, kto znał wady konstrukcyjne budynku. Kilka miesięcy wcześniej zacięły się

drzwi skarbca i trzeba było wybrać spod nich część stropu. Został on wybity i wylany na nowo. Ktoś musiał o tym wiedzieć. Wiedział też, jak wyłączyć alarm. Budowlaniec albo ktoś z banku. Ktoś, kto wiedział, że w czasie tego weekendu dyrektora, który mieszkał na poddaszu, nie będzie w mieście. Psy nie podjęły tropu, bo bandyci zalali całe pomieszczenie starym olejem silnikowym.

Śledztwo utknęło. Jedynym śladem były koleiny po uciekającej warszawie. Sprawcy najechali na krawężnik, został na nim odprysk z podwozia. Sprawdzano w całej Polsce warszawy za pomocą luster na wysięgnikach. Nic. Kamień w wodę. Kapitan czytał raporty, dzwonił, wzywał prowadzących do resortu.

– Trzeba być cierpliwym – powtarzał. – Cierpliwość w naszym fachu to podstawa. Zgarnęli mnóstwo kasy. Część w nowych banknotach, numery znacie, czekajcie, sprawdzajcie. Pieniądze wypłyną w Wołowie.

Żłodzieje, pakując pieniądze, zrywali z plików banderole. Nie zorientowali się, że są na nich numery serii.

Półtora miesiąca po napadzie pewna kobieta z Wołowa wybrała się do rodziny do Kluczborka. Chciała kupić coś w sklepie i wyjęła z portfela pięćsetzłotowy banknot. Kasjerka zaczęła mu się przyglądać, ale kobieta wyciągnęła rękę i powiedziała, żeby jej oddać. Że woli go podrzeć, woli stracić. Kasjerka zadzwoniła po milicję, a kobieta przyznała się od razu. Była żoną jednego ze sprawców.

– Żony, kurwa, trzeba trzymać jak najdalej od pieniędzy.

Kapitan zamknął akta, zapalił papierosa i pomyślał, że upije się dzisiaj do nieprzytomności.

TERAZ

– No ale jak? W pałacu Mostowskich schowałby złoto? Kuhwa, nawet nie wiemy, ile może go być, ale pewnie nie jedna sztabka, którą można by było zakopać w piwnicy. Czy tam w ogóle jest jakaś piwnica? – Szymon kręcił głową z niedowierzaniem.

– No nie wiem, czy jest piwnica, w której dałoby się coś zakopać...

– Złapała się na myśli, że nigdy nie była w piwnicach pałacu. Czy to nie dziwne? Była w areszcie, ale tam po remoncie wszystko w terakocie, płytki na podłodze i na ścianach. Korytarze też przecież odnowione. – Nie wiem, czy jest tam takie miejsce. Może przed remontem...

– Kiedy był remont?

– Ciągłe coś robią, ale taki poważny to, hmmm, kończył się, jak przyszedłem do fabryki. Jakies osiem lat temu.

– No ale ten twój papież z zagadką jest przecież starszy niż osiem lat...

– No przecież sam widzisz, że starszy. – Patrzyła mu w te niebieskie oczy i nie umiała się skupić. Ciekawe, czy on to rozumie. No pewnie, że rozumie, przecież jest policjantem, ciągle rozmawia z ludźmi, którzy mają coś do ukrycia.

– Ale ja nie o tym. – Pokręcił głową. – Ten papież twój szef dostał dawno czy niedawno?

– Nie wiem, ale przypuszczam, że niedawno – powiedziała.

I dodała w myślach: Boże, czy ja mam coś do ukrycia?

– Nie... to nie może chodzić o pałac Mostowskich.

– No ale przecież sam widzisz. – Podetknęła mu mapę pod nos. – No pomyśl. To przecież logiczne. Policjant czy tam milicjant wysokiego szczebla może wejść w każdy zakamarek. A gdzie takie rzeczy byłyby bezpieczniejsze niż w miejscu, w którym nikt ich nie szuka?

Patrzył na nią rozbawiony.

Strasznie jej się podobał. I ten długi, prosty nos, i ten podbródek, który pokrył się już szpeciną świeżego zarostu. Jakby był posypany pieprzem, pomyślała, ciekawe, jaki ma smak. Czy jest słony? Czy bardzo podrapałby jej skórę?

– Wiem, że to kusząca myśl, ale jesteśmy dwadzieścia pięć lat po upadku komuny i po hoźwiązaniu milicji, i po wehyfikacji. Myślisz, że nikt tam nie przejrzał magazynów? Nie przekopał ahchiwów? Nie. Gdyby tam coś było, już by się do tego dobhał jakiś Olszewski albo jakiś Maciehwicz. Albo Cenckiewicz, albo ktoś z IPN-u. Przecież każdy w tym khaju szukał teczek na kogoś dhugiego. Przekopali wszystko w tej twojej fabhyce, i to kilka hazy. Jeśli twój szef dostał te papiehy niedawno, jeśli ten sekhet wciąż jest niehoźwiązany, to kasa musi być ukhyta w innym miejscu.

– Tak sądzisz? – Entuzjazm ją opuszczał.

– Nie smuć się. Myśl, że coś jest ukhyte w pałacu, jest oczywiście kusząca, ale zupełnie mi to nie pasuje. Pokaż no te papiehy.

Podeszła do szuflady i wyjęła kartki. Usiadła przy nim i rozprostowała dokumenty po raz kolejny.

– Trzecia sthona – powiedział – o, tutaj.

Przeczytała wskazane miejsce:

Ale zadbałem o resztę. Schowałem między Chopina

a Reymonta. Pod szczęściami z kosmosu. Miałem śrubokręt, ale ty musisz podważyć czymś twardym i ostrym.

– Widzisz – powiedział – do tego, żeby to coś ukryć, wystachczył mu śhubokhęt.

– A więc jakaś pokrywa. Skoro są śruby. A coś ostrego i twardego to pewnie łom.

– Niekoniecznie, czasami na zwykły wkhętak mówi się śhubokhęt.

– Jaka jest różnica?

– Do śhub właściwie używa się klucza o okheślonej wielkości. Gdyby chodziło o taki klucz, podałby numeh. Na przykład: „miałem klucz numeh dwanaście”. Skoro pisze o śhubokhęcie, to znaczy, że przykręcał wkhęty raczej.

– Czyli nie potrzebujemy łomu?

– Sądzę, że to jakaś płytką, tabliczka, plakietka, na przykład taka jak z nazwiskiem na drzwiach.

– No to w pałacu jest mnóstwo takich plakietek...

– Ale za często się zmieniają. Chyba żeby to był napis na jakimś pomniku, to może tak. Albo plakietka na jakimś obhazie... Jest tam jakiś obhaz w pałacu? Pohthet Chopina albo Heymonta?

– Są zdjęcia. Na klatce schodowej, przed białą salą, gdzie jest kolekcja czapek policyjnych z całego świata, wisi wielkie zdjęcie. Jest oprawione jak obraz.

– Jest tam Chopin?

– Nie, król Zygmunt. Kolumna Zygmunta i Zamek Królewski. No i nie pamiętam, czy jest jakaś plakietka.

– Nie tego szukamy.

– Skąd wiesz?

– W 1965 nie było jeszcze zamku.

– Ale to nie musiało być napisane w 1965, może w 1970 albo

1980...

– Phawda. Ale papiech jest požółkły, zleżały, na moje oko ma ze czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Przynajmniej trzydzieści. Myślę, że nie chodzi o zdjęcie z zamkiem.

– W gabinecie komendanta jest szabla na ścianie. No i obraz. Ale nie z Chopinem.

– Szablę każdy komendant zabieha pewnie ze sobą, gdy odchodzi ze stanowiska. Obhazy też się zmieniają na ścianach. Jesteśmy w złym miejscu, mówię ci... coś przegapiliśmy.

Siedzieli w milczeniu. On wpatrzony w ten papier. Ona w swetrze naciągniętym na podkulone kolana. On marszczył brew w nadziei, że znajdzie jakiś ślad, który dotąd przeoczył. Ona marszczyła nos, w nadziei, że może zostawi wreszcie to wszystko i przytuli ją właśnie teraz, kiedy to mogło się udać. Będzie się broniła, ale nie zanadto. Uśmiechnęła się do tej myśli. Powinni mieć jeszcze kominek i kota. Królik strasznie brudzi, psa trzeba wyprowadzać, ale kot jest przecież dobry dla ludzi, którzy dużo pracują.

– Heymont – powiedział głośno.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Musimy hozwikłać zagadkę tego Heymonta. Nie może być thudna. Przecież nie napisał jej dla śledczych, tylko dla cóhki. Pewnie pamiętał, że w dzieciństwie lubiła zagadki, może czytali hazem książki przygodowe tego, jak mu tam... Pana Samochodzika, ale skoho ich dhogi się hozeszły, nie znał jej dobrze jako dohosłej dziewczyny. Nie wiedział, czy jest dobha w hebusach. Znał ją jako dziecko. Więc nie mógł zadać zbyt thudnej zagadki.

– No ale przecież dał jej te zapiski dopiero, kiedy była dorosła.

– Może się bał, że wcześniej by ich nie przyjęła. To nie może być thudne, po phostu czegoś nie widzimy.

Serbia podeszła do biurka i postukała w klawiaturę. Komputer

ożył.

Wpisała w Google'a: „Serce Reymonta”.

Przez chwilę milczała, po czym nagle powiedziała:

- Nie uwierzysz.
- No? – Odwrócił się w jej stronę.
- Serce Reymonta jest tam, gdzie serce Chopina.
- W kościele?
- W bazylice Świętego Krzyża.
- No to jedziemy. – Podniósł się.
- Przecież piliśmy.
- Nie mamy wiele czasu, jutro muszę whacać do hoboty...

No właśnie, no właśnie, pomyślała, powinniśmy poleżeć i pooglądać filmy.

– No tak – powiedziała – musimy się pośpieszyć, bo robi się późno.

- Możemy pojechać methem.
- Prędzej będzie sto szesnaście.

Autobus był niemal pusty. Ludzie jeszcze pewnie odsypiali sylwestra. Może oglądali seriale. Albo powtórki *Kevina*. Jacyś czarnoskórzy chłopacy nagrywali filmiki na instastory. Krótkie, kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund. Filmowali siebie przy automacie do sprzedaży biletów, pewnie próbowali opowiedzieć o tym komuś w dalekim świecie. Mówili w języku, którego Serbia nie potrafiła rozpoznać. Śmiali się cały czas, ale jej daleko było do śmiechu.

A więc została im już tylko jedna noc... Może została im już tylko jedna noc w całym życiu? Może te przesady, że z kim spędzasz sylwestra, z tym jesteś potem do końca roku, tak naprawdę są głupie i bez sensu? Głupie i naiwne. Dobre dla gimnazjalistek. Przecież

w roku, w którym się rozstali, Krzysiek też spędzał z nią sylwestra. Ale gdzie to było? Gdzie to się mogło przydarzyć? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Może w górach? Może to było wtedy, gdy byli w Pięciu Stawach? Nie... To był przecież jej najpiękniejszy sylwester w życiu. A teraz co? Jutro Szymon wyjedzie i znowu nikt nie będzie jej chciał przytulić przez resztę życia? Faceci mają jednak lepiej. Mają Tindera i dziwki, kiedy zechcą.

– O czym myślisz? – zapytał i otoczył ją ramieniem.

Nie zaprotestowała, ale odruchowo skuliła się w sobie i natychmiast zrozumiała, że to poczuł. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Przecież chciała tego ramienia. Nawet pragnęła. Pomyślała, że jeśli wciąż dostajesz po grzbiecie, to kulisz się, nawet jeśli ktoś chce ci opatrzeć rany.

– Myślę, że powinnam zadzwonić do tego projektanta... – powiedziała – do tego Glińskiego.

– Do jakiego Glińskiego?

– No do tego, który uszył sukienkę. Moja denatka miała na sobie wieczorową sukienkę. Bardzo elegancką i nie ze zwykłej sieciówki. Ręczna robota. Więc może projektant będzie pamiętał, komu ją sprzedał.

– Dobry thop. A poza tym co o niej wiesz?

Opowiedziała mu w kilku zdaniach o całej chemii, jaką dziewczyna była nafaszerowana. I o liście firm farmaceutycznych.

– Dobrze ci idzie – pochwalił ją. – W ogóle jesteś fajna.

– Jestem najfajniejsza w mieście – powiedziała i wtedy wreszcie się odprężyła. Nie było w niej już napięcia, przestała się bać. Albo po prostu poddała.

Musiał to poczuć, bo przytulił ją mocniej. Zamknęła oczy, ale wydawało jej się, że to tylko chwila. Dojechali już do uniwersytetu i musieli wysiadać.

Była mgła. Wilgotna, zimna i jakaś rzadka. A może to smog? Tyle teraz gadają o smogu. Ale nie, smog nie osiada przecież wilgocią na twarzy i dłoniach. To musiała być mgła. Ulica pusta. Ani gołębi, ani samochodów. Jakby była czwarta nad ranem, a nie parę minut po osiemnastej. Kiedy autobus odjechał, miasto wydało jej się po prostu dekoracją. Było zupełnie puste. Tylko daleko, w tej mgle, samotny człowiek przecinał plac przed pomnikiem Kopernika. Kościół zwieszał się czarną bryłą nad całym światem, a świat bronił się przed jego mrocznym cieniem pomarańczowymi kulami latarni. Na ich tle wyciągnięte przed siebie ramię Chrystusa zdawało się drżeć. Może miał już dość trzymania swojego Krzyża. Może było mu zimno.

– Bhhh – wzdrygnął się Szymon – chujowa pogoda na odwiedzinę w kościele.

– Nie gadaj. – Dała mu kuksańca w bok. – Zauważyłeś, że Chrystus wcale nie pokazuje kościoła, tylko zupełnie inny budynek?

– No rzeczywiście – zdziwił się – powinien pokazywać wejście do świątyni.

– Powinien wskazywać niebo. I wskazywał w czasie powstania warszawskiego. Niemcy zwalili posąg, ale upadł tak, że wciąż miał rękę wzniesioną do nieba. Wtedy uważano to za cud. Za znak.

– A dziś?

– Dziś wszystko uważamy za przypadek. No chyba że ktoś stawia tarota. Ale chciałam ci anegdotę opowiedzieć. Mówi się, że Chrystus wskazuje na Krakowskie Przedmieście dziesięć. Przed pierwszą wojną była tam knajpa Lijewskiego, ważne miejsce, tam się spotykała warszawska śmietanka artystyczna. I tam rzeźbiarz Xawery Dunikowski zastrzelił malarza Wacława Pawliszaka.

– Żahtujesz?

– Nie.

– Ale jak to „zastrzelił”?

– Pokłócili się o kobietę. Dziewczyna była narzeczoną Pawliszaka czy może jego modelką, w której się kochał. To był dobry malarz, miał świetne recenzje w paryskiej prasie. No i kiedy zobaczył Dunikowskiego, poszedł na niego z pięściami, a Dunikowski strzelił z pistoletu, który miał w kieszeni. Podobno nawet go nie wyciągnął, tylko wypalił przez kieszeń. No i trafił w głowę.

– Ale w sumie za co?

– Dunikowski lubił kobiety. Swoje, nieswoje, wszystkie. No i polubił o jedną za dużo. Dziewczyna była muzą Pawliszaka. A właśnie miała się rozpocząć jego wystawa. Pawliszak zaczynał być sławny. Czasami przychodzisz do restauracji na schabowego, a znajdujesz tam wieczne spoczywanie.

Tymczasem dotarli do schodów. Żeby wejść do Świętego Krzyża, trzeba się wspiąć na wysokość pierwszego piętra. Kiedyś był tu podjazd dla powozów przeróżnych bogaczy, ale dzisiaj mamy demokrację i każdy musi pokonać schody. Stopnie śliskie. Nikogo. Nawet żebraczka z Bałkanów schroniła się gdzieś przed tą psią pogodą.

– Może zamknięte?

– Nie no, co ty, jeszcze nie ma nawet wpół do siódmej. Pewnie jest wieczorna msza.

Pchnęła wrota. Zobaczyli światło. Jeszcze jedne drzwi i byli w środku. W złotym kręgu światła wokół ołtarza siedziało w ławkach ze dwadzieścia osób.

– Jan Chrzciciel był z pokolenia Lewiego, powinien więc jak inni kapłani nosić białą szatę i jeść z tego, co ludzie przynosili na ofiary do świątyni Salomona. Chleby pokładne i mięso kozłat i synogarlic – mówił kapłan – a jednak chodził w skórze wielbłąda i jadł szarańczę. To była prowokacja, bo dla Żydów wielbłąd jest zwierzęciem nieczystym i nie powinno się nosić odzieży z jego futra.

Skrećili w lewo. Stała tam oświetlona punktowym światłem figura. Poszli w tamtą stronę. To był posąg Jana Pawła II. Olśniewająco biała w strudze światła. Szymon zatrzymał się w cieniu kruchty. Na ścianie wisiała kolejna papieska tablica. Dalej strefa mroku, a potem znowu światło wokół ołtarza z ukrzyżowanym.

Kapłan skończył właśnie kazanie i zaczęło się Wyznanie wiary. Pamiętał ten pacierz z dzieciństwa.

– No i? – Dotknęła jego ramienia.

– Musimy się hozejrzeć – powiedział szeptem. – Ty po lewej sthonie, ja po phawej.

Skinęła głową. Było jej nieswojo w kościele w czasie nabożeństwa. Kiedyś, bywało, przychodziła do kościoła. Opowiadała Ance o tym, co jest na obrazach. Nie, żeby była jakoś szczególnie wierząca. Ale nie sprawiało jej to kłopotu. Jeszcze w szpitalu zdarzało jej się rozmawiać z księdzem. Młody był. Niewiele mówił, słuchał. Ona też niewiele mówiła, bo bolało. Mało słów. Wtedy chciała, żeby ktoś je usłyszał. Ale od dnia, kiedy wyszła ze szpitala, nie była w kościele ani razu. Nie, żeby się obraziła na Boga. Po prostu nie miała mu już nic do powiedzenia. Poszła mrocznym przejściem za pierwszym filarem. Na ołtarzu zobaczyła anioła ze złotym mieczem. Był całkiem poczerniały i nie wyglądał na takiego, który potrafiłby kogokolwiek ocalić od śmierci. Albo od samotności. Albo chociaż od smutku.

Poszła pod kolejnym przesłaniem oddzielającym boczne ołtarze. Był tam obraz z brodatym mężczyzną, który prowadzi przed sobą chłopaka. Tak jakby bał się, że chłopak upadnie, ale jednak trzymał się z tyłu. Jakby mu chciał dać do zrozumienia, że dzieciak potrafi iść o własnych siłach. Nie... nie było tu niczego o Chopinie. Zawróciła. Kiedy było podniesienie, stała w cieniu za filarem. Odruch, żeby klęknąć, był silny, ale minął. Nastąpiła cisza. Potem usłyszała dzwonek. I drugi raz. Wszyscy wstali. Podeszła do ostatniej ławki i usiadła.

Usłyszała kroki, a potem skrzypienie ławki.

– Tak tego nie odnajdziemy – Szymon zniżył głos od szeptu.

– To co zrobimy?

Wzruszył ramionami i zaczął rozglądać się wokół ławki.

– Zdarzyło ci się kiedyś znaleźć to, czego szukasz, phosto przed oczami? – spytał.

– Oto Baranek Boży – zaśpiewał kapłan w tej samej chwili i Serbia przyklęknęła.

Szymon siedział nieporuszony. Nie mógł się nadziwić, jak to jest, że facet w sukience śpiewa w kościele o jakimś baranku, pokazując ludziom kawałek opłatka, a oni klękają, jakby naprawdę widzieli cud. Kurwa. Jest XXI wiek, to nie może być prawda.

Odczekał, aż Serbia z powrotem usiądzie.

– Co mówiłeś? – szepnęła.

– Sehce Chopina, moja dhoga, masz tuż nad głową.

Podniosła wzrok. Nie całkiem nad głową, ale rzeczywiście w filarze skierowanym ku wnętrzu nawy wmurowana była duża tablica z napisem „Fryderykowi Chopinowi – Rodacy”.

„Moja droga”, pomyślała, nikt nie mówił mi tego od dwudziestu ośmiu miesięcy i czternastu dni. Nie. Piętnastu.

Popatrzyła w górę. W mroku ponad jej głową wisiała tablica z medalionem artysty, a pod tym epitafium w niewielkiej niszy odczytała skromny napis, po polsku i po angielsku: „Tu spoczywa serce Fryderyka Chopina”. Serbia zerwała się z ławki i obeszła filar dookoła. Jak mogła to przegapić? Po drugiej stronie pod popiersiem Adama Mickiewicza znalazła prostą, szarą, kamienną tablicę z informacją: „Tu spoczywa serce śp. Władysława Reymonta”.

– I co dalej? – Szymon był tuż za jej plecami.

– Nie mam pojęcia. Musimy znaleźć tych kosmicznych

szczęściarzy.

– To może być każdy, phawda? Anioł nie anioł. Każdy z tych świętych jest przecież, do cholehy, kosmicznym, wierzącym szczęściarzem.

– Jak to?

– No do nieba poszedł, co nie?

Popatrzyła na niego. Trochę kpił. Ale miał rację. Każdy z tych świętych na posągach tkwiących w ołtarzach mógł być kosmicznym szczęściarzem.

Ministrant zadzwonił dzwonkiem. To był koniec komunii. Kapłan chował puszkę z komunikantami do tabernakulum.

– Z całą pewnością nie mogli zamuhować niczego w śhodku filaha.

– Szymon wydawał się zagubiony. Obeszli filar jeszcze raz dookoła. Nie znaleźli tam nic, co mogłoby się kojarzyć ze szczęściem albo z kosmosem.

– No to dupa – powiedziała, rozkładając bezradnie ręce.

– Idźcie w pokoju Chrystusa. – Ksiądz odesłał ludzi do domów.

– Nie poddawaj się. – Szymon otoczył Olgę ramieniem. – Mam pewność, że to nie jest thudne. Chodź, zapytamy tego klechę.

Nie spodobało się jej to określenie. Nie, żeby uważała księdza za kogoś wyjątkowego, ale wyniosła z domu to niejasne przekonanie, że okazując szacunek księdzu, w jakiś sposób okazujesz go Bogu. Uśmiechnęła się do siebie, kiedy uświadomiła sobie, jakie to dziwne. I jak głęboko w niej tkwi. Przecież nie chodzi o to, że ksiądz, pomyślała, chodzi o to, że człowiek. Ale jak tu szanować złych ludzi? A ona przecież pracuje ze złymi ludźmi. Złych ludzi spotyka. Złym patrzy w oczy. Słucha ich łgarstw. Wie, że kłamią. Że biją żony i dzieci. Kradną, nienawidzą...

Weszli do zakrystii. Ksiądz ściągał ornat. Potem zdjął i pocałował stulę.

– Dobhy wieczóh – powiedział Szymon.

– Szczęść Boże. A wy co? Na zapowiedzi? – zażartował.

– Nie... my z policji. – Szymon pokazał blachę. – Mamy taką delikatną sphawę, phosilibyśmy o dyskhecję.

– Taka służba – westchnął ksiądz. Rozwiązywał zielony sznur, którym obwiązana była jego alba.

– Nie hozumiem.

– Dyskrecja – westchnął – to jeden z warunków mojej służby.

O co jestem oskarżony?

– A molestuje ksiądz ministhantów?

– A pan, oficerze, chce się wypowiedać z czerpania łapówek z nierządu?

– Nie wiem, od czego zacząć... – Szymon poczuł się zbity z tropu.

– To jest właśnie zdanie, jakie słyszę najczęściej. – Ksiądz ściągnął albę przez głowę, jakby to była sukienka. – Proszę mówić, w czym mogę pomóc.

– Mamy taką zagadkę, jak to powiedzieć...

– Zagadkę kryminalną.

– No właśnie. I podejrzewamy, że ma związek z tutejszym kościołem.

– Więc jednak molestowanie? – Ksiądz pokręcił głową i westchnął.

– Niech pan... niech ksiądz da spokój, przepraszam.

– Przywykłem. Kiedyś najgorszymi typami w popkulturze byli narkomani. A dzisiaj czarne charaktery to księza – uśmiechnął się – ale ja się nie obrażam. Taką mam służbę. No, mówcie, o co chodzi.

– Bo widzi ksiądz... Tu są pochowane sehca Chopina i Heymonta, to wiemy, ale czy jest tu jakiś, nie wiem, napis, ślad, cokolwiek po... szczęściarzach z kosmosu?

– Ha, ha, ha – roześmiał się ksiądz – no rzeczywiście niezła zagadka. Słyszysz pan, jak to brzmi?

Szymon potarł nos końcem palca.

– Czyli nie pomoże nam ksiądz?

– A czy ksiądz mógłby komuś nie pomóc? Ksiądz to jak porządny żydowski adwokat. No jakby mógł nie pomóc? Chodźcie za mną. Światło nam się przyda. – Podeszedł do ściany, otworzył tablicę rozdzielczą i przekręcił kilka włączników. Wyszli z zakrystii w prawo.

– To jest ołtarz Świętego Judy Tadeusza. Jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc w Warszawie. Ludzie uważają obraz za cudowny. Są świadectwa, że się tutaj spełniają modlitwy. Więc przychodzą, żeby prosić i żeby dziękować.

– A Kościół? Co na to Kościół?

– Dla Kościoła cuda to chleb powszedni. I nie, nie mieszamy wiary z magicznymi sztuczkami.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą? – zapytała Olga. – Mówi ksiądz, że powinniśmy pomodlić się o rozwiązanie?

– To nie jest głupia myśl, choć pewnie nieczęsto przychodzi do głowy policjantom – uśmiechnął się – ale nie, rozwiązanie waszej sprawy nie leży chyba w sferze ducha. W każdym razie moja pomoc jest zupełnie innej natury. Zobaczcie.

Ołtarz oddzielała od nawy kościoła niska, drewniana balustrada wykonana tak, żeby można było przy niej klęknąć. Jej górna powierzchnia pokryta była małymi tabliczkami z brązu, mosiądzu albo zwyczajnej stali. Na każdej wyryto po kilka słów. Szymon pochylił się i odczytał: „Dziękuję ci, św. Judo Tadeuszu za okazaną pomoc. Oświęcim numer 26 627”. Na innym napisane było: „Dziękujemy za wytrwanie. Rodzina”. Na kolejnej były podziękowania za uzdrowienie z nieuleczalnej choroby. Setki tabliczek. Może tysiące.

– Wierzy ksiądz w to? Wierzy ksiądz w to, że jakiś obhaz opiekuje

się ludźmi i ich uzdławia?

– Wiara uzdrawia, panie oficerze. Wiara wystarczy do uzdrowienia.

Szymon pokręcił głową. Ksiądz znowu się uśmiechnął. Zrobił dwa kolejne kroki w lewo. Była tam cała ściana pokryta identycznymi tabliczkami.

– Proszę spojrzeć. Czy nie tego szukacie? – Wskazał palcem.

Tabliczka była duża. Kilkukrotnie większa od wszystkich pozostałych. Napis brzmiał: „Św. Tadeuszu Judo. Pokornie dziękuję za szczęśliwy powrót na ziemię astronautów amerykańskich «Apollo 13» J. Lovella, F. Haisela, J. Swigerta. W-wa 17.IV.1970 r. Z. Łabuńko”.

– O jasna choleha – zaklął Szymon. Wyjął z kieszeni szwajcarski nóż, otworzył ostrze i zanim kapłan zdążył zareagować, podważył tabliczkę jednym, mocnym szarpnięciem.

– Co pan robi? – Ksiądz podniósł ręce, jakby chciał go zatrzymać, ale było już za późno.

– Przybije się ją z powrotem – powiedziała Olga. – Przecież się nie połamie.

Szymon podważył kolejny gwoździak. Zgrzytnęło i spod tabliczki wypadł pożółkły kawałek papieru.

Serbia podniosła go i starannie wyprostowała.

– Co to? – Szymon i ksiądz pochylili się, żeby zobaczyć, co to jest. Zwykły kawałek kartki w kratkę, jakby połowa strony szkolnego zeszytu.

– „Na odwrocie” – przeczytała. Odwróciła kartkę. Po drugiej stronie napisane było: „Kwituję zamówienie Pwt 29, numer 4”. I jakiś nieczytelny bohomas. Podpis.

Odwróciła kartkę jeszcze raz. Ale nie pojawiło się tam nic więcej,

choć przez chwilę miała taką nadzieję.

– Choleha jasna – powiedział Szymon – no to koniec naszej przygody.

Serbia podniosła kartkę do światła.

– Może trzeba podgrzać nad ogniem? – powiedziała. – W filmach zawsze tak robią.

– No phosze cię, bądź poważna – rzucił Szymon.

– A kto mówił, że to zagadka dla dziecka? – Pokazała mu język i natychmiast się zawstydziała. Ksiądz na pewno pomyślał, że łączy ich coś więcej niż tylko praca. Ale nie... On wpatrywał się w papier, który trzymała w dłoni.

– A może ja pomogę – powiedział ksiądz i wyciągnął rękę po kartkę.

– A co? Wie ksiądz, kto przykhecił tę tabliczkę w 1970?

– A nie widzi pan, oficerze, że jest tam nazwisko?

Szymon przekrzywił głowę, żeby przeczytać nazwisko jeszcze raz.

– Wątpię, żeby to była jakaś wskazówka – mruknął. – To by było zbyt oczywiste. Ale może wahto sphawdzić... – Wyjął notes i zapisał. Postanowił, że zadzwoni jeszcze dzisiaj.

– Zdaje się, że wiem, co to za zamówienie – powiedział ksiądz. – Chodźcie za mną.

Przeszli do ołtarza. Do pulpitu, na którym leżał mszał z literami wielkimi jak dla niedowidzących. I jeszcze większymi, czerwonymi inicjałami w każdym akapicie. W pulpicie była półka, a w niej Biblia.

– Pe wu te dwadzieścia dziewięć przecinek cztery – powiedział jakby do siebie ksiądz i zaczął przekładać strony. Otworzył na Księdze Powtórzonego Prawa.

– Rozdział dwadzieścia dziewięć – pokazał im – czwarta linijka.

– „Prowadziłem was przez czterdzieści lat po pustyni; a nie

podarły się na was szaty ani obuwie na waszych nogach” – przeczytał na głos.

Milczeli chwilę wszyscy troje.

– Jest ksiądz pewien? – zapytał Szymon.

– Pewien czego?

– Tego cytatu.

– Nie, skąd. Ale jeśli kartkę ukryto w kościele, to może i szyfr jest w kościelnym języku.

– Ale co to za szyfr?

– Skrót nazwy księgi Starego Testamentu – wyjaśnił – a dalej rozdział i wers.

– Jeśli ksiądz ma rację, chodzi o zamówienie na ubranie albo na buty – powiedziała Serbia. – Krawiec albo szewc.

– Dobha myśl – pochwalił ją Szymon – ale w jakim zakładzie? Jeśli nawet to podpis, to jak hożpoznać czyj? Gdyby to był podpis Hobehta Lewandowskiego albo Lecha Wałęsy, to każdy by poznał, ale tu?

Serbia ponownie przyjrzała się karteczce.

– Może trzeba sprawdzić odciski palców?

– Przede wszystkim będą tam nasze odciski. – Szymon pokręcił głową. – To nie może być thudna zagadka. Czegoś jednak nie dostrzegamy.

Serbia patrzyła na obraz w głównym ołtarzu.

– Kopia. – Ksiądz powędrował oczyma za jej wzrokiem. – Ołtarz spłonął w czasie powstania. Został dokładnie odtworzony. Sporo elementów się zachowało. Niestety, obraz jest kopią. Wojna nie jest łatwa dla ludzi. Ani dla dzieł sztuki. To był obraz Eleutera. Zdolny chłopak, król Jan III Sobieski nadał mu szlachectwo i wysłał na studia malarskie do Włoch...

Serbia nie słuchała. Myślała o tym, co powiedział Szymon. Że to musi być łatwe. Łatwe... Raz jeszcze spojrzała na papierek.

– Na odwrocie – powiedziała nagle podniesionym głosem. – Rozwiązanie jest na odwrocie!

– Na jakim odwrocie? – Szymon oderwał wzrok od Ukrzyżowania.

– Na odwrocie tabliczki – powiedziała.

Wszyscy troje szybkim krokiem ruszyli z powrotem pod ołtarz Świętego Judy Tadeusza. Tabliczka wisiała na ostatnim gwoździu. Szymon podważył go delikatnie, uważając, żeby tabliczka nie spadła na podłogę, po czym odwrócił płytkę.

– Miałaś hację – powiedział.

– „Szewc. Stare Miasto” – przeczytała na głos.

– Czuję, po phostu czuję, że to nie może być thudne. Przephaszam, że nahozhabiałem z tą tabliczką – zwrócił się do księdza.

– No tak – kapłan podrapał się w głowę – bez niej kościół nie będzie już taki sam.

– Dlaczego bez? – zdziwił się Szymon.

– No przecież zabieracie ją jako materiał dowodowy.

– Oj nie, nie zabieramy – wtrąciła się Serbia. – Proszę tylko księdza, żeby ją natychmiast przybił z powrotem, dobrze? Żeby wszystko wyglądało tak jak zawsze. I żeby ksiądz nikomu o tym nie powiedział.

– To dobrze. – Ksiądz wziął metal z rąk Szymona. – Gdybyście ją zabrali, to byłoby tak, jakby zabrać stąd czyjąś modlitwę. To co? Pobłogosławić was, zanim pójde po młotek?

Serbia wzruszyła ramionami.

– Ja nie wierzę w Boga – powiedział Szymon.

– Hm... – uśmiechnął się ksiądz – ważne jest nie to, czy pan wierzy w Boga, ale o to, czy Bóg wierzy w pana.

Zrobił nad nimi znak krzyża.

– No to do zobaczenia na tamtym świecie – rzucił na pożegnanie.

– No co? Żart taki. Idźcie.

Mgła na zewnątrz była już całkiem gęsta i bardzo zimna. Serbii marzły palce. Pomyślała, że dobrze by było pójść teraz za rękę. I że nie robiła tego od lat. Ale to przecież żalosne. Starzy ludzie nie chodzą za rękę. Czasami robią to tylko bogaci menadżerowie, żeby pokazać światu, że te młode dziewczyny z ustami zrobionymi z waty cukrowej należą do nich i tylko do nich.

– W którą stronę? – zapytał.

– W którą zechcesz.

– A ty? W którą chcesz?

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Chyba chcę już do domu. Ale jutro wyjeżdżasz, a ja w ogóle nie pokazałam ci miasta. I tyle spraw się nie stało, choć mogły się przecież wydarzyć...

Otoczył ją ramieniem bez jednego słowa. Stali tak we mgle. On nie wiedział, w którą stronę iść. Ona nie wiedziała, czy warto. I tak jest dobrze, pomyślała, tak właśnie powinien być urządzony świat.

– Chodź.

Pociągnęła go w stronę uniwersytetu. Temperatura musiała spaść do zera, bo mgła osiadała mu na włosach. W świetle latarń wydawała się złota. Zimna i nieprzyjazna na pierwszy dotyk, ale jednocześnie pozwalała jej pomyśleć, że w całym świecie są całkiem sami. Kroki grzęzły w tej zimnej brei jak w wacie. Nie widziała ani księżycy, ani latarń, ani świateł w oknach. Tylko rozmazane smugi sklepowych witryn. Autobus 180 podjechał niczym widmo. Zatrzymał się i zanim wpuścił ich do środka, stęknął jak ranne zwierzę. Wewnątrz było ciepło. Sześć osób, pomyślała, wszyscy wyglądają na samotnych.

Pewnie będą w domu pić wódkę i oglądać Facebooka, zamiast przytulać się i kochać. Byli na wysokości Pałacu Prezydenckiego, kiedy poczuła, że to ten dzień.

Kurwa jego mać.

Szymon wciąż ją obejmował, więc położyła mu głowę na ramieniu.

– A gdybym miała okres, zasnąłbyś ze mną w jednym łóżku? – zapytała.

– Tylko pod warunkiem, że mógłbym spać w skarpetkach – powiedział i pocałował ją we włosy. A może wcale jej nie pocałował, przecież przez czapkę i tak niczego by nie poczuła.

Kiedy poszła pod prysznic, wyciągnął komórkę i wybrał numer. Jeden z tych, które zawsze możesz wybrać bezkarnie. I mieć pewność, że ktoś po drugiej stronie odbierze.

– No, to ja. Wszystko dobrze, sehio. Jutho whacam... Nie, no nie jestem zakochany, nie musicie się o mnie mahtwić... Dzwonię, bo mam phośbę. Tak, phośbę mam. No pilną, inaczej po co bym dzwonił? Sphawdziłbyś mi trzy nawiska. No... Do jednej sphawy, ale takiej, że nie mogę oficjalną dhogą... Nie, nie mogę. I nie chcę. Tak, tak... już ci podaję: Ciemniejszy Lucjan, Whóblewski Zdzisław. I jeszcze to ostatnie: Z. Łabuńko... No nie, nie znam imienia. Tylko to Z. Nie wiem, czy kobieta, czy mężczyzna. Tak... No tak... stahe dzieje. Z lat siedemdziesiątych, ale może coś znajdziesz. No, ja was też, dobhej nocy.

Mężczyzna po drugiej stronie zakończył połączenie i cicho zaklął.

– Kto dzwonił? – dobiegło go z drugiego pokoju.

– Szymon. Pozdrawia cię.

– Wszystko dobrze u niego?

– Tak, wszystko dobrze – powiedział i wyszedł na balkon.

Zapalił papierosa, wyjął z kieszeni scyzoryk, odgarnął śnieg

i podważył jedną z płytek. Przy samej ścianie. Kurwa, jak ciasno przylega. No ale w końcu podniósł. W środku był wydrążony otwór. Wyjął stamtąd blaszane pudełko. Wygrzebał kartę telefoniczną. Było ich tam więcej. Wkrótce nie będą już potrzebne, bo rząd, kurwa, wprowadził rejestrację. Chuje jedno. Wszystko muszą kontrolować. PIN był zapisany na karcie maleńkimi cyferkami, więc zmrużył oczy. Potem wymienił kartę, wbił PIN i wybrał numer. W tamtym kraju musiało być już naprawdę późno, ale chuj z tym, służba nie druźba. Czekał z minutę, zanim w systemie telekomunikacyjnym zapadły wszystkie odpowiednie klapki.

– Szalom – powiedział.

– Nie pierdol.

– Nie masz humoru? Nie ruchałeś?

– Wal się.

– Nie dzwonię pożartować. Ktoś pyta o Wróblewskiego i Ciemniewskiego.

Tamten dłuższą chwilę milczał.

– No to chujnia. – Tamten zawiesił głos na długą chwilę. Pewnie zapalał papierosa, bo słyhać było, jak wciąga powietrze, a potem wypuszcza je powoli. Możliwe nawet, że to było cygaro.

– Wiesz kto?

– Wiem, kurwa! Ja mam nie wiedzieć?

WTEDY

Stukanie do drzwi przerwało kapitanowi spotkanie z pewną maturzystką, która marzyła o podjęciu studiów na polonistycę Uniwersytetu Warszawskiego. Przez rozpiętą, kraciastą, flanelową koszulę, o wiele na nią za dużą, widział ciężkie, pełne piersi, a wokół brązowych sutków pod skórą delikatne niebieskie żyłki.

Bardzo go to podniecało. Piła wódkę ze szklanki, odprężona i szczęśliwa. Opowiadała o tym jakale Michniku, któremu nie podoba się za bardzo polski socjalizm. I o tym, że założył Klub Poszukiwaczy Sprzeczności, że się spotykają nad sklepem Desy na Starym Mieście, czytają Marksa i uważają, że to, co się dzieje w Polsce, zupełnie do Marksa nie pasuje.

Kiedy usłyszał łomot do drzwi, znieruchomiał. Przecież nie mógł przy niej sięgnąć po broń.

– Szuka cię ktoś? – zapytał.

– Nie, a ty masz kogoś? Żonę? Mówiłeś, że nie masz...

– No nie mam, kurwa, nie mam! – warknął i wciągnął spodnie.

Dziewczyna sięgnęła po koldrę i zawięła się w nią tak, że wystawała jej tylko głowa.

– Siedź cicho – szepnął i uchylił drzwi.

To był ten gość z Łazienek.

– Wybaczcie, kapitan, ale nie mam czasu czekać, aż ta kurewka pojedzie do domu. Zresztą kto to widział, żeby dzieci same łążyły nocą

po mieście? To niebezpieczne. No, ubierajcie się, pojedziemy.

Kapitan skinął głową bez zbędnych pytań. Kiedy wkładał koszulę i sweter, kazał jej spierdalać. Rzucił na stół zwitek banknotów. Ile tam akurat miał w kieszeni, nieważne.

– Drzwi zatrzaśnij. Na zapadkę wystarczy. Wpadnę do ciebie do internatu w sobotę – dodał, bo zaczęła płakać, że przecież nie jest dziwką.

Nie miał teraz czasu na afery. Zbiegł po schodach i pojechali. Właściwie trochę się pokręcili po opustoszałych ulicach. Śnieg. Nikogo. Tylko patrole milicyjne. Stali pod latarniami, chuchali w dłonie, a wtedy unosiły się im ponad głowami słupy pary. Nie było wiatru. Kiedy mróz jest naprawdę wielki, nie ma wiatru.

– Jak dziewczyna mądra, to u was zostanie. No jak będzie iść w taką noc?

– Kazałem jej spierdalać.

– Oj, kapitan, kapitan... Taki talent, a takie proste błędy.

– Przepraszam – powiedział.

– O! A to akurat dobrze. Przepraszam, jeśli szczerze, jest lepsze jak samokrytyka. No dobrze, dobrze. Zaraz wracamy. Jeśli jeszcze tam płacze w tej pańskiej pakamerze, to niech już lepiej zostanie do rana. Tu ma pan kopertę. Paszporty, pieniądze, trasa, godziny. Jutro lećcie.

– Dokąd?

– Wszystko macie w kopercie. I pan, i ten pański specjalista załatwiliście już pilne sprawy w Polsce, więc was posyłamy na wakacje. A dokąd i po co, nikt nie może wiedzieć. W resorcie już to załatwiliśmy. Pytań nie będzie.

Kiedy wrócił na poddasze, dziewczyna siedziała na schodach przed jego kawalerką. W futerku, ciepłych butach i chustce na głowie. Płakała cichutko.

– Bałam się iść po nocy. Internat przecież zamknięty. Nie wpuściliby mnie. Musiałabym się tłumaczyć, dlaczego nie jestem w łóżku... daliby znać ojcu. Przepraszam, ale nie miałam dokąd iść. Ale drzwi zamknęłam, jak chciałeś.

Usiadł koło niej i przytulił ją naprawdę serdecznie.

– Przepraszam, głupio postąpiłem.

Kiedy zasnęła wtulona w jego ramię, pomyślał, że dziewczyna musi być dobrym człowiekiem. Głupim, ale dobrym. Pieniądzy nie wzięła. Potem wstał, przejrzał kopertę. Przeczytał krótką instrukcję i spalił ją w łazience. Jasiński i on lecieli jutro na drugą półkulę. Rano pojechał tramwajem prosto do Jasińskiego. Dał mu godzinę na spakowanie się i pojechali na lotnisko.

W samolocie do Kairu pasażerów było niewielu. Głównie budowlańcy, których blok państw demokratycznych posyłał na prace budów w Afryce Północnej. Każda elektrownia, każdy kilometr autostrady był dla młodych społeczeństw krokiem ku uwolnieniu się od gospodarczej okupacji imperialistów. Krokiem w stronę wolnego świata. Ludzie w samolocie pili na umór. W arabskich krajach alkohol był drogi i trudno dostępny. Siedzieli kilka rzędów od siebie. To był długi lot. Nie pili alkoholu. Spotykali się, tylko kiedy szli na papierosa do toalety. Jeśli nie było w pobliżu żadnego ze współpasażerów, wymieniali kilka zdawkowych uwag, które mogły być wzięte za rozmowę o pogodzie.

W Kairze każdy z nich siedział przy osobnym stoliku w oddalonych lotniskowych barach. Kapitan wymienił pieniądze i kilka razy telefonował z lotniskowej budki pod jakiś obcy numer wybrany na chybił trafił, odstawiając przy tym teatralne sceny zniecierpliwienia. Jasiński wydawał służbowe dolary. Niewiele. Egipt to przecież kraj, w którym za dolara możesz mieć wszystkiego więcej niż w Polsce.

Wyglądało na to, że nikt ich nie obserwuje.

Lot do Indonezji był całkiem przyjemny, jedzenie ciepłe i dobre, choć mięso śmierdziało baranem. Dużo spali. Kapitan czytał artykuł o tych dalekich wyspach. W Dżakarcie, w ambasadzie radzieckiej, spotkali się z pułkownikiem Markowskim i jakimś dziwnym mężczyzną, który miał im odtąd towarzyszyć. Mrukliwy, krępy, nie przedstawił się. Jakby w przekonaniu, że i tak wszyscy wiedzą, kim jest. I że to właśnie on tutaj rządzi.

Ten rok zapowiadał się źle od samego początku. Kapłani z wyspy Bali widzieli coraz więcej znaków. Znaki były złe. Ocean się gotował. Był turkusowy, jak zawsze, lśniący, oleisty i milczący. Ale oni wiedzieli, że to tylko maska. Że poruszył się olbrzymi żółw, na którym spoczywa ciężar wszechświata, że przebudziło się zło. A kiedy zło się budzi, zawsze w końcu nadciąga. Schodzili na plażę i zbliżali się do wody. To było dla nich trudne, bo kapłanom nie godzi się bez przyczyny patrzeć w jej kierunku. Powinnością człowieka jest patrzeć w kierunku góry.

– Co za pierdolenie. – Jasiński wychylił szklaneczkę jacka daniel'sa.

– Żadne pierdolenie, to jest element ich wierzeń – tłumaczył Markowski. – Oni znają tylko dwa kierunki świata: *kaja* i *kelod*. Pobożny człowiek nie powinien zwracać się w kierunku wody. Najbardziej ortodoksyjni wyznawcy Sziwy zawsze starają się obracać w kierunku góry.

– Chyba w kierunku Mekki. – Kapitan myślał, że Indonezja jest muzułmańskim krajem.

– To na Jawie. Ale tutaj, na Bali, ludzie są emigrantami z Indii. Wierzą w Brahme, Sziwę i Wisznu. Patrzą w kierunku góry.

– Jakiej znowu góry?

Jasiński podniósł szklaneczkę, a kelner w liberii w paski

natychmiast podszedł i nalał mu podwójną. Ten trzeci, milczący, też podstawił swoje szkło.

Wypił i skrzywił się.

– Szto za gównno – powiedział z dziwnym akcentem.

Mieszkali w Denpasar, w hotelu Inna, który podobno był najstarszy na całej wyspie i w czasach kolonialnych cieszył się ogromnym powodzeniem wśród oficerów i przedsiębiorców żerujących na ruinach Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Kilka dni wcześniej, w połowie grudnia 1962, wylądowali w Dżakarcie. Plan przewidywał, że odbędą kilka spotkań z przedstawicielami władz Indonezji, aby przekonać ich do udzielenia pomocy partyzantom szejka Mahmuda Azahariego. Jego ugrupowanie, Partia Ludowa Brunei, zdobyło co prawda większość w Radzie Legislacyjnej, ale Azahari został siłą odsunięty od władzy przez wojska sułtana Saifuddina, w zamian za co Brytyjczycy zagwarantowali mu pozostanie na tronie. Rewolucja robotnicza nie rozpałała północnego skrawka Borneo.

Indonezja, która sama jeszcze w skórze niepodległego państwa czuła się, jakby należała do kogoś innego, postanowiła trzymać się z daleka od tego konfliktu. Ktoś musiał wyjaśnić tamtejszym komunistom i demokratom, że jeśli Wielka Brytania utrzyma kontrolę nad Brunei, to Holandia zechce odzyskać władzę nad Jawą i Dżakarta znowu będzie się nazywała Batawią, a oni sami wylądują w obozie w Westerbork jak uchodźcy z Moluków, którzy tak liczyli na chrześcijańskie sumienia i pomoc Europejczyków.

W czasie tych kilku spotkań, które odbyli w Dżakarcie, nudzili się śmiertelnie w sekretariatach różnych ważnych osobistości, oczekując, aż oficer, którego mieli ochraniać, zakończy dyskusje. Dżakarta jawiła im się jak największe zadupie wszechświata. Niskie, drewniane domy, sprzedawcy bananów i ananasów popychający rozklekotane,

drewniane albo bambusowe wózki wzdłuż obrzydliwie śmierdzących kanałów przeciwdeszczowych, z których czasami wyskakiwały szczury większe niż koty. Wszechobecny smród. Jak można gnić w takim gównie? Dwa i pół miliona ludzi. Może trzy, bo przecież nie da się ich zliczyć. Wszyscy biedni, wszyscy na kupie. Wielki Durian. Tak nazywają swoje miasto. Wiceprzewodniczący partii komunistycznej, z którym jedli rybę z rusztu w Cafe Batavia, żartował, że miasto dostało taki przydomek z powodu słodyczy. Dżakarta, słodkie miasto. Najśłodsze.

Ale Jasiński wiedział swoje. Wiedział, co to durian, bo próbował już tego specyfiku. Słodki, rozlały owoc, śmierdzący jak zepsute mięso. Właściwie Cafe Batavia była jedynym miejscem, które mu się tutaj podobało. Dobra szkocka whisky, porządne papierosy. Rosyjska wódka.

– Musicie zareagować – mówił pułkownik Markowski – bo inaczej Anglicy rozpanoszą się wam po Kalimantanie jak Żydzi po Palestynie. Nie wolno im na to pozwolić.

Markowski oczywiście nazywał się Markowski w takim samym stopniu w jakim Jasiński nazywał się Jasiński, ale musiał być kimś ważnym. Instrukcje mówiły, żeby zwracać się do niego per „pułkowniku”. W sytuacjach oficjalnych i nieoficjalnych też. Kapitan na ogół milczał. Słuchał sporo, ale odzywał się rzadko. Nie czuł się komfortowo w tym skwarowym, brudnym, hałaśliwym mieście, w którym roiło się od szczurów, sprzedawców owoców śmierdzących jak zepsute mięso i obszarpanych dzieci.

Ostatni typ, Rosjanin, w ogóle rzadko się odzywał. Jeśli już, to najchętniej po angielsku. Jasiński czuł, że to gość, który ma mieć na nich oko. Dziwny jakiś. Niby Rosjanin, a przez kilka pierwszych dni wódki nie tykał. Gdyby misja się nie powiodła, kto wie, może to właśnie jego powinien się najbardziej obawiać?

Kapitan najlepiej czuł się w Sunda Kelapa – najstarszej części portu. Każdego dnia wychodziło stąd w morze kilkadziesiąt żaglowców. Szły po ładunek egzotycznego drewna na Sumatrę. Sunda Kelapa to był podobno ostatni taki port na świecie. Wsiadał na małą łódkę i pozwalał się wieźć między kadłubami olbrzymich kliperów. Słuchał, jak wiatr tarł takielunkiem. I jak drewniane trapy o szerokości dwudziestu centymetrów stękają z wysiłku, kiedy balansują na nich portrzy obciążeni okorowanymi pniami drzew. Żaglowce rozładowywały się wciąż ręcznie. Ludzie brali deski na ramiona i biegli po tym wąskim, giętkim trapie na brzeg. Powietrze nad Sunda Kelapa wyczyszczone było do białości oceanicznym wiatrem. To jedyne miejsce w całym mieście, gdzie kapitan mógł swobodnie oddychać. Nie dopadał go smog. Kiedy mówił im, że jedźcie do portu, oni woleli iść na kurwy do starej dzielnicy Kota Jakiejś Tam. Ulice były szerokie na tyle, żeby minęło się dwóch pieszych. Ale o dziwo nie śmierdziały zgnilizną kanałów. Pachniały curry i śpiewem ptaków, bo każdy trzymał przed małym domkiem kanarka albo papużkę w klatce. Koty wygrzewały gnaty na kawałkach muru, których nie zająły kwiaty albo zioła w doniczkach.

– Kobiety mają tu oczy wilgotne jak mech, a kibić jak młody bambus – żartował Markowski.

Rosjanin milczał. Nie znał się na żartach. Zaglądał w każde drzwi, jakby ciągle spodziewał się jakiegoś niebezpieczeństwa. Czasami zostawał z tyłu ukryty za załomem ściany z desek w cieniu okapów, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie. Szła jakaś miejscowa policja, ale Jasiński się tym nie przejmował. Chodziliby za każdym białym przybyszem. Raczej po to, żeby szpiegować, niż żeby w razie czego na coś się przydać. Jawajczycy wydawali mu się przyjaźni i niegroźni. Uśmiechali się bez przerwy. Wyglądali na radosnych i spokojnych ludzi. Ale Jasiński kilka razy poczuł już krew i umiał

poznać prawdziwy uśmiech od tego, który jest tylko kamuflażem. Czuł, że gdyby przyszło co do czego, wszyscy ci niscy, szczupli, uśmiechnięci mężczyźni potrafiliby oderznąć głowę komuś, kogo nienawidzą, nawet tępym nożem.

Tymczasem zagłębili się w zaułki pełne kobiet i dzieci. Drzwi maleńkich domów otwarte na oścież, ale żeby zajrzeć do środka, trzeba było schylić głowę. W środku biednie. Ale przynajmniej kolorowo. Nie zmieściłaby się w takim domku nawet balia, więc kobiety prały na ulicy, przed domem. Zaciekawione obecnością obcych dzieci przekrzywiały głowy jak kurczaki, łypiąc spod oka, że niby wcale nie patrzą.

Wystarczyło wyciągnąć garść dolarów, żeby któraś ze starych złapała, o co chodzi.

– *No, ibu, no* – broniły się te młodsze.

Ale bez skutku. Matka знаła zasady. Markowski i Jasiński weszli do środka.

Rusek został na ulicy. W czarnym garniturze i koszuli zapiętej na ostatni guzik nie pocił się ani odrobinę.

– Kurwa, to nie jest człowiek, mówię ci – powiedział Markowski.

– Co pan ma na myśli, pułkowniku?

– Nie gada, nie poci się, nie rucha. Nie człowiek.

– Ale że co?

– Robot. Kurwa, robot w ludzkiej skórze.

– Nie ma przecież takich.

– Chuj wie, co oni tam mają w tych laboratoriach w Gwiezdnym Miasteczku. Człowiek nie żyje tak długo, żeby dolecieć do gwiazd, ale taki człowiek robot może miałby szansę.

Stara przyprowadziła dwie dziewczyny. Jedna wyglądała na szesnaście lat, druga była jeszcze młodsza. Jasiński chciał to dziecko.

Zawsze to więcej pewności, że czysta.

Kilka dni później wylądowali na Bali.

Podobno bezpieczniej właśnie tam spotykać się z kimś z rządu. Na Bali przybysze z Europy nie rzucali się tak bardzo w oczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

TERAZ

Obudził ją zapach kawy. Nie. To było coś innego. To ten sen. Zazwyczaj nie pamiętała snów. Od dawna sypiała jak w czarnej czeluści. Nie wracało już do niej nic. Nic z tamtego życia. Żadna myśl o Ance. I nie wracało nic z tego życia, które prowadziła na co dzień. Żadnych trupów. Żadnej krwi, odcisków palców, kartonowych teczek akt, brudnej wody w kałużach, kapania z kranu i ciasnych, zamkniętych pomieszczeń. Ale dzisiaj, teraz, usłyszała głos.

– Mamo, mamó, obudź się, znowu się spóźniłaś do pracy.

Głos Anki. Rozejrzała się. Okna niezasłonięte, ale na dworze ciągle ciemno. Z kuchni wciskała się przez uchylone drzwi pomarańczowa wstęga światła.

Poczuła zapach kawy. Pościel była wygnieciona. Na szafce stał komputer z otwartym ekranem. Kliknęła dwa razy, żeby sprawdzić, która godzina. Na ekranie pojawił się zatrzymany w połowie odcinek serialu Prawdziwe psy. Musiała zasnąć, kiedy oglądali film. Brzuch ją bolał, ale głowa nie za bardzo. Pewnie nie wypili za wiele. Jedno wino na dwoje.

– Heeeej – powiedziała, przeciągając to „e” w nieskończoność.

Nic. Cisza.

Podłoga zimna. Kulila palce stóp.

– Hej – powiedziała jeszcze raz, wchodząc do kuchni.

Na stole stał talerz z kanapkami i dzbanek kawy przykryty

ściereczką. Zielona kratka. W miejscach, gdzie spotykały się te zielone paski, kolor był dwa razy bardziej intensywny. Pod dzbankiem karteczka. Mała, musiał ją wyrwać z tego swojego notesu.

„Nie znalazłem termosu, mam nadzieję, że kawa nie ostygnie, kiedy się obudzisz”.

Powinien napisać „dopóki się nie obudzisz”, pomyślała. A potem czytała dalej: „nie lubię pożegnań. Lubię się przytulać na powitanie. Może nam się jeszcze poszczęści, co? Lecę. Szymon”.

– Okej – powiedziała do siebie – na pewno nam się poszczęści, bo jestem fajna.

Poszła poszukać telefonu, żeby do niego zadzwonić. Wygrzebała go z kieszeni spodni i zaczęła wybierać numer... ale nie, lepiej niech jeszcze poczeka. Zresztą co mu powie? Obudziłam się, a ciebie nie było? Co za idiotyzm. Nie wolno podejmować takich decyzji bez kawy.

Włączyła radio.

„«W nowym 2017 roku – Ojczyznę wolną od zła i głupoty, Panie», takie życzenia napisał na Twitterze przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, w oczywisty sposób kierując tę złośliwość pod adresem PiS-u – informował spiker. – Tymczasem w Sejmie trwa protest posłów opozycji. Strajkujący domagają się odwołania marszałka. Partia rządząca zapewnia, że jest przygotowana na wszystkie warianty. Funkcjonariusze Komendy Stołecznej Policji zatrzymali przedwczoraj muzyka i kompozytora Waława W. Muzyk sądził, że jedzie na randkę z trzynastolatką. Znaleziono przy nim podejrzaną substancję...”.

O... – Olga pomyślała ciepło o kolegach. Może powinna zadzwonić z gratulacjami? Nie, ale zajdzie do nich i wtedy powie im, że robią kawał dobrej roboty. Nalała sobie kawy. A potem włączyła tego starego kasprzaka. Ciekawe, co tam jest dalej na tych kasetach. Najpierw usłyszała „szzzzzz kanał lewy”, potem szzzzzz kanał prawy.

A potem Tomasz Beksiński zapowiedział Wish You Were Here...

Pomyślała, że jednak powinna była zadzwonić. Najpierw uśmiechnęła się do tego pomysłu, ale potem doszła do wniosku, że nie może mu dać przewagi. Facetom się to nie należy. Zaraz to wykorzystują. Wysłała esemesa: „Dzięki za kawę. Nie ostygła”.

Jechała do pracy ulicami, które były niemal puste. Miasto chyba wciąż jeszcze się nie obudziło po Nowym Roku. A może ludzie wzięli wolne, żeby pójść do pracy dopiero w czwartek. Wiadomo: czwartek, piątek i pierwszy tydzień roku z głowy. A od przyszłego już odrobinę wcześniej zrobi się jasno. Było dziwnie ciepło, ale na kolejny dzień zapowiadali poważne mrozy, a na popołudnie opady śniegu. Trzeba się spieszyć.

Pokój wydawał się jej pusty bez Kosińskiego. Poprosiła kolegów o ustalenie telefonu do tego projektanta sukienek. Arek Gliński odebrał po drugim sygnale. Tak, był w swojej pracowni. Oczywiście, że chętnie porozmawia, jeśli tylko będzie mógł w czymś pomóc polskiej policji.

Ruszyła na Pragę. Przeszło jej przez głowę, żeby włączyć koguta i pojechać Trasą W-Z, ale co tam, miasto puste, w samochodzie może sobie przemyśleć kilka spraw. Szymon nie odpowiedział na esemesa. Spał. Na pewno spał. Do Wrocławia przecież kawał drogi. Spał. Albo może nie miał zasięgu... Albo chciał, żeby to jednak ona pierwsza zadzwoniła. Niedoczekanie. Była koło Rotundy, kiedy zadzwonił telefon. Ucieszyła się jak dziecko, ale to był tylko Kosiński. Powiedział, że wraca następnego dnia. Blablacarem. Ale że nie musi po niego przyjeżdżać, bo umówił się z kimś, kto go odstawi na miejsce prosto z Trzebnicy.

– Smutny jesteś? – Wyczuła w jego głosie jakąś rezerwę.

– Tak – odpowiedział po długim milczeniu. – Poznałem tu kogoś... interesującego.

Powiedział to takim tonem, że zrozumiała, by nie pytać. Ani nie żartować. Nie zawsze jest pora do żartów.

– A u ciebie jak? – spytał po chwili milczenia. – Zakochałaś się?

– No coś ty – zapewniła szybciej, niżby chciała. – Zimno się robi, śnieg ma padać, to nie jest pora na zakochanie. Bezpiecznie wracaj. Brakuje mi ciebie, przydałbyś się, żeby ogarnąć parę spraw. Tego projektanta sukienek na przykład.

– No... jego chciałbym poznać. – Usłyszała w jego głosie, że posmutniał jeszcze bardziej. Kurwa, no chyba nie chce się zwolnić? – Do jutra – powiedział. – Odezwę się.

Zobaczyła, że na wysepce przy palmie stoi wóz chłopaków z drogówki. Siedzieli w aucie i przeglądali Internet. Przynajmniej błyskali światłami i wiadomo było, że lewego pasa nie zablokuje nikt, komu nagle zechce się skręcać w lewo. Skręciła koło stadionu. Wydawał się szary i wyleniały. Jak stary, chory kot. Chyba zaczynało padać coraz mocniej. I pewnie spadało ciśnienie. Dodała gazu. Kiedy samochód przyspieszał, czuła zastrzyk adrenaliny. O tak. Znowu zaczynała lubić jazdę.

To była wielka kamienica. Szara i ciężka. Kiedyś, przed wojną była pewnie ładna, ale teraz przydałaby się jej renowacja fasady.

– Wiem, że to nie jest najlepsze miejsce w Warszawie, ale od czegoś trzeba zacząć, nieprawdaż? A ja chciałem zacząć tutaj, wejdz, wejdz, no zapraszam. – Od chwili, kiedy Arek Gliński otworzył przed nią wielkie drzwi na pierwszym piętrze, usta mu się nie zamykały. Od razu przeszedł z nią na „ty”, jakby znali się od podstawówki, i choć był od Serbii wyraźnie młodszy, podobał się jej ten bezpośredni i radosny ton. – Napijesz się czegoś? Mam matchę, którą możesz mieć nawet w wersji latte z mlekiem, oczywiście migdałowym, albo jeśli wolisz delikatną, to może kukicę? A kamienica, wiem, to nie jest przyjemne, jeśli klatka schodowa tak wygląda, ale wiesz, nie mogłem

się oprzeć, bo ta kamienica jest... no, wydała mi się taka... paryska. Zawsze się uśmiecham, kiedy mówię o Paryżu. Więc jesteś policjantką, jakie to ciekawe. Chyba nie znałem dotąd żadnej policjantki.

– A ja nie poznałam żadnego projektanta – wtrąciła wreszcie.

– Więc co pijemy? Wiem! Wiem. Sencha dobrze nam robi. Aleksandrze, Aleksandrze, czy podasz nam dwie filiżanki senchy? I bułeczki z powidłami z fig, dobrze?

Aleksander nie przyszedł, żeby się przywitać, ale odkrzyknął coś wesoło z sąsiedniego pomieszczenia.

Serbia wykorzystała moment i podeszła do jednego z wysokich wieszaków na kółkach. Tego z sukienkami. Wstydziła się wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Cholera, jakby zagłądała do matczynej szafy. Dotkniesz i dostaniesz po łapach.

– Świetne, co? Te materie, czy wyobrażasz sobie, że ten rodzaj wełny... no weź, dotknij, poczuj to... zamknij oczy. No proszę cię, zamknij.

Zamknęła.

Chyba w całym życiu nie dotykała niczego tak miękkiego. Może tylko kiedyś, dawno, dawno temu. Tak miękkie były chrapy konia.

– Wiesz, że od momentu, kiedy te owce, wyobraź sobie, nowozelandzkie, dają wełnę, do czasu, aż trafia ona na stół krawiecki, mijają niemal dwa lata i musi na to pracować kilkadziesiąt osób?

Otworzyła oczy. Nie mogła uwierzyć, że sukienka może być taka miękka.

– Naprawdę wspaniała – powiedziała – ale ja tu nie jestem prywatnie.

Popatrzyła mu w oczy. Surowo i zimno.

– No ależ oczywiście, masz do mnie sprawę, więc siadajmy. Ale

zobacz jeszcze, jakie tu mamy rasowe podłogi. To jest dąb ułożony w jodłę francuską. I zobacz te ściany, jaka szykowna sztukateria. No a kaloryfery? Jak z filmu o dziewiętnastowiecznej maszynie do podróżowania w czasie albo z Nautilusa. Znasz, prawda? Z tej książki Juliusza Verne'a. Wiesz, że pierwotnie kapitan Nemo był Polakiem? Uchodźcą po powstaniu. Wyobrażasz sobie? Verne zmienił ten pomysł pod wpływem swojego wydawcy.

Poprowadził ją do wielkiej, ciężkiej, rzeźbionej kanapy. Zdziwiło ją, że nie ma tam zbyt wielu luster. Właściwie było tylko jedno pod baterią świateł na pomalowanej na biało ścianie, która w dziwny sposób, łukiem, spływała na podłogę. Klin podłogi też był pomalowany na biało. Wzrok gubił się w przestrzeni pozbawionej kątów. I właśnie tam stało lustro w ogromnej ramie na kółkach. Poza tym wszędzie stały półki z książkami. Kilka wieszaków na ubrania. Książki były poukładane kolorami. Od tych w czarnych okładkach, potem czerwone, fioletowe, niebieskie i tak dalej. Według tego samego klucza posegregowane były ubrania na wieszakach. W odległym kącie stał długi stół pełen wykrojów. Był tam też komputer z dwoma ekranami.

Usiedli.

– Co cię do mnie sprowadza, kochana?

Westchnęła.

Wyszła godzinę później, doskonale rozumiejąc różnicę pomiędzy krawcem a projektantem i przekonana o wyższości krawca, który projektuje, nad projektantem, który samodzielnie nie szyje, ale zleca to zadanie wynajętym szwaczkom. Wiedziała już też, czym się różni sencha od herbaty, którą pijała na co dzień. Wiedziała, że moda na ciemnozielone kurtki z kapturem obszytym futerkiem bezpowrotnie minęła i że może marzenie o niej odłożyć na trzy, cztery lata. I miała adres oraz telefon Pawła Słupeckiego.

Tymczasem zaczęło padać. To już był śnieg z deszczem. Biegła do samochodu i myślała, że prognoza pogody nie kłamie. Wszyscy w tych gazetach i telewizjach kłamią, ale poziom wróżenia z kierunków wiatrów naprawdę się poprawił.

Zawróciła i pojechała tym razem prostą i szybką trasą przez most Śląsko-Dąbrowski. W radio przedstawiciel opozycji mówił o tym, że skończyła się w Polsce demokracja, że PiS dokonuje pełzającego zamachu stanu, głosując nocami przygotowane naprędce, zapewne na kolanie prezesa, ustawy, i że na zamachu na Trybunał Konstytucyjny zapewne się nie skończy.

„«Oni chcą zlikwidować trójpodział władzy, a my nie możemy do tego dopuścić». «Co zrobicie?» – pytała napiętym z emocji głosem dziennikarka. «Będziemy protestować na ulicach. Liczymy też na wsparcie instytucji europejskich powołanych do pilnowania demokratycznych zasad. Słyszała pani redaktor o artykule siódmym? Nigdy go nie zastosowano, ale nawet Orbánowskie Węgry nie posunęły się tak daleko jak PiS. Taka postawa zagraża naszej obecności...»”.

Wyłączyła się i zagapiła, jak dwie starsze kobieciny próbowały skakać przez kałuże, żeby się dostać do autobusu 190. Gdzieś ponad nimi, wysoko, na ścianie kościoła Świętej Anny ciężkie, grube krople deszczu ze śniegiem spływały po twarzy Czarnej Madonny. Po drugiej stronie król Zygmunt wydawał się chudy jak patyk. Jakby i on był chory. Kobiety jakoś weszły na pokład i wszystko powoli ruszyło. Jezu, uchronń mnie przed starością, pomyślała Serbia. A Szymon nie dzwoni. Na pewno chce, żebym to ja zadzwoniła pierwsza. Ale ja będę twarda. Ruszyła. W tunelu było sucho. Szkoda, że to tylko chwila. Po drugiej stronie Starego Miasta deszcz jeszcze przybrał na sile. Co za popieprzona pogoda.

W firmie wrzuciła tego Słupeckiego do przeglądarki. No nic

wielkiego. Punkty za przekroczenie prędkości. I znowu za to samo. Jakiś fotoradar... Wszystko na południu Polski. Lubisz jeździć w góry, co? Prezesie w dupę kopany. Kiedy usłyszała, ile kosztowała ta sukienka, musiała wyglądać na zaskoczoną, może nawet zbladła, bo Arek poprosił Aleksandra o przyniesienie czekolady. Nigdy nie jadła czekolady z grubymi ziarnami soli i chilli. Podniebienie piekło ją do tej pory. Jak można wydać na sukienkę równowartość dwóch i pół pensji? Ile taki Słupecki musi mieć pieniędzy?

Pomyślała, że warto poprosić prokuratora, żeby ściągnął dane o majątku pana Słupeckiego. Tymczasem wrzuciła nazwisko do zwykłej przeglądarki. Oj, było ich sporo. Historyk zajmujący się wilkołakami i innymi mitami średniowiecznymi, producent filmowy i telewizyjny, właściciel firmy budowlanej ze Śląska. A potem kolejny Słupecki. Członek zarządu NextProfile.

Kliknęło.

Zaczęła szukać po kieszeniach notatnika. Powinna tam mieć kartkę od tego Svena, czy jak mu tam było, z listą firm farmaceutycznych, które mogą zajmować się badaniami nad nowym środkiem przeciwbólowym. No jasna cholera. Normalne kobiety noszą przeciw torbki. Powinna była kupić torbę. Wielką, nieekologiczną torbę z brązowej skóry, zszytą pomarańczową nicią na grubym pasku na tyle długim, żeby mogła się obijać o dupę jak w porządnym amerykańskim filmie. Jest! Był w kurtce. Przetrzęsnęła strony i znalazła kartkę od Svena.

Przejrzała listę i pomyślała, że wreszcie, kurwa, jest w domu. I że łatwo poszło. A jeśli idzie łatwo, to nie jest dobrze. „Bez pracy nie ma kołaczy” – mówiła matka. Jezus nie lubi leni. Jeśli sprawy załatwiają się jakby same z siebie, to muszą mieć jakiś związek z diabłem. Strzeż się, Olga. Strzeż się.

Spojrzała na zegarek. Szesnasta trzydzieści dwie. Cholera jasna,

może zadzwonić do tej firmy... jaki tam jest adres... zajrzała do komputera. Na Mordorze. Daleko. Zanim tam dojedzie, będzie siedemnasta, zanim zaparkuje – jeszcze później. Nie no, pojechałaby służbowym, więc mogłaby się zatrzymać gdzie bądź... Ale czy powinna tam teraz jechać? Mogłaby pojechać i poprosić o rozmowę. Powiedziałaby mu, że wie o tym, jaką sumę wydał na sukienkę, w której znaleziono martwą kobietę N.N. nafaszerowaną środkami, które być może bada jego firma. Suma ta sugeruje, że mogli być kochankami. Tym bardziej, że dziewczyna nigdy nie pojawiła się u krawca czy tam projektanta. U Arka. Uśmiechnęła się lekko. Jej sweter wciąż pachniał czymś niebywale melancholijnym. Wełna wciągnęła zapach pracowni.

Powąchała rękaw.

No tak. Wciąż to czuła, mimo że tutaj, w fabryce, panował ciężki zapach środków dezynfekujących i old spice'a.

W każdym razie dziewczyna nie była w pracowni. Prezes wszystkie wymiary przyniósł w formie, o jaką prosił projektant. Wymierzył ją. Mówił, że sukienka ma być niespodzianką. A jeśli niespodzianka, to dziewczyna nie mogła wiedzieć, że zdejmuje z niej miarę. Więc zrobił to, kiedy spała. Ergo byli kochankami. Albo była jego córką. Albo żoną. Nie... Nos mówił Serbii, że kochanką.

Ale dowodów nie miała. Nie miała też dowodów na to, że NextProfile bada te cholerne substancje... jak one się nazywają? Sięgnęła do notesu „fentanyl i hydromorfon”. Jeśli ma z nim porozmawiać, to powinna znaleźć dowody. Jeśli o nic go nie podejrzewa, powinna zadzwonić i ustalić tożsamość tej kobiety. Kurwa mać, Kosiński. Jesteś mi potrzebny.

Sięgnęła po telefon i wykręciła numer stacjonarny ze strony internetowej.

– NextProfile. – Usłyszała miły głos już po trzecim sygnale.

– Dobry wieczór, nazywam się Olga Su... walska i chciałam zapytać, czy mogę rozmawiać z prezesem Słupeckim.

– W jakiej sprawie pani dzwoni? – Olga mogłaby przysiąc, że tamta zapisuje jej nazwisko na jakimś papierze.

– W sprawie, o której chciałabym podyskutować z panem prezesem osobiście. Spotkaliśmy się ostatnio na sympozjum dotyczącym środków farmakologicznych i zdaje się, że mam pewien pomysł do przedyskutowania. Połączy mnie pani?

– Zapiszę, że pani dzwoniła. Pan prezes jest w górach. Wraca... – Olga usłyszała szelest papieru – w piątek. O dwunastej jest spotkanie zarządu, a więc będzie obecny. Proszę zadzwonić kwadrans przed południem.

– Ale w piątek jest święto – powiedziała – Trzech Króli.

– No nie wiem... ja mam tak zapisane.

Serbia odchyliła się do tyłu. A więc mam dwa dni, żeby coś znaleźć.

Wykręciła numer do Kosińskiego.

– Jak tam, młody?

– Dobrze, dojechaliśmy do Łodzi, jak zaczęło padać na całego. Za pół godziny będę w Warszawie. Chcesz się spotkać?

– Sama nie wiem. Może dobrze by było wszystko przegadać. – Nie chciała mówić Kosińskiemu o tym, jak się martwi, czy zechce wrócić do służby. – Zwolnienie masz, kuruj się.

– Bo gdybyś chciała, to chętnie wypiję piwo, które mi postawisz.

– Mam jeszcze coś do załatwienia – ucieszyła się. – Zobaczę, jak mi pójdzie, i oddzwonię, okej?

Został jej telefon do Szymona. No i trzeba znaleźć szewca na Starym Mieście. Wpisała do wyszukiwarki „szewc” i „Stare Miasto Warszawa” i wyświetlił się jej tylko Jan Kiliński. To nie wróżyło

najlepiej. Zadzwoiła do archiwum. Tak. Mogli jej pomóc. Tak, mieli to, czego szukała. Zanim zeszła na dół, wpadła jeszcze do kolegów pogratulować im aresztowania pedofila. Dostała kawałek ciasta. Prawdziwy makowiec, czarny i ciężki, a nie te napakowane bułą nigdy niepsujące się produkty z supermarketu.

W archiwum czekała na nią książka: „Spis telefonów Miasta Stołecznego Warszawy 1969/1970”. Czerwona okładka. W prawym górnym rogu godło miasta. Pachniała szarym mydłem. To dziwne. Przekartkowała kilka stron. Były szorstkie i twarde. Nawet nie szare, tylko jakieś bure i odpychające. Numery prywatne, numery urzędów, rzemieślnicy... Szewcy. No i jest. Nowak Jan. Brzozowa. No mam cię, panie szewcu, pomyślała. Jeśli na Brzozowej, wiem, kto cię znał, i wiem, kto cię pamięta. Uśmiechnęła się do siebie. To musiał być znak. Dawno nie była na Starówce. Zbyt dawno, a przecież wiedziała doskonale, że to, co istnieje, nie jest na zawsze. I że ludzie nie są wieczni. Ani źli, ani dobrzy. Ten, o którym myślała, był dobrym człowiekiem. Poznali się przypadkiem. Szły z Anką na Rynek od dołu od przystanku na Wisłostradzie. Boleść. Co za nazwa dla ulicy? Było piękne słońce, przeszły przez sad owocowy. Kiedyś musiało tutaj być zupełnie inaczej. Usłyszała stukanie stali o kamień. A potem zobaczyły starego człowieka w okularach jak denka butelek, całych zakurzonych. Miał przed domem kawał skały i rozłupywał ją dłutem i młotem.

– Co pan lobi? – zapytała Anka.

– A strugam sobie ptaka z kamienia – odpowiedział. – Jak chcesz, to pokażę ci swoje koty.

Wpadała tam czasami. Kupowała wino i szła posiedzieć w ogrodzie. Posłuchać opowieści o tym, jak się z kamienia rodzi wieczność. Tak mówił.

– Nie wiem, skąd mi się to bierze, ale mam taki impuls, żeby

wyrzeźbić wieczność.

Kiedy zabrakło już Anki i wyszła ze szpitala, i nie miała z kim gadać po pracy, chodziła byle gdzie, żeby patrzeć na ludzi. Schodziła schodkami ani pijana, ani trzeźwa. Ani żywa, ani umarła. Przekładała papiery w pracy z kupki na kupkę. Szukała miejsc, które się nie zgadzają. Chciała wrócić. Wtedy było już chłodno. Może nawet zbierało się na deszcz. A może nawet padało, bo kiedy stanęła przed nim, pomyślała, że nawet kamień płacze, taki mokry. A ona nie potrafi. I już nigdy nie będzie umiała. Że taka właśnie jest cena. Nie zapominasz. Czas nie leczy z takich spraw. Po prostu twardniejesz w tych miejscach, które są potrzebne, żeby przytulać. Po prostu już nie pragniesz.

– Chodź, dam ci herbatę z prądem – powiedział po prostu.

Przytulił ją, a ona nie zaprotestowała.

Tego dnia przyznała mu się, że nie ma już dziecka. Przyszedł i objął ją ramieniem. Nie powiedział ani słowa. Pozwolił jej się wypłakać. Więc płakała, aż koty zaczęły ocierać się o jej nogi. Nie wiedziała, czy to te same koty co przed laty. Ale płakała tak bardzo, że przecież nie mogła nagle przestać.

A potem obtarła nos grzbietem dłoni i powiedziała, że jest policjantką.

– Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, co? – Nie miała nic innego. Nie była już matką. Nie była żoną. Nie była już piękna. Była tylko policjantką.

– Dla mnie to nic nowego – powiedział. – Miałem sąsiada ubeka. Zaśmiał się. Nie musiał udawać.

– Ja jestem z innej policji. Z kryminalnej.

– Strzelałeś do kogoś?

– Nie, tylko na strzelnicy.

– Kiedyś może będziesz musiała. Wtedy nie możesz się zawahać. Wtedy liczy się to, jak jesteś wyszkolona.

– Wie pan coś o tym?

– Akowca z Litwy pytasz, czy wie? No wiem. Na bagnety szliśmy z Wehrmachtem. On miał bagnet na karabinie i ja też.

– Był pan lepiej wyszkolony?

– Tak... byłem lepiej wyszkolony. Miałem dziewiętnaście lat. On może miał tyle samo. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Potem uderzył. Zrobiłem krok w tył, trafił w udo. A ja jego w serce. Bagnet utknął między żebrami. Upadłem na niego. Może dzięki temu żyję, bo strzelali.

– A potem?

– Potem musiałem wyrwać bagnet. Nie wychodził. Jak się zatrze między żebrami, to nie wyciągniesz. W końcu się przemogłem. Oparłem na nim nogę i tak wyrwałem... Doszedłem do swoich. Myśleli, że stchórzyłem. Że uciekałem i spodnie rozdarłem o krzaki. A ja już tyle krwi miałem w bucie, że nie mogłem stać. Zemdlałem. Kiedy się obudziłem, byłem już obandażowany. Z uda leci dużo krwi, wiesz...

Była mu wdzięczna, że o nic jej nie pyta. Że piją tę herbatę z wiśniówką i że jej opowiada.

– Musisz być lepiej wyszkolona. Pamiętaj. Kiedy patrzysz w oczy komuś na śmierć i życie, liczy się tylko to, czy trafisz w serce.

– Olga, a ty co? Dobrze się czujesz?

Podniosła wzrok. Przebudziła się z zamyślenia. Ciągle w tym policyjnym archiwum. Oddała książkę i życzyła im szczęśliwego nowego roku. Żeby się nie odchudzali za bardzo, bo kto wtedy zadba o godną postawę polskiej policji? Przecież nie wegetarianie.

Zadzwoiła do Szymona.

– Jak tam u ciebie?

– Smutno, bo nie dzwoniłaś.

– Nie dzwoniłam, bo nie chciałeś. Gdybyś chciał, to sam byś zadzwonił.

– Nie dzwoniłem, bo jesteś w phacy, nie chciałem ci przeszkadzać.

– A ty nie jesteś w pracy?

– Jestem i choćę posiedzę. Mam jakieś hozbabhane histohie sprzed miesiący. Czytam papiiehy, może coś przegapiłem.

– A ja znalazłam szewca – powiedziała nagle odprężona.

– Jakiego szewca?

– No szewca... Stare Miasto, zagadka z kościoła, zapomniałeś już?

– Nie... przekomarzam się tylko. Jechałem tym pociągiem i myślałem, co będziemy myśleli o sobie za pięć, dziesięć lat. Kim będziemy? Czy będziemy się jeszcze znali? Co będziemy mieli za sobą? A co jeszcze przed?

– Cokolwiek mamy przeżyć – powiedziała – nie marnujmy czasu. Czas nie jest na zawsze. Ludzie nie są na zawsze.

– Co ci się stało? Umahł ktoś?

– Nie, ostatnio nie... Tak mówię. Żebyśmy za te pięć lat przynajmniej wiedzieli, że nie zmarnowaliśmy wszystkich szans.

– Co masz na myśli?

– Dom w górach, kota, dziecko – powiedziała, po czym się roześmiała. – No nie, nie bój się, tak sobie gadam. Dobrego wieczoru. Jadę odszukać szewca.

– Weź bhoń – powiedział.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie. Może to jest histohia o skahbie, ale to jednak bandycki skahb. Weź bhoń. Inaczej nie pogadamy o kocie.

Usłyszała, że się śmieje.

– Pijecie tam w pracy?

– Tylko kawę. Bez mleka. Dużo cukru. Pa.

Wyszła w mrok. Teraz już nie było dobrze. Kozuch chmur był gęsty jak ryż, który jej babcia chowała pod płótnem, żeby nabrał wilgoci i lepił się, ziarno do ziarna, jak palce brudne od żywicy. Nie padało, ale chlapa zamarzała i ulice, oślinione gęstą papką, powoli zmieniały się w szkło. Samochody wlekły się niemiłosiernie, jak zawsze w tym mieście, kiedy warunki pogodowe zaczynały być choćby odrobinę trudniejsze. Na szczęście nie miała daleko. Zaparkowała na Podwalu. Niedaleko Kolumny Zygmunta. Taka pogoda, że nawet w okolicach Starego Miasta można znaleźć wolne miejsce. Pod murami, które w świetle latarni nabierały pomarańczowego odcienia, stał rząd kramów. Wciąż paliły się tam światła. Kupiła kawał domowej litewskiej kielbasy i nalewkę z wiśni spod lady. Mało klientów, można się było nawet targować. Poszła między ludźmi do pomnika Kilińskiego, potem do Rynku, w skos i do Kamiennych Schodków. I jeszcze niżej. Furtka była zamknięta. Wcisnęła dzwonek, a Maleszewski otworzył, nie pytając, kto tam. Obeszła kamienicę, a on czekał na nią przy jeszcze jednej furtce. Miał do pracowni osobne wejście.

– A to ty, Olu, nie byłaś u mnie z rok...

– Najwyżej pół.

Pocałowała go w policzek. Był jedynym facetem, któremu pozwalała mówić do siebie „Olu”. Poczekała, aż przesunie stół do kanapy. Widać było, że opuszczają go siły, ale nie pozwoliliby, żeby kobieta brała się do takich spraw. Czekala. Dotknęła kości mamuta i jakiegoś dinozaura, którego nazwy nie umiała zapamiętać. A potem czaszki olbrzymiego żółwia. Ankę zawsze fascynowała ta czaszka. A Zbigniew pozwalał jej się nią bawić.

– Ciekawe, czy przedmioty pamiętają, kto ich dotykał –

powiedziała.

– Japończycy uważają, że tak. Dlatego w ich ogrodach zen czasami nie ma drzew, ale są skały. Dotykasz kamienia, a kamień będzie cię zawsze pamiętał.

– A więc czaszka zółwia pamięta moją córkę...

Pociągnęła nosem. A potem wzięła z drewnianej deski kawałek kiełbasy. Pachniała czosnkiem i jałowcem. Litwini pamiętają, na czym polega sztuka życia. Wytarła nos i zapadła się w tej zabytkowej kanapie. Pili wódkę ze szklanek i zagryzali kiełbasą. Opowiedziała o szewcu. Że musi go odnaleźć. Że ma kwit.

– Nowak – rzeźbiarz pokręcił głową – znałem go. Pewnie. Nie żyje.

Cmoknęła z zawodem.

– Ale jeżeli masz kwit, nie wszystko stracone. Miał syna. To dziwna historia. Ten Nowak w czasie okupacji miał u siebie skrytkę. Zostawiali mu rzeczy na przechowanie. Narodowcy, komuniści, Żydzi. Taka konspiracyjna skrytka. Więc jeśli masz kwit, a on dobrze wychował syna, to może dostaniesz swoje buty. Wiesz, komu on buty robił? Rokossowskiemu, Bierutowi, Gomułce. Wszystkim tym skurwysynom. Wiem. Miałem ubeka za sąsiada. Opowiadał mi.

– Może kłamał.

– A może nie kłamał. To nie był zwyczajny ubek. Był w czasach Bieruta wiceministrem. Wyrzucili go, jak uciekł Światło. O tym Światle czytałaś, co? Bandyta jeden, nawrócił się. Ludzkość mu wybaczyła. Może i sam Pan Bóg mu wybaczył... No więc ten ubek mi mówił. Sąsiadami byliśmy. Kiedyś przychodzi z wódką i mówi: coś tam u ciebie w piwnicy taki dziwny dźwięk. Może to z samochodu z Wisłostrady, mówię. A on, że nie, to inny odgłos. Może słyszysz, jak ja w te kamienie uderzam? Nie, no ten odgłos przecież znam. Może to szczury, pytam, bardzo się teraz rozmnożyły. O nie, to nie szczury,

mówi on, to za bardzo regularny dźwięk. Może to tajna drukarnia Solidarności? – pytam. A on na to: o to, to. Dokładnie o to mi chodzi. Pracowała w mojej piwnicy ta drukarnia. Co miałem mówić?

– Wydał cię? – zapytała.

– O to samo się go zapytałem. A on mówi, że nie, nie wyda. Ale że szukają i pewnie znajdą. A jak mnie zamkną, powiada, to zaświadczy, że byłem dobrym sąsiadem.

– Ha, ha, ha. – Serbia poczuła, że nalewka rozpływa się w jej sercu jak miód.

– Ale to nie koniec – powiedział rzeźbiarz. – Jak on mi tak, to ja jemu mówię, że jak już przyjdzie wolność i na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści, to ja też powiem, żeby cię nie wieszali, bo byłeś dobrym sąsiadem.

Potem dał jej adres Nowaka. Podobno ten syn, Bolesław, ciągle tam mieszka. Pijak jeden. Czasami gra na gitarze gdzieś pod Kolumną Zygmunta, ale tylko latem.

WTEDY

W barze hotelu Inna w Denpasar siedzieli w głębokiej niszy obitej ciemnozieloną tapetą. Po przeciwnej stronie bawiło się towarzystwo. Mężczyźni wysocy i szczupli, kobiety bardzo grube, obwieszane biżuterią, jakby obrobiły miejscowe muzeum. Holenderskie hrabiny. Hałaśliwe i rozgęgane.

– No i co z tą świętą górą? – zapytał Jasiński. Trochę dlatego, żeby się przymilić. A trochę dlatego, że pułkownik opowiadał ciekawie. Wyglądało na to, że naprawdę się znał na tych balijskich wierzeniach.

– Mówiliśmy o kierunkach. *Kaja* i *kelod*. Odróżniają je, oczywiście w porządku sakralnym, rozumiesz, prawda? – podjął Markowski. – Bo normalnie przecież wiedzą, gdzie wschód, a gdzie zachód.

– Kurwa, przeklinać lubię, ale przecież na KUL-u studiowałem – odparł Jasiński.

– Nu da, studiował – powiedział z uśmiechem Rusek.

– No więc w porządku sakralnym są dwie strony świata. *Kaja* – zła. I *kelod* – dobra, w kierunku góry. Tu jest tylko jedna góra. Gunung Agung. Ludzie wierzą, że to góra, która dała początek światu i może być przyczyną jego końca. Żeby koniec świata nie nastąpił, konieczne są modlitwy i rytuały. W każdej wiosce są przynajmniej trzy świątynie. Ta najbliższej góry należy do Brahmy, czyli Stworzyciela, ta w centrum wsi do Wisznu – Wspomożyciela, a ta najbliższej morza do Sziwy, czyli Niszczyciela. Każda świątynia ma kilka dziedzińców

oddzielonych symbolicznymi wrotami, których strzegą posągi gnomów i Baronga, smoka, który może powstrzymać zło.

– Skąd pan to wszystko wie, pułkowniku? – zapytał zdziwiony Jasiński.

– Wykładam czasami na takich uczelniach, jakie ukończyłeś – odparł z uśmiechem Markowski. – Wiesz, do naszej roboty nie biorą byle kogo. Każdy musi mieć jakąś specjalną umiejętność. Ja umiem przekonywać ludzi, że to, co im proponuję, jest dobre dla świata. Wiedza się przydaje.

– Ja umiem strzelać – powiedział Jasiński.

– Ja też. – Pułkownik wychylił whisky do dna. – Ale to za mało, żeby być kimś w tej robocie.

– Umieję też być cierpliwym. – Jasiński wypił swoją.

– A ja umieję wytrzymać ból – powiedział Rusek. Wypił i strasznie się skrzywił.

Kapitan milczał. Pomyślał, że potrafi milczeć, kiedy trzeba. I słuchać, kiedy należy.

Rozmowy poszły dobrze. Skoro Brytyjczycy udzielili brunejskiej rodzinie panującej pomocy w obaleniu demokratycznie wybranej Partii Ludowej, to znak, że Indonezja nie może zasadzać swojej niepodległości na związkach z Anglią, Holandią czy Ameryką. Powinna kupować broń w Związku Radzieckim i w Polsce. Wysłannicy rządu w Dżakarcie zainteresowali się karabinami oraz projektem pływającego transportera opancerzonego. Dla kraju, w którym jest siedemnaście tysięcy wysp, byłaby to doskonała broń.

– Kanikuły, kanikuły i po kanikułach – powiedział następnego dnia Rosjanin.

Instrukcje były proste. Jasiński i kapitan wracali do Dżakarty pierwszym samolotem. Nie opuścili nawet lotniska. W zamkniętej strefie ktoś z ambasady wręczył im niemieckie paszporty inżynierów

pracujących dla brytyjsko-holenderskiej firmy Shell, z którymi wylądowali w Singapurze. Tam przesiedli się do samolotu do Lutong. Lotnisko wciąż działało. Polityczne spory o ustrój Brunei nie mogły przecież powstrzymać zachodnich korporacji. Ropa była potrzebna światu, dolary były potrzebne malajskim i brunejskim politykom.

Na obecność dwóch kolejnych inżynierów, specjalistów od układów elektrycznych w przepompowniach, nikt nie zwrócił szczególnej uwagi. Nikt też nie zwrócił uwagi na to, że zamiast do autokaru, jak dwudziestu pozostałych pasażerów, oni dwaj wsiedli do odrapanego busa z napisem „Seksi 1”. Ochrona pasa startowego Lutong uznała, że najwyraźniej awaria musi być poważna, skoro nie było czasu na to, żeby inżynierowie jechali do hotelu odświeżyć się po podróży. W busie upał panował niemiłosierny. Zabójczy. Kapitan pomyślał, że tak pewnie musi być w rosyjskiej bani. Ale z bani możesz przecież wyskoczyć prosto do rzeki. A tutaj nie było nic oprócz lasu. Kurwa. Południowy skwar w samym środku lasu deszczowego. Odkąd zjechali z asfaltu, było jeszcze gorzej. Silnik wył na drugim biegu, a droga którą jechali, była pełna dziur i kałuż. Nie miał pewności, czy to pora deszczowa, czy tu po prostu zawsze, do jasnej cholery, leje i leje. Jechali szutrami godzinę i dwadzieścia minut. Potem kierowca zatrzymał samochód i wskazał im ścieżkę.

– Rzeka – powiedział – jest tam. W łodzi macie sprzęt. Nie jest nowy, ale dacie sobie radę. Instrukcje są w kopercie. Czytacie i palicie. Czekałem dwadzieścia cztery godziny, a potem odjeżdżam. Jasne?

Pokiwali głowami. Szli z dziesięć minut ścieżką w dżungli. Nie martwili się, że ją zgubią. W lesie ścieżka jest tam, gdzie dasz radę przejść. Łódź kołysała się na rzece uwiązana do zarośli. Miała ze cztery metry długości. Wąska, blaszana, odrapana. Ale silnik był nowy. Szyper nie podniósł na nich nawet wzroku. Zaprosił ich

gestem, żeby wsiedli. Nie jest łatwo wskoczyć do łodzi, kiedy musisz wyciągać nogi z głębokiej czarnej mazi zalegającej takie bagnisko. Ale kiedy już im się udało, tubylec dał im po kawałku jakiegoś placka. Był rozmiękły i słodki. Żuli w milczeniu, czytając instrukcję. Malaj odwiązał sznur i ściągnął go, a następnie odepchnął łódź od namorzynów i zapuścił silnik. Dżungla zaczęła przesuwać się kapitanowi przed oczyma coraz szybciej i szybciej. Przebrali się w długie, znoszone miejscowe szaty i pozwolili Malajowi, żeby owinął im na głowach materiał w kształt niewielkich turbanów. Tyle musiało wystarczyć za cały kamuflaż. Potem kapitan wreszcie zasnął.

Obudziło go szturchnięcie w ramię.

– Dyrektorze, nie śpij pan, jesteśmy w kinie. – Jasiński szczyrzył zęby w uśmiechu.

Kapitan podniósł się i zobaczył tysiące kolorów. Płynęli bez pośpiechu środkiem burej, powolnej rzeki, gęstej od osadów, które wlokła do oceanu przez całą dżunglę. Płynęli w cieniu tysięcy domów wzniesionych na palach w korycie rzeki. Domostwa wisiały im jakieś dwa metry nad głową, a oni przeciskali się pośród łodzi wyładowanych owocami, koszami ryb i skrzynkami pełnymi ptaków.

– *Iban girls going for market* – powiedział tubylec, wskazując głową kobiety w kolorowych szatach i charakterystycznych kapeluszach przypominających czerwone, plecione kaski. Wiosłowały cierpliwie. Ich łodzie nie miały silników. W innych łodziach siedziały kobiety o dziwnych uszach, ich płatki były rozcięte i wydłużone tak, że tworzyły długie wisiory. Niektóre sięgały im aż do ramion. – *Dayak woman going for market* – dodał sternik. – *Kampung Ayer* – powiedział, pokazując ręką domy dookoła – *big, very big city*.

Domy łączyła sieć drewnianych pomostów o szerokości metra. Na wysokich palach leżały jedna przy drugiej wypaczone wilgocią deski. Nie było nad nimi poręczy ani balustrad. Chłopcy stali na trzciniowym

dachu i rozwijali linkę z wielkiego kłębka. Na jej końcu kołysał się wielki, kolorowy latawiec.

– *Layang, layang* – powiedział Malaj.

W nagrzanym, nieruchomym powietrzu latawiec wyglądał jak ważka.

Do wieczora przesiedzieli w cieniu meczetu, który też zbudowany był na palach. Jedli suszoną rybę i owoce kupione wprost z przepływających łodzi. Tuż przed zmierzchem zerwał się wiatr i zrobiło się chłodniej. W nocy podpłynęli na wiosłach w kierunku większej oświetlonej chaty. Stały pod nią na uwięzi szybkie, smukłe, motorowe łodzie policjantów. Po otaczającym dom pomoście chodził wartownik. W rogu budynku na balustradzie zamontowany był reflektor szperacz. Musieli więc podpłynąć od przeciwnej strony. Strażnik był wyraźnie znudzony. Tutaj nigdy nie działo się nic wymagającego interwencji miejscowej policji. Co innego w okolicach pałacu sułtana. Tam czasami zbierały się demonstracje komunistów. Ale nigdy po nocy. Nie jest dobrze pływać nocą po rzece. Duchy się wówczas gniewają.

Doczekali się, ale dopiero przed północą. Podpłynęli bezszelestnie i zanim przecięli linki policyjnych łodzi, oblali wnętrza ich kadłubów ropą i podpalili. Potem podłożyli ogień pod sam komisariat.

Policjanci wybiegli na pomost po dwóch czy trzech minutach. Płonące łodzie płynęły z nurtem, objijając się o pale domostw stojących im na drodze, i roznosiły płomień, bo suszące się pod podłogą rybackie sieci zajmowały się natychmiast.

– Kurwa, nie tak miało to być – wściekł się kapitan i sięgnął po kałasznikowa.

– Co pan robi? – Jasiński próbował go powstrzymać. – Spierdalamy!

– Ludzie się spalą.

Kapitan zaczął strzelać w powietrze. Ich sternik szarpał się z linką silnika, policjanci biegli już po pomostach. Strzelali. Jasiński sięgnął po broń. Stał na łodzi, żeby lepiej przymierzyć, silnik zaskoczył, szarpnęło i wypieprzył się do wody.

Policjanci biegli, strzelając, ale płomienie blokowały im drogę.

– Kurw...

Jasiński na chwilę wypłynął. Szamotał się w tym malajskim ubraniu, bił wodę rękoma, ale po sekundzie poszedł na dno jak kamień. Kapitan zrozumiał: ten pieprzony chuj nie umie pływać! Odrzucił broń i skoczył, tak jak stał. Rzeka była gęsta, czarna i cicha. Oplotła go chłodem i to było zadziwiająco miłe. Otworzył oczy. Wszędzie mrok. Nie widział Jasińskiego, choć był przecież w miejscu, gdzie ten powinien jeszcze unosić się w toni. Płomienie gdzieś nad powierzchnią buchnęły mocniej, bo nagle nad głową mu poczerwieniało i wreszcie kapitan zobaczył unoszące się ku niemu pęcherzyki powietrza. Zanurkował. Jasiński szedł na dno jak stary dzwon. Szamotał się. A to nie pomaga. Nigdy nie pomaga. Kapitan pamiętał lekcje pływania, ważne żeby się nie dać topielcowi omotać. Podpłynął od tyłu, chwycił Jasińskiego za kołnierz i pociągnął go do góry. Wypłynęli.

Kurwa jego mać!

Łodzi nie było.

Płomienie stały wokół jak las nad rzeką. Pomarańczowe, żółte, jakie chcesz. Huczało, ale przez huk płomieni słyszał wrzaski kobiet i płacz dzieci. No i strzały. Byli w tej wodzie widoczni jak żaby nadmuchane przez słomkę. Kiedy był dzieckiem, lubił patrzeć, jak zdychają. Niektóre nie zdążyły i ptaki dobierały się do nich żywcem. Jasiński żył. Chwytał powietrze jak rozjechane kocię. Szamotał się.

– Spokój, kurwa! – Kapitan otoczył mu szyję ramieniem od tyłu. – Jeszcze raz jękniesz, to uduszę.

Zaczął go holować w cień najbliższej chaty. Ogień tu nie dotarł, więc panował mrok. Ale dookoła trwało piekło. Kilkanaście domów płonęło niczym monstrualne pochodnie. Ludzie lecieli z pomostów do wody. Kapitan nie wiedział, czy żywi, czy tylko ich spalone ciała. Zresztą kto się szamotał w wodzie, ryzykował, że dostanie kulę. Policjanci byli coraz bliżej. Pod chatą, pod którą wpłynęli, na sznurach wisiały dwie łodzie. Jedna, szeroka i krótsza, wyglądała na rybacką. Druga była bardzo wąska i długa. Dłuższa niż cały ten dom. Miała z pięć, może sześć metrów i dziób w kształcie smoka.

Jasiński uczeplił się obiema rękami liny, na której wisiała. Charczał i rzygał na siebie najpierw żarciem, a potem już tylko żółcią.

– Dobrze, chuju, będziesz żył. – Kapitan przytuliliby go, gdyby nie te rzygowiny.

– A co teraz? – wychrypiał topielec.

– No nic, kurwa, czekamy, aż się uspokoi.

– Spierdolił? – Jasiński doszedł do siebie na tyle, żeby mówić. Ręką obtarł gębę z wymiocin.

– Może nie, przecież to nie jest zwykły rybak, tylko oficer ich wywiadu, tacy jak my nie spierdalają z byle powodu.

Kilka metrów od nich do wody wskoczyła kobieta z dzieckiem. Poszła na dno jak kamień, ale zaraz wypłynęła. Utrzymywała się na wodzie nie wiadomo jak, bo dziecko trzymała kurczowo obiema rękami. Ledwo wypłynęła, a ktoś posłał w jej kierunku serię z karabinu.

– *Jangan tembak* – krzyknęła wysokim głosem. – *Jangan tembak*.

Jeszcze jedna seria, ale już obok.

– *Mari sini!* – dobiegło ich skądś spoza płomieni.

Kobieta zaczęła płynąć na plecach w kierunku ognia. Wokół robiło się coraz bardziej gorąco.

– No ale tu jest, kurwa, piekło.

Jasiński doszedł do siebie. Kapitan pomyślał, że ten chuj natychmiast zapomina, kiedy coś spieprzy. I że nie podziękował. W sumie trochę żałował, że za nim skoczył. Przecież to wredny, bezduszny typ. Nikt by po nim nie płakał. Ani towarzysze, ani ta jego jakaś chujowa rodzina. Nie podziękował, jebany, a teraz przez niego obaj zdechną od tego dymu. Albo wypierdoli w kosmos jakaś beczka ropy i spalą się tutaj żywcem.

– Tak, kurwa, jesteśmy w piekle i to twoja wina.

– Oj tam, zaraz wina. – Wyszczrzył zęby. – Potknąłem się i tyle.

Słysząc było krzyki ludzi, huk płomieni, jakieś odległe dzwony. Wystrzały. Policjanci pruli gdzie popadnie. Pewnie na oślep.

– W sumie akcja nam się udała – powiedział kapitan, nie tracąc rezonu.

Gdzieś z tyłu, od strony wolnej od ognia i dymu, doszedł ich przeciągły świst. Ktoś płynął łodzią, odpychając się od dna długim drągiem. To musiał być ich człowiek.

– Dawaj, podholuję cię.

Kapitan wziął Jasińskiego na plecy i popłynął.

Odплыnęli szybko i w samym środku Kampung Ayer znów zaczęli strzelać z kałasznikowa Jasińskiego. Nie celowali w nikogo. Chodziło tylko o hałas. Mieszkańcy usłyszeli, że powstanie Azahariego, przywódcy Partii Ludowej, jeszcze się nie skończyło. W serca biedoty powróciła nadzieja na własne, ludowe, rewolucyjne państwo. Zdażyli tam i z powrotem w osiemnaście godzin.

Jasiński sądził, że wrócą od razu do Europy, ale przystąpienie Indonezji do konfliktu brunejskiego po stronie Partii Ludowej spowodowało eskalację konfliktu z Malezją. Dostali rozkazy, żeby zostać. Czekać. Tymczasem wojska brytyjskie rozbiły oddziały brunejskich powstańców i pozostały na terenie północnego Borneo „w

charakterze sił rozjemczych”. Malezja zapowiedziała powstanie federacji pod rządami Kuala Lumpur, a minister spraw zagranicznych Indonezji Subandrio zapowiedział, że jeśli Malezja chce niepodległości, to Indonezja będzie dążyć do konfrontacji.

Pułkownik był zadowolony. W zasadzie to właśnie był powód ich przyjazdu: sprawić, żeby Indonezja, największa siła w regionie, musiała powiedzieć tak albo nie. Skoro szykują się do wojny, to zechcą kupić broń.

Rozgrzały się dalekopisy w sprawie kontraktów zbrojeniowych dla radomskiego Łuczniaka i mogli wracać. Ale siedzieli jeszcze w barze. Teraz sączyli Singapore Sling. Podobno wszyscy bywalcy Dalekiego Wschodu są nim zachwyceni, ale Jasiński tęsknił za wódką. Slingi są dla pedałów, myślał. Ruskowi smakowało. Pułkownik mało pił. Opowiadał.

– Zawsze chodzi o równowagę. Amerykanie budują sojusz w Europie Zachodniej, my szukamy przeciwwagi na Pacyfiku. Oni posyłają Elvisa do Niemiec, my posyłamy rakiety na Kubę. Wszechświat trwa dzięki równowadze. Ona oznacza harmonię, zdrowie, dobre plony, radość i pokój. Ale świat nie stoi w miejscu. Jest nietrwały. Łatwo się rozpada. Dlatego co kilkadziesiąt lat balijska starszyzna wzywa lud do rytuału powszechnego oczyszczenia. Pielgrzymują do Besakih, matki wszystkich świątyń, by się modlić, tańczyć i odprawiać procesje. Jeśli zawiodą, to olbrzymi żółw Badawang Nala, na którego grzbiecie unosi się wszechświat, się przebudzi. A wraz z nim demony.

– A wtedy?

– Wtedy wszystko wyleci w powietrze.

– No to za co pijemy? – Jasiński sięgnął po swojego Slinga.

– Za Walerija Bykowskiego i za Walę Tiereszkową – powiedział Rusek.

– Nie znam – prychnął Jasiński.

– Poznasz, poznasz – powiedział tamten, ale niczego nie wyjaśnił.

Rano Jasiński zdążył jeszcze kupić kilka znaczków pocztowych z tego dalekiego państwa. Chciał wysłać kartkę, ale to było przecież zakazane. Znaczki były w czterech kolorach. Moskit kąsał kulę ziemską, a planeta broniła się przed malarią symbolem węża Eskulapa. Wystartowali z lotniska w Denpasar 9 marca o dwunastej. Dokładnie godzinę wcześniej kapłani rozpoczęli uroczystości oczyszczenia. *Eka Dasa Rudra* miały trwać jedenaście tygodni. Ale o jedenastej pięć, tuż po tym, kiedy zadźwięczały bębny i gongi, wulkan Gunung Agung plunął dymem. Kapłani zrozumieli, że uroczystość powinna być rozpoczęta trzy miesiące wcześniej. Jasiński siedział koło okna. Widział obłoki czarnego dymu, które wypływał w niebo Gunung Agung.

– Jebany Sziwa – mruknął.

Pomyślał, że to demon wyciąga po niego łapy. Ale jest słaby. Za słaby.

Mury świątyni Besakih znajdującej się na zboczach wulkanu drżały, lawa spłynęła, ale kapłani nie przerwali modłów. Odprawiali je nieprzerwanie dzień i noc w nadziei, że uda się jeszcze poukładać rozsypujące się w proch okruchy świata. W niedzielę, 17 marca, punktualnie o jedenastej wulkan eksplodował. Do zakończenia rytuałów brakowało dziesięciu tygodni i dwóch dni. Lawa zmyła do oceanu kilkanaście wiosek na wschodnim wybrzeżu. Osiemdziesiąt jeden tysięcy ludzi straciło dach nad głową. Około dwóch tysięcy straciło życie. Popioły przesłoniły niebo aż w dalekiej Ameryce. Góra była teraz o ponad sto metrów niższa. Ale nikomu z uczestniczących w rytuale nie spadł włos z głowy. Kapłani byli pewni, że to ostrzeżenie. Świat się nie rozpekł, ale demony były głodne. Chciały ofiary.

W czerwcu pułkownik ruszył do Indii i udało mu się przekonać władze tego kraju do zakupu transporterów SKOT. Tym razem Jasińskiemu trafiły się znaczki z bykiem, tygrysem i lwem. Do tej pory nie wiedział, że w Indiach żyją lwy.

Wrócili do Polski 13 lipca. Pułkownik czuł się źle. Kilka dni później zgłosił się do szpitala we Wrocławiu. Był chory. Lekarze nie umieli rozpoznać objawów. A kiedy już wiedzieli, było za późno, bo sami zarazili się już ospą.

Była to ostatnia epidemia ospy w dwudziestowiecznej Europie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

TERAZ

Chciała iść zaraz, natychmiast, żeby znaleźć syna szewca Nowaka i przynajmniej jedną zagadkę mieć już rozwiązaną, ale spojrzała na zegarek i stwierdziła, że to nie jest dobry pomysł nachodzić kogoś o tak późnej porze bez nakazu. Za dużo tłumaczenia. Zresztą czy to możliwe, żeby bezrobotny dorosły facet utrzymujący się z zapomogi, grania na gitarze i jakichś tam zasiłków nie wiedział, jak odpyskować, kiedy mu policja włązi na kwadrat bez kwitów? A może po prostu poczuła się zmęczona.

– Jak się masz, młody? – zadzwoniła do Kosińskiego.

– A no dobrze, w domu jestem, sprzątam, kurzu się nabierało. Popatrz, człowiek jest w szpitalu, mieszkanie puste, a kurzu się i tak nabiera.

– Nie wiem, o czym mówisz, ja tam ciągle jestem w domu a jakoś czysto mam.

– Widzimy się jeszcze dzisiaj? – Zdawało jej się, że usłyszała w jego głosie nutkę nadziei. Chyba się stęsknił.

– Wiesz co, nie mam siły. To był długi dzień. Jutro ci powiem, co i jak. Bądź w firmie rano. Sprawdź tę listę firm farmaceutycznych. Zwłaszcza NextProfile i tego ich prezesa. Zdaje się, że to może rokować. Sprawdzisz?

– Sprawdzę, oczywiście. – Był wyraźnie zawiedziony. – A ty dobrze się czujesz?

– Dobrze. Ale muszę dziś posiedzieć sama ze sobą. – Naprawdę poczuła się zmęczona.

– A z kim siedziałaś w święta?

– No sama, ale wiesz, jak to jest w święta. Ciągłe ktoś dzwoni i dzwoni. I jeszcze ten trup... Do jutra. – Nie miała siły się tłumaczyć.

Szła przez Rynek, opustoszały i cichy. Śnieg zaczął padać gęsty, ale nieśpieszny, jak w zwolnionym tempie. Gdyby jeszcze domy miały oświetlone okna, byłoby jak w bajce. Z Fukiera wyszły dwie piękne dziewczyny. Futra krótkie, kozaki długie. Pewnie trochę pijane, bo słyszała ich podniesione głosy.

– Więc mój nowy chłopak ma straszliwy poziom ADHD, no i do tego jest kompletnie zapatrzonej w siebie – mówiła ta w białym futerku – a poza tym, mówię ci, jest całkiem fajny...

Skręciły w Piekarską i Serbia więcej nie usłyszała. Przeszło jej przez myśl, że za chwilę wsiądzie za kierownicę, a przecież wypła. Nie... no niewiele. I nie miała daleko. Poza tym, do jasnej cholery, jest z policji. Odśnieżyła szyby, włączyła auto i usłyszała w radio stary hit Bajmu. „Zapinam płaszcz, wychodzę i nie pytaj mnie gdzie...”

Wróciła do domu bez przeszkód. Nocą, kiedy pada śnieg i nikomu nie chce się wychodzić z domu, Warszawa jest jednym z najlepszych miast do tego, żeby jechać przed siebie. W domu zrobiła sobie herbaty, usiadła przed komputerem i oglądała stare teledyski. Muzycy z tamtych czasów nie mieli wybielonych zębów, nie golili włosów pod pachami i chodzili w ciuchach wygrzebanych na jakimś pchlim targu. Ale śpiewali tak, że trafiało do serca. Rynkowski, taki szczupły w *Bananowym songu*, Krawczyk jak hollywoodzki gwiazdor we *Wróć do mnie*. Kora w *Krakowskim spleenie* piękna i smutna. No *Piechotą do lata* Bajmu. Zapomniała już, jaka to ładna piosenka.

Rano pobiegła. Taki trening jest dobry, jeśli trzeba pozbierać myśli. Biegła na Kępę Potocką. Miasto zaśnieżone i zimne, ale jakimś

cudem dobrzy ludzie zdążyli posypać chodniki. Przechodniów niewielu, godzina dobra chyba tylko dla tych, którzy wyprowadzają psy. A jednak zdawało się jej, że ktoś ją obserwuje, może za nią jedzie? Ale nie, to tylko złudzenie. Zresztą ciemno jeszcze, tylko autobusy jeżdżą. Ścieżka dookoła kanałku też była posypana, choć bardzo oszczędnie. Zwolniła. Nie mogła sobie pozwolić na żadne kontuzje. W słuchawkach leciała jej jakaś muzyka, ale ściszyła ją tak, żeby wsłuchiwać się raczej w swój oddech. Dzisiaj ważny dzień. Musi zidentyfikować tę dziewczynę. Pojechać do Mordoru i zapytać, czy ją znają.

Wróciła do domu, wykapała się, wypila kawę. Włosy nie zdążyły wyschnąć. Znowu będą jej się elektryzować od czapki. Będzie straszyć ludzi. Westchnęła. Związała je gumką. Wciąż mokre, ale do samochodu nie ma daleko. Kiedy weszła do fabryki, Kosiński ślęczał z nosem w komputerze. Chudy, przygarbiony, bledszy niż zwykle i jakiś jeszcze smutniejszy.

– Co ci powiedzieli? – spytała, po czym przytuliła go. Nie zdawkowo, tylko tak naprawdę serdecznie.

– Że, kurwa, może nie umiem za wiele, ale umiem przeżyć, a to w kryminalnej się liczy – powiedział i uśmiechnął się przy tym. Nie roześmiał się, ale uśmiechnął.

Jest dobrze, pomyślała, okres próbny właśnie się skończył. Będą się do niego przypieprzać, bo to nie jest miejsce dla jakiejś cioty, ale będzie już teraz swój. Będzie mógł pić wódkę z tej samej szklanki. Tak, to prawda... potrafił przeżyć. Nie każdy by potrafił.

Zrobiła mu kawę.

Pierwszy raz w życiu. Trochę wrzątku z elektrycznego czajnika rozlało jej się po blacie. Patrzył na to, ale nie komentował.

– Zrobiłam ci kawę, bo z jedną ręką nie możesz za dużo, co nie?
Wyszczерzył zęby.

– No, na przykład strasznie trudno się odlać – potwierdził.

Strzeliła go ściereczką przez łeb.

– Chuju boso! Gadaj lepiej, co znalazłeś.

Opowiedział jej o chemikaliach. O tym, jak szukał, dokąd dzwonił, ostrożnie, żeby nie połapali się, w czym rzecz, żeby nie zdradzić się z tym, dlaczego szuka, o rozmowach w Ministerstwie Zdrowia i telefonach do różnych swoich nerdów w instytucjach, o których istnieniu nie miała pojęcia. I rzeczywiście dowiedział się, że NextProfile pracuje z fentanylem i hydromorfonem. Mają zgody, prowadzą legalne badania. Pacjenci, głównie onkologiczni, podpisują wszystkie dokumenty, dostają za to pieniądze, pieniądze są dobre, a to ważne w onkologicznych sprawach, bo leczenie bywa kosztowne. Więc bez problemu znajdują chętnych do eksperymentów. Każdy woli darmową terapię, choć jeszcze niezatwierdzoną, niż taką, za którą trzeba płacić dziesiątki tysięcy i która daje kilka procent szans.

– A skąd znasz ludzi w ministerstwie?

– Ty masz swoich informatorów, ja mam swoich – powiedział poważnie. – Ja ciebie o takie rzeczy nie pytam, szefowo.

– O! Widzę, że wydorostałeś. – Pokiwała z uznaniem głową. – Pakuj dupę, jedziemy do tego NextProfile.

Wjechali windą, do której po spisaniu danych odprowadziła ich modna panna z recepcji. Miała kolczyki tu i tam i włosy zafarbowane na biało. Ale jej garsonka była bardzo konserwatywna. Żadnych ćwieków. Krótko obcięte, nieumalowane paznokcie. Szklanych drzwi za windą broniły zamki elektroniczne. Nad wejściem kamera. Zresztą w windzie też były. Za drzwiami była kolejna recepcja. Dwie dziewczyny. Jedna czarnoskóra.

Zupełnie jakby teraz było w dobrym tonie mieć jakiś akcent multi-kulti, pomyślała Serbia ze złością. W lobby leżał dywan. Okna były wielkie, od podłogi do sufitu. A za oknami Warszawa w budowie. Nikt

nie pracował, bo przyszła zima, ale wszystko było rozpiardolone, a jeden pas jezdni zajęty przez koparki. Korki ciągnęły się w obie strony.

Wyszła do nich wysoka, szczupła i elegancka kobieta w nieokreślonym wieku. Miała pięknie zrobione usta, policzki i pewnie nawet cycki. Nosila garnitur, który z miejsca zapachniał Serbii Paryżem. Olga odruchowo wyprostowała się i wciągnęła brzuch.

– Słucham – powiedziała tamta. Nie przedstawiła się.

– Podkomisarz Olga Suszczyńska. – Serbia pokazała jej legitymację.

– Kosiński – powiedział Kosiński. Nie wyciągnął blachy, bo musiałby sięgnąć po nią nie tą ręką.

– Doktor Jolanta Podlesicka – powiedziała kobieta z wyższością w głosie. – Słucham, o co chodzi?

– O morderstwo – powiedziała Serbia i zobaczyła kątem oka, że obie dziewczyny w recepcji wyciągnęły szyje. Zaraz wysła ploty w świat na jakimś Messengerze i będziesz, głupia dupo, miała swoje „słucham”.

– Przejdźmy do mnie. – Tamta spuściła trochę z tonu.

– Dla mnie z mlekiem, bez cukru – powiedziała głośno Serbia i nie ruszyła się z miejsca.

Kobieta zrobiła dwa kroki, zanim się obejrzała.

– No mów, kurwa – syknęła do Kosińskiego Olga.

Uniósł brwi.

– Mów, co pijesz – szepnęła.

– A dla mnie woda. Bez gazu – powiedział Kosiński odrobinę za głośno.

– Pani Margarito, poproszę – powiedziała doktor i udali się do

gabinetu.

W drzwiach przepuściła Serbię przodem.

Potem poszło już bardzo szybko. Serbia bez słowa rzuciła na stół fotografię denatki.

– O Boże! Dorota... – powiedziała doktor.

– Zna ją pani, to wiele ułatwia.

– Tak, pracowała tutaj, była asystentką mojego szefa...

– Słupeckiego.

– Tak.

– Była?

– Musieliśmy ją zwolnić dwa tygodnie temu.

– O... Z jakiego powodu?

– To tajemnica służbowa.

– A to sprawa o morderstwo. – Serbia wyjęła z kieszeni kopertę. A z niej zdjęcie z sekcji. Rzuciła je na stół.

Tamta zbladła. Siedziała bez ruchu i nawet nie patrzyła w kierunku zdjęć. Jakby miała nadzieję, że nagle znikną. Policzki jej poczerwieniały. Więc trochę życia jednak było w jej twarzy.

– Nie mamy wiele czasu, więc niech pani mówi, dobrze? – powiedziała łagodniej Serbia.

Usłyszeli stukanie do drzwi.

– Kawa dla państwa – powiedziała Margarita. Blondynka.

Serbia szybko zgarnęła zdjęcia ze stołu.

Potem wzięła filiżankę, wstała i podeszła do okna. Patrzyła, jak gdzieś między horyzontem a chmurami wznosi się w powietrze samolot. Dziwnie ciężki, powolny, jakby była szósta rano, a nie południe. Patrzyła, a pani Jolanta opowiedziała wszystko. Dorota Kowalska była dobrym pracownikiem. Nieprzeciętnie inteligentna, знаła języki, ukończyła renomowaną szkołę, była zaangażowana,

prawa ręka prezesa. Ale miała brata bandytę. A im zaczęły ginąć ampułki.

– Słucham?!

– Normalnie. Mamy bardzo ściśle procedury, jeśli chodzi o medykamenty, które badamy. To bardzo kosztowne i niebezpieczne preparaty. Okazało się, że giną. Kontrola wykazała, że giną od długiego czasu.

– Nie o to pytam. O tego brata.

– Kowal. No ten Kowalski. Zbigniew. Przecież pani wie. prostytutki, narkotyki, walki psów, podobno też walki ludzi. Uchodźcy, których przemyca, biją się za pieniądze na śmierć i życie gdzieś w prywatnych posesjach. Różne rzeczy o nim mówią. Nawet to, że jeśli zechce, to będzie brał udział w *Tańcu z gwiazdami*. Nie dowiedli mu niczego, ale to bandyta. No i jej brat.

Tak. Znała tę sprawę. Słynny Kowal, na którego nigdy niczego nie znaleziono. Pewnie gdyby redakcja „Wprost” mogła policzyć jego dochody, byłby w poczekalni do listy najbogatszych. Nikt mu nie mógł podskoczyć. Król deweloperów. Ostatnio znowu było o nim głośno w związku z aferą reprzywatyzyjną. A kiedy komisje wezmą się do innych miast, będzie o nim jeszcze głośniej. Parę razy wypłynął w Warszawie jako pasywny współnik. Nie jego ogródek, nie jego marchewka, ale króliki jednak jego.

– Więc to jego siostra...

– Nie mogliśmy postąpić inaczej. Ona miała dostęp do próbek.

– Nie baliście się Kowala? – Serbia patrzyła na ciemne, ołowiane chmury i na miasto oblepione śniegiem. Budynki za oknem były czarne. Świat zrobił się nagle czarno-biały. Nawet wszystkie te samochody w korku były szare albo czarne. Tylko jeden był żółty. Pewnie ford mustang. Pomyślała, że w korku musi palić tyle, co jej pensja. Podlesicka milczała. Miała zaciśnięte usta i splecione dłonie.

Knykcie całkiem jej zbieleły. – No mówże kobieto, bo naprawdę nie mamy czasu.

Nic. Żadnej reakcji.

– Kosiński, masz kajdanki?

– Po co kajdanki?

– Aresztujemy panią za utrudnianie śledztwa.

– Nie możecie. Nie macie nakazu, nie przedstawiliście mi zarzutów, ja niczego nie utrudniam. Powiedziałam wszystko, co wiem – mówiła powolnym, dobitnym tonem. Jak automat w GPS.

– Przypomnimy sobie na parkingu, co możemy, a czego nie. No niechże pani powie. Jak kobieta kobiecie. Inaczej przeprowadzę panią przez cały ten budynek przykutą do policjanta za ten jego opatrunek.

Podlesicka się uśmiechnęła. Serbia odetchnęła.

– Tak. Ja się bałam. Ale Paweł, pan prezes Słupecki, zna Kowalskiego. Powiedział, że bierze to na siebie. To przez tę znajomość Dorota dostała u nas pracę.

– A mówiła pani, że taka zdolna.

– Bo to prawda. Zdolna. Ale za taką pensję nie kupowałyby sobie sukienek od Glińskiego... Piękna dziewczyna. Złodziejka, ale naprawdę inteligentna.

– Sukienki Arka... – Serbia udała zdziwienie – rzeczywiście to spory wydatek.

– Zna go pani?

– Tak. Projektuje mi właśnie mundur na lato – odparła z uśmiechem. – Jest pani pewna, że to ona kradła te ampułki?

– Tak. Dostęp do nich ma niewiele osób. Zanim jej nie zatrudniliśmy, nic nigdy nie ginęło.

– Macie jakieś procedury, które pozwalają ocenić te ilości?

– Tak, ale nie znam szczegółów.

- Ale chodzi raczej o skrzynkę czy o kilka sztuk?
- Raczej o kilkadziesiąt sztuk – powiedziała pani doktor.

Serbia znowu spojrzała w okno.

- Podejrzewacie kogoś? – zapytała tamta.

Serbia pokręciła głową.

– Nie, nie podejrzewamy. Ale tego nie mógł zrobić normalny człowiek.

W sekretariacie poprosiła o telefon komórkowy do pana prezesa. O taki numer, który zawsze odbiera. Dziewczyny popatrzyły po sobie niepewnie.

- Proszę, proszę go przekazać – powiedziała Podlesicka.

Już z windy Serbia zadzwoniła do Grochowskiego z Wydziału do spraw Przeszłości Gospodarczej. Powiedziała co i jak. Że nie wchodzi w paradę, tylko chce potwierdzić tożsamość denatki. I że będzie uważać, a poza tym przecież nic nie wie o Kowalu i jego sprawach. I dopóki nikogo nie zabił, nie będzie jej obchodził.

– Może wolisz, żeby zrobił to ktoś inny? Mamy przecież specjalistów od takich powiadomień...

– Nie, muszę sama, muszę zobaczyć jego reakcję. On zna faceta, którego podejrzewam o morderstwo.

Dostała numer komórki Kowalskiego.

Zeszli na parking i po chwili wbili się w korek.

– A nie boisz się, że to ten prezes ją kropnął? – zapytał Kosiński. – Że ta pinda teraz do niego dzwoni i on ucieknie?

– To może być on. Ale nie ucieknie.

– Dlaczego nie?

– Jeśli to on, to nie ucieknie. Kowal mu nie pozwoli. On nie jest jak my. Nie obowiązują go żadne granice. Gnębi mnie coś innego...

– Że to się nie trzyma kupy, co?

- Co masz na myśli?
- Po co komu kilkadziesiąt ampułek?
- Dobrze myślisz. I masz jakiś pomysł?
- Mogłyby się przydać konkurencji.

Stali niemal w miejscu. Wszystko szare. Tylko autobus miejski był żółty, pewnie niedawno go umyli.

- Kurwa mać...
- Koguta wystaw. – Kosiński wzruszył ramionami.
- Najpierw zadzwonię. Chyba że chcesz się zamienić.
- Nie no, jedną ręką nie poprowadzę.
- A może wolisz do domu? Nie powinieneś być na zwolnieniu?

Nie odpowiedział. A potem pociągnął nosem i powiedział, że przecież cały czas siedzi w domu, bo właśnie jest na zwolnieniu.

- Kurwa, nie powinnam cię była ze sobą zabierać.
- To przecież nie było formalne przesłuchanie.

Wykręciła numer.

- No – powiedział gruby głos – kto mówi?
- Nie znamy się... – zaczęła.
- Widzę, że się nie znamy. Mówisz, kto mówi, albo się wyłączam.
- Policja. W sprawie Doroty.

Milczenie.

- Co narozrabiła?
- To nie na telefon.
- Co za policja?

Podala mu swoje imię, nazwisko i stopień.

- Sprawdzę i oddzwonię.

Niewiele się przesunęli, ale przynajmniej widać już było Galerię Mokotów w świątecznej dekoracji. Potem oddzwonił.

- Słyszałem o tobie. Ten wypadek z dzieckiem.

- Tak. To ja.
- Ty z kryminalnej jesteś. Co zbroiła?
- To nie na telefon, nalegam.
- Dobra. Przyjedź do Mario.
- Co za Mario?

– Mario T. Taki duży budynek naprzeciwko Centralnego. Jest tam klub Champions. Zamknięty akurat, ale akurat jestem w środku i oglądam sobie mecz. Sama bądź, dobrze?

Włączyła koguta i samochody zaczęły się przed nimi rozsuwać jak zamek błyskawiczny. Ulica była mokra i czarna. Zaparkowała przed głównym wejściem do Marriotta. Parkingowy natychmiast pojawił się przy drzwiach gotowy usunąć brudną, małą kłębę pomiędzy lśniących mercedesów i BMW, ale Serbia pokazała mu legitymację, zanim nawet zdążył otworzyć usta.

– Niech pan zadba, żeby nikt nie zastawił samochodu – powiedziała tonem doktor Podlesickiej.

Kosiński został w aucie. Miał tablet, więc się nudził nie będzie. Poszpera o prezesa w mediach społecznościowych. Serbia zapytała parkingowego o Champions. Wy tłumaczył jej, jak dojść.

- Ale dzisiaj nieczynne – powiedział.
- Dla kogo nieczynne, dla tego nieczynne.

Przeszła przez lobby i znalazła drogę pomiędzy fotelami po prawej stronie. Restauracja była zamknięta, ale kiedy zastukała, za szybą pojawił się jakiś osiłek i otworzył drzwi.

- Szef kazał, żeby pani nie nagrywała – powiedział.
- Obiecuję, że nie będę.
- Sprawdzić kazał.
- Spierdalaj.
- To niech pani stąd idzie. – Spróbował wypchnąć ją za drzwi.

Delikatnie, ale stanowczo. Pokazała mu zdjęcie Doroty.

– No, kurwa, co?! Co mam nagrywać?

Skinął głową, żeby szła.

Kowalski siedział przed wielkim ekranem, ogryzał skrzydełka kurczaka i obserwował walki MMA.

– Siadaj – powiedział. – Weź sobie coś do picia. Albo może coś zjesz? Mają dobrego łososa po chińsku. Albo ostre skrzydełka.

Usiadła. Miał krótko ostrzyżone, siwe włosy. Szczupłą twarz, okulary w złotych oprawkach, dobry szary garnitur i nie nosił łańcucha ani sygnetu.

– Ile pan ma lat? – zapytała.

– Dość. Jest nas dwanaścioro rodzeństwa. Dorota jest najmłodsza. Nie mamy ze sobą dobrego kontaktu. Zobacz, zobacz teraz, zobacz, co to będzie za uderzenie! Aaaach! Wiesz, te chłopaki beze mnie kompletnie by się zeszmaciły. Bardzo ciężko pracują w klubach, na siłowniach, a potem lądują w byle spelunie jako zwykle wykidajły. Oni by mogli wiele dobrego zrobić dla Polski w sporcie. Ale trzeba w nich zainwestować. Ministerstwo tego nie robi. Żeby mieć stypendium, trzeba się zakwalifikować na olimpiadę. A w sportach walki istnieje sporo niebezpieczeństw. Więc lądują byle gdzie. A potem robią złe rzeczy za marne pieniądze. No ale jestem ja. Na mnie mogą liczyć. W każdym razie ci, którzy potrafią najciężej trenować.

– Słyszałam. Nielegalne walki.

– Ha, ha, ha, to mi teraz przypisują? – Pokręcił z niedowierzaniem głową i przywołał kelnera.

– To co: łosoś czy może burger?

– Wódka. Podwójna. Bez lodu.

– A więc to poważne? Tak sądziłem. Bo Dorota nie pojawiła się na święta. Myślałem, że się na mnie obraziła. Co zmalowała?

– Kiedy ostatni raz się widzieliście?

– Nie pamiętam – powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu. – Nie szanowała mnie. Wiesz... nie lubiła. Uważała się za lepszą. Za lepszą od wszystkich. Tylko Magdę lubiła. To nasza siostra. Też młodsza. Oni wszyscy młodszy ode mnie.

Kelner przyniósł wódkę.

Serbia wypiła naraz. Oczy o mały włos nie wyszły jej z orbit.

– Hm... – Kowalski uśmiechnął się pod nosem.

– Mówi pan, że się obraziła...

– No. Obraziła się. Nie przyszła na święta.

– Tak... obraziła się śmiertelnie. – Położyła na stole fotografie.

Wytarł palce w nawilżaną chusteczkę. Na srebrnej tacy leżało ich jeszcze kilka. A potem otworzył kopertę. Spojrzał i wtedy coś się stało z jego ustami. A może to policzki nagle straciły sprężystość? Jakby się nagle, powoli, ale jednak dostrzegalnie zaczęły w nim zmniejszać kości i reszta człowieka, cała skóra twarzy nie potrafiła za tym nadążyć. A może to oczy? Tak, to tylko oczy. Gasły. Po prostu gasły. Trwało to tylko chwilę. Ale zabolą ją, kiedy patrzyła. W niej samej też kiedyś przecież zgasły oczy.

– Niech pani już idzie – powiedział spokojnie. Nie odrywał oczu od zdjęcia. – Muszę teraz posiedzieć sam. Dziękuję, że przyszła pani do mnie, a nie pojechała z tym do matki.

– Nie wiedziałam nawet, że matka żyje – odparła. – Wiem tylko, że załatwił pan kiedyś Dorocie pracę u Słupeckiego.

Jeśli spodziewała się, że Kowal zareaguje, to była w błędzie. Milczał. Jakby jej już nie słyszał. Na ekranie powtarzali właśnie w zwolnionym tempie, jak jeden z zawodników uderza lewym prostym w sam środek czaszki tego, który po chwili miał już nie wstać.

WTEDY

– No więc, kapitanie, sprawa wygląda tak, że idą duże zmiany.

Tak. Pomyślał porucznik. Zawsze kiedy sprawy zaczynają się układać, komuś przychodzi do głowy, że trzeba coś nieodwracalnie rozpieprzyć. Ale nie powiedział ani słowa. Siedzieli w ogródku pięknej willi na Wierzbnie. Zupełnie jak na wsi. Dookoła tylko drzewa przykryte śniegiem. Budynek mieścił pięć mieszkań. Ogród był rzeczywiście zadbany. Żona porucznika była naprawdę szczęśliwa, że zamieszkali właśnie tutaj. Jasna kuchnia, sypialnia, pokój stołowy. I nawet mały pokoik dla dziecka.

Siedzieli w ogrodzie. Tam nie było podsłuchów. Nie trzeba już było się szwendać po Łazienkach. Tyle że była już zima. Zimą nie dawało się wysiedzieć zbyt długo. Porucznik odgarnął śnieg z ławki zmiotką o sztywnym włosiu, żeby nie siedzieć na mokrym. Obaj byli w paltach. Dzień słoneczny, ale mroźny.

Tamten poczęstował go papierosem. Zagraniczne. Winstony. Dobrze zaczął. Wypalili po jednym w milczeniu. Nawet nie było tak zimno, pomyślał porucznik. Nie aż tak.

– Chcecie najpierw dobre czy złe wieści?

– A to w naszym fachu są jakieś dobre? – zażartował.

– Ano są. Za tydzień od dzisiaj towarzysz Gomułka ogłosi, że ministrem kultury zostanie pewien Żyd, Motyka. Ale to dla zachowania pozorów, że świat pozostaje w równowadze. A ministrem

spraw wewnętrznych zostanie samodzielnie Moczar. Wiem, wiem, od odsunięcia Alstera właściwe to on rządził w resorcie, jednak nominalnie był wiceministrem. No ale teraz wszelkie przesłanki dla zachowania pozorów ustały. A co za tym idzie, kapitanie, otrzymacie awans.

– Na który będę musiał zasłużyć. – Porucznik się zaciągnął. Na krzaku jarzębiny wciąż wisiało kilkanaście kiści wyschniętych owoców. Przyleciały do nich jemiółuszki.

– E... zasłużeni już jesteście. Ale będziecie musieli zapracować.

– Jak?

– Dojdziemy do tego. Może orzeszka?

Wyciągnął z kieszeni szarą, papierową torebkę z łuskanymi orzechami laskowymi. Gryźli je w milczeniu. Są takie rozmowy, kiedy trzeba dobrze zważyć każde słowo. Porucznik czuł przez skórę, że jest źle. Nauczył się już tej sztuki rozpoznawania niebezpieczeństwa. Ptaki szalały na jarzębinie.

– Powiesilibyście im słoniny – powiedział tamten.

– To jemiółuszki, a nie sikory, nie jedzą słoniny.

– Aż tak dobrze znacie się na ptakach? Czasami można się pomylić. I taki na przykład zwykły wrobiej okazuje się mięsożercą. Drapieżnikiem. A wasze orły gdzie?

– Uczą Murzynów utrwalac władzę socjalistyczną, przecież wiecie.

– Wiem, wiem. Podobno strasznie im się podobają kobiety w Maputo. Zwłaszcza temu niskiemu, jak go tam nazywacie?

– Jasiński.

– No. Oni też się podobają tamtejszym towarzyszkom. Pewnie gdyby im pozwolić, zostaliby bohaterami demokratycznego Mozambiku. Dużo strzelają. Ale my nie możemy im na to pozwolić...

– Tak? – Porucznik czuł zazdrość. Miał dość pieprzenia się

z warszawskim gównem. Chciał pooddychać wielkim światem. Chciał, żeby coś od niego zależało.

– No bo ten kraj zasługuje na własnych bohaterów. Odwołaliśmy ich. Wrócą jutro, może pojutrze, oczywiście przez Moskwę. Dostaną listy gratulacyjne i może nawet jakieś odznaczenia. A potem...

– Czas na złe wieści? – Porucznik zaciągnął się tak, aż zakuło go w płucach.

– To zależy od punktu widzenia... Jak pewnie wiecie, towarzysz Chruszczow przeszedł na emeryturę.

– Coś tam słyszałem.

– Ha... A wiecie dlaczego?

Porucznik wyczuł pułapkę. Milczał.

– Powiem wam. On nie potrafił czytać. Potrafił mówić, żartować jak nikt. Przemawiać potrafił doskonale. Butem walnąć w mównicę jak trzeba. Ale nie potrafił czytać. Męczyło go to. Korzystał z doradców. Czytali za niego, a potem mu wszystko referowali. Towarzysz Breżniew potrafi czytać. A kto potrafi czytać, ten samodzielnie wyciąga wnioski.

Porucznik wiedział, że Chruszczow po kilkunastu tygodniach nieobecności w Moskwie przyjechał na Plenum Komitetu Centralnego przygotowane przez Breżniewa i Kosygina. Każdy z członków plenum wygłosił krótki referat z oskarżeniem. Chruszczow zrozumiał, że albo się z tym pogodzi, albo nie wyjdzie z tego żywy. Przyznał rację swoim oskarżycielom. Ustąpił w zamian za dożywotnią emeryturę i ochronę. To znaczyło, że do końca życia będzie siedział w areszcie domowym.

– Co to za wnioski wyciągnął towarzysz Breżniew ze swoich lektur?

– Że w naszym fachu, jeśli są szanse, to trzeba z nich lepiej korzystać.

Tamten znowu sięgnął po orzeszki. Całą garść.

Porucznik czekał. Jemiołuszki opędzłowały jarzębinę do końca. Za drucianą siatką okalającą posesję przechadzał się w śniegu bury kot. Niebo było niebieskie.

– No więc, tak jak powiedzieliście, na awans trzeba będzie zapracować.

– Mówcie. Dupa mi zmarzła porządnie.

– Ten wasz pomysł z napadem na pocztę bardzo się spodobał. Czy sądzicie, że to jest do powtórzenia?

Porucznik milczał. Nie widział powodu, żeby na tym etapie napadać na pocztę. Jasiński i Furman należeli już do elity. Byli jego waletami, a nie żółtodziobami, których trzeba nauczyć działania w prawdziwych, polowych warunkach.

– Po co?

– Chcielibyśmy wyeksportować waszą myśl racjonalizatorską do Niemiec. Co o tym sądzicie?

– Mamy uczyć towarzyszy niemieckich napadać na poczty? – Porucznik zaśmiał się lekko i pokręcił głową.

– Nie, nie w tym rzecz... Macie się przygotować do zwiedzania.

– Mam posłać swoich ludzi do Niemiec, żeby napadali na poczty?

– Na poczty, na banki, na co się tylko da. Szybko, skutecznie, bezwzględnie.

– Po co?

– Potrzebny nam jest fundusz operacyjny na Zachodzie. Nienotowany w bankowych rejestrach przepływu finansów. Rozumiecie? Bierzemy gotówkę, zamieniamy na złoto, gromadzimy fundusz.

– Na jaką okoliczność?

– Powiedzmy, że na wszelki wypadek. Zimno się robi, pewnie chcecie z żoną posiedzieć, telewizję obejrzeć. Ten wasz Kabaret

Starszych Panów... No więc zrobicie tu w Warszawie jakiś bank na czysto. Będziecie strzelać tak, żeby zabić. Opracujecie plan uciezki. Trzeba to zrobić bez zbędnej zwłoki. Pieniądze zamienicie na dolary. Dolary na złoto. Przewieziecie złoto przez granicę. A potem to samo trzeba zrobić z niemieckim bankiem. Jednym, drugim, dziesiątym. – Zaśmiał się. – No, na mnie pora. – Podniósł rękę na wysokość twarzy, pomachał i ruszył w stronę furtki. – A, jeszcze jedno. Zapamiętajcie nazwisko Mieczysław Janosz. Bar Warszawa. Hamburg.

– Kto to jest?

– Zawieziecie mu dolary, a potem odbierzecie od niego złoto. No, to by było na tyle.

– A co zrobię z tym złotem?

– O tym pomyślimy, jak już będzie w kraju.

Porucznik siedział bez ruchu jeszcze z godzinę. Czasami zapalał papierosa, ale zapomniał pociągnąć i kiep tlił się, aż gasł i strup popiołu zwisał z dłoni jak szara gąsienica.

Nie zauważył, kiedy wieczór nadciągnął z kolejną falą chłodu.

– Koc ci przyniosłam – powiedziała Jadwiga. – Zimno tutaj, przeziębisz się.

Uśmiechnął się do niej. Taka żona to skarb, pomyślał. Tak... Resortowe kobiety potrafią właściwie ustawić priorytety. Szkoda, że przestawała już być ładna... Że te wszystkie lata, kiedy żyli osobno... Właściwie mogłaby mu się podobać. Gdyby tylko nie była taka nudna. Mądra, ale nudna. Może zresztą chodzi zupełnie o to samo?

– Muszę coś przemyśleć – powiedział łagodnie – przepraszam.

– Widzę, nie będę ci przeszkadzać. Ale...

– No widzę, że coś cię gnębi, no, mów. – Pozwolił, żeby okryła go tym kocem. Gruby, szary w drobną żółtą kratę.

– Musimy się pakować? – zapytała.

– Nie. Coś ty... – uspokoił ją. – Przecież to nasz kraj.

Wrócił do domu trzy kwadranse później. Wszystko miał przemyślane.

Kiedy Jasiński i Furman wrócili z Mozambiku, umyli się już i wyspali, przedstawił im plan napadu na bank na ulicy Jasnej.

Trzeba sprawdzić, czy są w stanie zrobić to szybko, sprawnie i bezwzględnie. Czy są w stanie zostawić te ślady, które chcą zostawić, i uniknąć błędów, których trzeba uniknąć. Przede wszystkim trzeba sprawdzić, czy potrafią sami zaplanować i przeprowadzić taką operację. Tylko we trzech. Żadnej pomocy z zewnątrz.

Napad poszedł zgodnie z planem. Dwa trupy, mnóstwo świadków, okoliczności najtrudniejsze z możliwych. Następnego dnia napisały o tym wszystkie gazety. Porucznik był zadowolony. Portrety pamięciowe okazały się bardzo dokładne, być może najdokładniejsze spośród wszystkich portretów pamięciowych kiedykolwiek sporządzonych w tym kraju. Ale nie dało się z nich rozpoznać napastników. Wobec tego śledztwem objęto półtora miliona mężczyzn, wszystkich, którzy wzrostem mogliby odpowiadać rysopisowi Furmana. Wybrano podejrzanych, wertując archiwa urzędów meldunkowych. Najpierw sprawdzono wszystkich zameldowanych w Warszawie, potem w województwie, a w końcu także również mężczyzn z ościennych województw. Sprawdzenie całego tego materiału wymagało benedyktyńskiej roboty. Milicjanci nie mieli czasu na kochanki ani na pokera.

Porucznik uruchomił siatkę swoich informatorów z lotniska, Bristolu, Grandu, Polonii i właśnie oddanego do użytku Metropolu. Furman przy pomocy kolegów z resortu zajął się wymianą na terenie Trójmiasta. A Jasiński przeniósł się na jakiś czas do Świnoujścia.

W tym czasie porucznik studiował raporty. Poradził wiceministrowi Dobieszakowi, komendantowi głównemu Milicji

Obywatelskiej, żeby zbudować manekiny – modele sprawców z woskowymi twarzami w skali jeden do jednego. Każdego dnia sprawdzał też raporty z postępu śledztwa. Chwalił, czasem ganił, czasem doradzał. Wieczorami sprawdzał przebieg operacji walutowej. Milicjanci sprawdzili wszystkie auta marki Warszawa zarejestrowane w stolicy, a potem także w całym województwie stołecznym.

Bez rezultatu.

Jak kamień w wodę.

Nikomu nie przyszło wtedy do głowy, żeby sprawdzić operacyjne samochody Służby Bezpieczeństwa. Zresztą co by to dało? Wedle rejestru samochód był tego dnia w Skierniewicach.

Po dwóch tygodniach w doniesieniach od oficerów operacyjnych pojawił się zupełnie nowy ton. Ulica zaczynała gadać o napastnikach jak o bohaterach. Napadli na państwowy bank, właściwie to w biały dzień, można powiedzieć, choć to był już wieczór. Ten ton nie podobał się w ministerstwie. Reakcje musiały być natychmiastowe. Pułkownik Stanisław Górnicki wystąpił z telewizyjnym orędziem do narodu. Stał na tle dyktowej ściany z dziurkami pomalowanej na biało i w towarzystwie lampy z eleganckim, dużym abażurem. Szczerze poinformował o przebiegu śledztwa. I wyraził nadzieję, że sprawcy wcześniej czy później wpadną, bo przecież zrabowali mnóstwo pieniędzy. Mogli za to kupić dziesięć jednorodzinnych domków!

„Tak wysoka kwota pieniężna nie może być wydana niepostrzeżenie dla otoczenia – tłumaczył – bandyci mogli wydatkować te kwoty na różne formy rozrywek, mogli również wydać je na wzrost poziomu codziennego życia, co także musiałoby się rzucić w oczy ich sąsiadom i najbliższemu otoczeniu”.

Śledczy liczyli na donosy i rzeczywiście te przychodziły każdego dnia. Sprawdzano wszystkie. Ale żaden ani o krok nie przybliżył

śledczych do rozwiązania zagadki.

Ponieważ użyto broni, i to skutecznie, padł pomysł, że to akowscy bandyci. Hipoteza była słaba, bo ojczyzna ludowa odtrąbiła likwidację zbrojnego podziemia już przed rokiem i kilkoma miesiącami, kiedy to w obławie w swoich rodzinnych Kozicach Górnych zginął „Lalek” Franczak, ostatni żołnierz podziemia. Potem badano hipotezę o tym, że napadu dokonali sami konwojenci wraz ze współnikami, którzy zlikwidowali ich, aby było mniej osób do podziału łupów.

Tymczasem doniesienia ze śledztwa w sprawie napadu na bank stawały się coraz bardziej lakoniczne. Prasa powoli przestała się zajmować tym tematem. Wszystkie złotówki udało się zamienić na dolary i wywieźć do Niemiec. Porucznik poleciał z bagażem dyplomatycznym misji do ambasady w Bonn. Furman i Jasiński przekroczyli granicę pod przykrywką delegacji polskiej na Kongres Związku Anestezjologów w Hamburgu. W barze Warszawa wypili sporo alkoholu, ale znaleźli sposób, żeby przewieźć złoto do Polski. Za darmo nie będzie, ale rybacy z PPDiUR Gryf chętnie sobie dorobią do pensji.

Szła wiosna. Do Warszawy miał przyjechać z gospodarską wizytą sekretarz generalny KPZR Leonid Breżniew. W zakładach pracy rozpoczynały się konkursy na najlepszy transparent. Zwycięska drużyna miała nim witać dostojnego gościa na lotnisku.

Pierwszego kwietnia porucznik zbiegł po schodach i wyszedł z urzędu. Zasalutował wartownikom i skrzył w prawo. Ktoś zastąpił mu drogę. Poznał tę zwalistą sylwetkę, mimo że tamten trzymał się w cieniu.

– I co? Znowu przynosi pan złe wieści? – zażartował.

– Tak – powiedział tamten melancholijnie. – Czasami ktoś musi przynosić śmierć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

TERAZ

Olga od rana siedziała nad papierami. Z tych pięciu kilometrów na Kępie nie został już w głowie nawet jeden krok. Było Trzech Króli, ale policja nie jest od świętowania. Zwłaszcza przed 10 stycznia. Miesięcznica smoleńska oznacza wszystkie ręce na pokład. Trzeba będzie stać w tłumie i pilnować, kurwa, żeby nikt nie rzucił w prezesa niczym ostrym. Nie umiała się z tym pogodzić. Nie po to jest w kryminalnej, żeby pilnować ogrodzenia przed kościołem Świętej Anny. Kiedyś, po tym wszystkim, sama poszła zapalić znicz przed pałacem. Wszyscy stali wówczas po jednej stronie. A teraz po jednej stronie jest dobra zmiana, po drugiej gorszy sort, a po środku, kurwa, jest policja. I każdy może sobie nią wycierać gębę. Inteligencką, robotniczą, oenerowską, kodowską albo pisowską gębę, a policja będzie musiała się do wszystkich uśmiechać, bo inaczej następnego dnia na zdjęciach w gazetach cała Polska zobaczy, jak policja kogoś szarpie albo się nad kimś znęca. W zależności od tego, kogo trzeba będzie zatrzymać, będą się pastwić gazety jednych albo drugich. Gazety, telewizje, radia, internety... A ona, Serbia, będzie stała po cywilnemu w tym śniegu i mrozie i pilnowała, żeby nikt niczym nie rzucał.

– Słucham! – odebrała telefon, nie sprawdzając, kto dzwoni, zdradzając się ze swoją irytacją.

– Jak tam, córuchno? – Siwy był najwyraźniej w niezłym humorze. Nie słyszała go najlepiej, bo przeszkadzały w tym jakieś

szumy. Ale na pewno był zadowolony.

– Córuchno!?! – zapytała, uśmiechając się do siebie, jakby właśnie był pierwszy dzień wiosny, a ona była całkiem zakochana. Irytacja minęła.

– No, stęskniłem się. Nie dzwonisz, nie wpadasz do starego psa ani na wódkę, ani na plotki.

– No na wódkę to już raczej nie, masz o siebie dbać, szefie – przypomniała mu. – Mam roboty w jasną cholere, papiery wypełniam o tej mojej Kowalskiej.

– Jakiej Kowalskiej?

– No tej, która była ubrana jak na bal, a skończyła z podciętymi żyłami na brzegu rzeki. Ustaliłam jej tożsamość. To siostra Kowala. Tego gangstera, filantropa. Tego od nieruchomości.

– Ciekawe, ciekawe... Kowal... – Znów ten szum, jakby Siwy mówił ze studni. – Myślisz, że on ma coś wspólnego z zabójstwem?

– Kiedy pokazałam mu jej zdjęcie, wyglądał na wstrząśniętego.

– Myślisz, że nie dałby cię rady oszukać? To gracz jest. Kurwa. To jest zimny drań. Do polityki by się nadawał.

– Nie wiem, czy mógłby mnie oszukać. Nie mam pewności. Jest podejrzenie, że wynosiła z pracy próbki silnych środków psychotropowych, substancje eksperymentalne. Mógł mieć w tym interes, ale to nie były hurtowe ilości.

– No ale wiesz, ten gość potrafi organizować produkcję.

– Ale siostrę by zabił? – Serbia miała wątpliwości. Miała przed oczyma jego gasnące spojrzenie.

– W każdym razie z nim nigdy nie ma żartów – powiedział zatroskanym głosem Siwy. – Noś przy sobie broń, proszę cię. I gdyby ktoś do ciebie mierzył, to się nie wahaj. Obiecay mi.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

– Mówię poważnie. Sądzisz, że żartowałbym sobie z człowieka, który z małej wsi, z wielodzietnej rodziny całkiem sam doszedł do miejsca, w którym handluje nieruchomościami w stolicy, obraca wielkimi pieniędzmi i niewykluczone, że ma udziały w sektorze farmaceutycznym, a może i w zbrojeniowym? I nigdy, nie było na niego żadnej skargi. Nawet o zakłócanie ciszy nocnej ani mandatu za przekroczenie dozwolonej prędkości.

– Ale to jego siostra.

– Ale jeszcze wczoraj rano go nie znałaś, a on nie znał ciebie. Jeśli Kowal uzna, że coś mu zagraża, lepiej miej się na baczności. Noś broń. Obiecuj.

– Dobrze. Będę nosiła.

– No a co tam z moją zagadką? – zmienił temat. – Pewnie nie miałaś na nią czasu?

– Miałam, miałam. Nie mówiłam ci, ale blisko jestem następnego tropu.

– Poważnie? Musisz mi opowiedzieć! Może mnie odwiedzisz?

– Nie mam dzisiaj czasu, muszę skończyć z papierami, a potem znaleźć tego szewca.

– Szewca? – zdziwił się.

– Tak, na twoich papierach było napisane, żeby szukać między Chopinem a Reymontem. I znalazłam tabliczkę poświęconą astronautom z Apollo 13, pewnie o nich słyszałeś.

– Tak, słyszałem, film z tym aktorem, który grał Forresta Gumpa. Ale nie wiem, co to ma do rzeczy.

– Ech – westchnęła, po czym opowiedziała mu całą historię.

– Ciekawe, nawet nie wiesz jak bardzo – powiedział Siwy. – Widzę, że jesteś na dobrej drodze... Zająłem ci dość czasu. Trzymaj się. I pamiętaj, noś broń.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do dwunastej. Odczekała z dziesięć minut i zadzwoniła.

– NextProfile, w czym możemy pomóc?

– Suszczyńska. Z policji, byłam u was wczoraj. Dzisiaj mieliście w planie posiedzenie zarządu. Czy pan prezes jest może obecny?

– Niestety, w ostatniej chwili odwołał swój powrót z urlopu.

– Cholera jasna. Liczyłam na rozmowę z nim.

– Bardzo mi przykro, czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

Siedziała przez chwilę z rękoma założonymi na karku. Patrzyła na kwiat. Kwiat to za dużo powiedziane. Kilka zielonych badyli, które przyniósł kiedyś Kosiński. Nie wiadomo jakim sposobem teraz była tych traw cała kępa. Po dłuższym namyśle wykręciła numer Słupeckiego. Czekala chwilę, ale w końcu odebrał.

– Słupecki, słucham – powiedział niepewnie.

– Dzwonię z policji. Olga Suszczyńska. Czy możemy się spotkać?

Postanowiła nie mówić o dochodzeniu. Chciała zobaczyć jego minę, kiedy się dowie o Dorocie.

– Tak oczywiście, a w jakiej sprawie? – zapytał. – Źle zaparkowałem, a pani zdobyła mój numer?

– Nie chodzi o parkowanie. Dzwonię w sprawie, o której wolałabym nie mówić przez telefon.

Chwila ciszy.

– Czy jestem o coś oskarżony? To znaczy podejrzany?

– Nie, skąd. Chciałabym zapytać pana o kilka związków chemicznych, które nie są dopuszczone w Polsce do obrotu, a ostatnio wypłynęły w kilku miejscach. Podobno pan się na tym zna.

– Jakie środki?

– Hydromorfon.

– Tak, pracujemy z tym. Oczywiście nie wiem, czy będę mógł pani

pomóc, ale proszę na mnie liczyć.

– Kiedy?

– Jestem w górach, wracam w poniedziałek, czy to panią satysfakcjonuje?

– W południe?

– Mogę nie zdążyć, bo na Zakopiance zawsze jest jedna wielka niewiadoma. Koło czternastej?

– Bardzo dobrze.

– Mam do was przyjechać? Wolałbym nie, czy mogę zaproponować jakiś lunch?

– Mój interes, więc to ja powinnam pana zaprosić.

– Jestem konserwatystą, nie pozwalam kobietom płacić. Ja stawiam, odezwę się w poniedziałek i podam miejsce.

Kiedy się rozłączył, znowu zatopiła się w myślach. Może to on. Może właśnie jedzie na lotnisko. Ale gdyby uciekał, raczej by nie odbierał... Za to chyba wiedział, że zadzwoni do niego ktoś z policji. Skąd? Od Podlesickiej? Od Kowala? Czy od którejś z tych pańienek w sekretariacie? Jeśli od Kowala, to znaczy, że są w zмовie. Jeśli od Podlesickiej, to może się teraz zastanawia, czy nie uciec. Oczywiście jeśli to on. A jak nie on, to kto?

Dokończyła raporty, zbiegła do auta i z samochodu zadzwoniła do Kosińskiego. Umówili się, że do końca zwolnienia jednak nie powinien brać udziału w czynnościach. Ale powiedziała też, że bez jego pomocy sobie nie poradzi. Poprosiła, żeby popytał tych swoich koleżków o Kowala. Może wysledzą w sieci jakieś informacje, może ktoś słyszał o czymś poważniejszym, nawet jeśli to tylko domysły. Nawet jeśli mało wiarygodne, niech wszystko spisuje.

– No a poza tym jak tam? Boli cię ta ręka?

– Przyzwyczailem się – westchnął – ale chyba zaczynam sobie

kiepsko radzić z samotnością.

– Musisz sobie kogoś znaleźć. Tindera sobie załóż.

– Nie powinienem – powiedział poważnie. – Niedobrze jest zostawiać w sieci ślady swoich słabości. Gdybym był kucharzem, to co innego. Ale w naszym fachu to głupota.

– No to na piwo gdzieś się umówimy – zaproponowała. – Może do tego szkockiego pubu na Miodowej? Tam w piątki podobno wpada taki przystojny Murzyn. Ma taką skórę i tak pięknie tańczy, że dziewczyny z Tarchomina i z Powsina przyjeżdżają specjalnie po to, żeby na niego patrzeć. Dżunior czy jakoś tak.

Roześmiał się.

– Serio gadasz?

– Serio. Słyszałam od dziewczyn ze śledczej, że nikt w całym mieście nie tańczy tak jak on.

– Coś ci powiem, szefowo, po pierwsze, to jest irish pub, a nie szkocki. A po drugie, nie mówi się Murzyn, to rasistowskie przecież.

– Ale dlaczego? Co ty pieprzysz? Są gorsze słowa.

– No są, ale to ma też nieciekawe konotacje. „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”. Miło by ci było?

– Kurwa, to jak mam mówić? Czarny pan? To przecież się kojarzy z Harrym Potterem.

– Nie wiem jak, ale nie Murzyn.

– Muszę tego Dżuniora poznać i zapytać. Idziesz ze mną?

– Dzisiaj?

– No dzisiaj, dzisiaj piątek.

– No to zadzwoń, jak będziesz po robocie, to się umówimy.

Szukała przez jakiś czas miejsca, jadąc z prędkością pięciu na godzinę, ale niestety nic z tego, wszystko pozostawiane. Ludzie przyjeżdżają kupić sobie kielbasę i litewski chleb na jarmarku albo

żeby sobie zrobić zimowe selfie. Skreśliła w Długą. Na śliskim bruku samochód przez chwilę buksował. Było miejsce koło katedry polowej, ale nie chciała iść taki kawał, zawinęła w Miodową i przejechała obok siedziby prymasa. Nad bramą wciąż wisiało godło Wyszyńskiego. W drugim okrążeniu miała szczęście, zwolniło się miejsce obok banku. Słyszała, że dają tu gdzieś dobry kebab. Jeden z chłopaków był Syryjczykiem, dopiero się uczył po polsku, ale kebab robił ponoć najlepszy w mieście. Drugi był z Somalii. Czy może z Dżibuti? Podobno był w Polsce z miłości.

– Słyszała kierowniczkę? Zakochał się, dziecko z nią miał, a ona potem go rzuciła. Takie są te kobiety z Polski. Rzucają, jak dobiją do trzydziestki i się im zaczyna palić pod tyłkiem, że już nikogo nie poznają. Rzucają, kierowniczkę, żeby szukać bogatego. No ale on wrócił. Tęsknił za tym dzieciakiem. Po polsku mówi, jakby był z Czerniakowa.

Czasami taki pożytek z informatorów, że się dowiesz, gdzie można zjeść dobry kebab, pomyślała. Ciasny ten lokal. Dwa stoliki. Nikogo. Może to nieodpowiednia pora? Ale pachniało dobrze. Facet był tylko jeden. Pewnie ten Syryjczyk, pomyślała, kiedy zapytał: „ostry czy normalny sos”, w taki sposób, jakby się obawiał, że pomyli słowa.

– Normalny.

– Zaraz podam – powiedział.

Usiadła i zaczęła przeglądać „Fakt”, który ktoś zostawił na stole. Był poplamiony sosem. Pomyślała, że to smutne. Spotykamy się w tym samym miejscu i w tym samym czasie i niczego o sobie nie będziemy wiedzieli. Ja nie wiem, czy jest z Aleppo, czy z Damaszku. Głosował na Asada czy może jest chrześcijaninem? Albo Żydem? Ma rodzinę, czy jest tutaj sam? Kocha go ktoś? Tęskni? Wystarczy mu do pierwszego? Ma własny kąpiel, czy śpi w jednym pokoju z ośmioma innymi chłopakami? Może z tymi Uber Eats? On też nigdy nie będzie

wiedział, czy ja kogoś mam, czy nie. Nie zapytał, czy ktoś na mnie czeka i czy robię karierę w banku, czy mam pod pachą broń... On wie, że nie lubię ostrego sosu. A ja wiem, że on słabo mówi po polsku.

– Proszę – podał jej kebab w cienkim cieście, właściwie to raczej w tortilli – śmaćnego. Brzydka dzisiaj pogoda, nie?

– Tak – powiedziała, uśmiechając się do niego. – Brzydka pogoda.

Chciała coś dodać, ale usiadł w swoim kącie i pochylił się nad książką.

Szła potem szybko w stronę Barbakanu. I znowu miała niejasne uczucie, że ktoś za nią idzie. Obejrzała się raz czy dwa. Nie. Nie było nikogo. Tylko turyści szli gromadą za przewodnikiem pod żółtym parasolem Free Guide Tour. Przebiła się przez tę przemarzniętą, ale roześmianą gromadę i skręciła w bramę Barbakanu. Wrażenie, że ktoś gapi się w jej plecy, minęło. W podcieniu po lewej stronie jakiś starszy pan grał na gitarze smętną rosyjską pieśń. Słuchały go cztery młode dziewczyny. Wszystkie miały zielone kurtki z kapturem obszytym futerkiem. Ale buty zimowe.

– *Pieried nim rassiejalsia Bajkał.* – Usłyszała, zanim skręciła w lewo i wszystko zamilkło.

Szła chwilę między murami, a potem skręciła na Brzozową.

Znalazła dom. Wcisnęła domofon.

– Kto?

– Milicja – powiedziała.

Brzęknęło i mogła popchnąć furtkę.

Otworzyła drzwi. Dalej kilka drewnianych schodów. Po lewej stronie stał mężczyzna w podkoszulku i spodniach od pidżamy.

– Dobry wieczór się z panią – powiedział. – A dobrze, że to pani, bo po głosie nie poznałem.

– Jak to? – zdziwiła się Serbia. – To my się znamy?

– No, pamiętam. Jak psy mają wypadki, to trudno zapomnieć – powiedział – ale jak pani nie do mnie, to do kogo?

– Ja do Bolesława Nowaka – powiedziała.

– No, czyli się znamy. Niech pani zachodzi.

Wszedł pierwszy. Uderzył ją kwaśny zapach strawionego alkoholu i kurzu. I jeszcze czegoś. Jakiegoś smutku. Pleśń. Tylko smutek pleśnieje w taki kwaśny sposób.

Poprowadził ją ciemnym korytarzem do pokoju. Telewizor rzucał migotliwe światło.

Teleexpress.

„Ulicami Warszawy przeszedł orszak Trzech Króli” – usłyszała, zanim mężczyzna sięgnął po pilot i wyłączył fonię.

Odgarnął na bok stołu stare czasopisma, jakieś książki, kilka talerzy i miskę z niedojedzoną fasolką po bretońsku.

– Czym mogę pani służyć? – spytał i wskazał jej krzesło. – Herbaty pani chce? Mam jakiś czysty kubek dla gości.

Pokręciła głową. Usiadła. Mężczyzna był szczupły i gdyby nie był alkoholikiem, mogłaby powiedzieć, że był kiedyś zapewne przystojny.

– Pamiętam. Zginęło wtedy pani dziecko – powiedział. – Nie ma nic ważniejszego w życiu. Ja panią rozumiem. Miałem syna. Nie, nie... on żyje, ale nie wolno mi się z nim widywać. Sąd zabronił. Byłem kiedyś gwałtownym człowiekiem. To z wrażliwości. Z tego bólu, rozumie pani, czasami ból jest taki, że nie można inaczej, niż tylko krzyczeć...

Olga milczała. Chyba nie była gotowa na takie słowa. Ale nie umiała mu przerwać. Trudno przerwać, jeśli zrozumiesz, że czasami tylko psom możesz opowiedzieć swoją historię.

– No i zacząłem grać na mieście. Pomyślałem: mam blisko do Rynku, co mi tam... No i śpiewam. Ale tylko po polsku. *Kiedy byłem*

małym chłopcem, Nie wierz nigdy kobiecie, Kocham cię jak Irlandię, Nie pytaj o Polskę. Wszystko. I Grzesiuka. Grzesiuk zawsze był w moim domu. To święty mojego miasta. Tatuś mówił, że w domu może nie być Biblii, ale Grzesiuk musi być.

Opowiadał i opowiadał.

W końcu jakby przebudził się i zapytał, czy jej zrobić herbaty. I znowu że ma czysty kubek... Odmówiła.

– No to co panią sprowadza, pani milicjantko?

– Kwit – powiedziała.

Wyjęła z portfela tę starą, pożółkłą kartkę. Wziął ją w ręce i ostrożnie rozprostował.

– Tatuś mówił, że kiedyś po każde pudełko ktoś w końcu przychodzi. I że ja muszę czekać. Tak jak on czekał na wszystkich, którzy u niego zamawiali buty przez całą wojnę. Narodowcy, komuniści i nasi chłopcy ze Starówki. Wie pani? Baczyńskiemu ojciec buty robił na ślub. A po wojnie to nawet Bierutowi. Nie przychodził sam, tylko oni przyjeżdżali z miarą i robił. I Gomulce robił. Mówił mi, że choćby nie wiem co, jak kwit się zgadza, to ja muszę wydać. Wie pani. Każdy ma w życiu jakieś zadanie. Ja mam takie. – Uśmiechnął się. – Ale dawno już nikogo nie było. Już ze dwanaście lat... a może dwadzieścia? No to chodźmy. – Wstał, podszedł do szuflady i zaczął grzebać pośród jakichś metalowych rzeczy. Słyszała jak grzechoczą. – O! Są. – Wyjął klucze. – Mam to w piwnicy.

Zeszli tam, pochylając głowy, bo piwnica była niska. Pobielona i chyba sucha. Gdzieniedzie szcurze odchody. Otworzył obite blachą drzwi. Trzy kłódki. W środku regały pełne pustych słoików. I sterta papierów. Szafa drewniana, ale okuta. Wzmocniona. Otworzył ją kluczem o skomplikowanym kształcie. Zgrzytnęła, jakby pordzewiała. W środku leżały upakowane na dolnych półkach kartony z butami. Górna była pusta. Podniósł paperek do gołej żarówki. A potem

poświecił latarką po pudełkach.

– To będzie to – powiedział.

Wyjął karton i otworzył go. W środku były zamszowe męskie pantofle.

– Zgadza się? – spytał z uśmiechem i przeczytał notatkę na wewnętrznej części pokrywki. – Podklejenie i podkucie obcasów.

– Tak – powiedziała Serbia – zgadza się. Ile płacę?

Spojrzał jeszcze raz do pudełka.

– Nic pani nie płaci, pani milicjantko. Tatuś napisał, że zapłacone z góry.

Szła poprzez zmrożone ulice pogrążona w myślach. Miasto było jakieś puste. Zasiedziała się i właściwie była już noc. W głowie słyszała „A ty się temu nie dziwisz, wiesz dobrze, co byłoby dalej, jak byśmy byli szczęśliwi, gdybym nie kochał cię wcale”. Pomyślała, że zadzwoni do Szymona, od rana chciała to zrobić, ale tyle było do załatwienia. Teraz zadzwoni. Pojedzie do domu, weźmie kąpiel i wtedy wyśle mu esemesa. Jeśli nie będzie spał, to mu napisze, że tęskni. Nic więcej. To chyba nie grzech napisać komuś, że się tęskni?

Znalazła samochód. Szyby były zamarznęte. Otworzyła bagażnik, wrzuciła do środka pudełko z butami i wyjęła skrobaczkę. Zatrzasnęła kufer i zaczęła od tylnej szyby. Nie usłyszała, kiedy ktoś podszedł i otoczył ją ramieniem. Poczła tylko, że coś się zaciska na jej ustach. Jakaś szmata. Pachniała słodko. Kurwa! Zaczęła kopać i wierzgać ile sił. Broń, kurwa, mam broń, pomyślała i spróbowała sięgnąć do zamka, rozsunąć go i wymacać kolbę, ale nie mogła znaleźć suwaka.

Wtedy poczuła ukłucie w kark.

Kopnęła samochód, żeby odepchnąć się od niego i przewrócić napastnika. Zrobił krok do tyłu, ale stał mocno.

– Cśśś... – usłyszała – już wszystko dobrze.

Poczuła, że słabnie. Zobaczyła jeszcze szyld banku. Świecił tak jaskrawo. A potem nic.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

WTEDY

– Dawajcie, przejdźmy się – powiedział tamten.

Porucznik wyciągał nogi, żeby dotrzymać mu kroku. Szli szybko i w milczeniu, ale kiedy skręcili w Kazimierzowską, tamten zwolnił, wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł czoło.

– Ech, kurwa, już nie te lata co kiedyś...

Porucznik milczał. Nie jest dobrze zaczynać, kiedy nie wiadomo, co mówić, a o czym milczeć. Minął ich trolejbus 56, rozchlapując tuż obok nich wodę z kałuży. Od niedawna docierał aż na Stare Miasto i woził teraz całe chmary ludzi. Przeładowany, wisiał nisko nad asfaltem. Z okien domów sączyło się niebieskie światło. Pewnie zaczyna się *Dziennik*. Przypomniało mu się, że miał kupić kapustę. Od niedawna lubił młodą kapustę z ziemniakami z koperkiem. I ze zsiadłym mlekiem. I oglądać *Dziennik*. Same kłamstwa, to oczywiste, ale w tym popieprzonym świecie pewne sprawy muszą być przecież przewidywalne i bezpieczne.

– Sprawa Bandery wypłynęła – powiedział tamten.

– Jakiej znowu bandery? – Porucznik nie zrozumiał.

– Poppela pamiętacie? Operację w Monachium? Tego Niemca, Hansa?

– Oczywiście – obruszył się kapitan. – Co za pytanie.

– Naprawdę nie nazywał się Hans. Nawet nie był Niemcem. Nazywał się Staszyński i był z Ukrainy.

– Co z tego? Co to ma wspólnego z Bandera?

– Ech, czasami jesteście jak dziecko. – Tamten pokręcił głową. – No ten Poppel... takie sobie przybrał nazwisko, to był Bandera. Stepan Bandera. Ten, który obiecał Ukrainie wolność. No a Staszyński uciekł, wiecie? Ten superszpieg, tajna broń, zabójca doskonały, stracił głowę, kiedy wrogowie podstawili mu pod nos jakąś kurewkę... Wiecie, miłość.

– Co macie na myśli? Nie stójmy tak, bo to nie wygląda dobrze.

Ruszyli wolnym krokiem milicyjnego patrolu. Było ciepło, porucznik rozluźnił krawat.

– No miłość. Najzwyczajniej w świecie się zakochał. I ta kobieta przeprowadziła go do Berlina Zachodniego ostatniego dnia przed zamknięciem granicy. No i dobrowolnie poszedł pod sąd, przyznał się do zabójstwa w Monachium i poprosił o niski wymiar kary.

Kapitan milczał. Obserwował ptaki. Gawrony wydłubywały robaki z trawników, wtykając dzioby w rozmiękłą ziemię. Wrony wyciągały ze śmietników ludzkie jedzenie. Sroki trzymały się z daleka.

– No i co? Siedzi? Trzeba to zrobić w więzieniu? No... to może być dość skomplikowane. Mam się dać komuś zamknąć w pierdlu, żeby dokończyć sprawę?

– To nie takie proste, niestety. Odsiadka była przykrywką. Przygotowali mu nowe nazwisko, nową tożsamość. Nowy kraj. Zostawili mu tę kobietę. On pewnie myśli, że to miłość. A ona ma po prostu taką pracę. Do końca życia go będzie obserwować. Ale nowa tożsamość i nowe życie to kosztowny luksus. To kosztuje. No więc Staszyński musi ciągle sobie przypominać jakieś nowe szczegóły starych spraw. Mamy wieści, że ostatnio przypomnieli mu się wasi ludzie. Przygotował portrety pamięciowe. No i powiem wam, że nie jest dobrze. Towarzysz Breżniew jest niezadowolony. Bo nasza doktryna stanowi, że Związek Radziecki nie dokonuje zamachów na

terytorium innego państwa.

– Od kiedy?

– Od kiedy mamy przywódcę, który potrafi samodzielnie czytać. Czyta, co o nas piszą w obcych czasopismach. – Sięgnął do kieszeni i wyjął torebkę orzeszków. – Orzeszka chcecie?

– Nie – porucznik pokręcił głową – dziękuję, wolałbym setkę wódki i galarety z nówek. Dobrze robi na kolana.

– A orzeszki dobrze robią na serce... nie wiedzieliście? A, patrzcie, człowiek uczy się przez całe życie.

Porucznik zastanowił się nad tym, czy ktoś za nimi idzie, czy może to jakiś samochód. Nie słyszał w pobliżu silnika. Tamten jednak nie wyszedłby bez obstawy. Przechodniów było sporo, ale porucznik odpuścił sobie typowanie.

– No bierzcie, bierzcie, specjalnie dla was przyniosłem.

– Wiem, wiem – powiedział zrezygnowany i sięgnął do środka.

– Mam też paczkę kanfietów dla waszego dziecka. Dobre, czekoladowe, takie z wiewiórką. Na pewno polubi.

Porucznik schował cukierki do kieszeni.

– A to może wstąpicie do mnie? – zapytał. – Na kawę? Żona nam zrobi. W sumie to już niedaleko. Trolejbusem dwa przystanki.

– Ha... – zaśmiał się tamten – a nie podsłuchują was w domu?

– Spędziłem w trakcie budowy dość czasu na tym, żeby wszystkiego doglądnąć – odparł porucznik – więc mam pewność, że nie.

– Może dość, a może nie dość... Kawę macie, no, no... Dobrze się wam powodzi. A mogłoby lepiej. Ale nie zawsze są dobre czasy. No cóż. To ja się będę żegnał. Cukierki dla córki, pamiętajcie. A orzeszki wyjedźcie do końca sami.

– Spieszycie się?

– Tak. Załatwiam ostatnie sprawy i wracam, wiecie, do domu.

– Awans?

– W naszym fachu nigdy nie wiadomo, czy awans to awans. – Przez chwilę patrzył na porucznika tak, jakby chciał go objąć, ale się powstrzymał. – No, nie miejcie żalu za tę ostatnią sprawę. Ale ktoś musi to pozamiatać. I to musicie być wy.

Odwrócił się i odszedł. Porucznik szedł jeszcze ze dwadzieścia minut szybkim krokiem do parku Dreszera. Niektórzy mówili na niego Mokotowski. Usiadł na ławce i zaczął rzucać orzeszki wronom. Ptaki łypały na niego jednym okiem, ale nie podchodziły za blisko. Za to zleciały się gołębie. Ich porucznik nie lubił. Były hałaśliwe i miały małe mózgi. Jedyne, co umiały, to pamiętać drogę. Czasami to zaleta, pomyślał, możesz wtedy wrócić po własnych śladach.

Dojadł orzeszki i przeczytał napis w środku torebki. Żadnych szyfrów. Otwartym tekstem. Jasiński i Furman odchodzą ze służby.

Zaklął. Wyciągnął papierosy i zapalki. Kolorowa paczka. Z wesołym marynarzem. „Baltona 15 years activity”. Żartowali, że przed wojną dzieliło się zapalki na czworo, a teraz zapala się co czwarta. Ale nie baltonowskie. Te zapalały się wszystkie. Podпалиł torebkę i rzucił pod nogi. Całkiem bezgłośnie zmieniła się w cieniuisienką, czarną smużkę popiołu. Gdyby jej dotknął, rozpadłaby się w pył.

Dwa dni myślał, co z tym zrobić. A potem zebrał dokumenty i włożył do szarej koperty. Pojechał wieczorem na plac Starynkiewicza, zaparkował i przeszedł piechotą na róg Alej Jerozolimskich. Wsunął kopertę pod drzwi budynku, w którym mieściły się redakcje „Chłopskiej Drogi” i „Trybuny Ludu”. To nic, że było otwarte. Lepiej, jak ktoś to znajdzie i zacznie dzwonić.

Następnego dnia wezwał go szef.

– Dobrze, że ma pan czas – powiedziała z uśmiechem sekretarka.

Nieładna. Ale umiała dotrzymać sekretów. – Teraz gorące dni, a tu wypadło coś nagłego.

– Pewnie nic ważnego – zbagatelizował porucznik – przecież na przyłot radzieckiej delegacji jesteśmy gotowi od dawna.

– Coś mi się zdaje, że to ważne, bo szef nerwowy.

Podniosła słuchawkę i zameldowała, że gość już czeka.

A potem dała porucznikowi znak ręką.

– No kurwa – powiedział minister, rzeczywiście był zdenerwowany – żeście się nie spieszyli.

Wstał, wyciągnął rękę i poprowadził porucznika do stołu.

Leżały tam zdjęcia, rysopisy, plan okolic banku przy Jasnej, protokoły zeznań. Porucznik znał te wszystkie dokumenty na pamięć.

– Coś nowego? – udał zaciekawienie.

– Dzwonili z „Trybuny” do pułkownika Górnickiego, że jest taka koncepcja, że napadu mogli dokonać milicjanci albo funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa. I ci z „Chłopskiej Drogi” też dzwonili. Wyobraża pan sobie, majorze? Co z tym zrobić?

– Skąd ta koncepcja, że milicjanci?

– No że rzekomo strzelali zawodowcy, a my w Polsce Ludowej prawdziwych zawodowców mamy tylko w służbach.

– W sumie prawda.

– Niech pan nie żartuje. Trzeba pomyśleć, co zrobić.

Porucznik przyjrzał się portretom z bliska i nagle jakby coś go tknęło. Powiedział, że coś w tym jest, że to mogą być oni. Jasiński i Furman.

Siedzieli nad tym dwie godziny. A potem potrzebny był czas na konsultacje przez telefon, który nie miał tarczy. Wystarczyło podnieść słuchawkę i poczekać. Porucznik siedział w sekretariacie. Przeglądał „Życie Warszawy”. Świąteczny numer.

– Jutro powitanie towarzysza Breżniewa, a tu taki pasztet! – SzeF otworzył drzwi i gestem głowy przywołał go do środka. – Tam powiedzieli sobie, że każdy powinien po sobie sprzątać. Ale nie spierdolicie, wiecie, co to za ludzie?

– Wiem – odpowiedział znużonym głosem porucznik – sam ich wszystkiego uczyłem. No ale co z pieniędzmi? Może nie być okazji, żeby zapytać.

– A chuj z pieniędzmi. Kraj od tego nie upadnie.

– A! Wie pan... odkryłem, że to rzeczywiście musieli zrobić zawodowcy – powiedział na odchodnym – na pewno to ci odsunęci przez nas ze stanowisk oficerowie z czasów towarzysza Bieruta. On pozwolił nadmiernie się rozrosnąć w resorcie tym stalinowskim metodom. Bierut zatrudniał ludzi, którzy byli gwałtowni i bezwzględni. To były złe czasy. W złych czasach rodzą się źli ludzie. No i niewykluczone, że byli pochodzenia żydowskiego... może nawet gromadzą teraz kapitał na te swoje syjonistyczne mrzonki o pozbyciu się Arabów ze świata?

– Myślicie? – SzeF wyraźnie się rozluźnił. Odprężył. Podszedł do szafy pancерnej, otworzył ją kluczem, który miał w kieszeni, i wyjął stamtąd butelkę i dwa kieliszki.

– Tak – powiedział porucznik. – Tak mogło być.

– Sądzę, że macie rację. – Tamten nalał po rąbki. – A opowiadałem wam dowcip o przybyszach z kosmosu?

– Nie.

– Wylądowali u chłopca na polu. Ten biegnie, patrzy, a to stwór, co ma siedem nóg, cztery ręce i dwie głowy. I wszyscy macie siedem nóg? – pyta chłop. Tak. I po cztery ręce? No tak, wszyscy. I po dwie głowy? Oczywiście. I wszyscy nosicie takie piękne bransolety ze złota? Nie, mówi stwór, tylko Żydzi.

Roześmiali się.

Wieczorem porucznik pojechał z Jasińskim i Furmanem nad Wisłę, żeby omówić wyjazd do Trójmiasta po ładunek złota. Zjechał za mostem Gdańskim.

– Chodźcie, nie będziemy przecież siedzieć w aucie. – Wyszedł pierwszy i rozprostował ramiona. Po moście jechał pociąg towarowy. Na lawetach czołgi.

– Co to? Na powitanie pierwszego sekretarza? – zażartował Furman.

Był w bordowym swetrze, opalony, jasnowłosy. Piegowata twarz. Porucznik pomyślał, że jest, kurwa, coraz bardziej przystojny. Sweter luźny. Może mieć broń za paskiem. Może mieć i kaburę pod ramieniem, ale zanim tam sięgnie, straci czas.

Furman stał na szeroko rozstawionych nogach z rękoma w kieszeniach. Wdychał zapach wsi. Potężnie wiało od wschodu. Łąką i miodem. Gdyby nie kominy Żerania, można by pomyśleć, że są nad Bugiem.

Jasiński wygramolił się z tylnego siedzenia. Niski, krępy, ruchliwy. Obcisłe spodnie, biała koszula, buty na glanc. Najwyraźniej nie miał broni. Porucznik odetchnął lekko i obszedł warszawę.

Niebo było jak atrament. Już nie granatowe, ale jeszcze nie całkiem czarne. Ptaki krakały jak to na zmierzch... Porucznik otworzył bagażnik i wyjął stamtąd butelkę zagranicznego koniaku.

– Chodźcie nad rzekę – powiedział i pokazał im butelkę. – Ararat od przyjaciół, dzisiaj jest okazja.

– A kieliszki mamy? – zapytał Jasiński.

– Nie... pociągniemy jak starzy harcerze.

Jasiński ruszył przodem, za nim porucznik. Furman grzebał się z tyłu. Zapalał papierosa. Most zadygotał potężnie. Dwie lokomotywy ciągnęły skład węgla na wschód. Porucznik włożył dłoń do kieszeni marynarki. Zacisnął ją na pistolecie, odwrócił się, kiedy Furman gasił

zapalkę. Papieros żarzył mu się w ustach. Porucznik wyszarpnął broń i strzelił mu prosto w głowę. Furman zrobił krok do przodu, papieros wciąż tam był, przyklejony do dolnej wargi, ale jego oczu porucznik nie widział, bo tam była już tylko krew. Odwrócił się, wypuścił butelkę z lewej ręki. Walnęła o beton. Ptaki podniosły się z drzew z ogłuszającym krakaniem. Jasiński biegł do rzeki wielkimi susami. Mrok z tej strony wydał się jakby gęstszy. Porucznik rozstawił nogi i podniósł broń do góry. Nigdy nie chybiał. Strzelił raz, dwa. Zawodowo. W korpus. Ale Jasiński też był zawodowcem. Skakał. Jedna kula trafiła go w bark, ale druga już tylko w koszulę, którą zerwał z siebie, kiedy skoczył. Porucznikowi wydawało się, że koszula przez moment leci w powietrzu, ale to był tylko wiatr. Kiedy opadła, po Jasińskim nie było śladu.

A to chuj, pomyślał, jebany chuj. Rozejrzał się za łuskami. Leżały blisko. Wszystkie trzy. Włożył je do kieszeni. Koniaku szkoda, przebiegło mu przez głowę. Zszedł nad rzekę na lekko ugiętych nogach. Koszula leżała na brzegu. Dalej trzciny, krzaki, syf. Połamane gałęzie. Cholera wie, jak tu jest głęboko. Wiedział, że Jasiński go widzi. Że siedzi gdzieś, jebaniec, w tych krzakach, ale nie ma broni. Gdyby miał, już by było po zabawie. Splunął. Kurwa mać! Nie ma czasu, musi zgarnąć trupa z trawnika.

– Nic do ciebie nie mam, Lucjan – krzyknął – ale nie ma wyjścia. Wszystko się pochrzaniło przez politykę. Zawsze jest przez politykę. Jednego dnia masz robić tak i tak, a drugiego okazuje się, że to, co było dobre, od teraz jest już złe. Rozumiesz? Spierdalaj, Lucjan. Spierdalaj, ale nigdy nie wracaj.

Nic. Cisza. Ale porucznik wiedział, że Jasiński słyszy.

– Nie rozumiesz? Postawili na was krzyżyk. I nasi, i oni. Ciebie nie ma. Nigdy nie żyłeś. Nie masz rodziny. Nie masz domu. Kurwa... twoja rodzina przeżyje, jeśli nie wrócisz.

Ptaki krakały. Znowu układały się na noc. Porucznik wspiał się na górę. Furman leżał na plecach. Porucznik minął go, zrobił jeszcze te dziesięć kroków do samochodu, otworzył drzwi. Z bagażnika wyjął brezentową płachtę. Wrócił, owinął w nią zwłoki i nogą zasypał krew na ścieżce. Rano będą szli tędy wędkarze, kurwa, nie mogą niczego zobaczyć. Butelkę zobaczą. To zwróci ich uwagę... Furman był ciężki, ale przyciągnął go do samochodu. Począł, aż minie go kilka świateł jakichś spóźnionych aut, i wepchnął ciało na tylną kanapę. Potem wrócił i do papierowej torby zebrał kawałki butelki. Te większe. I szyjkę z zakrętką.

Pojechał do Kampinosu. Znali tam leśny dukt. Starą leśniczówkę. Może nawet nie leśniczówkę, tylko zwykły dom w lesie po jakimś drwalu czy pszczelarzu. Dom od wojny stał pusty. Przyjeżdżali tam postrzelać, kiedy mieli dość strzelnic, w których inni patrzą ci na ręce. Od sześciu lat, odkąd zrobili park narodowy, opuszczona leśniczówka powoli zarastała lasem. Zatrzymał się przed ogrodzeniem z siatki. Rdzewiało i były w nim dziury. Pewnie dziki przelazły do sadu. Wywłókł trupa z auta i pociągnął w stronę siatki, przelazł przez nią na czworakach, cholera jasna, żona znowu nie zapyta, co robił, ale będzie wiedziała, że coś złego... Przeciągnął trupa przez dziurę w ogrodzeniu i powłókł go aż do studni. Pamiętał, że studnia jest zawałona gałęziami i że w środku zarosła krzakami. Tym lepiej. Uniósł pakunek nad krawędź i wrzucił do niej trupa.

Kiedy dotarł do Warszawy, brakowało może z godzinę do świtu. Pojechał pod resort i zaparkował przy ogrodzeniu. Obejrzał dokładnie wnętrze samochodu, sprawdzając, czy nie ma jakichś podejrzanych śladów. Resztki butelki w torebce wziął ze sobą i poszedł pieszo do domu. Po drodze wyrzucił butelkę do kosza na śmieci, a łuski do studzienki kanalizacyjnej.

Do domu wszedł ostrożnie, żeby nie zbudzić żony i dziecka. Umył

się i wpakował ubrania do kosza na brudne rzeczy. Ptaki śpiewały za oknem, kiedy wsunął się do łóżka. Objął Jadwigę i zorientował się, że jest zimna. Odsłonił okno. Świt już był, światła dość, by zobaczyć, że miała otwarte oczy. Żadnych śladów. Ktoś udusił ją poduszką.

TERAZ

Obudził ją ból. A może chłód? Jeśli liczy się pierwsza myśl, to jednak chłód: kurwa, jak zimno. A potem doszedł do tego ból... Przez jeden krótki moment nie było tak źle, ale potem przypomniała sobie wszystko. Jęknęła. Najgorsze, że nie wiedziała, co się z nią teraz dzieje. Bolało ją całe ciało. Jakby jakaś siła próbowała rozerwać je na pół. Bolało i zarazem było zupełnie odrętwiałe. Rąk nie czuła zupełnie. Jakby w ogóle nie miała dłoni. Spróbowała poruszyć palcami. Nic. Zero czucia. No i stopy. Stóp też nie czuła, ale za to kostki paliły ją niemiłosiernie. Głowa pulsowała. Jak przy wrywaniu zębów, pomyślała. Cholera, czyżby wyrwali jej zęby? Dotknęła językiem. Nie. Zęby są. Ale język jest sztywny. Kompletnie wyschnięty. I ten słodki smak w ustach. Otworzyła oczy, ale nie zobaczyła nic. Było ciemno. I duszno. Kaszlnęła. Szmata przykleiła jej się do warg. Zabolało. Zrozumiała, że dotyka twarzą jakiejś twardej powierzchni. I że na głowie ma worek. Kiedy kaszlnęła, napięły się jej mięśnie i wtedy zrozumiała wreszcie, co jest nie tak. Uświadomiła sobie, że wisi. Wisi uwiązana za nogi, głową w dół. Nie wiedziała, dlaczego nie czuje dłoni, ale przypuszczała, że mogły być po prostu skrępowane, mogła z nich odpływać krew. Bolało, ale ból był teraz jej sprzymierzeńcem. Dzięki bólowi starała się myśleć. Nie zasnąć znowu... Myśleć. Głowa i oczy. Najbardziej bolały ją głowa i oczy.

– Ejże, żyjesz? – Ktoś trącił ją w ramię.

– Tak – spróbowała powiedzieć, ale nie do końca się jej to udało.

Szmata z worka, który miała na sobie, znowu wypełniła jej usta.

Nie, pomyślała, tylko nie to, nie panikuj, Olga, nie panikuj, jesteś oficerem policji, jesteś silna, samodzielna i nie takie rzeczy już przeszłaś. Może nawet będziesz mieć jeszcze chłopaka, ale nie panikuj.

Było za późno. Czyjeś nieustępliwe, grube palce znalazły drogę i już zacisnęły się jej na gardle. Szarpnęła się. Ale na darmo. Lęk przyszedł, bo poczuła, że następnego oddechu już nie złapie. Krtań zaczęła puchnąć, a język stał się twardy jak kołek. Chciała krzyknąć albo chociaż chrząknąć, wypluć to, ale nie, nie krzykniesz, jeśli masz puste płuca. Nie wyplujesz, jeśli nie ma śliny. Zacharczała tylko. Gdyby miała wolne ręce mogłaby rozerwać ten worek, a wtedy, wtedy na pewno mogłaby złapać oddech. Albo rozerwałaby tę pętlę na szyi. Ale ręce nie chciały słuchać. Szarpnęła się raz i drugi. Znowu uderzyła głową w coś twardego. Zabolało. Może to ściana? A może wisi w jakimś kominie? Może dlatego jest tak ciemno? Na pewno. Na pewno wisi w studni. W kominie. W jakimś szybie, w zasypanej piwnicy. Zalała ją fala gorąca. Wzięła haust powietrza, ale nie potrafiła wypluć go z powrotem. Ciemność przed jej oczyma pogłębiła się i Olga zrozumiała, że traci przytomność.

Znowu jest z Anką w samochodzie, który dachuje na asfalcie, a one wiszą w pasach. Szyba jest rozbita, ale powietrze nieruchome, nie ma już ani tej ulewy, ani wichury. Olga widzi mokrą żyłę asfaltu rozciętą cieniem innego auta. Widzi czerwone światła. Wysoko, wysoko. A potem czuje, że się obracają razem z samochodem, czerwone światła znikają, tamten samochód odjeżdża, potem jest chwila ciemności. Mamo! – krzyczy Anka, a wtedy rozżarzone do białości lampy ciężarówki rozpedzonej jak ekspres pożerają wszystko. Ankę, ją, cały wszechświat i Olga dusi się w zmiażdżonej kabinie. Wszystko wiruje jak na karuzeli. Od dziecka bała się karuzeli. Nigdy

nie zapomniała tego strachu, kiedy drzewa, niebo, dalekie domy i kolorowe budy cyrkowych artystów rozmyły się w jedną niebiesko-żółtą masę. Zobaczyła pokrwawione ciało Anki. Jej otwarte oczy. Mamo! Ciągłe to słyszy, ale usta się już nie ruszają. Olga rozumie, że teraz to jej krzyk. Że to koniec. Jeszcze chwila konwulsji i ciemność. Kiedy dostała drgawek i zaczęła walić głową w ścianę, tamten przyłożył jej pięścią w brzuch.

– Przestań, kurwa! Ty to jesteś popierdolona.

Ale ona nie mogła przestać, miała zaciśnięte gardło. Uderzył ją znowu. W splot słoneczny. Zwiotczała. A potem, po długiej, długiej chwili usłyszała, jak powietrze wraca jej do płuc.

Uderzył ją jeszcze raz. W pierś.

Jęknęła.

– No widzisz... można się z tobą dogadać.

– Duszę się – wykrztusiła.

– Nie pierdol. To tylko jutowy worek. Zdaje ci się, że jest taki straszny, bo mamy tu dosyć ciemno. Nie ma prądu. Tylko świece. Ale ja lubię siedzieć po ciemku. Na głowie masz stary jutowy worek na kartofle. Dziura na dziurze. Więc nie pierdol, nie udusisz się. Gadaj.

Kurwa mać, czyj to głos? – postanowiła pozbierać myśli. Inaczej z tego nie wyjdzie.

– Co mam mówić? – Zrozumiała, że gdyby chciał ją zabić, już by nie żyła. Więc chce się czegoś dowiedzieć. To jej karta przetargowa. Skoro ma na głowie worek, chodzi o to, żeby go nie rozpoznała. A więc nie chce jej zabijać. Ale czyj to głos? Tego prezesa... z bólu nie potrafiła sobie przypomnieć jego nazwiska. Kurwa mać... Słyszała go tylko przez telefon. A może to goryl od Kowala? Jeśli tak, to pewnie nie przeżyje. Kowal by jej nie darował.

– No mów, czym się zajmujesz. – Usłyszała.

– Odwiąż mnie – wykrztusiła – oczy mi wyjdą z głowy.

– Przeżyjesz. Każdemu się wydaje, że zdechnie, jak trochę powisi, ale to wcale nie jest prawda. Słyszałaś o Wiktoryynie? Trzy dni wisiał głową w dół i został świętym. Oczy mu jakoś nie wypłynęły.

Usłyszała chrzęst, a potem westchnięcie. Człowiek, który ją uwięził, usiadł. A więc na razie jej nie uderzy. Milczała.

– Słyszałaś? – Trącił ją nogą w głowę.

– Nie.

– Widzisz, jak mało wiesz. A David Blaine wisiał dwa dni na linach nad Central Parkiem i oczy mu z orbit nie wyszły. To magik. Słyszałaś o nim?

Pokręciła głową. Tamten znów trącił ją końcem buta.

– Odpowiadaj na głos. Żebym wiedział, że żyjesz. Nie możesz zdechnąć, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz.

– Odwiąż mnie – poprosiła. – Naprawdę oczy mi wychodzą z orbit.

– Nie dyskutuj ze mną – znowu szturchnął ją nogą – nie stawiaj warunków. Bądź posłuszna, to może dam ci żyć.

– Uduszę się – wychrypiała – przecież mam związane ręce i nogi...

– Skute. Masz skute ręce i nogi. To dla jasności. No i wisisz. Jak cię odetnę, skręcisz kark. A to nie jest jeszcze ta godzina. Opowiadaj.

Milczała.

Znowu szurnięcie. A potem uderzył ją w pierś. Albo może kopnął. Skąd mogłaby wiedzieć. Zabrakło jej tchu... a potem zaczęła kaszleć.

– To zdejmij mi ten worek – poprosiła – jeśli znowu wpadnę w panikę, zacznę się dusić.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Uduszę się i niczego ci nie powiem.

– Opowiesz. Nie tacy jak ty mi opowiadali.

Pochylił się, obmacał jej twarz i nożem rozciął worek na wysokości

ust. O tak, teraz powietrza było znacznie więcej. Poczula zapach grzybów. Spleśniałych szmat. Jakiegoś zdechłego zwierzęcia. Zjełczanego tłuszczu. I papierosów. Ale nie takich, które mogłaby rozpoznać. I jeszcze zapach perfum. Ciemny, mroczny. Ale teraz było dobrze. Powietrze zimne, rześkie.

– Gadaj. Czym się zajmujesz?

– W policji jestem – powiedziała.

– Nie mów mi tego, co wiem. Mów, czym się zajmujesz.

– Zabójstwem Doroty Kowalskiej.

– Nie znam. – Trzasnęła zapalka. Poczula swąd tytoniu. I zapach papierosów stał się wyraźniejszy. – Opowiedz mi więcej.

– Kim jesteś?

Wstał i znowu ją kopnął.

– Jesteś tym, który pyta – powiedziała, gdy ból minął.

– No, nie jest z tobą tak źle. Wnioski umiesz wyciągać, nadajesz się do policji. Mów o tym zabójstwie.

– Młoda kobieta. Znaleźliśmy ją w Wigilię. Była w czarnej sukience, czysta, nieskazitelna. Leżała nad Wisłą. Nawet buty miała czyste, choć tam błoto. Żyłki na rękach miała przecięte nożem. Takim do chleba.

– Ja pierdolę – powiedział. – Był taki przypadek w 1964 czy 1965. Gdzieś przy trasie Świerczewskiego. – Usłyszała, jak zaciąga się papierosem. – No mów, mów, opowiadaj. – Znowu trącił ją nogą. – Mów, co wiesz. Jak się nazywała?

– Kowalska – powiedziała. – Dorota Kowalska, siostra Kowala... – Jeśli spodziewała się jakiejś reakcji, to się przeliczyła. Tamten milczał. – Pracowała w firmie farmaceutycznej, badała jakieś opiaty czy opiatoidy. – Serbia poczuła, że robi jej się niedobrze, słabo. – Słabo mi...

– Nie pierdol, z jakiej gliny macie teraz tę policję? – Tracił ją nogą tak, że się zaczęła kołysać. Przy każdym ruchu czuła, jak kajdanki wrzynają jej się w skórę na kostkach. I ten słodki smak w ustach nie dawał jej spokoju. Wisiała gdzieś przy ścianie, bo za każdym wahnięciem czuła jej obecność. – Mów!

– Badala hydromo... – nie dała rady dokończyć.

Zwymiotowała. Całe szczęście, że zrobił jej ten otwór w worze, bo teraz pewnie by się utopiła.

– Ho, ho, ho, siostró, co to się stało? No teraz to muszę ci ten worek... kurwa! Zdajesz sobie sprawę, że dopóki masz na ryju tę szmatę, możesz żyć? Tak?

– Tak.

– No to nie spierdol tego. Proszę cię, nie spierdol. Dużo wysiłku mnie kosztowało, żeby cię wysłuchać.

Wytarł jej usta jakąś ohydłą szmatą. Na szczęście nie wiedziała, co to może być. Na szczęście, kiedy się już wyrzygała, było jej odrobinę lepiej. Żołądek przestał boleć. Gardło paliło ją od zgagi.

– Pić! – poprosiła.

– To się nie uda. Musiałabyś pić przez słomkę. Nie mam słomki. Gadaj, nie mamy dużo czasu.

– Co mam powiedzieć? Nie wiem, kto ją zabił... Podejrzewam, że jej szef.

– Co to za gość?

– Słupecki, prezes firmy, w której pracowała. Myślą, że ich okradała.

– Aha, ciekawe. – Ziewnął. – Co dalej?

– Jestem cała ścierpnięta, czy możesz mnie opuścić na podłogę? Proszę.

– Mów, nad czym jeszcze pracujesz.

– Nad niczym więcej. Tylko nad tym. Opuść mnie. Proszę.

– Pomyślę, ale kiedy zaczniesz mówić prawdę.

– To jedyna sprawa, jaką teraz mam. Naprawdę.

– Więc mów dalej. Czekam.

– Ona była siostrą Kowala. Tego gangstera od nieruchomości i handlu bronią. – Serbia poczuła, że znowu robi jej się słabo.

– Ciekawe, mów, mów. Jego też podejrzewacie?

– Nie wiem, czy mógł mieć jakiś związek z tymi chemikaliami. Ale siostry by przecież nie zabił, prawda? – Pomyślała, że jeśli to człowiek Kowala ją więzi, to może teraz jest czas, żeby przejąć inicjatywę, ale chyba było już za późno. Ucisk na głowę zelżał i poczuła nagle, że odpływa. Straciła przytomność.

Mężczyzna trącił ją nogą. Raz, a potem drugi. Westchnął.

– Kurwa mać. Parytetów im się zachciało.

Wyjął z kieszeni nóż. Oprócz dwóch świeczek w pomieszczeniu było całkiem ciemno. Elektryczności nie było tu, odkąd pamiętał. Może nigdy jej tu nie było. Dom był przegniły. Z tyłu dach już się prawie zapadł, ale kuchnia wciąż się trzymała. Zbudowana wokół pieca była najtrwalszym elementem konstrukcji. Dobrze, że pomyślał o świecach, bo po ciemku nie widziałby, czy ta blade jeszcze żyje. Wziął jedną świeczkę i przybliżył do jej twarzy. Płomień drgnął. Oddychała. Pewnie zemdląła ze strachu. Podniósł świeczkę wyżej. Miała spodnie mokre w kroku.

– Ja pierdołę.

Wyjął nóż z ząbkowanym ostrzem i przyłożył do liny. To był wspinaczkowy podciąg. Pamiętał, że w kuchni był pod sufitem blok. Pewnie leśniczemu służył do podciągania tuszy, żeby mogła się wędzić przy piecu. Albo żeby kruszała. Zresztą nie wiedział po co. W każdym razie do tego, żeby podwiesić ciało, był idealny. Chwytał linę w jedną ręką, a drugą przeciął węzeł. Taką linę niełatwo przeciąć,

kiedy jest luźna, ale kiedy się ją napnie, idzie jak masło. Przytrzymał linę drugą ręką i pozwolił, żeby ciało Serbii osunęło się na podłogę. Zdjął jej z głowy worek, odciął płat płótna i zawiązał jej oczy. Tak lepiej. Nie chciał jej zabijać. Chciał wiedzieć. Musiał wiedzieć. Uderzył ją kilka razy po twarzy.

– Ej, kurwa, obudź się, nie mam czasu tu siedzieć całą noc.

– Wody – jęknęła.

Sięgnął po butelkę, która stała na piecu, obok świecy. Odkręcił i polał jej wargi. Łapczywie spiła wilgoć.

– Jeszcze.

Wylał do ostatniej kropli.

– Słabo mi – wyszeptała.

– Nie pierdol. Mam cię ocucić?

Milczała. Wyjął papierosy i zapalniczkę. Zaciągnął się ze dwa razy, a potem przetoczył ciało leżącej nogą na brzuch i przyłożył koniec papierosa do jej dłoni. Zawyla z bólu. Przypalił ją jeszcze raz. I jeszcze.

A więc mam czucie w dłoniach, pomyślała, kiedy przestało boleć.

– Kazalaś swojemu kochankowi sprawdzić kilka nazwisk – powiedział.

– Jakiemu kochankowi, ja nie mam kochanka.

Uderzył ją w nerki.

– Kurwa, nie mam czasu. Zaraz będzie dzień, więc mi nie pierdol, tylko mów.

– Jakie nazwiska?

– Ciemniowski i Wróblewski.

– Pierwsze słyszę. – Nie umiała sobie przypomnieć.

Uderzył ją jeszcze raz. Wiedział, jak to zrobić, żeby bolało. Zabrakło jej tchu i pomyślała, że znowu zemdleje. Kiedy zobaczył, że

Serbia odpływa, zaciągnął się ostatni raz i wpakował jej papierosa w wewnętrzną stronę dłoni. Zawyla.

– Przypominasz sobie?

– Tak... – przypomniała sobie – to nazwiska z takiej... kartki.

– No, no... – Pstryknął niedopałkiem i zapalił kolejnego papierosa.

– To nazwiska z kartki z zagadką.

Milczał.

– To była zagadka. Cyfry, jakaś opowieść o Chopinie i Reymencie i te dwa nazwiska tam były.

– W jakim kontekście?

– Że nie żyją. Że się coś popierdoliło przez politykę i że nie żyją.

Co z Szymonem?

– Z jakim znowu Szymonem?

– Powiedziałeś, że mój chłopak podał nazwiska – wydusiła, sklejjając to wreszcie do kupy.

– Żyje. On nic nie wie. Ty mu podałaś nazwiska. Kto je podał tobie?

– Mówiłam już. Były na kartce.

– Opisz papier.

– Cztery strony, poskładane, wytarte na krawędziach. Stary papier, szary, sztywny, może z lat siedemdziesiątych... na jednej cyfry, dalej ten fragment tekstu z nazwiskami, na ostatniej coś w obcym języku. Znaki, których nie rozpoznałam.

– Powiedziałaś, że to zagadka.

– Tak. Szyfr.

– Ile wiesz?

– Cztery napady. Sporo pieniędzy. Na końcu zagadki jest skarb.

– Znalazłaś?

– Nie, nie wszystko odgadłam.

– Dawaj kartkę.

– Nie mam.

– Gdzie jest?

– W samochodzie. W skrytce w samochodzie.

– Kurwa mać. – Pochylił się i zgasił niedopałek w jej dłoni. Zawyła z bólu.

– Nie kłamiesz?

– Nie... – Chciało jej się płakać. – Nie kłamię.

– Wiem, że nie masz tego przy sobie. Sprawdziłem. – Wyciągnął kolejnego papierosa. – Zrobimy tak: pojedę po ten papier, a ty przez ten czas spróbujesz nie zdechnąć, dobrze? Wrócę i poczytamy sobie, co? Przywieźć ci coś z miasta?

– Tak, kurwa, pączka. Nie wiesz, że psy najbardziej lubią wpierdalać pączki?

Przyłożył jej pięścią w twarz.

– Nie wiem, czemu pyskujesz, przecież chciałem być miły. Jesteś skuta. Klucze mam przy sobie. Nie wierć się, to nie zrobisz sobie krzywdy. Jesteś mi potrzebna żywa, więc się postaraj.

Usłyszała szuranie po podłodze i zgrzyt drzwi. Potem była chwila ciszy. Pewnie się zatrzymał i myśli, czy jej ze sobą nie zabrać. Nie wiedziała, co by było lepsze. Jechać do miasta, pewnie w bagażniku, czy czekać tutaj, aż umrze z głodu albo ze strachu.

– Zabierz mnie – powiedziała. – Nie będę krzyczeć ani nie zrobię niczego głupiego.

– Nie – odparł, po czym się zaciągnął – wrócę za dwie, trzy godziny.

Przeszedł przez sień po omacku, bo strużka migotliwego światła z kuchni sięgała tylko na metr, może półtorej w mrok. Wymacał drzwi

wejściowe. Popchnął je i uderzył go rzeński chłód nocy. Mróz szedł potężny. Pomyślał, że jest z minus piętnaście, choć pewnie nie było aż tyle. Widział księżyc, połowę tarczy, ale świeciła jasno jak reflektor. I gwiazdy. Uderzyła go cisza. Tam, gdzie mieszkał na co dzień, słyszał w nocy owady. Milion kurewskich cykad. Każdej nocy marzył o tym, żeby stanąć w świetle księżycy i nie słyszeć nic. Pokręcił głową, zaciągnął się jeszcze raz i rzucił niedopałek w śnieg. Zrobił dwa kroki i wtedy to poczuł. Mrowienie na całym ciele. Ktoś na niego patrzył. Sięgnął do tyłu i wymacał kolbę pistoletu. To mogło być jakieś zwierzę. Wilk. Nie, nie było tu wilków, pewnie łoś. Ale czy one nie zasypiają na zimę? Chwycił kolbę oburącz i skulił się, zmałał. Wtedy usłyszał wystrzał. Suchy trzask. Zarobił w pierś. Lewa ręka zwiotczała. Na tej jebanej ścieżce jestem jak kaczka na strzelnicy, zrozumiał. Rzucił się w przód, ale za późno. Druga kula utkwiała mu gdzieś w okolicy obojczyka. Usłyszał bulgot. Rana była groźna. Nie musiał długo myśleć. Znał się na ranach. Spróbował podnieść broń, ale strzaskana kość mu na to nie pozwoliła. Trzasnęło i strumień światła wyssał go z mroku. Zmrużył oczy.

– Cześć, towarzyszu Jasiński – powiedział Siwy.

– Kim ty, kurwa, jesteś, dziadku? – Jasiński tracił oddech.

– Nikim ważnym. Kobieta, którą udusiłeś poduszką, była żoną mojego przyjaciela.

– To był chuj, złamas, zły człowiek. – Jasiński tracił siły. Cykady zaczynały mu grać w głowie.

– Wiem. Ale coś dla mnie kiedyś zrobił i dałem mu słowo.

Jasiński zamknął oczy. Cykady grały na Wzgórzach Golan. Był znowu w kibucu. Przyjęli go, kiedy uciekł z Polski z fałszywymi kwitami emigracyjnymi dokumentującymi pochodzenie. Doskonała robota KGB. Bał się innych miejsc. Zostało mu żydowskie państwo. Pracował jak inni. I jak inni poszedł na front w 1967. Śmiał się, że idą

na stanik. Po hebrajsku front i stanik brzmią prawie tak samo. Szedł na mur zachodni z Żydami, których całe życie nienawidził. Strzelał celnie. Teraz to byli towarzysze broni. W jego oddziale zginął tylko jeden człowiek. Żydzi to dobrzy żołnierze. Od tej wojny miał w Jerozolimie grób, na który po polsku woził kwiaty. Wrócił do kibucu, ale czasami wyjeżdżał stamtąd, żeby w szkołach opowiadać o wielkiej wojnie. A potem znowu strzelał. Na Wzgórzach Golan. Ramat HaGolan. Nowy dom. A potem dostał telefon, że ktoś w Polsce szuka go po tym nieistniejącym operacyjnym nazwisku i przestał być Arielem. Był znowu Lucjanem. Lucjanem, który poprzysiągł zemstę za towarzysza broni, którego kiedyś miał. Kiedyś, w innym życiu. A teraz słyszał cykady. Słyszał coraz głośniejsze. Gdyby otworzył oczy, zobaczyłby księżyc nad swoim własnym miastem. Ale nie otworzył.

– Już – powiedział po polsku.

I Siwy starannie, jak należy, strzelił mu w głowę.

TERAZ

– Raz, dwa...

Na dźwięk wystrzałów Serbia skuliła się ze strachu. Porywacz kogoś rozwalił. Nie było sensu strzelać w powietrze, więc miał innych więźniów i właśnie kogoś rozwalił. Spociła się, mimo że od kilku minut już tylko dygotała z zimna. Wiedziała, że to spadek adrenaliny. Najpierw marzniesz, a potem, w skrajnych przypadkach, zasypiasz. Ale nie, ona nie zaśnie. Miała dreszcze. Jeśli kogoś zabił, to znaczy, że i ona może nie przeżyć. Że kiedy już będzie miał rozwiązanie zagadki, to ją odstrzeli. Zagryzła wargi, żeby nie zapłakać. Przecież powiedziała już wszystko, co wie. Kiedy facet wróci, będzie próbowała kręcić, ale w końcu wyda się, że doszła tylko do pudła z butami. A wtedy co? Pojedzie po buty i ona znowu będzie miała trzy godziny...

Wtedy padł trzeci strzał.

Zamarła. A jeśli to jego ktoś zabił? Wtedy zostanie tu, w tej piwnicy, na zawsze. Przecież nikt nie wie, że jest tu zamknięta. Cisza. Nikt nie idzie. A potem usłyszała jeszcze dwa strzały. Skuliła się na podłodze jak dziecko. Jak embrion. Jak embrion z ramionami skutymi na plecach. Dłonie paliły ją od poparzeń, a brzuch i plecy od ciosów, ale przede wszystkim znowu się bała. Usłyszała skrzypienie drzwi, a potem kroki. Powolne... być może porywacz jest ranny. A potem zobaczyła światło. Musiało być ostrzejsze niż świeca, bo przebiło szmatę na jej oczach. Ale tylko na moment.

To ktoś inny, pomyślała. Jej porywacz nie używał latarki. Jednak ktoś sprzątnął porywacza, a teraz przeszukuje pomieszczenia. Nie chciała płakać, ale łzy same popłynęły jej po twarzy.

– Olga? – Usłyszała znajomy głos. – Olga, żyjesz?

– Tutaj – zawołała. Kurz z podłogi oblepił jej usta. Smakował ohydnie. Ale już nie hamowała łez. Płakała jak dziecko.

Siwy podszedł szybkim krokiem i zobaczył ją sponiewieraną. Zwiniętą na podłodze. Uklęknął i zsunął jej szmatę z oczu. Oślepiło ją światło czołówki.

– Przepraszam cię – powiedział Siwy. – Przepraszam.

– Oślepnę przecież – pociągnęła nosem.

Zgasił latarkę.

Przytulił ją. Klęczał i tulił ją do piersi. Płakała. Pozwolił jej płakać do woli.

– Wy-y-trzyj m-mi nos – powiedziała przez łzy po dłuższej chwili.

– Słucham?

– Nos mi wy-y-trzyj. Mam skute ręce.

– O Chryste, przepraszam cię – powiedział i zmienił pozycję, żeby jej nie uciskać. – Kurwa, dasz radę wstać?

– Nie wiem, nogi też mam skute.

Siwy włączył latarkę i zobaczył jej obrzęknięte, poprzecierane do żywego mięsa kostki i mokre spodnie.

– Czekaj, posadzę cię i pójdę poszukać klucza.

– Nie, nie idź – poprosiła. – Boję się tu być.

– On już nie wróci. Przeszukam mu kieszenie... dasz radę się podnieść?

– P-pomóż mi.

Dźwignął ją z wyraźnym wysiłkiem. Choroba go nie oszczędziła. Pocił się dramatycznie, ale Serbia oparła się wreszcie na obolałych

stopach. Ale nie było dobrze. Gdyby ją puścił, upadłaby natychmiast. Zahaczył butem nogę jedyne krzesła w pomieszczeniu i przysunął mebel bliżej.

– Usiądź – powiedział. – Zaraz wrócę.

Olga patrzyła na starą, zapyziałą od brudu kuchnię jakiejś chałupy nie wiadomo gdzie. Było tam sporo zwierzęcych odchodów, więc pewnie znajdowali się blisko lasu. Nie widziała zbyt wiele, świeca dawała migotliwe światło. Był przeciąg. Cienie poruszały się jak żywe. Olga zmuszała się, żeby oddychać jak w trakcie treningu. Żeby się na tym skupić. Na stole leżały w wojskowym porządku jej broń, portfel, telefon, blacha i klucze do mieszkania. Brakowało kluczyków do auta. No tak, zabrał je, bo chciał odnaleźć papier. Papier, który dostałam od Siwego. Skąd Siwy się tutaj wziął? Skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć? Kurwa, kim on właściwie jest?

Niepokój powrócił.

– Znalazłem. – Dowódca wszedł dziarskim krokiem. – Znalazłem, córuchno. Miał kluczyk w kieszeni.

Uwolnił jej ręce i nogi. Złożyła się wpół na tym krześle, żeby rozetrzeć kostki, ale cofnęła dłonie, kiedy zobaczyła, że skóra była poprzecierana do żywego mięsa.

– Trzeba to zdezynfekować. Mam w samochodzie alkohol. Zaboli, ale pomoże, chodźmy. – Podał jej ramię – Bardzo cię skrzywdził?

– Łomot mi spuścił, przypalał papierosem, powiesił do góry nogami. Wstrzyknął mi coś. Wystraszył mnie.

– Chodźmy stąd. Przepraszam cię – mamrotał Siwy. – Nie chciałem, żeby do tego doszło. Nie miałem go na czysty strzał... Nie mogłem strzelić, kiedy dał ci ten zastrzyk, bo zwyczajnie się zagapiłem, on wyszedł z cienia jak duch. Nie zdążyłem krzyknąć ani sięgnąć po broń, a ty się strasznie szamotałaś. Nie czekałem, pobiegłem po samochód. A potem jechałem za wami po ciemku, bez

świateł. Kiedy wciągnął cię do domu, nie mogłem ryzykować, że cię trafię. Musiałem czekać, aż mi wyjdzie na strzał.

– Widziałeś, jak mnie porwał? – spytała zdziwiona. – Jak to?

– Śledzę cię, odkąd ten facet, Szymon, wyjechał.

Podtrzymywał ją, kiedy schodzili z trzech stopni na ścieżkę. Było bardzo zimno, księżyc ogromny, ale niebo na wschodzie zaczynało już szarzeć. Trup leżał na ścieżce. Właściwie nie na ścieżce, tylko na ubitym, zamarzniętym śniegu. Serbia w lot zrozumiała, że to ślad jej ciała. Że tędy ją ciągnął.

Zwłoki leżały w czarnej kałuży posoki. Kiedy Siwy skierował tam światło latarki, krew zalśniła metaliczną czerwienią. Ciało tężało. Oldze wydało się, że widzi, jak uchodzi z niego ciepło. Delikatnym, bladym płomieniem pary. Skóra nabrała już niebieskiego odcienia. To był stary człowiek. Ogorzały, kiedyś pewnie przystojny, ale nie teraz, nie z tymi otwartymi ustami. Miał duże, zdrowe, białe zęby. Zadbane. Dłonie w rękawiczkach. W jednym ręku pistolet.

– Kto to jest?

– Zbój. Zły człowiek.

– Znałeś go?

Patrzyła w twarz zabitego. Ciągle nie rozumiała.

– Nie – powiedział Siwy, oddychając z wysiłkiem – mieliśmy wspólnych znajomych.

– Jakich?

– Zabił matkę mojej żony.

Siwy odetchnął. Tak jak kiedyś, w dawnych czasach po spowiedzi. Idź i od tej pory już nie grzesz. Ofiara spełniona. Teraz już mógł odetchnąć pełną piersią.

– Kurwa, Siwy, wystawiłeś mnie. Pozwoliłeś, żeby ten zboczeniec się nade mną znęcał – mówiła wolno, cicho. Bez hysterii. – Jak

mogłeś mi to zrobić? Wiesz... był taki moment... Mogłam się udusić we własnych rzygowinach. Myślałam, że zawsze mogę na ciebie liczyć, a ty mnie, kurwa, wystawiłeś.

Nie patrzył na nią. Nie chciał, żeby światło czołówki raniło jej oczy.

– Chodź, Olga, chodź... muszę ci przemyć rany.

Pociągnął ją, a ona poszła posłusznie jak pies. Kopniesz go, odepchniesz, nakrzyczysz, przywiążesz w lesie na drucie, żeby zdechł, a on pójdzie za tobą, dokąd zechcesz. Bo pies to pies. Nie wie, że mógłby inaczej. Więc szła. Wyło w niej, gdzieś tam głęboko, to sponiewierane serce, ale szła. Siwy znał drogę. Zawsze jej mówił, co trzeba, a co jest niegodne. Zresztą co miałyby zrobić? Upaść tu, w tej pierdolonej głuszy, obok bandziora z wyszczerzonymi zębami? Płakać? O nie. Już swoje wypłakała. Szła tam, dokąd ją prowadził. Nie utrzymałaby się na nogach, gdyby nie to, że Siwy ją obejmował.

– Przepraszam – powiedział już swoim normalnym głosem – zaryzykowałem. Wiem, że to niegodne. Ale byłem pewien, że cię umiem ocalić.

– Ja pierdołę, ty wiesz, co mówisz? Słyszysz sam siebie? – Nie krzyczała. Gdyby krzyczała, byłoby mu pewnie lżej. Ale nie chciała, żeby było mu lżej. – Zesrałam się ze strachu. Rozumiesz? Powiesił mnie za nogi w worku na głowie.

– Rozumiem. Nie wybaczysz mi. Wiem. Ale żyjesz. Żyjesz. Kocham cię, córuchna. Nie dałbym cię skrzywdzić.

Pokręciła głową. Nie miała słów. Dowlekli się do jakiejś starej drogi. Drzewa stały tu w większych odstępach. Może ze trzy metry od siebie. Ale krzewy, zaśnieżone i lśniące w poświacie księżyca, kłębiły się dookoła jak owce. Stały tam, wbite w krzaki dwa samochody. Żeby tu dotrzeć, musiały nieźle porysować karoserie. Patrol Siwego, a przed nim, bliżej, czarny, wysoki renault. Nowy. SUV. Poznańskie

blachy. Pewnie z wypożyczalni.

– Czekaj. On ma w kieszeni klucze do mojego samochodu – przypomniało jej się nagle. – Oprzyj mnie tu i sprawdź mu kieszenie.

– Kurwa mać! Przecież mu już przeszukałem kieszenie, jak poszedłem po ten od kajdanek. Miał sporo tych kluczy.

– Stary się robisz. Moje klucze są tylko na kółku. Ale on będzie miał jeszcze jakieś z breloczkiem, z firmowym znakiem. To mu zostaw. To z wypożyczalni.

Kiedy odszedł i zniknęło światło latarki, zobaczyła, że świat wokół wcale nie jest szary. Jest atramentowogranatowy. Piękny. Jeszcze nigdy w życiu nie była zimą w lesie przed świtem. Ale było zimno. Jej przemoczone spodnie zamarzyły. Może to lepiej? Nie zapaskudzi Siwemu siedzenia.

Trochę trwało, zanim dowódca wrócił, otworzył jej drzwi i pomógł wsiąść. Znalazł w bagażniku butelkę finlandii. Przyszedł z tą butelką i z apteczką. Otworzył butelkę, a Olga bez słowa wyciągnęła po nią rękę, a potem piła jak wodę. Żeby zabić w ustach smak rzygowin, strachu, śmierci. Żeby zabić ból.

– Lej – powiedziała potem.

Wyjął z kieszeni spodni staroświecką płócienną, wykrochmaloną chusteczkę złożoną w kwadrat. Nasączył obficie wódką i przyłożył jej do otartych kostek. Zawyla. Ale nie zemdląła. Znowu poczuła uderzenie adrenaliny.

– Przeżyłaś, więc teraz leję. – Przechylił butelkę.

Alkohol palił ranę jak smutek.

W apteczce były jałowe opatrunki. Ale nie na wiele się to zdało, bo były za krótkie i za sztywne na mrozie. Na prawej nodze rana była głębsza. Więc owinął ją bandażem. Drugą zawinął swoją chustką i okleił plastrem.

– Do wesela się zagoi.

Pomyślała o Szymonie.

– Czy Szymon żyje?

– Nic mu nie jest – uspokoił ją Siwy. – O niczym nie wie.

Wykręcił na wąskim trakcie, bezlitośnie tratując krzewy, które w odwecie z głośnym zgrzytem rysowały mu blachę. Jechali w milczeniu. Reflektory wyciągały z mroku ośnieżone drzewa. Włączyła radio. *True Love Waits* Radiohead. Zachciało jej się płakać. Na szczęście dalej było już lepiej. Ciepłej. Żyła. Wódka zrobiła swoje. A potem zagrała Metallica. Oni nie biorą jeńców. Odetchnęła.

– Mów! – rozkazała.

Opowiedział jej o tym, jak zginęła matka jego byłej żony. Udużona poduszką, kiedy dziewczynka była jeszcze całkiem mała. Znał jej ojca, zanim poznał ją. To był jego mentor, wychowawca, wszystkiego o policyjnej robocie nauczył się od Bućki.

– Maria go nienawdziła. Nie była się z nim pożegnać. To byłem ja. Mnie dał ten papier. Powiedział, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym trzeba będzie Jasińskiego wyciągnąć z ukrycia. I że muszę to zrobić. Że muszę pomścić Jadwigę. No i przysiągłem. Rozumiesz? Nie chcę, żebyś wybaczyła, chcę, żebyś zrozumiała.

– Jak go wyciągnąłeś?

– Pamiętasz sprawę Ruskiego? Ten twój chłopak miał dostęp do teczek, o jakich wiedziałem, że nie istnieją, rozumiesz?

– Nie rozumiem.

– Wiedział o sprawach, o jakich nikt nie wiedział. Nikt nie wiedział o mnie i o Ruskim. Tylko oni.

– Jacy oni?

– Elita.

Nie rozumiała. Jaka znowu elita? Patrzyła na drzewa. Na niebo, które gdzieś tam, wysoko nabrało jasnej barwy. Świt był. Jechali na

wschód.

– Ubecka elita? To masz na myśli? Przecież ty jesteś jednym z nich.

– Weryfikację przeszedłem. I powiem ci, że gdyby nie choroba, no i gdyby nie polityka, pewnie nawet mógłbym zostać komendantem głównym. Ale do elity nie należę, rozumiesz? Ja bym takich spraw jak ta z Ruskim nie wygrzebał. A Szymon ci to znalazł. Rozumiesz? Powęszyłem trochę, tyle ile mogłem.

– Podsunąłeś mi zagadkę tylko po to, żebym wciągnęła Szymona do tej gry?

– Nie pomyliłem się.

– Ale po co?

– Żeby Jasiński wrócił.

– Dlaczego miał wrócić?

– Jeśli nie po pieniądze, to po zemstę. Bućko zastrzelił jego najbliższego przyjaciela.

– Kurwa, ty mnie naprawdę wystawiłeś. Skoro musiałeś go zastrzelić, to nie mogłeś jak mężczyzna pojechać i zrobić tego u niego w domu?

– Nie mogłem.

– Dlaczego?

– Nie wiedziałem, gdzie jest. Ale była szansa, że wróci, jeśli wypłynie jego nazwisko. Przepraszam.

– Pierdol się. Zostało jeszcze coś tej finlandii?

Podał jej butelkę.

– Kurwa, jak trudno pić przez ten lejek. Po co oni wkładają ten plastik do butelek? Zwolnij, zwolnij, bo się pozalewam.

I zaczęła płakać.

Zawiózł ją do domu. Pomógł jej się rozebrać i zostawił pod

natryskiem. Słyszał, jak jęczy z bólu, kiedy mydło wżerało się w rany. Czekał, aż wyjdzie, różowa od gorącej wody. Wyszła owinięta ręcznikiem. Nie widział jej siniaków. Ale rany na kostkach krwawiły. Oczy miała podkrążone. Nie płakała.

– Co teraz zrobisz?

– Ciebie w to nie będę mieszał. Szymonowi nic nie jest. Dzwoniłem do jego biura, pracuje normalnie. On nie wie. Nie wie, kim jest jego ojciec.

– A kim jest?

– Bućko szkolił czwórkę zabójców. Dwoch do akcji i dwóch rezerwowych. Myślę, że ojciec Szymona jest jednym z tej dwójki.

– A drugi?

– To była dziewczyna. Zrobiła karierę w prasie. Bardzo cięty język. Pisała książki, występowała jako ekspert od polityki w różnych telewizjach... Miała, jeśli tak można to określić, państwowy pogrzeb.

– Mam mu powiedzieć?

– Nie, nie mów. On pewnie mógłby cię pokochać... Wiesz, stare psy potrafią wywąchać takie sprawy. Śledziłem was. Wiem, jak na ciebie patrzył. Nigdy nie mów mu prawdy. Wiem, że to trudne, ale nauczysz się. Skoro ja potrafię, to i ty się nauczysz.

– A co z tobą?

– Chujowa sprawa. Widziałem paszport Ciemniewskiego, kiedy poszedłem po twoje kluczyki. Obywatel Izraela. Jak to możliwe? Kurwa, to byli koszmarni antysemita. Tym się zajmowali. Szykowali Marzec '68.

– Co z tobą będzie?

– Mogę pojechać tam i wrzucić go do studni. Kiedyś Bućko wrzucił tam tego drugiego. Tego Wróblewskiego... Leżeliby sobie obaj. Ale Izrael nie odpuści. Będą szukać. Jeśli obywatel Izraela zaginie gdzieś

w świecie, to jest dla nich narodowa sprawa. Będą wiedzieli, że przyleciał do Warszawy. Będą szukali nagrań z lotnisk... Trafiają na tę wypożyczalnię. Samochód mógł mieć lokalizator. Nawet gdybym go spalił. Izraelczycy nigdy nie odpuszczają... Muszę się przyznać. Zabiłem. Ale to było w obronie własnej. Zobaczył mnie i zaczął strzelać bez ostrzeżenia. Oślepiłem go latarką. No i dostał.

– A ślady? Znajdą moją krew... – Usiadła na brzegu łóżka.

– Nie martw się. Posprzątam, zanim się przyznam.

Usiadł obok niej i zaczął ją głaskać po włosach.

– Przepraszam. Myślałem, że zdążę, zanim cię skrzywdzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

TERAZ

Minął tydzień, zanim mogła pokazać się ludziom. Zanim mogła wrócić do pracy. Wtedy, w sobotę, Siwy poczekał, aż Olga zaśnie. Wyszedł, zabierając jej klucze do mieszkania i przysłał jej Grzegorzycyka. Kiedy doktor przyjechał, wciąż spała. Pewnie długo czekał, bo kiedy się obudziła, około południa, drzemał na krześle z głową opartą o stół. Kawę wypił do połowy. Filizanka była już całkiem zimna.

– Hej – powiedziała, trącając go w ramię – może byś coś zjadł? Mam gołąbki ze słoika. No i mam jakieś flaki.

– No pewnie, że flaki – powiedział z uśmiechem.

Obejrzał ją. Przywiózł maść na poparzenia. Wstrzyknął jakiś antybiotyk. Zostawił środki przeciwbólowe. I coś na sen. Założył opatrunki. Delikatny był, kiedy miał do czynienia z żywym ciałem. Najwyraźniej się martwił.

Powiedziała mu, że nie wszystko pamięta.

– Boisz się tego?

Pokiwała głową.

– Jeśli nie będę pamiętała, to mnie zwolnią, prawda?

– Czego nie pamiętasz?

– Nie pamiętam, kiedy się zsikałam. – Nie umiała popatrzeć Grzegorzycykowi w oczy. Zacisnęła powieki.

– To pewnie działanie tych psychotropów. Nie wiem, czym cię

uśpił.

– Nie... to strach. Wiesz... Nie pamiętam, co mu mówiłam. Nie pamiętam. Bałam się, że umieram. Nie wiem nawet, co mi zrobił...

– A śniło ci się coś?

– Nic. Zupełnie nic. Tylko ten wstyd... Nie wiem, o czym rozmawialiśmy. Pamiętam strzały.

Przytulił ją. Kiedy znalazła się tak blisko niego, poczuła zapach trupów. Pewnie nigdy nie mija. A jednak, pomyślała, nie puściłaby tej grubej beki za żadne skarby świata.

Siwy uniknął aresztowania ze względu na swój stan zdrowia. Ale został zawieszony i miał być do dyspozycji prokuratora. Musiał oddać paszport, choć nikt nie spodziewał się, żeby był w stanie uciekać. Sprawa miała kiepskie notowania. Stosunki izraelsko-polskie to nie jest prosta sprawa, napinają się przez byle co, zupełnie jak pajęczyna na wietrze. Ariel Zuckerman, bo takie nazwisko nosił ostatnio Lucjan Ciemniwski, jest bohaterem dwóch wojen fundamentalnych dla izraelskiej tożsamości. Był jednym z weteranów, których zaprasza się do szkół przy okazji świąt i sadza w pierwszym rządzie, żeby dzieci mogły z bliska spojrzeć bohaterom w oczy. Nieustraszonym. Niemal świętym. Śmierć takiego kogoś w kraju Zagłady mogła spowodować poważny międzynarodowy skandal i tylko dzięki ogromnej woli kilku dobrych ludzi z obu stron granicy cała afera nie wyciekła do mediów.

Chata w Kampinosie została gruntownie przeszukana. Śladów pobytu innych osób prócz Zukermana i Dolińskiego nie stwierdzono. Doliński, pytany o powody, dla których śledził Zukermana, nie wchodził w szczegóły. Ograniczył się do stwierdzenia, że stary człowiek uderzająco przypominał mu z wyglądu kogoś zapamiętanego z listów gończych, jakich uczyli się niemal na pamięć w czasie studiów jeszcze w szkole, w Szczytnie. Było to mętne tłumaczenie. Prokuratorzy, Polak i Izraelczyk, który pracował na zasadzie

obserwatora, powątpiewali w to, że mógł pamiętać kogoś przez tyle lat. Izraelczyk miał pewną przyjemność z tego pobytu, bo wieczorami wychodził oglądać miasto swojej młodości. Przecież kiedy w 1968 roku musiał stąd wyjechać z rodzicami, miał dopiero siedemnaście lat i czuł się przede wszystkim warszawiakiem, a dopiero później polskim Żydem.

Doliński upierał się przy swojej wersji. Twierdził, że zobaczył Zukermana, kiedy tamten wychodził od Fukiera w Rynku Starego Miasta. I że tknięty przecuciem pojechał za nim aż do puszczy. Nabierał coraz więcej podejrzeń, bo Zukerman wybrał drogę, której od wyznaczenia parku narodowego nikt właściwie nie używał. Pojechał do zrujnowanego domu. Kiedy Doliński wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami, tamten po prostu odwrócił się i zaczął strzelać. Policjant odruchowo odpowiedział ogniem. Trafił dwa razy w korpus, raz w głowę. Kule wystrzelone przez Izraelczyka odnaleziono w karoserii jego samochodu.

– Może przypomniało mu się coś z czasów młodości – sugerował podejrzany – a może zadziałały odruchy, instynkt wykształcony w jego żołnierskim sercu? Może należałoby to uznać za nieszczęśliwy wypadek? – Siwy nie wierzył, że na to pójdą, ale przecież warto zasiać ziarno zwątpienia. Na politycznym poletku nie takie ziarna potrafiły zakwitnąć, a to była polityczna sprawa.

Pojechali na wizję lokalną. Dużą ekipą, czterema pojazdami. Ludzie, do niedawna podwładni Dolińskiego, wykazali jednak nieostrożność – zdeptali do reszty ślady w tym zamarznętym śniegu. Ale przeszukanie posesji było bardzo wnikliwe. W studni odnaleziono stary ludzki szkielet owinięty w spleśniałą brezentową plandekę. Próby ustalenia tożsamości na razie nie przyniosły rezultatu. Autopsja wykazała, że to mężczyzna, sto osiemdziesiąt sześć centymetrów wzrostu. Zmarł w wyniku postrzału. Dostał trzy

kule. Dwie w korpus, jedną w czoło. Zginął prawdopodobnie w połowie lat sześćdziesiątych. Pobrano materiał genetyczny. Niewykluczone, że to pomoże w dochodzeniu.

Śledczy szukali dalej. To była piekielnie trudna robota, studnia była wąska i pełna śniegu oraz starych gałęzi. Mimo tych problemów odnaleziono tam więcej kości. I zwierząt, i ludzi. Prokurator uznał, że zachodzi prawdopodobieństwo, że są to szczątki leśniczego, jego żony i dwójki dzieci. Leśniczówka nie była używana od 1940 roku, kiedy Niemcy rozstrzelali jej mieszkańców za pomoc Żydom. Leśniczy miał synka. Kości drugiego dziecka oznaczono na razie jako N.N.

Prezes Paweł Słupecki zadzwonił do Serbii w poniedziałek i przeprosił, ale chciałby przełożyć ich lancz na środę lub czwartek, bo wypadło mu pilne spotkanie w interesach. Zdziwił ją ten telefon. Odkąd poznała cenę sukienki, miała podejrzenia co do Słupeckiego. A jednak zadzwonił. Nie uciekał. Skontaktowała się z Kosińskim i poprosiła, żeby się mu przyjrzał.

– Ale przecież jestem na zwolnieniu.

– No i dobrze, masz czas, żeby mu się przyjrzeć.

– Ale w sieci?

– A jak inaczej? Chciałabym wiedzieć, czy jest w Warszawie. Namierz jego komórkę, nie wiem, kurde, przecież świetnie znasz się na komputerach, więc może go jakoś namierzysz? Czy jest w Warszawie i czy przypadkiem nie chce spierdzielić.

– A co z tobą? Grzegorzcyk mówi, że masz jakieś wirusowe zapalenie?

– No infekcję mam.

– Ale gadasz normalnie, to co się dzieje?

– Wysypkę mam, nie chodzę do pracy. Ale nie chcę, żeby mi ten Słupecki zniknął przez ten czas.

– Słyszałaś o Siwym?

– Tyle co w radio i co przeczytałam w Internecie.
– Chujowa sprawa.
– Zamknęli go?
– Nie. Ale operacyjni z wewnętrznej go pilnują. Siedzą pod jego domem.

- Skąd wiesz?
- Z jednym z nich wpadłem wczoraj do Krakena.
- Na piwo chodzisz z facetem z wewnętrznej?
- Oj proszę cię... Na hummus.
- Zostałeś wegetarianinem?
- Zastanawiam się nad tym. Coraz poważniej.

Do Siwego nie chciała dzwonić. Martwiła się o niego. I nie chodziło o to, że może mieć podsłuch. Kochała go jak ojca. Ale wystawił ją. Wykorzystał. Nie miał do tego prawa. Tęskniła. Tak, tęskniła, bo długi czas był dla niej oparciem. Uczył ją. Bronił jej. Dawał jej pewność, że jest ważna. Postawił na nią, kiedy psycholog uważał, że powinna odejść ze służby. Ale teraz naraził jej życie. Więc nie. Nie zadzwoni.

Wieczorem usłyszała w radio, że miesięcznica smoleńska przebiegła bez większych problemów. Obywatele Rzeczypospolitej przynieśli transparent z napisem „Ręce precz od grobów”, ale nie zakłócali porannych uroczystości. Trzymali tylko w rękach białe róże. Za to wieczorem próbowali zagłuszyć przemówienie prezesa okrzykami: „Katastrofa to nie zamach”. Policja nie interweniowała.

Środę przespała. Wstała tylko, żeby usmażyć placki ziemniaczane. Wolałaby naleśniki, ale nie miała siły iść po mleko do sklepu. Zostały jej już tylko konserwy rybne. Kupowała je czasami, bo to jej przypominało czasy, kiedy chodzili z Krzyśkiem po górach. Mielonka i paprykarz. Było w tym coś, co ją wzruszało. Ale czar pryskał, kiedy

puszka była już otwarta.

Prezes Słupecki nie zadzwonił przez cały dzień.

W czwartek rano zadzwoniła do Szymona. Albo bardzo dobrze udawał, albo naprawdę niczego nie wiedział ani niczego się nie domyślał. Opowiedział jej kilka anegdot. Zapytał o zdrowie i o szewca. Opowiedziała mu wszystko.

– A co było w pudełku?

– No jak to co? Buty. Zamszowe, niebieskie. Cudo, mówię ci, numer czterdzieści dwa.

– No to jak na mnie. I co jeszcze?

– No widzisz... nic. Żadnego listu, żadnej mapy. Nic. Utknęłam w martwym punkcie. Może coś przeoczyłam. Obejrzę je dokładniej, jak ściągnę samochód ze Starego Miasta.

– A co z samochodem?

– Akumulator – skłamała. Faceci zawsze się nabierają na to, że dziewczyna nie za wiele rozumie z motoryzacji. – A jak te nazwiska? – zmieniła temat – udało ci się coś ogarnąć?

– Powiem ci, że niewiele. Te nazwiska tylko haz występują hazem. Więc jeśli już coś pasuje, to tylko to: funkcjonariusze opehacyjni z lat sześćdziesiątych. Phacowali w Warszawie. Inwigilacja śhadowisk przestępczych. Słuch o nich zaginął jakoś na początku 1965 roku. Nohmalnie jak kamień w wodę. Nie ma żadnych dokumentów. Teczki ktoś ophóźnił. Może naphawdę zdobyli skahb, co? Może zhobili ten bank i uciekli gdzieś w świat z tej pieprzonej komuny, podhóhowali, jedli sushi w Japonii, kiwi w Austhali, opalali się na Boha-Boha, palili ogniska w Ziemi Ognistej, jedli steki w Ahgentynie, zwiedzali Machu Picchu, szli przez Amazonię, wyghali fohtunę w Vegas, poznali Elvisa i Fhanka Sinathę... Może dlatego nie ma już więcej śladów? Tylko te buty Elvisa...

– Rozbawiłeś mnie. A może byś przyjechał? Nawet tylko na

weekend. „Bo ta noc, to ona płacze deszczem...”

– Co mówisz?

– No słucham takiej piosenki. Piasek. Nie znasz, za młody jesteś.

– Piłaś coś.

– Piłam. Co noc piję. Nie umiem zasnąć, odkąd wyjechałeś bez pożegnania.

– Jak to „bez pożegnania”? Nie znalazłaś mojego listu?

Usłyszała dzwonek do drzwi.

– Przepraszam cię, muszę kończyć, ktoś przyszedł, może to ważne, zadzwonię do ciebie jeszcze.

Wyłączyła się. Wcisnęła kluczyk. Kilka minut później usłyszała pukanie do drzwi. Zdziwiła się.

Kowal. Zbigniew Kowalski. I jego goryl.

– Dzień dobry – przywitał się Kowal, kłaniając się i po oficersku stukając obcasami. – Mogę wejść?

Cofnęła się, żeby go przepuścić.

Podał jej kartonik przewiązany wstążką i sznurkiem. Zdjął płaszcz. Pod spodem miał szarą, wełnianą marynarkę z czarną, żałobną aksamitką w klapie.

– Z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia – powiedział – tort bezowy. Wiem, że pani lubi.

– Ciekawe – powiedziała – ma pan o mnie lepsze informacje niż ja o panu. A to ja pracuję w policji.

– Pieniądze pozwalają kupić czas – odparł. – Czy mogę liczyć na kawę? Stasiu, Stasiu, wejdz i postaw zakupy... Gdzie ma postawić?

Pokazała mu drogę do kuchni. Goryl postawił tam torby z zakupami, skinął lekko głową i wyszedł. Olga pomyślała, że pewnie stoi teraz pod jej drzwiami. Co sobie pomyślą sąsiedzi? Że awansowała i jest teraz rzecznikiem rządu. Tak, tak im powie.

Kowalski rozbawił ją tym tortem.

– I co z kawą?

– Obawiam się, że mam tylko rozpuszczalną albo odrobinę zwietrzałą z kawiarki.

– Jakiej marki?

– Kawiarka?

– Nie, kawa – powiedział z uśmiechem.

Podeszła do szafki w kuchni. Otworzyła drzwiczki i przeczytała napis na zielonej torebce.

– *Najjar*.

– Libańska czy turecka? – zapytał.

– Nie wiem... – odpowiedziała zakłopotana. Dostała przecież tę kawę od Siwego.

– Proszę pokazać. Libańska. Bardzo dobrze. Nawet jeśli trochę zwietrzała, to i tak doskonała. Wie pani, co znaczy słowo najjar?

– Nie, no skąd?

– Stolarz. Ciekawe, prawda?

– Skąd pan wie takie rzeczy?

– Dużo czytam. Myślę, że może nawet siedemdziesiąt książek rocznie... Stać mnie. Mam czas, nie muszę za wiele pracować. W każdym razie nie muszę pracować w sensie, w jakim na ogół ludzie rozumieją tę czynność... Ale co będę pani tłumaczyć. Pani wie, ja wiem... Chciałem coś pani opowiedzieć.

– Tak? – Czowała wdzięczność, że nie pyta o jej podkrążone oczy ani o zabandażowane stopy. Że nie widzi jej przygiętej bólem sylwetki. Ani niemytych od kilku dni włosów. Że traktował ją jak damę.

Pili kawę w milczeniu. On w marynarce, ona w szlafroku w pionowe pasy. On pachniał lagerfeldem. Ona, miała nadzieję, że jednak bardziej proszkiem do prania niż potem. On pił z mlekiem.

Ona czarną z cukrem.

„I na skrzydłach jak ptaaaaaak będę leciał co sił, tam gdzie moje sny-y-y i warszawskie kolorowe dni” – śpiewał Czesław Niemen z radiowej Trójki.

– A więc słucham – powiedziała w końcu.

– Od czego by tu zacząć...

– Może rozpakuję to ciasto, co? Ma pan ochotę?

Pokiwał głową.

– Odwiedziłem panią, żeby coś jej pokazać. – Wyjął z kieszeni smartfona. Odblokował i otworzył galerię zdjęć. – Proszę spojrzeć.

Podał jej. Wzięła ostrożnie, bo opatrunki trochę jej przeszkadzały.

Zobaczyła twarz Doroty Kowalskiej. Dziewczyna była naga. Leżała obok nagiego mężczyzny. W tle wielkie hotelowe łóżko. Białe ściany, jakaś czarno-biała grafika. Wcisnęła start.

„To jestem ja – powiedziała Dorota – a to jest mój mężczyzna. Widzisz? Jest zupełnie prawdziwy”.

Serbia zobaczyła zbliżenie podbrzusza mężczyzny. Szczupłe ciało, sztywny zarost, brązową skórę, potem kamera przesunęła się na pępek, szeroką pierś z gęstymi, siwymi włosami. Potem znowu pojawiła się twarz Doroty. Całowała w policzek Pawła Słupeckiego.

„Zawsze po tym, kiedy mu to zrobię, śpi jak dziecko” – powiedziała i nagranie się skończyło.

– Widzi pani... byli kochankami. – Wziął telefon z jej ręki.

– No tak. Czego to dowodzi?

– Że on kłamie. Ukrywał to przede mną. Nie przyznawał się.

– Skąd pan ma ten film?

– Od naszej siostry, od Justyny. Spotkaliśmy się w sobotę u mamy. Pokazała mi. Powinna była pokazać mi to wcześniej. Od razu, kiedy to dostała.

– Czyli?

– Jakiś miesiąc temu.

– Rozmawiał pan z nim?

Kowal pokiwał głową.

– Pyszne ciastko, prawda?

– Tak, doskonale. Jak on się czuje?

– Pewnie bywało lepiej. Przewrócił się na nartach, wie pani, to takie przykre, znakomity narciarz przecież. No... ale każdemu może się przydarzyć.

– Poważnie się potłukł?

– Szczegółów nie znam, ale zdaje się, że jest w szpitalu w Zakopanem. Ma nogę na wyciągu. To dziwna historia, opowiadano mi, że przywiozła go połamanego jakaś taksówka.

– Sugeruje pan, że powinnam się tam wybrać?

– Jeśli chce go pani zapytać osobiście o to, co robił w Wigilię, chyba nie będzie wyjścia. On, wie pani, na razie ma pewne trudności z poruszaniem się.

– Zawieźć mu kwiaty?

– Kwiaty są zawsze mile widziane, droga pani. – Dokończył tort, uśmiechnął się, a potem wstał. – No... na mnie już czas. I proszę nie zapomnieć o zakupach, całkiem mi wypadło z głowy, ale niektóre z produktów trzeba jednak trzymać w lodówce.

TERAZ

Wraciała z Zakopanego zmęczona. Czowała się już lepiej. Ale blizny na kostkach zostaną jej już pewnie do końca życia. Takie sprawy nigdy się przecież nie goją. Jechała pociągiem z Krakowa zadowolona, że zdążyli na czas. Fajni ci policjanci z Zakopanego, komendant dał jej wóz, żeby mogła dojechać na dworzec w Krakowie. Pewnie nie umiała ukryć, że wciąż kuleje. To piękna droga, myślała, jeśli nie musisz prowadzić i skupiać się na tym, co wyprawiają inni kierowcy. Ciekawiło ją, jak się nazywają te wszystkie góry po drodze. I czy jest ktoś, kto potrafi je rozpoznać i zapamiętać...

Jędrrek, tak się przedstawił kierowca, pozwalał jej się zająć swoimi myślami. Prowadził bardzo sprawnie. Wyprzedzał cały czas, ale się nie bała. W końcu ci z drogówki naprawdę potrafią jeździć.

– Będzie ci przeszkadzała muzyka? – zapytał, kiedy dojeżdżali do patelni.

– Nie, skąd...

– Ale jakby coś, to mów, nie każdy lubi. Bo to jest najsmutniejsza płyta świata: *Turn Loose the Swans*, uwielbiam. „*In the meadows of heaven, we run through the stars, romantic in our tastes, we are without excuse, we burn in our lust, we die in our eyes and drown in our arms*”. Wiem, to dziecinny tekst, ale w ich wiolonczeli jest taki smutek, że pasują jak kamień do szyi.

Kiedy zatrzymał się na stacji benzynowej i zaproponował kawę,

poprosiła o wodę. Woda, gdyby ją nieopatrznie rozlała, przecież wyschnie. A po kawie zostałyby plama.

– Są ludzie, po których w życiu zostają jedynie plamy – mrugnął do niej.

Ma rację, pomyślała, smutek i rozprute serce.

Wróciła myślą do spotkania ze Słupeckim. Zanim prezes złożył formalnie zeznanie, powiedział Oldze, że jest naprawdę dobrym narciarzem. Takim, który nie wywraca się z byle powodu.

– Co pan sugeruje? – zapytała.

– Że narty niosłem na ramieniu w drodze z parkingu do pensjonatu.

– Chce pan wnieść skargę? Mam poprosić kolegów z zakopiańskiej komendy?

Pokręcił głową.

– Nie. Był u pani?

– Kto?

– Kowal?

– Może pan jaśniej?

– Kowalski. Brat Doroty?

– Nie – skłamała – ale poznaliśmy się. To właśnie on zidentyfikował ofiarę.

– Hm... – westchnął – powiedzieli mi, że muszą połamać narty, żebym za daleko nie odjechał... Nie odjechałbym. Nie mam sobie nic do zarzucenia, więc po co miałbym wyjeżdżać? No dobrze. To co, nagrywamy?

Opowiedział, że byli kochankami. I że to on wyniósł czternaście próbek nowej substancji. Próbował zainteresować wynikami badań kilku światowych potentatów. Tak, zdaje sobie sprawę, że to działanie na szkodę firmy, ale przecież jest jej właścicielem. Nie mógł tego

zrobić jawnie, bo wiązały go kontrakty, ale kiedy wyniki zaczęły być obiecujące, zrozumiał, że ten projekt jest wart o wiele więcej, niż początkowo sądził. Że nie chodzi już po prostu o zbudowanie grupy pacjentów gotowych do tego, żeby poddać się eksperymentowi medycznemu. Szukał takich ludzi, korzystając z tego, że łatwiej o nich w Polsce niż w innych krajach Unii. Z jednej strony z powodu opóźnień naszego systemu ubezpieczeń, z drugiej dzięki temu, że wysokość wynagrodzeń w naszym kraju znacząco odbiega od poziomu w innych rozwiniętych krajach Unii Europejskiej. Ludzie zapisują się do programów badawczych dla pieniędzy. Terapie onkologiczne są bardzo drogie. Kiedy terapia zaczęła przynosić rezultaty, zrozumiał, że czas poświęcić NextProfile i sprzedać spółkę jakiemuś światowemu graczowi.

W sprawie brakujących ampulek zwałił winę na Dorotę. Nie zdołał zapobiec kontroli, którą zrobiła Podlesicka, bo zleciła tę procedurę, kiedy on był z Kowalską w górach. Nie mógł w porę zareagować. To go postawiło pod ścianą. Zwałił winę na kochankę i ją zwolnili. Bardzo to przeżyła. Dla niego to też było trudne, ale żeby sprawa wyglądała wiarygodnie, nie mógł przecież powiedzieć jej prawdy.

– Ale w ogóle powiedział jej pan?

– Kilka dni później. W Wigilię rano. Zadzwoiła i powiedziała, że zrobi sobie krzywdę. Przysłała esemesy, że mnie kocha i że nie chce beze mnie żyć. Wpadła w histerię. Pojechałem do niej. Była roztrzęsiona. Rozmawialiśmy długo i wtedy jej powiedziałem. Także o tym, że jej to wynagrodzę, ale na razie musimy się rozstać. Była rozhisteryzowana, nie chciałem jej zostawić samej, więc zaproponowałem, że zawiozę ją na wieś. Do matki. Miała tam spędzić Wigilię. Wydawała się uspokojona, przestała płakać, zrobiła makijaż, włożyła sukienkę. W samochodzie musiała otworzyć schowek.

– Jaki schowek?

– No schowek w samochodzie. Miałem tam kilka ampulek. Skąd wiedziała, że trzymam tam preparaty, nie mam pojęcia. Zrobiła to, kiedy pojechaliśmy zatankować. Wysiadłem, nalałem oleju, poszedłem zapłacić, trochę to trwało, bo przecież teraz stacje paliw to przede wszystkim sklepy spożywcze, ktoś pewnie chciał jeszcze hot doga... wstrzyknęła sobie trzy dawki.

– Jak to „wstrzyknęła”?

– Strzykawką z apteczki. – Słupecki się wiercił. Męczyło go leżenie w jednej pozycji. Miał nogę na wyciągu i rękę na temblaku.

– Nie zorientował się pan?

– No nie. Wsiadłem i pojechaliśmy. Myślałem, że zasnęła. Mogłaby przecież zasnąć. Po tej porannej awanturze miała prawo poczuć się zmęczona. Po kilku minutach dostała drgawek, miała pianę na ustach, zjechałem na pobocze, żeby sprawdzić, co się dzieje. Miała objawy jak w agonii...

– Zna się pan na tym?

– Jestem menadżerem, a nie lekarzem. Ale pracuję w branży medycznej od lat. Płytki oddech, drgawki, ślinotok, potem zatrzymanie oddechu i pracy serca. Nie miała pulsu. Wpadłem w panikę.

Opowiedział Oldze, jak zjechał na pobocze i próbował wykonać masaż serca. Serbia mu nie wierzyła. Ale to sprawa prokuratora. Wypytała dokładnie o miejsce, w którym to się działo, może będzie można uzyskać jakieś informacje z monitoringu? Z tego przejazdu, ze stacji Orlenu, może nawet z parkingu, gdzie ją próbował ocucić. Trzeba będzie sprawdzić całą trasę.

– Ale to nic nie dało. Była martwa. Przestraszyłem się. Kował by mi tego nie darował. Nie uwierzyłby, że zrobiła to sobie sama. Jeździłem po mieście. Nie miałem pojęcia, co począć. No i przyszło mi do głowy, że ją po prostu zawiozę nad rzekę. Tam nikogo nie ma

w taką pogodę. Deszcz padał przecież. Wjechałem pierwszym zjazdem, ale było zamknięte. Próbowałem dalej. Drugi też nie wyglądał zachęcająco. No i co... no i znalazłem wreszcie dobre miejsce. Zjechałem, stanąłem, zszedłem nad rzekę... Nikogo nie było. Padał deszcz. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem w krzaki.

– I co? Już?

– A co miałem zrobić?

– Przecież pana kochała.

– Ale już nie żyła. Rozumie pani, nie żyła! A ja żyłem. I powinienem żyć dalej, żeby doprowadzić do końca swój projekt. Nie wiadomo, ilu ludziom chorym na raka może ocalić życie. Proszę o tym pomyśleć. Nie jestem przecież byle kim. Włożyłem ogrom pracy, żeby się znaleźć w miejscu, w którym jestem społeczeństwu najbardziej potrzebny.

– Co pan pieprzy? Zostawił pan umierającą dziewczynę na pastwę losu na brzegu rzeki.

– Martwą dziewczynę. Tak! Zostawiłem. Ale pani czegoś nie rozumie. Wie pani, dlaczego termity albo pszczoły są tak bardzo skuteczne? Bo wszystkie, od królowej aż do robotnicy, stanowią jeden organizm. I działają w ten sposób, żeby ten organizm rozwijał się optymalnie. Wie pani, dlaczego pszczoły co jakiś czas opuszczają swoje doskonale zorganizowane, dopracowane w najdrobniejszych szczegółach gniazdo? Roją się, żeby zacząć od nowa w zupełnie innym miejscu, żeby nie zgubić w sobie innowacyjności. Żeby postawić sobie nowe zadania. Pszczoły nie budują muzeów, żeby trzymać tam produkty przeszłych epok. Budują swój świat zupełnie od nowa. Rozumie to pani?

Nie rozumiała. Ale nie chciała mu przerywać. Było w jego tyradzie coś fascynującego.

– Innowacyjność, niezależnie od tego jak jest zaawansowana

technologicznie, nie jest przecież wartością samą w sobie, jest wartością, ponieważ jest społecznie użyteczna. Powstaje w określonych warunkach społecznych i prowadzi do zmian, które niosą pożytek wszystkim. A pani uważa, że miałem iść na policję i zmarnować szansę, która stoi przed medycyną? Pani naprawdę nie pojmuje swojego miejsca w społeczeństwie.

– Tak? Jak to nie pojmuję? – Wytrącił ją z równowagi. – Czy moim zadaniem nie jest łapanie złych ludzi? Takich, którzy działają na szkodę społeczeństwa? Którzy nie szanują prawa innych do życia?

– Ona nie żyła. Nie rozumie pani? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie żyła! Taką podjęła decyzję. To jej życie i jej autonomiczne prawo. Kobieta ma prawo do aborcji, bo to jej ciało. Człowiek ma prawo do tego, żeby przestać żyć. A ona chciała umrzeć. Nawet jeśli z powodu nieszczęśliwej miłości, to dalej była jej decyzja, a nie moja. Uważa pani, że człowiek nie ma prawa do podejmowania decyzji zgodnych z jego światopoglądem i hierarchią wartości? Mężczy mnie pani ignorancja.

Serbia słuchała z opuszczoną głową. Zerknęła tylko na to, czy bateria się nie wyczerpuje.

A Słupecki mówił. Pomyślała, że może to wyrzuty sumienia.

– Czy wie pani, że termyty, stworzenia zupełnie bezbronne, kiedy poczują zagrożenie, natychmiast tłoczą się w miejscu, w którym królowa złożyła jaja, pocierają się o siebie, żeby podnieść temperaturę, bo wtedy z jajeczek wykluwają się wojownicy, a nie robotnice. Czy pani wie, że kiedy wojownicy ruszają do walki w obronie kopca, to robotnice zamurują za nimi wejście? Wojownicy nie wracają. Jeśli polegną, termitiera przetrwa dzięki tym zamurowanym otworom. Trzeba znać swoje miejsce w społeczeństwie.

– A pan swoje zna?

– Tak. Moim zadaniem jest rozwiązanie pewnego medycznego problemu. Innowacyjność jest zawsze wypadkową uczenia się. Moja firma działa w polu innowacyjności. I potrafi wypracować wartość. Nie mówię o wartości laptopów czy samochodów, które posiada, ale o potencjale intelektualnym. Ochrona tego potencjału jest społecznym priorytetem. Musiałem ją zostawić, rozumie pani. Poza tym nie żyła. Czy pani mnie nie rozumie?

Serbia pokazała mu zdjęcia. Zdawało się, że nie rozumie, na co patrzy. Pierdolony sadysta był znakomitym aktorem. Zbladł.

– Nie zrobiłem tego – powiedział. – Zostawiłem ją. To prawda. Zniosłem ją tam i zostawiłem nad rzeką. Zimną i martwą. Położyłem ją delikatnie. Ale nie przeciąłem jej przegubów, no co mi pani insynuuje?

Serbia milczała. To dupek! Może nawet psychopata? Ale ocena jego stanu zdrowia psychicznego to nie były jej kompetencje. Poza tym miała już w ręku wszystkie karty. Przyznał się, że to on zawiózł denatkę na miejsce. No to i zabić musiał on. Jeśli nie on, to kto?

– Widział pana ktoś? Czy ktoś może potwierdzić, że pan ją zostawił?

– Co pani mówi? Przecież tłumaczę, że byłem sam. Sprawdziłem, czy nikogo tam nie ma.

– Nie wiem. Może pana nowa kochanka siedziała na tylnej kanapie?

– Margarita? Proszę jej do tego nie mieszać. Ona nic nie wie.

– Dużo ma pan kochanek?

– O ile wiem, nie wolno mi mieć więcej niż jednej małżonki, prawda? Prawo jeszcze nie zabrania posiadania nawet kilku kochanek.

Nie wiedziała, czy grał, czy naprawdę nie rozumiał swojego położenia.

– Jest pan podejrzany o morderstwo – powiedziała w końcu. – Przed pańską izolatką stoi uzbrojony funkcjonariusz policji. Prokurator wystąpi o aresztowanie i jeśli sąd się do tego przychyli, zostanie pan przewieziony do szpitala więziennego. Ma pan jakieś pytania?

Uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

– Pani naprawdę jest taka głupia czy tylko udaje? Po co miałbym zabijać Dorotę? Nie mam motywu.

– Rzucił pan na nią niesłuszne podejrzenie.

– Nie miałem wyboru, ale przecież bym jej to wynagrodził. Mocno przeżyła dyscyplinarkę, ale wtedy wieczorem pojechałem do niej i wszystko jej wyjaśniłem. Gdybym sprzedał firmę, dostałaby odpowiednią rekompensatę. Zrozumiała, że jeśli weźmie na siebie odpowiedzialność, to będzie z korzyścią dla wszystkich.

Właściwie nie usłyszała już niczego ważnego. Wyglądało na to, że Słupecki jest w czarnej dupie.

Chociaż teraz, kiedy o tym myślała, nie dawał jej spokoju ten obraz, kiedy sięga po zdjęcie i zaczynają mu drżeć ręce. Czują niepokój. Ten sam niepokój, który towarzyszył jej zawsze, kiedy nie zrobiła wszystkiego, co należało.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

TERAZ

Taksówka z dworca zawiozła ją na Stare Miasto. Zapłaciła kierowcy gotówką, ale posiedziała jeszcze chwilę, żeby wysłuchać do końca jego utystkiwań na Ubera.

– Przez tych Ukraińców muszę iść na emeryturę – narzekał. – Nie, żebym ich nie lubił czy był jakimś rasistą, ale jeżdżę czterdzieści lat, wie pani... Dobrze, że zdążyłem dzieci wykształcić przed tym całym Internetem. Gdyby im zabrać te internety, to gdzie by pojechali? No nigdzie, powiem pani, nigdzie. Zresztą taksówkarze też teraz już nie miastowi. Widzę, co się dzieje, jak jest miesięcznica i miasto zamknięte albo jakaś demonstracja i psy zamykają przejazd na plac Trzech Krzyży. Stoją, królowo moja, pod palmą te mądrale i nie wiedzą, gdzie drynda ma jechać: w prawo czy w lewo.

Wysiadła, a chłód tylko czekał, żeby się jej dobrać do skóry. W dodatku od wschodu ciągnęło przenikliwą, bolesną wilgocia. Jest taki chłód aż do bólu zębów. W Marcinku świeciły się światła. Ciepłe, pomarańczowe. Okna zaparowane od środka. Zawsze tak jest, kiedy ludzie się do siebie przytulają, pomyślała. Zawsze ktoś się do kogoś przytula. Ciekawe, czy Szymon polubiłby to miejsce...

Jej samochód był w opłakanym stanie. Zamarznięty, przywalony śniegiem. W dodatku miał założoną blokadę. Za wycieraczką mandat w foliowej torebce. Pewnie gdyby nie zaspas i nie ciasnota na Podwalu, już dawno zholowali by to auto na jakiś odległy i drogi parking.

Zakłęła. Próbowwała wyjąć mandat z za wycieraczki, ale wszystko było przymarznione na kość. Postanowiła, że wyśle ten rachunek komendzie. No nie... przecież nie była na służbie, tylko na zwolnieniu. Nieważne. Teraz nie będzie się tym zajmować. Ciekawe, że akumulator działał. Kliknęło i zamek centralny odblokował bagażnik. Otworzyła go, jednak nie bez trudu, bo też był zmrożony. W końcu jednak wyjęła pudełko. Otworzyła je i popatrzyła na buty Elvisa. Niebieskie, zamszowe trzewiczki. No nie, nie trzewiczki, ale półbuty. Podniosła je. Może coś przegapiłam? Ale nie, niczego więcej nie było w pudełku. Wzięła karton pod pachę i poszła na plac Krasińskich, żeby złapać sto szesnaście.

Co powiedział ten Nowak? Podklejenie obcasów? – usiłowała sobie przypomnieć. Ale nie potrafiła. Nie po tej rozmowie ze Słupeckim i nie po tej podróży.

Dopiero prysznic pozwolił jej się rozgrzać. Kostki zabiżniły się jakoś, a stupy nie szczypały już od mydła. A potem stare kawałki Guns N' Roses. I finlandia. Bez lodu. Bez wody. Bez poczucia winy.

Włączyła radio, żeby się dowiedzieć, co słychać w świecie.

„Wczorajszy, dwudziesty piąty, jubileuszowy finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy przyniósł rekordową kwotę ponad sześćdziesięciu dwóch milionów złotych. A na tym nie koniec, bo dokładna suma będzie znana dopiero na początku marca. Orkiestra stała się jednak znowu sprawą politycznych sporów. Prezydent Andrzej Duda włączył się do tej akcji, ale posłanka Krystyna Pawłowicz zaapelowała, żeby wspierać raczej Caritas. Policjanci z Wieliczki schwytali groźnego pedofila. Mógł kontaktować się przez Internet z co najmniej setką dzieci i nieletnich. Oferował im wspólne wyjście do kina. I na koniec smutna wiadomość dla mieszkańców Małopolski. Zmarł ksiądz Mieczysław Maliński, pisarz, biograf i przyjaciel Jana Pawła II. Jego książka *Wezwano mnie z dalekiego*

kraju została przetłumaczona na kilkanaście języków...”.

Czajnik zagwizdał. Zalała kakao. Owinęła się szlafrokiem. Otworzyła pudełko, wyjęła buty i dokładnie je obejrzała.

Nic. Buty jak buty. W środku wypchane gazetami. A! Pewnie o to chodzi! Rozprostowała gazetę. „Trybuna Ludu” z 15 grudnia, z 1971 roku. Pierwsza strona. Rozmowy ministrów Jędrzychowskiego i Gromyki, VI Plenum KC PZPR i przemówienie towarzysza Władysława Gomułki. „Aktualnie w naszej gospodarce dominuje jeszcze to wszystko, co składa się na pojęcie starego etapu jej rozwoju. To zaś, co charakteryzuje nadejście etapu nowego, znajduje się dopiero w trakcie tworzenia, toruje sobie dopiero drogę do życia”... Ale żadnej wiadomości. Nic. Żadnego adresu. Żadnych pozakreślanych słów. Przypomniała sobie wszystkie szpiegowskie filmy. Jeśli był tu szyfr, to powinien być także i klucz. Nie miała klucza. Jeśli ta strona była szyfrem, to wszystko przypało... W drugim bucie była ostatnia strona „Trybuny”. Też nic, co mogłoby jej pomóc.

Obejrzała pudełko. Odchyliła ranty, delikatnie, żeby nie porozrywać. Nic. Czysto. W radio płynęły jakieś zimowe piosenki. A ona traciła cierpliwość. Nalała sobie więcej wódki. Zmieniła stację, bo *Last Christmas* trochę działało jej na nerwy. Na szczęście w innej stacji puszczała Nirvanę.

Upiła trochę. Wzięła buty w ręce i wtedy zrozumiała. Jeden wydał jej się wyraźnie lżejszy. Postukała obcasem w blat. Ten lżejszy but miał inny dźwięk. Wyjęła nóż z szuflady i spróbowała odciąć obcas. Trzymał jednak mocno. Tak nie da rady. Poszła do pokoju i w starej skrzyneczce na dnie szafy znalazła młotek. Położyła but na podłodze w łazience i za pomocą śrubokrętu, bo nie znalazła żadnego dłuta ani młotka, do szczętu rozwalila obcas. Nic. Cholera jasna. Spociała się i zepsuła całkiem fajny but. Na Allegro ta para mogła kosztować

majątek!

Poszła do kuchni, naląła sobie jeszcze trochę wódki i przyniosła do łazienki drugi but. Wypiła i położyła go na podłodze. Uderzyła raz i wystarczyło. Obcas przesunął się na wydrążonej w środku prowadnicy i ze skrytki wypadł mikrofilm.

– O ja nie mogę! – ucieszyła się.

Poszła po telefon i wykręciła numer do Siwego. Ale nie, nie powinna do niego dzwonić. Może go podsłuchują? Ale przede wszystkim jeszcze mu nie przebaczyła. Przerwała połączenie, zanim zdążył odebrać.

Rano przemogła niechęć i pojechała do Siwego metrem. Jakdojade pokazało jej, że ze stacji Wilanowska to tylko dziesięć minut spaceru. Kto by pomyślał, że tam w ogóle dociera metro? Ale kiedy wyszła na wyświechtaną wiatrem i mrozem Puławską, klęła w duchu, że wciąż nie zadzwoniła do tej Straży Miejskiej i nie powiedziała im, żeby się nie wygłupiali i odblokowali jej auto. Powie, że w środku jest kamera i że nagrywa podejrzany lokal. No tak... ale jaki podejrzany lokal, skoro samochód stoi pod bankiem... Powie, że mieli sygnały o planowanym napadzie i postawiła auto, żeby rejestrować, kto wchodzi i kto wychodzi. I że kamera była ukryta za atrapą chłodnicy. Ucieszyła się z tego pomysłu.

Siwy powitał ją w szlafroku.

– Chodź, Olga, wejdz.

Wyraźnie ucieszył się na jej widok, choć próbował to ukryć. Chciał ją przytulić, ale się wywinęła. Granice są teraz w zupełnie innym miejscu. Ale pozwoliła mu usmażyć omlet. Jedli w milczeniu.

– Podsłuchują cię? – zapytała.

– Legalnie to raczej nie.

– A nielegalnie?

– Kto wie? To przecież sprawa między Polską a Izraelem.

Uśmiechnął się.

– Jakie rokowania?

– Nie wiem. Najpierw pewnie sąd ludzki, a potem sąd ostateczny.

Może wezmą pod uwagę, że zabiłem w obronie własnej.

– Może... – Pokiwała głową.

Wyjęła z kieszeni mikrofilm. Pokazała mu.

– Czy to jest to, co myślę?

– Tak. Tego szukaliśmy. – Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od spotkania z Zukermanem uśmiechnęła się całą sobą. Jak dziecko.

– Wiesz, co z tym zrobić?

Pokiwała głową.

W archiwum mieli odpowiedni sprzęt. Dawno nikt tego nie używał, bo teraz dokumenty archiwizuje się głównie w postaci cyfrowej. Biblioteczny projektor do mikrofilmów też się nie nadawał, ale koledzy wyciągnęli z lamusa starą maszynkę po esbekach. Prosty sprzęt. Szkło powiększające, biały ekran rzutnika, mała rolka, silna żarówka.

– Musisz szybko przewijać, nie wiem, czy ten celuloid nie zacznie się topić – poradził jej Zbyszek.

– Jeśli zobaczę coś ciekawego, zrobię zdjęcie smartfonem.

– Pokażesz?

– Przecież wiesz, że to poufne.

Musiała zostać sama. Przeczytała wszystko.

O operacji w Monachium. O czterech napadach. O tym, że sprawców nigdy nie odnaleziono. Rozboliła ją od tego głowa. Co za historia! Jasiński i Furman. Patrzyła na ich portrety pamięciowe ze starego wydania „Trybuny Ludu”. Niezłe rysunki. Jasiński naprawdę był do siebie podobny.

– Kawy, Olga? – Nie usłyszała, kiedy jeden z archiwistów podszedł

tuż obok.

Obudziła się z zamyślenia dopiero, kiedy trącił ją w ramię.

– Kurwa, co za historia... – powiedziała na głos.

– Tak widzę, widzę twoją minę... Kawy się napijesz, prawda?

– Wódki bym się napiła.

– Na służbie nie wolno.

– Jestem na zwolnieniu.

– A... skoro tak.

Począł za kontuar i wyciągnął z szuflady niewielką piersiówkę.

Uśmiechnęła się.

– Nie ty jedna masz tutaj kłopot z bólem głowy.

Wypiła duży łyk. Podziękowała.

– No, to teraz kawa.

Na ostatnim zdjęciu mikrofilmu była mapa. Dziwny, nieregularny kształt. Jakby rękawiczka. A może ręka trzymająca pistolet? Kontur był podzielony na nieregularne pola. Linie przecinały się mniej więcej pod kątem prostym, ale niektóre były trójkątne. W zasadzie trudno było zrozumieć zasadę. Pola ponumerowano od jednego do stu siedmiu. W polu z numerem 89 A był mały krzyżyk. Nie rozumiała, co to może być... Zrobiła zdjęcie smartfonem. Jakość nie była najlepsza, ale może wystarczy. Zadzwoiła do Siwego.

– Mam to. To rysunek. Ja nie wiem, co to jest, ale może ty będziesz wiedział. Wysłać ci?

– Tak.

– A jeśli odgadniesz, powiesz mi?

– Już całkiem mi nie ufasz?

– Całkiem.

– Wyślij.

Posłała Messengerem.

Potem zwinęła mikrofilm, wyłączyła żarówkę w projektorze i odniosła kubek po kawie.

– Dziękuję, Zbyszku – powiedziała.

– Wpadaj do nas częściej, czasami wszyscy zapominacie, ile tu jest odpowiedzi. Oczywiście tylko dla tych, którzy znają właściwe pytania. Jak to mówi klasyk: „wszystko już było, jeśli wiesz, czego szukasz”.

I nagle, w jednej chwili zrobiło jej się gorąco. Kliknęło. Drżące ręce Słupeckiego. Drwiący, zimny ton Jasińskiego. Co on powiedział? Pamiętała wszystko. Każdą sekundę. Zrobiło jej się niedobrze. Ale tylko przez chwilę.

– Mam jeszcze jedno pytanie... Masz jakiś rejestr niewyjaśnionych zabójstw z lat sześćdziesiątych?

– Tak... no pewnie.

– A z siedemdziesiątych?

– No jest tego trochę. To były trudne czasy. Ludzie ginęli. Masz czas? Chcesz teraz czy przygotować ci na jutro.

– A spiesz ci się?

– No nie. Nie mam nikogo. Córka wyjechała do Londynu. Ma męża Hindusa. Żona siedzi u nich. Zajmuje się dziećmi. W Windsorze mieszkają... Na Skypie czasami pogadam z wnukami. Nie... nie spiesz mi się. Mam tu komputer. Netflix legalnego. Wszystko jedno gdzie siedzę. Tylko głodny jestem.

– To pizzę zamów. Proszę. Zależy mi. Zapłacę za żarcie, ale dasz mi z tej piersiówki jeszcze pociągnąć, dobrze?

Siedziała do późnej nocy nad swoim kawałkiem pizzy. Zimnej już i twardej. Czytała raporty z dawnych czasów. Wigilia po Wigilii. Rok po roku. Nie było żadnej prawidłowości. Schematu. Nie było śladu. W ciągu trzydziestu pięciu lat trzy przypadki. Wzięła się do archiwum z lat osiemdziesiątych. I wszystko się poukładało. Znalazła zdjęcie, które było na wagę złota.

Poprosiła o akta. Tak, mogą być na jutro. Teraz to już i tak stara sprawa...

Czytała papiery całą srode. Wracała do domu wieczorem wściekła, że wciąż nie zadzwoniła do Straży Miejskiej. Włączyła radio i usłyszała, że prezydent Andrzej Duda odznaczył w Jerozolimie profesora Szewacha Weissa Orderem Orła Białego. Weiss był ambasadorem Izraela w Polsce i przewodniczącym Knesetu.

„Jest pan synem narodu żydowskiego i polskiej ziemi – powiedział prezydent. – Jest pan wielkim patriotą państwa izraelskiego, ale jednocześnie nigdy nie zapominał pan o ziemi, która była pana matką”.

Olga otworzyła butelkę wina. Wypiła ją całkiem sama, a i tak nie mogła zasnąć. Rano stawiała się w pracy. Zwolnienie się skończyło. Nogi goiły się opornie, ale dłonie już tak. Wystarczyły plastry. Zastępca Siwego wysłuchał jej w milczeniu.

– Potrzebujesz antyterrorystów? – zapytał.

– Nie. Ale potrzebuję trzech ludzi, którzy się nie boją psów.

Pokiwał głową.

Pojechali na Sierakowskiego w dwa samochody. Oficyna pamiętała jeszcze lata dwudzieste. Dom odarty z tynku. W czasach Bieruta panowała taka moda, żeby ocalać kamienice pozbawić ozdób. Sztukaterie, gzymsy, kolumny, to wszystko były przecież klasowo obce, burżuazyjne przesady. Dom ma pełnić funkcję mieszkaniową, a nie rozpraszać człowieka jakimiś tam dekoracjami. Murarze stawiali rusztowania i skuwali tynki. Kilka takich domów, z gołą czerwoną cegłą i przegniłą stolarką jeszcze się na Pradze uchowało.

– To będzie w oficynie – powiedział dzielnicowy. Czekał na nich w nieoznakowanym samochodzie zaparkowanym pod budynkiem. – Wejdziemy przez bramę.

– Nie ma kraty, nie ma domofonu?

– To komunalny budynek – wyjaśnił. – Sami starsi ludzie. Nie stać ich.

Przeszli przez podwórko. Na ścianach gryzmoły fanów Legii. Drzewo przewiązane łańcuchem, a do łańcucha przykute dwa zardzewiałe rowery. Po kolana w śnieżnej zaspie. I jeszcze kapliczka Matki Boskiej. Śnieg sprzed szybki odgarnięty, żeby Madonna mogła sobie popatrzeć na świat. Patrzyła na napisy „CHWDP” i „Legia pany”. I jeszcze „Praga dzielnica z zasadami, co jedzie z frajerami”. No i ten najnowszy. „Kłādia, Kocham cie”. Weszli na pierwsze piętro. Schody skrzypiały.

Zastukała. Za drzwiami rozległo się ujadanie psa.

– Cicho, Fred, cicho. – Usłyszeli. – Kto tam?

– Panie Leśniak, listonosz, pan otworzy.

– Nie czekam na żaden list.

– Paczkę mam z Caritasu, świąteczna, spóźniona, ale wie pan, teraz poczta przeładowana robotą.

Usłyszeli szczęk zamka. Potem drugiego. A potem jeszcze zgrzyt łańcucha.

W szarym, sfatygowanym szlafroku i rozdeptanych kapciach Leśniak wyglądał na zupełnie zagubionego.

Kiedy pies zobaczył mundurowych, zaczął skamleć.

– Cicho, Fred, to nie do ciebie.

– Wojciech Leśniak, syn Zygmunta? – zapytała Serbia.

Pokiwał głową.

– To pan, prawda?

– Chodź, Serbia. Przecież cię poznaję.

TERAZ

Zaprowadził ich do kuchni. Była dziwnie czysta w porównaniu z innymi pomieszczeniami w tym domu i klatką schodową. W telewizorze, starym, grubym odbiorniku z lat dziewięćdziesiątych Anna Kalczyńska i Andrzej Sołtysik przepytawali Martynę Wojciechowską z okazji objęcia funkcji redaktor naczelnej Travel Channel Polska.

„Zmiany są dobre – mówiła Martyna – redaktorem naczelnym National Geographic byłam dziesięć lat...”.

Posłuchali chwilę. Leśniak usiadł. Policjanci stali. Serbia tarosiła psa za uchem.

– Zrobił to pan? – zapytała w końcu.

Pokiwał głową.

– No zrobiłem. Zrobiłem. Po prostu nie mogłem się powstrzymać.

– A nóż? Skąd pan wziął ten nóż?

– Zawsze mam jakiś przy sobie. Mały albo duży. Albo średni.

Włożył rękę do kieszeni szlafroka i pokazał jej. Ten akurat był mały. – Jak się dowiedziałaś, Serbia?

Położyła papiery na stole. Co kilka lat, w Wigilię albo kilka dni później, milicja znajdowała na brzegu Wisły dziewczynę z podciętymi żyłami. Nie dochodziło do gwałtu, więc nie wiadomo było, czy to samobójstwa, czy ktoś im pomagał. Cztery przypadki. Tylko pierwsza ofiara, ta z 1964 roku, miała na ciele ślady walki. Broniła się. Była

wyjątkowo piękna. Może dlatego Jasiński ją zapamiętał? Może dlatego wspomniał o tym Serbii, kiedy ją bił i przypalał papierosem... W 1981 roku Leśniak wracał znad Wisły po godzinie milicyjnej i zgarnął go patrol ZOMO. Okazało się, że miał krew na rękach. Grupa krwi zgadzała się z grupą krwi dziewczyny, którą znaleźli osiem dni później na brzegu rzeki kilka kilometrów za miastem. Nie przyznał się do innych zabójstw. I nie znaleziono żadnych śladów, wykazujących, że mógł mieć z nimi cokolwiek wspólnego, ale i tak dostał dwadzieścia pięć lat. Odsiedział do końca. Teraz żył z zapomogi opieki społecznej. Nie robił nic. Czytał gazety i spacerował z psem.

Na fotografii sprzed kilkunastu lat wyglądał tak samo jak dziś. Olga poznałaby go nawet w piekle.

– No, odrobiłaś swoje zadanie – powiedział. – Co będzie z Fredziem? Nie chcesz go?

Wzruszyła ramionami.

– Może ktoś z panów go zechce? Nie gryzie. To dobry pies.

Ale oni też nie chcieli.

Dwa dni później pojechała na Powązki na pogrzeb Doroty. Kowalski załatwił dobre miejsce. Drzewa, sławni ludzie dookoła. Przyszedł tłum. Serbia pomyślała, że to rzadka okazja, żeby w jednym miejscu zobaczyć razem polityków, artystów, przedsiębiorców, sportowców, no i gangsterów. Kowal przyjmował kondolencje, podtrzymując matkę za ramię. Stała do nich kolejka jak po autograf, ale kiedy Kowalski dostrzegł Serbię, powierzył matkę swojemu młodszemu bratu – ta sama twarz, tylko trochę bardziej nalana – i podszedł.

– Przejdźmy się. – Podał jej ramię. – Chcę pani coś powiedzieć.

Ruszyli. Dwaj goryle poszli za nimi jak cienie. Pięć metrów z tyłu.

– Chciałem podziękować za Dorotę.

– Nie rozumiem...

– No za to, że pani to rozwikłała.

– Po prostu rozpoznałam Leśniaka na zdjęciu sprzed lat. To nic takiego.

– Zmarli muszą mieć spokój, wie pani... Tak mnie nauczył ojciec. Żeby nie zostawiać za sobą niezamkniętych spraw. Dopóki nie załatwimy spraw naszych zmarłych, oni nie mogą spokojnie odejść. Chcę, żeby pani wiedziała, że to dla mnie ważne. Dla Doroty. Dla mojej matki.

Śnieg skrzypiał im pod butami. Czuła się dziwnie dobrze, idąc pod rękę z człowiekiem, o którym mówili, że wszystko może. Wszystko, co dobre, i wszystko, co złe. A jednak czuła się teraz bezpieczna.

– Ale pani wie, o czym mówię, prawda?

– Nie rozumiem...

– Pani miała córkę.

– Tak, zginęła w wypadku. To ja prowadziłam...

– Wiem – odparł – znam tę historię. Ale to nie jest załatwiona sprawa. Bo to przecież nie był wypadek.

– Jak to? – Spojrzała na niego zaskoczona.

– Niech pani nie płacze, na Boga, przecież te dwie kupy mięśni pomyślą sobie o mnie nie wiadomo co.

– Jak to?

– To nie był wypadek – powtórzył. – Tak mówili o tej sprawie źli ludzie, którzy nigdy nie kłamią. Powinna pani do tego wrócić. A teraz chodźmy. Mama czeka. Muszę zakończyć to przedstawienie, nie chcę, żeby zanadto zmarzła.

Tydzień później Siwy zadzwonił i zapytał, czy nie poszłaby z nim na spacer. Serbia odzyskała wreszcie samochód i mogła pojechać po kolebę. Było cieplej.

– No... to na Okopową – powiedział.

Dojechali do bramy cmentarza żydowskiego. Kazał jej skrócić w Anielewicza. Czasami można tam zaparkować. Weszli przez bramę. Latem trzeba pewnie zapłacić za wstęp, ale teraz nikogo nie było. Był za to plan cmentarza na sporej białej tablicy. Wystarczył jeden rzut oka i Serbia rozpoznała, że to jest właśnie ten kształt. Ten sam, który widziała na mikrofilmie.

– No! – Pokiwała z uznaniem głową. – Spisałeś się, dowódco.

– Idziemy? – zapytał Siwy.

Nagrobki stały naprzeciw nich szarym, zębatym murem. Czuła się nieswojo, bo nie było tam żadnych krzyży. A napisy na kamieniach były w obcym języku, choć trafiały się także po polsku. „B.P. Juljan Dawidsohn, żył lat 34”, przeczytała. Groby oddzielał od alei mur zbudowany z odłamków granitu i marmuru.

– Widzisz – powiedział Siwy – to warszawska ściana płaczu. Mur z rozbitych grobowców.

Skrećili w prawo. Minęli pomnik pamięci miliona żydowskich dzieci zamordowanych przez Niemców. Prosta, ceglana konstrukcja. Mur, który otwiera się jak ramiona. Na szczycie muru kolczasty drut. Na ziemi kamienie ułożone w kształt czarnej menory. Ktoś odgarnął śnieg, żeby można było dojść pod mur suchą nogą. I położył kwiaty. Trzy czerwone róże. A śnieg brudny. Stary. Obok nowy pomnik. Zatrzymała się, bo napis w trzech językach.

– „Jacek Eisner i Dawid Landau. Bojowcy z ŻZW, którzy 17 kwietnia 1943 na placu Muranowskim wywiesili flagi polską i żydowską” – przeczytała. – Wiedziałaś o tym? Że nad gettem była polska flaga?

– Tak – potwierdził Siwy. – Czytałem ten napis, bo jestem na tym cmentarzu już czwarty raz. Szukałem miejsca z tej twojej mapy.

– Nie śledzą cię? – Obejrzała się.

– Być może, ale na cmentarzu nie.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Chodźmy.

Minęli pomnik Janusza Korczaka.

– Nie lubiłam *Króla Maciusia Pierwszego*. To była najgłupsza książka mojego dzieciństwa – powiedziała.

– Nie czytałem... Ale czytałem kiedyś o Korczaku, że kiedy szli na umieranie, to w przededniu wymarszu w tym jego sierocińcu, który był w miejscu, gdzie dzisiaj jest Pałac Kultury, wystawili sztukę. Żeby się dzieci nie bały. A kiedy szli do transportu tym wypalonym, zrujnowanym gettem, to kazał dzieciom, żeby szły czwórkami. I wszystkie miały podarte, ale świeżo wyprane koszule. Nawet je tej nocy wyprasowali. Zagłodzeni niemal do reszty. Ale godnie szli. Człowiek powinien godnie iść, wiesz? Nawet jeśli godność jest wszystkim, co posiada.

Wzięła go pod rękę. Nie mogła się na niego już boczyć. Nie tutaj. Nie pośród cieni.

– Trudno trafić... wszystkie groby po hebrajsku... Powinienem umieć to odczytać, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się.

– Może kiedyś.

Skreśli w lewo za grobem Marka Edelmana. Im dalej szli, tym bardziej zniszczony był cmentarz. Drzewa, krzewy, połamane macewy, groby otwarte. Podobno w niektórych ohelach ludzie ukrywali się całą wojnę. Żywi i martwi zarazem. A potem, kiedy wszystko się skończyło, szli ścieżką przez zamarznięty śnieg, przedzierając się przez gąszcz. Ta część cmentarza nie była odnowiona. Nikt nie przychodził tu od dziesiątek lat.

– To tutaj – powiedział Siwy – tutaj to zakopali.

– Wyciągniemy to? Jak? Przecież zamarznięte na kość.

– Poczekamy, aż zejda śniegi, córko. Przecież wiosna kiedyś musi jeszcze nadejść.

PODZIĘKOWANIA

Ewie i Magdalenie – za to, że podjęły trud zmierzenia się z tą książką na etapie jej tworzenia. Bez ich uwag nie wiedziałbym, czy to będzie miłość, czy po prostu romans.

Ewie – za wszystkie wskazówki. Wiem, że policjanci nie czytają kryminałów, że mają dość złych ludzi w prawdziwym życiu. Ale gdyby mi nie pomogła, wciąż nie wiedziałbym, co może, a czego z pewnością nie może zrobić moja bohaterka.

Marcinowi – za konsultacje i pomysły. Tak, ktoś musiał mi powiedzieć, kiedy powinni przestać strzelać.

Małgosi, mojej agentce, za cierpliwość i za dobre słowo, bo mają one fundamentalne znaczenie.

Oli, mojej córce – za świadomość, że istnieje ta jedna dziewczyna, z którą relacji nie spieprzyłem na amen.